

# Rodzinne szmaragdy

Nora Roberts



calibre 0.9.43

**NORA ROBERTS**

**RODZINNE SZMARAGDY**

**LILAH**

# PROLOG

*Bar Harbor, 1913*

*Urwisko mnie przyciąga. Wysokie, dzikie i obdarzone niebezpiecznym pięknem, stoi i wzywa mnie kusząco jak kochanek. Rankiem powietrze było równie miękkie jak chmury pędzące po niebie w stronę zachodu. Mewy krążyły nad oceanem, pokrzykując. W ich głosach brzmiała dziwna samotność, jak odległe dzwonienie boi, pobrzmiwające na wietrze. Ten dźwięk przywodził mi na myśl dzwon kościelny obwieszczający czyjeś narodziny - lub śmierć. Inne wyspy lśniły i przebijały przez rzadką mgłę, której słońce jeszcze nie wypaliło, jak fatamorgana. Rybacy prowadzili swoje łódki przez zatokę w stronę pełnego morza. Wiedziałam, że go tam nie spotkam, a jednak nie potrafiłam pozostać w domu. Wzięłam ze sobą dzieci. Chyba nie ma nic złego w tym, że chcę dzielić z nimi choć po części uczucie szczęścia, jakie zawsze mnie ogarnia, gdy idę pośród traw łąką prowadzącą do urwiska. Po jednej stronie miałam Ethana, a po drugiej Colleen. Niania pilnowała małego Seana, który podreptał po trawie za żółtym motylem, co wyślizgnął mu się spomiędzy palców. W powietrzu rozległ się dźwięk ich śmiechu, najśłodszy dźwięk, jaki może usłyszeć matka. Miały w sobie bezgraniczną ciekawość świata, bezwarunkowe zaufanie do niego. Na razie nie dotyczą ich jego problemy, powstania w Meksyku, niepokoje w Europie. Dla nich nie istnieją takie pojęcia jak zdrada, wina czy rozdzierająca serce namiętność. Ich potrzeby są proste i bezpośrednie i nie mają nic wspólnego z dniem jutrzejszym. Gdyby to ode mnie zależało, sprawiłabym, by na zawsze pozostały tak niewinne, bezpieczne i wolne. Wiem jednak, że nadejdzie taki dzień, gdy i one będą musiały stawić czoło emocjom i troskom dorosłego życia. Dziś jednak najważniejsze były polne kwiaty, które zrywaliśmy, pytania, na które*

*trzeba było odpowiedzieć, a dla mnie również moje marzenia.*

*Nie mam wątpliwości, że niania doskonale wie, dlaczego spaceruję akurat tutaj. Zbyt dobrze mnie zna i za bardzo kocha, toteż nigdy nie krytykuje. Nikt lepiej od niej nie wie, że w moim małżeństwie nie ma miłości. Od samego początku dla Fergususa było ono kwestią wygody, a dla mnie obowiązkiem. Gdyby nie dzieci, nie mielibyśmy ze sobą nic wspólnego.*

*Mimo wszystko obawiam się, że on uważa je za swoją cenną własność, symbole sukcesu, jakimi są dla niego dom w Nowym Jorku czy Towers, letnia rezydencja przypominająca zamek, którą zbudował na wyspie. Również ja, kobieta, którą pojął za żonę i którą uważa za wystarczająco atrakcyjną i dobrze wychowaną, by dzielić z nią nazwisko Calhounów, ozdabiać stół przy kolacji czy jego ramię w towarzystwie, tak dla niego ważnym.*

*To, co piszę, ma zimne brzmienie. Od tych słów wieje chłodem, ale nie mogę udawać, że w moim małżeństwie kiedykolwiek zagościły ciepłe uczucia. Z pewnością nie ma w nim również napiętności. Gdy wychodziłam za niego, posłuszna życzeniom rodziców, miałam nadzieję, że pojawi się między nami bliskość, która z biegiem czasu przejdzie w miłość. Ale byłam wtedy bardzo młoda. Jesteśmy dla siebie uprzejmi, ale ta uprzejmość nie może zastąpić emocji.*

*Chyba jeszcze rok temu potrafiłam przekonać siebie, że jestem szczęśliwa. Mam męża, któremu dobrze się wiedzie, ukochane dzieci, godną pozazdroszczenia pozycję społeczną oraz krąg eleganckich przyjaciół. Moja garderoba pęka w szwach od pięknych sukien i biżuterii. Szmaragdy, które Fergus mi podarował po urodzeniu Ethana, godne są królowej. Mój letni dom jest olśniewający ze swymi wieżyczkami i galeryjkami, ścianami pokrytymi jedwabną tapetą, lśniącymi podłogami pod bogactwem dywanów. Która kobieta, mając to wszystko, nie byłaby zadowolona? Czego więcej mogłaby sobie życzyć posłuszna żona? Niczego - oprócz miłości.*

*To właśnie miłość znalazłam na urwisku w osobie artysty, który stał tam twarzą zwrócony W stronę morza i malował wzburzoną wodę. Christian. Wiatr rozwiewał jego ciemne włosy. Patrzył na mnie z napięciem, pociemniałymi szarymi oczami. Być może, gdybym go nie spotkała, w dalszym ciągu potrafiłabym udawać zadowolenie z życia. Może udałoby mi się uwierzyć, że nie tęsknię za miłością ani czułymi słowami i delikatnym dotykiem pośrodku nocy.*

*Ale spotkałam go i moje życie uległo zmianie. Nawet za sto szmaragdowych naszyjników nie zgodziłabym się wrócić do tego fałszywego zadowolenia. W osobie Christiana znalazłam coś o wiele cenniejszego niż całe złoto, jakie Fergus z takim talentem gromadzi. Nie można wziąć do ręki czy nałożyć na szyję tego czegoś, co znajduje się w głębi serca.*

*Gdy spotykam go na urwisku, tak jak spotkam go dzisiaj po południu, nie będę oplakiwać tego, czego nie mogę mieć, lecz będę cieszyć się godzinami, które zostały nam dane. Gdy poczuję wokół siebie jego ramiona i jego usta na swoich, będą wtedy najszczęśliwszą i najbardziej kochaną kobietą na świecie.*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Burza była coraz bliżej. Z wysokiego, zwieńczonego lukiem okna wieży Lilah patrzyła na błyskawice przecinające czarne niebo na wschodzie. Nad urwiskiem zadudnił grzmot. Dziewczynę przeszedł dreszcz - nie lęku, lecz podniecenia.

Czuła, że coś nadchodzi. Czuła to w rytmie własnego pulsu. Przycisnęła rękę do chłodnej, gładkiej szyby, myśląc o swej prababce. Czy Bianca stała tu kiedyś, wyczekując burzy, czekając na chwilę, gdy wieża wypełni się dziwnym, niesamowitym światłem błyskawicy? Czy żałowała wówczas, że ukochany nie stoi obok niej? Na pewno tak, pomyślała Lilah. Wiedziała jednak, że Bianca była w wieży sama, podobnie jak ona teraz.

Może to właśnie cierpienie spowodowane samotnością sprawiło, że Bianca rzuciła się z tego właśnie okna prosto na skały.

Lilah potrząsnęła głową i cofnęła rękę. Znowu poddawała się nastrojowi. Należało to przerwać. Depresja i czarne myśli nie pasowały do kobiety, która zawsze przyjmowała życie takim, jakie było i za wszelką cenę starała się unikać jego ciężarów. Lilah nigdy nie stała, gdy mogła usiąść, nie biegła, gdy mogła iść, i za najlepszy sposób utrzymywania ciała i umysłu w dobrej formie uważała długie drzemki w ciągu dnia.

Nic chodziło o to, by brakowało jej ambicji, ale w jej prywatnej hierarchii ważności fizyczny komfort był ważniejszy niż fizyczne wyczyny.

Nie lubiła ponurych rozmyślań, a w ciągu ostatnich tygodni jakoś dziwnie często popadała w ponure nastroje. Zupełnie nie wiedziała, dlaczego. Jej życie toczyło się bez zakłóceń w powolnym rytmie. Dom i rodzina, równie ważne jak własna wygoda, były bezpieczne i miały się dobrze, a właściwie jedno i drugie rozkwitało i powiększało się.

Jej najmłodsza siostra, C. C., właśnie wróciła z podróży poślubnej, promienna jak róża. Druga z jej sióstr, praktyczna Amanda, zakochała się po uszy i właśnie planowała swój ślub. Wybrankowie sióstr zyskali absolutną akceptację Liii. Jej nowy szwagier Trenton St. James był zdolnym biznesmenem, który pod nienagannym garniturem skrywał miękkie serce. Sloan O'Riley, w kowbojskich butach i z akcentem z Oklahomy, zdobył jej podziw tym, że przedarł się przez kolczasty sposób bycia Amandy.

Ciocia Coco, która opiekowała się nimi od dziecka, oczywiście była uszczęśliwiona faktem, że dwie jej siostrzenice związały się z tak wspaniałymi mężczyznami. Lilah zaśmiała się lekko, myśląc o tym, że ciocia była pewna, że to ona doprowadziła do tych związków przez swe intrygi. A teraz oczywiście chciała zrobić to samo dla dwóch pozostałych sióstr: Lili oraz najstarszej, Suzanny. Lilah życzyła jej powodzenia, choć wiedziała, że ciocia nie

może raczej liczyć na współpracę Suzanny, która raz już się sparzyła, a po trudnym i nieprzyjemnym rozwodzie skupiła się na wychowaniu dwojga dzieci oraz prowadzeniu własnej firmy.

Sama Lilah z kolei bardzo chciała się zakochać i robiła wszystko, żeby tak się stało, ale dotychczas jej serce pozostawało obojętne. Żaden spotkany mężczyzna nie był tym jedynym, przeznaczonym właśnie jej. Ale nie było pośpiechu. Skończyła zaledwie dwadzieścia siedem lat. Wiodło jej się w pracy i dobrze się czuła wśród swojej rodziny.

Przed kilkoma miesiącami groziło im, że stracą dom. Towers, ekscentryczna rozsypująca się rezydencja, stała na urwisku nad oceanem. Gdyby nie Trent, być może Lilah nie patrzyłaby już na burzę przez okno wieży.

Miała więc dom, rodzinę, interesującą pracę, którą lubiła, a także zagadkę do rozwikłania. Tajemnica dotyczyła szmaragdów prababci Bianki. Nigdy ich nie widziała, ale wystarczyło, by przymknęła oczy, a obraz natychmiast pojawiał się pod powiekami. Dwa rzędy zielonych jak trawa kamieni przeplatanych brylancikami, lśniącymi jak kryształki lodu, na tle misternej złotej siateczki. Pośrodku zwieszał się pojedynczy, duży szmaragd w kształcie łzy. Naszyjnik miał wielką wartość materialną i estetyczną, ale dla Lii był przede wszystkim symbolem więzi z osobą prababci, która ją fascynowała, oraz nadziei na miłość do grobowej deski.

Legenda mówiła, że Bianca, pragnąc zakończyć małżeństwo, w którym nie było miłości, spakowała wszystko, co miała najcenniejszego, włącznie z naszyjnikiem, do kuferka i ukryła gdzieś, zamierzała bowiem porzucić męża i rozpocząć nowe życie z Christianem.

Zanim jednak znalazła na to sposób, rozpacz zwyciężyła i Bianca rzuciła się z okna wieży.

Romans zakończył się tragicznie, a jednak Lilah nigdy nie ogarniał smutek, kiedy o tym myślała. Duch Bianki pozostał w Towers, a szczególnie w tym pokoju, gdzie spędzała

niezliczone godziny, tęskniąc do ukochanego. Lilah czuła z nią dziwną więź. Była przekonana, że szmaragdy muszą się odnaleźć. Obiecała to sobie.

Dotychczas ukryty skarb przysparzał im wiele kłopotów. Prasa dowiedziała się o jego istnieniu. Skutkiem był najazd zaciekawionych turystów i poszukiwaczy amatorów, a także wizyta bezwzględnego złodzieja w domu. Amandaomal nie straciła życia, broniąc rodzinnych papierów. Mimo jej odwagi i determinacji złodziej, posługujący się nazwiskami William Livingston, Peter Mitchell i tuzinem innych, umknął z częścią dokumentów. Lilah miała nadzieję, że nie dostało mu się w ręce nic oprócz starych przepisów kulinarnych i niezapłaconych rachunków.

Wzdrygnęła się i odeszła od okna. Nie miała pojęcia, dlaczego szmaragdy i kobieta, do której należały, tak mocno absorbowały jej myśli akurat tego wieczoru, wierzyła jednak w instynkt i w swoje przeczucia. Ta wiara przychodziła jej równie naturalnie jak wiara w to, że słońce wschodzi na wschodzie.

Tego wieczoru coś się miało wydarzyć.

Znów spojrzała w okno. Burza była tuż - tuż. Naraz Lilah poczuła nieprzeparłe pragnienie, by wyjść z domu.

Żołądek Maksa podskakiwał w rytm kołysania się łodzi. Jachtu, poprawił się w myślach. Ośmiometrowego jachtu, cudeńka ze wszystkimi możliwymi wygodami. Było tu więcej udogodnień niż w prawdziwym domu Maksa, zagraconym, byle jak umeblowanym mieszkaniu w pobliżu Uniwersytetu Cornella. Niestety, to cudo akurat płynęło po wzburzonym Atlantyku i dwie tabletki przeciwko morskiej chorobie, które Max połknął, niewiele mu pomogły.

Odgarnął z czoła kosmyk ciemnych włosów, patrząc na mosiężną lampę kołyszącą się nad biurkiem. Przymknął oczy i spróbował skupić myśli na swym zadaniu. Profesorowie



historii amerykańskiej nieczęsto otrzymywali lukratywne propozycje pracy na wakacje. A poza tym zanosilo się na to, że będzie mógł jeszcze napisac o wszystkim książkę. Został wynajęty do badań historycznych przez ekscentrycznego milionera. O czymś takim można było poczytać w książkach przygodowych, jemu jednak zdarzyło się to naprawdę. List od Ellisa Caufielda przyszedł w najbardziej odpowiednim momencie, zanim Max zdążył podpisać letni kontrakt. Oferta była nie do odrzucenia, a poza tym bardzo mu pochlebiała. Max nie uważał się za szczególnie renomowanego naukowca. Owszem, napisał kilka dobrze przyjętych artykułów, otrzymał parę nagród, ale wszystko to działo się w obrębie zamkniętego świata akademickiego, w którym Max czuł się jak ryba w wodzie. Był dobrym nauczycielem, gdyż przyjemność sprawiało mu przekazywanie fascynacji przeszłością studentom bez reszty zaabsorbowanym terażniejszością. Ale bardzo się zdziwił, że Caufield, człowiek z zupełnie innego środowiska, usłyszał o nim i zaproponował mu tak interesującą pracę.

Jeszcze większą atrakcją niż jacht, wynagrodzenie i wakacje w Bar Harbor była historia zawarta w skrawkach papieru, które polecono mu skatalogować. Na przykład rachunek za damski kapelusz z 1932 roku. Lista gości zaproszonych na przyjęcie, które odbyło się w roku 1911. Kopia rachunku za naprawę forda, rocznik 1935. Ręcznie spisany przepis na ziołową nalewkę leczącą krup. Listy sprzed pierwszej wojny światowej, wycinki z gazet, w których przewijały się nazwiska takie jak Carnegie i Kennedy, faktury przesyłki mebli Chippendale i kandelabru Waterforda. Stare karnety balowe, wyblakłe przepisy. Dla człowieka, który przez większość czasu żył przeszłością, był to istny Sezam. Z największą radością zająłby się katalogowaniem tych dokumentów bez żadnego wynagrodzenia, tymczasem Ellis Caufield zaproponował mu kwotę równą wynagrodzeniu za dwa semestry na uczelni. To było jak ziszczony sen. Zamiast spędzać lato, usiłując

zainteresować znużonych studentów kulturalnym i politycznym statusem Ameryki przed drugą wojną światową, Max mógł sam zanurzyć się po uszy w tej epoce. Pieniądze, które otrzymał, pozwoliły mu wziąć roczny urlop z uczelni i rozpocząć pisanie książki, o której od dawna myślał.

Odnosił wrażenie, że ma wobec Caufielda ogromny dług do spłacenia. Cały rok na własne zainteresowania... Nigdy o czymś takim nie marzył. Swojej inteligencji zawdzięczał stypendium na Uniwersytecie Cornella i doktorat obroniony przed dwudziestym piątym rokiem życia. Przez ostatnie osiem lat pracował jak niewolnik: prowadził zajęcia ze studentami, przygotowywał wykłady, oceniał prace pisemne, toteż wolnego czasu wystarczyło mu zaledwie na napisanie kilku artykułów.

A teraz dzięki Caufieldowi rozciągała się przed nim perspektywa całego wolnego roku. Mógł poświęcić się pracy nad projektem, o którym myślał od dawna. Pragnął napisać powieść osadzoną w drugiej dekadzie dwudziestego stulecia. Miała to być historia o ludziach niesionych prądem historii, ludziach, jakich spotykał i poznawał dzięki starym gazetom i dokumentom.

Jedyną rzeczą, jakiej Max wcześniej nie wziął pod uwagę, przyjmując propozycję Caufielda, była choroba morską. Okazało się, że jego organizm nie znosi kołysania jachtu. Przymknął oczy, by nie patrzeć na wahadłowy ruch lampy, ale po chwili znów je otworzył. Drobną druk rozmazywał mu się w oczach. Max potrzebował świeżego powietrza. Co prawda Caufield wołał, by jego badacz spędzał wieczory w swojej kajucie pod pokładem, ale na pewno nie chciałby jego poważnej choroby.

Z trudem wstał i opierając się rękami o mahoniową boazerię, dotarł do schodów wiodących na pokład. Drzwi do kajuty Caufielda były otwarte. Max zatrzymał się w pobliżu, by złapać oddech i uspokoić żołądek, i usłyszał dwa głosy. Jego chlebodawca rozmawiał z

kapitanem jachtu.

- Nie dam sobie sprzątnąć sprzed nosa tego naszyjnika - mówił Caufield niecierpliwie.

- Kosztowało mnie to już zbyt wiele pieniędzy i zachodu.

- Nie rozumiem, po co ci był ten Quartermain - odrzekł kapitan równie niecierpliwie. -

Jeśli się zorientuje, jak zdobyłeś te papiery i do czego chcesz ich użyć, to może nam narobić kłopotów.

- Nie dowie się. Powiedziałem mu, że należą do mojej rodziny. Jestem bogatym ekscentrykiem i chcę je uporządkować.

- Ale on może coś usłyszeć...

- Usłyszeć? - prychnął Caufield ironicznie. - On jest tak głęboko zagrzebany w przeszłości, że czasem zapomina, jak się nazywa! Jak myślisz, dlaczego wybrałem właśnie jego? Odrobiłem swoje lekcje i dokładnie go sprawdziłem! To mól książkowy, ma znacznie więcej inteligencji niż zdrowego rozsądku i interesuje go wyłącznie to, co działo się sto lat temu! Aktualne wydarzenia, takie jak wiadomości o napadach z bronią w rękę i szmaragdach Calhounów, zupełnie do niego nie docierają!

Max zastygł przy ścianie korytarza.

- Powinniśmy zostać w Nowym Jorku - upierał się Hawkins. - Zrezygnowałem z roboty u Wallingfordów. A potrzebowałem tylko tygodnia, żeby zrobić te brylanty.

- Brylanty mogą poczekać. Chcę mieć szmaragdy i będę je miał. Posłuchaj, Hawkins.

Od dwudziestu lat kradnę kosztowności i wiem, że szansa na coś tak dużego trafia się tylko raz w życiu.

- Ale te brylanty...

- To tylko kamienie. A szmaragdy to legenda. Będę je miał bez względu na cenę.

Max zupełnie znieruchomiał i słuchał, coraz bardziej wstrząśnięty. Nie rozumiał

wszystkiego, co usłyszał, ale jedno stawało się przerażająco jasne - był wykorzystywany przez złodzieja, a papiery, które miał przejrzeć, kryły w sobie jakąś nieprzyjemną tajemnicę. W głosie Caufielda pobrzmiwał fanatyzm, z kolei w głosie Hawkinsa - stłumione okrucieństwo. Jako historyk Max wiedział, że fanatyzm jest najstraszniejszą bronią. On zaś miał po swojej stronie tylko wiedzę.

Musiał znaleźć jakiś sposób, by wydostać się z łodzi razem z papierami i dotrzeć jak najszybciej na policję. Chociaż właściwie to, co mógłby tam opowiedzieć, nie miało wielkiego sensu. Cofnął się ostrożnie, zupełnie zapominając o mdłościach. Zamierzał wrócić do swojej kajuty i zebrać myśli. Naraz jacht przetoczył się z burty na burtę i Max przez otwarte drzwi wturlał się do kajuty kapitana.

Caufield, który obydwoma rękami przytrzymał się blatu biurka, spojrzał na niego, unosząc wysoko brwi.

- O, doktor Quartermain. Coś mi się zdaje, że znalazł się pan w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiedniej chwili.

Max niepewnie podniósł się na nogi.

- Chciałem wyjść na świeże powietrze - wyjąkał.

- Słyszał wszystko - mruknął kapitan.

- Wiem o tym, Hawkins. Pan Bóg nie dał naszemu profesorowi pokerowej twarzy. -

Otworzył szufladę biurka. - No cóż, będziemy musieli nieco zmienić plany. Chyba nie dostaniesz żadnej przepustki i nie wyjdiesz na brzeg w Bar Harbor. - W jego dłoni błysnął chromowany rewolwer. - Wiem, że nie będziesz tym zachwycony, ale cóż, kajuta zupełnie wystarczy ci do pracy. Hawkins, zaprowadź go z powrotem i zamknij drzwi na klucz.

Rozległ się huk pioruna, który uderzył niedaleko w wodę. Max nie potrzebował niczego więcej. W jednej chwili rzucił się na korytarz i mocno pochwycił reling. Wycie

wiatru zagłuszyło krzyki za jego plecami.

Poczuł smak słonych kropli. Fala uderzyła go w twarz. Przymknął oczy, zastanawiając się gorączkowo nad możliwościami ucieczki. Niebo przecięła błyskawica, oświetlając czarną powierzchnię wody, odległe, groźne skały i zarys lądu na horyzoncie. Jacht znów się zakołysał, ale Max utrzymał się na nogach i gdy fala opadła, natychmiast rzucił się pędem przez śliski pokład. Następną błyskawica oświetliła sylwetkę marynarza, który z nierozumiałym okrzykiem zaczął biec w jego kierunku. Max obrócił się na pięcie i naraz usłyszał tuż przy swoim uchu:

- Doktorze!

Obrócił głowę i o półtora metra od siebie zobaczył srebrzysty wylot lufy pistoletu.

Cofnął się o krok i natrafił plecami na reling. To nie mogła być prawda. Przecież był zwykłym profesorem historii, nudnym naukowcem, który przez całe życie siedział zagrzebany po uszy w książkach, nie pamiętając, czy już jadł obiad i czy odebrał rzeczy z pralni.

Każdy dzień składał się z nudnej rutyny. To niemożliwe, żeby właśnie on znajdował się teraz na pokładzie jachtu płynącego przez Atlantyck, ścigany przez uzbrojonych bandytów.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli teraz wrócisz do swojej kabiny - powiedział

Caufield, wciąż trzymając go na muszce. - Ta burza nie potrwa długo, ale jest dość gwałtowna. Nie chciałbym, żebyś... wypadł za burtę.

- Jesteś złodziejem.

- Tak - uśmiechnął się Caufield, stojąc na pokładzie w rozkroku i kołysząc się miarowo. Wyraźnie bawiła go ta sytuacja. - Teraz przynajmniej będę mógł ci wyraźniej wytłumaczyć, czego masz szukać w tych papierach. Chodź, doktorku. Pójdziemy do twojej kajuty i pogimnastykujesz trochę umysł.

Kątem oka Max zauważył Hawkinsa, który podchodził do niego z drugiej strony.

Wiedział, że za chwilę już nie uda mu się wymknąć, i był pewien, że Caufield nigdy nie pozwoli mu wrócić do spokojnego życia na uniwersytecie.

W ostatniej chwili instynkt kazał mu rzucić się przez reling prosto do morza. Usłyszał grzmot, skroń zaczęła go piec i zanurzył się w czarnej kipieli.

Lilah zatrzymała samochód na końcu krętej drogi, u podnóża urwiska. Wiatr gwizdał jej w uszach. W dalszym ciągu nie wiedziała, co kazało jej tu przyjść i stać na kamieniach, twarzą w stronę morza.

Stała jednak, czując coraz większą euforię. Krew coraz szybciej płynęła w jej żyłach. Roześmiała się głośno. Wiatr poniósł echo jej śmiechu i rozbił o skały. Fale u podnóża urwiska opryskiwały ją zimnym prysznicem. Lilah przymknęła oczy i wystawiła twarz na uderzenia kropli.

Burza była już na wyciągnięcie ręki. Wiatr zawodził w dzikim, prymitywnym rytmie.

Powietrze miało zapach nadciągającego deszczu. Niebo przecięła błyskawica.

Gdyby nie ta błyskawica, pewnie by go nie zauważyła. W pierwszej chwili sądziła, że ciemny kształt unoszący się na wodzie to delfin, który za bardzo zbliżył się do skał. Po chwili jednak, w błysku paniki, uświadomiła sobie, że to nie delfin, ale człowiek. Gdy znów się ukazał w polu jej widzenia, zrzuciła z nóg sandały i wbiegła do lodowatej wody.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Biedactwo - użalała się ściszym głosem Coco, spowita w królewski szlafrok w kolorze głębokiej purpury. Stała przy wezglowiu łóżka i bystrym wzrokiem śledziła każdy ruch Liii, która bandażowała rozcięcie na skroni nieprzytomnego gościa. - Ciekawe, co mu się przydarzyło?

- Musimy poczekać, aż można go będzie o to zapytać - odrzekła Lilah, przypatrując się bladej twarzy na poduszce. Niewiele po trzydziestce. Bez opalenizny, chociaż był już

środek czerwca. Typ człowieka, który większość czasu spędza w zamkniętych pomieszczeniach. Muskulaturę miał jednak zupełnie przyzwoitą, a ciało, choć może zbyt chude, to jednak harmonijnie zbudowane. Lilah po wyciągnięciu z wody musiała go zataszczyć do samochodu i wiedziała, że nie był taki lekki, jak mogło się wydawać. Twarz miał szczupłą, pociągłą. Wyglądał na intelektualistę. Do tego miał ładne usta poety, niebieskie, teraz zamknięte oczy oraz dość długie, gęste, czarne i proste włosy, już prawie suche i pełne piasku.

- Zadzwoiłam po lekarza - powiedziała Amanda, wbiegając do sypialni. Spojrzała na twarz mężczyzny i niecierpliwie postukała palcami o wezłowie łóżka.

- Powiedział, że powinniśmy go zawieźć na pogotowie.

Lilah podniosła wzrok. Gdzieś niedaleko uderzył piorun i fala deszczu zadudniła o szyby.

- Chyba lepiej na razie nie ruszać go z domu.

- Ja też tak myślę - poparła ją Suzanna, stając po drugiej stronie łóżka. - A Lilah powinna wziąć gorącą kąpiel i też się położyć.

- Czuję się zupełnie dobrze - stwierdziła Lilah stanowczo. Siedziała przy łóżku owinięta w ciepły szlafrok, czując, jak spora dawka brandy przyjemnie rozgrzewa jej żołądek. Poza tym nie miała najmniejszej ochoty przekazywać swego podopiecznego w ręce żadnej z sióstr.

- Zupełna wariatka - stwierdziła C. C., masując jej kark. - Kto skacze do oceanu w samym środku sztormu?

- Tak, chyba trzeba było pozwolić, żeby się utopił - pokiwała głową Lilah. - Gdzie jest Trent?

Na myśl o swym nowo poślubionym mężu C. C. westchnęła.

- Obydwoj ze Sloanem sprawdzają zabezpieczenia na budowie. Bali się, że deszcz może wyrządzić jakieś szkody.

W Coco odezwały się macierzyńskie instynkty.

- Chyba ugotuję rosół - postanowiła, nie spuszczać oczu z mężczyzny na łóżku. -

Przyda się, gdy on oprzytomnieje.

Zaczynał już przytomnieć. Ściszone głosy kobiet docierały do niego jakby z oddali, mieszając się z majakami. Obrócił nieco głowę i poczuł miękki dotyk na czole. Powoli otworzył oczy. Powieki wciąż go piekły od słonej wody. Obraz, na początku rozmyty, po chwili nieco się wyostrzył.

Było ich pięć. Pięć pięknych kobiet. Po jednej stronie jego łóżka siedziała blondynka, która mogła być natchnieniem każdego poety. W jej oczach błyszczała troska. Dalej była wysoka, schludna szatynka. Emanowała jednocześnie współczuciem i zniecierpliwieniem. Sporo starsza od nich platynowowłosa kobieta rozpromieniła się, gdy pochwyciła jego wzrok. Zielonooka amazonka o kruczoczarnych włosach przechyliła głowę na bok i przesłała mu niepewny uśmiech.

Ostatnia była rudowłosa syrena owinięta białym szlafrokiem. Bujne loki opadały jej aż do pasa. Wspomnienie tych włosów i tej twarzy przyplłynęło do niego z głębi podświadomości. Musiał chyba wykonać jakiś gest świadczący o rozpoznaniu, bo syrena położyła dłoń na jego dłoni.

- Chyba jestem w niebie - wyszeptał z trudem.

- Warto było umrzeć.

Lilah ze śmiechem uścisnęła jego palce.

- To miło, że tak myślisz, ale jesteś w Maine. Żyjesz, tylko jesteś wyczerpany.

- Rosół - zagadnęła Coco, poprawiając mu koc. Pierwsze słowa przybysza sprawiły,



że, próżna jak zawsze, natychmiast poczuła do niego sympatię.

- Czy nie miałbyś ochoty na pyszny rosółek?

Perspektywa ciepłej zupy była zachwycająca.

- Tak - wykrztusił przez obolałe gardło. Lilah przytknęła do jego ust filiżankę ze słabą herbatą. Wypił kilka łyków i zapytał: - Kim jesteście?

- Rodziną Calhounów - wyjaśniła Amanda. - Witaj w Towers.

To nazwisko brzmiało znajomo, ale nie mógł sobie przypomnieć, z czym mu się kojarzy.

- Nie mam pojęcia, jak się tu znalazłem - przyznał.

- Lilah cię przywiozła - wyjaśniła C. C..

- Miałeś wypadek - przerwała jej rudowłosa syrena. - Ale teraz nie myśl o tym.

Powinieneś odpocząć.

To nie był wybór, lecz konieczność. Czuł, że znów odpływa w niebyt.

- Jesteś Lilah - powiedział sennym głosem i po chwili już spał.

- Jak się dzisiaj miewa ratowniczką?

Stojąca przy piecu Lilah obróciła się i spojrzała na Sloana, narzeczonego Amandy. Był tak wielki, że całkowicie wypełniał sobą futrynę, obezwładniająco męski, a przy tym zupełnie rozluźniony. Musiała się uśmiechnąć.

- Chyba zdobyłam kolejną sprawność.

Sloan podszedł bliżej i pocałował czubek jej głowy.

- Następnym razem zdobywaj raczej sprawność kuchcika. Nie chcielibyśmy cię stracić.

- Mam wrażenie, że jeden skok do morza w czasie sztormu wystarczy mi na całe życie

- westchnęła Lilah.

- A coś ty właściwie robiła na urwisku podczas burzy?

- Tak jakoś wyszło. - Wzruszyła ramionami i zajęła się herbatą. Na razie nie miała ochoty mówić nikomu, że na plażę wysiała ją nieznana siła.

- Dowiedziałaś się już, kim on jest?

- Jeszcze nie. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, a wczoraj wieczorem był w takim stanie, że nie chciałam go męczyć pytaniami. - Podniosła wzrok na twarz Sloana i potrząsnęła głową. - Daj spokój, on nie jest niebezpieczny. Gdyby chciał dostać się do domu po to, żeby szukać naszyjnika, to nie musiałby się w tym celu topić.

Sloan musiał przyznać jej rację, ale od czasu gdy włamywacz strzelał do Amandy, nie zamierzał godzić się na żadne ryzyko.

- Kimkolwiek jest, myślę, że lepiej byłoby odesłać go do szpitala.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - odrzekła Lilah, ustawiając filiżanki na tacy. - On jest w porządku, Sloan. Wierzysz mi?

- Wibracje? - zapytał, marszcząc czoło.

- Właśnie - zaśmiała się, odrzucając włosy do tyłu. - Nie mam żadnych wątpliwości. A teraz pozwól, że zaniosę panu nieznanemu śniadanie, A ty może wrócisz do rozwalania ścian w zachodnim skrzydle?

- Dzisiaj będziemy stawiać nowe ściany - wyjaśnił Sloan. Miał zaufanie do intuicji dziewczyny, toteż rozluźnił się trochę. - Nie spóźnisz się do pracy?

- Wzięłam sobie dzień wolny, żeby pobawić się we Florence Nightingate. A ty już idź bawić się w architekta.

Z tacą w rękach poszła korytarzem. Parter Towers składał się z labiryntu pokoi o spękany tynku. W czasach swej świetności był to elegancki letni dom z mahoniowymi boazeriami, kryształowymi klamkami i cennymi malowidłami na ścianach, zbudowany w

tysiąc dziewięćset czwartym roku przez Fergususa Calhouna jako symbol jego statusu społecznego. Teraz dach przeciekał w niezliczonych miejscach, instalacje sanitarne były w rozsypce, a tynk odpadał całymi płatami. Podobnie jak siostry, Lilah kochała każdy fragment wyszczerbionych sztukaterii. To był jej dom, jedyny jaki miała, pełen wspomnień o rodzicach, których straciła przed piętnastu laty.

Zatrzymała się na szczycie biegnących łukiem schodów. Z daleka dochodziły stłumione dźwięki młotów. W zachodnim skrzydle odbywał się remont. Sloan i Trent wspólnymi siłami chcieli doprowadzić część domu do dawnej świetności. Lilah bardzo się z tego cieszyła, a ponieważ dla niej samej ulubioną metodą spędzania wolnego czasu były drzemki, bardzo lubiła patrzeć na pracę innych.

Spał jeszcze, gdy weszła do pokoju. Przez całą noc nie obudził się ani razu. Wiedziała o tym, bo spędziła tę noc w nogach jego łóżka i z przerwami drzemała tam do samego rana.

Cicho postawiła tacę na sekretarzyku i otworzyła drzwi na taras. Do pokoju wpadło ciepłe, przesycone zapachami ogrodu powietrze. Lilah stanęła w progu. Słońce lśniło na wilgotnej trawie i różowych płatkach piwonii. Wielkie jak talerzyki, oślepiająco błękitne kwiaty powojnika zwieszały się z białych trejaży pospołu z pnącymi różami.

Taras otoczony był murkiem sięgającym pasa. Dalej widać było ciemnoniebieską zatokę i zieleńsze, bardziej niespokojne wody otwartego Atlantyku. W tej chwili trudno było uwierzyć, że poprzedniego wieczoru Lilah szamotała się w tej wodzie, usiłując wyciągnąć nieznanego mężczyznę na brzeg. Jednak mięśnie, nie przyzwyczajone do wysiłku, przypominały jej o wczorajszych lękach.

Wolała jednak skupić się na szczodrym, leniwym poranku. W oddali przepełniła mała łódź wypełniona turystami trzymającymi w rękach kamery. Płynęli oglądać wieloryby.

Był czerwiec. Przez całe lato do Bar Harbor ściągali rzesze turystów. Przyjeżdżali tu na zakupy, po to, by się opalać i żeglować. Wykupywali bułeczki z homarem, polowali na lody i podkoszulki, tłoczyli się na wszystkich ulicach. Dla nich było to miejsce letniego wypoczynku. Dla Liii był to dom.

Jeszcze przez chwilę patrzyła na trójmasztowiec wypływający na otwarte morze, a potem wróciła do pokoju.

Miał sen i po części zdawał sobie sprawę, że śni, ale mimo to mięśnie w jego ciele napięły się, a puls przyspieszył. Był sam w odmętach czarnego, wzburzonego morza i zbierał resztki sił, by pokonać kolejną nadciągającą falę. Woda wciągała go w głąb, w świat pozbawiony powietrza. Płuca go bolały, tętno dudniło w skroniach.

Był zupełnie zdezorientowany - pod sobą miał czarną wodę, nad sobą czarne niebo.

Ręce i nogi coraz bardziej mu drętwiały. Tonął. A potem pojawiła się ona: rude włosy pływały dokoła niej, dokoła białych piersi i smukłej talii. Oczy miała zielone i tajemnicze. Ze śmiechem w głosie wypowiedziała jego imię i powoli, jak tancerka, wyciągnęła do niego ramiona. Jej usta miały smak soli i seksu.

Obudził się z żalonym jękiem. W ramieniu czuł przeszywający ból, w głowie - tępy.

Myśli uciekały na wszystkie strony. Spróbował się skoncentrować, ignorując ból. Najpierw skupił wzrok na wysokim suficie pokrytym popękkanymi gipsowymi kasetonami. Poruszył się nieco i poczuł, że bolą go wszystkie mięśnie.

Pokój był ogromny, a może tylko wydawał się taki ze względu na skąpe umeblowanie.

Ale za to jakie to były meble! Ogromna stara szafa z misternie rzeźbionymi drzwiami.

Pojedyncze krzesło, bez wątpienia prawdziwy Ludwik XV. Zakurzony nocny stolik

Hepplewhite. Materac, na którym leżał, był zapadnięty, ale wezglowie łóżka było w stylu króla Jerzego.

Z wysiłkiem podniósł się na łokciu i zobaczył Lilę stojącą w otwartych drzwiach tarasu. Przełknął ślinę. A więc jednak nie była syreną zrodzoną z jego majaków. Miała nogi. I to jakie, dobry Boże. Aż po samą szyję. Ubrana była w kwieciste szorty i niebieską koszulkę.

- A więc obudziłeś się wreszcie - powiedziała, podchodząc do łóżka, i matczynym gestem przytknęła rękę do jego czoła. W ustach natychmiast mu zaschło. - Na szczęście nie masz gorączki.

- Mhm.

- Jesteś głodny? - zapytała z szerokim uśmiechem.

- Mhm - powtórzył z wysiłkiem, zastanawiając się, czy w jej obecności kiedykolwiek uda mu się powiedzieć coś więcej. - Masz na imię Lilah.

- Zgadza się - przytaknęła, stawiając tacę obok łóżka. - Zastanawiałam się, czy będziesz pamiętał cokolwiek z wczorajszego wieczoru.

Przeszył go ostry ból. Zazgrzytał zębami i powiedział dopiero po chwili:

- Pamiętam pięć pięknych kobiet. Myślałem, że jestem w niebie.

Zaśmiała się i ułożyła poduszki tak, by mógł się o nie oprzeć plecami.

- To byty moje trzy siostry i ciotka. Możesz usiąść?

Gdy jej ręka dotknęła jego pleców, uświadomił sobie, że jest zupełnie nagi.

- Ach.., - wymamrotał.

- Nie martw się, nie będę podglądać. Na razie - roześmiała się bez skrępowania. -

Twoje ubranie było zupełnie przemoczone. Koszuli chyba nie da się już uratować. Ale nie musisz się czuć zażenowany. Do łóżka położyli cię mój szwagier i przyszły szwagier.

Postawiła tacę na jego kolanach.

- Och - mruknął. Wygodniej było mu poprzestawać na pojedynczych sylabach.

- Spróbuj wypić trochę herbaty. Masz w sobie dobrych parę litrów słonej wody,

dlatego gardło cię boli. - Zatrzymała wzrok na jego twarzy i zauważyła dziwne napięcie w oczach. - Głowa też?

- Okropnie.

- Zaraz wrócę - powiedziała i zniknęła za drzwiami, pozostawiając za sobą smugę egzotycznego zapachu.

Max podczas jej nieobecności próbował zgromadzić wszystkie siły jakimi jeszcze dysponował. Nie znosił słabości, nie cierpiał chorować. Ta niechęć pozostała mu jeszcze z dzieciństwa. Był wątłym, astmatycznym chłopcem. Ojciec z rozczarowaniem doszedł w końcu do wniosku, że jego syn nie zostanie gwiazdą futbolu. Choroba znów przywiodła do niego wspomnienia z dzieciństwa. Wiedział, że to absurdalne, ale nic nie mógł na to poradzić. Ponieważ zawsze uważał, że umysł ma mocniejszy niż ciało, spróbował teraz go użyć, by złagodzić ból.

W chwilę później wróciła Lilah z aspiryną w ręku.

- Weź dwie tabletki. Po śniadaniu zawiozę cię do szpitala.

- Do szpitala?

- Trzeba, żeby lekarz cię obejrzał.

- Nie. Nie trzeba.

- Jak chcesz - powiedziała. Przysiadła na brzegu łóżka, przypatrując mu się uważnie i machając jedną nogą w rytm jakiejś wewnętrznej melodii.

Jeszcze nigdy w życiu Max nie czuł się tak podniecony w obecności kobiety. Odcień jej skóry, kształty ciała, oczy, usta - wszystko robiło na nim piorunujące wrażenie. Czuł się nieswojo. Poprzedniego dnia omal nie utonął, cudem uszedł z życiem, a teraz był w stanie myśleć tylko o tym, jak dostać w swe ręce kobietę, która go wyratowała. Ocaliła mu życie, upomniał siebie surowo.

- Jeszcze ci nie podziękowałem.

- Wiedziałaś, że kiedyś to zrobisz. Jedz te jajka, zanim wystygną. Musisz się wzmocnić.

Max posłusznie zaczął jeść.

- Czy możesz mi opowiedzieć, co się stało?

- Od chwili gdy ja się pojawiłam w akcji? - Odsunęła włosy z twarzy i usiadła wygodniej. - Pojechałam na plażę pod wpływem impulsu - przyznała, leniwie wzruszając ramionami. - Wcześniej patrzyłam z wieży, jak zbiera się na burzę.

- Z wieży?

- Tutaj, w domu. Naraz poczułam, że muszę zejść na dół, nad samo morze. I wtedy cię zobaczyłam. Potrzebowałeś pomocy, więc wskoczyłam do wody. Wzajemnie doholowaliśmy się do brzegu.

- Pamiętam. Potem mnie pocałowałaś. Usta Liii wygięły się w uśmiechu.

- Chyba oboje sobie na to zasłużyliśmy. - Lekko dotknęła siniaka na jego ramieniu. - Uderzyłeś się o skały. Skąd się wzięłaś w wodzie?

Max przymknął oczy, by uspokoić chaos w myślach. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu.

- Nie jestem pewien - przyznał.

- Dobrze, w takim razie może zaczniemy od czego innego. Jak się nazywasz?

Otworzył szeroko oczy i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Jak się nazywam? Nie wiesz tego?

- Jeszcze nie mieliśmy okazji poznać się oficjalnie - powiedziała, wyciągając do niego dłoń. - Jestem Lilah Calhoun.

Z ulgą podał jej rękę.

- Maxwell Quartermain.

- Napij się jeszcze herbaty, Max. Żeń - szeń dobrze ci zrobi. - Wzięła do ręki tubkę z maścią i zaczęła smarować siniec na jego ramieniu. - Czym się zajmujesz?

- Wykładałam historię w Cornell.

- Opowiedz mi o sobie. Skąd pochodzisz?

- Wychowałem się w Indianie...

Palce Liii przesunęły się na jego kark i zaczęły masować zeszywniałe mięśnie.

- Na farmie?

- Nie - westchnął. - Moi rodzice prowadzili sklep. Pomagałem im po lekcjach i w czasie wakacji.

- Lubiłeś to zajęcie?

Powieki coraz bardziej mu ciążyły.

- W miarę. Zostawało mi dużo czasu na naukę. Mojego ojca denerwowało to, że wiecznie siedziałem z nosem w książce. On tego nie rozumiał. Przeskoczyłem kilka klas i dostałem się na Cornell.

- Otrzymałeś stypendium? - domyśliła się.

- Mhm. Potem zrobiłem doktorat - ciągnął coraz bardziej niewyraźnym głosem. - Czy wiesz, ile ludzkość osiągnęła między rokiem tysiąc osiemset siedemdziesiątym a tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym?

- Mnóstwo.

- Ogromne mnóstwo - mówił już prawie przez sen. - Żałuję, że nie urodziłem się około roku tysiąc dziewięćset dziesiątego.

- Może się urodziłeś - odparła Lilah z rozbawieniem. - Śpij teraz, Max.

Gdy znów się obudził, był sam. Zauważył, że Lilah zostawiła obok łóżka karafkę z



wodą i aspirynę. Pomyślał o niej z wdzięcznością, przelatykając kolejne dwie tabletki.

Ta prosta czynność tak go wyczerpała, że oparł głowę na poduszce i przez dłuższą chwilę uspokajał oddech. Przez otwarte drzwi tarasu do pokoju wpadało jaskrawe światło słońca i świeże powietrze, przesycone zapachem morza. Stracił poczucie czasu. Miał ochotę znów przymknąć oczy i zapaść w drzemkę, i drugiej strony jednak musiał odzyskać kontrolę nad tym, co się działo.

Obok łóżka zobaczył swoje spodnie i cudzą koszulę, schludnie poskładane. Może Lilah potrafiła czytać w myślach. Podniósł się z łóżka jak starzec i uchylił drzwi w bocznej ścianie. Uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy zobaczył zabytkową wannę na metalowych łapach i chromowany prysznic.

Gdy odkręcił kran, rury zadudniły głośno. Obolałe ciało skurczyło się pod strugami wody, ale dziesięć minut później znów poczuł się żywy.

Wytarł się z niejakim trudem i przetaił ręką zaparowane lustro. Twarz pod dwudniowym zarostem miał bladą i ściągniętą. Spod bandaża na skroni wyłaniał się fioletowy siniak. Całe ciało miał kolorowe. Oczy, zbyt długo poddawane działaniu słonej wody, przybrały barwy flagi amerykańskiej: biało - czerwono - niebieskie. Nigdy nie uważał się za próżnego, ale teraz z niesmakiem odwrócił się od lustra i sięgnął po ubranie.

Koszula pasowała na niego całkiem nieźle. Prawdę mówiąc, lepiej niż większość jego własnych. Zakupy onieśmiały Maksa, a właściwie to onieśmiały go pewne siebie ekspedientki o niecierpliwych uśmiechach, toteż przeważnie zamawiał pocztą coś z katalogu i nosił, co mu przysłano.

Opuścił wzrok na swoje bosc stopy i pomyślał, że jednak będzie musiał wkrótce wybrać się na zakupy. Powoli wyszedł na taras. W pierwszej chwili oślepiło go słońce, ale wzrok szybko przywykł do jasności i Max poczuł, że z wrażenia zaparło mu dech. Widok z

tarasu był imponujący. Woda, skały i kwiaty, a wszystko w żywych barwach: szafir, szmaragd, rubinowe róże, biel żagli wzdymanych wiatrem. Nie było słychać żadnych innych dźwięków prócz szumu morza i odległego dzwonienia boi.

Max zaczął iść wzdłuż granitowej ściany tarasu, opierając się o nią jedną ręką.

Wkrótce napotkał schodki wiodące w górę i wspiał się na niepewnych nogach. Miał wrażenie, że znalazł się w innej epoce. Dom przypominał średniowieczny zamek strzegący szlaku handlowego, sprawiał wrażenie, jakby stał tu od stuleci. Ale na szczycie schodków rozległ się dźwięk zupełnie nie pasujący do sielankowej, średniowiecznej atmosfery. Był to dźwięk piły elektrycznej oraz rzucone męskim głosem przekleństwo. Po chwili Max usłyszał jeszcze stukanie młotków, muzykę z radia i hałas wiertarek. Po kilku krokach natrafił na stertę desek i piłę mechaniczną.

W drzwiach wiodących do wnętrza domu, takich samych jak drzwi jego sypialni, pojawił się wielki, rudowłosy mężczyzna o opalonej twarzy. Zerknął na Maksa i zatknął kciuki za szlufki spodni, - Widzę, że już jesteś na nogach - powitał go.

- Mniej więcej.

Rudy olbrzym wyciągnął do niego rękę.

- Sloan O'Riley - przedstawił się.

- Maxwell Quartermain.

- Tak, słyszałem. Lilah mówiła, że wykładasz historię. Jesteś na wakacjach?

Max zmarszczył brwi.

- Nie, chyba nie.

W jego oczach odbijało się zastanowienie i napięcie pomieszane z głęboką frustracją.

Twarz miał spoconą i widać było, że tylko ośli upór pozwala mu się utrzymać na nogach.

Podjęzliwość Sloana stopniowo malała.

- Chyba jeszcze nie doszedłeś całkiem do siebie - powiedział ze współczuciem.

- Chyba nie - mruknął Max, nieobecny ruchem dotykając bandaża na głowie. -

Byłem na łodzi... Pracowałem. - Ale nad czym? Tego nie mógł sobie przypomnieć. -

Nadchodziła burza, łódź mocno kołysała... Chciałem wyjść na pokład, na świeże powietrze...

- Reling, rozkołysany pokład. Panika. - Chyba wypadłem... Musiałem chyba wypaść za burtę...

- Ciekawe, że nikt tego nie zgłosił.

- Sloan, daj mu spokój. Czy on wygląda na międzynarodowego złodzieja

kosztowności? - zawołała Lilah, niespiesznie wchodząc na schodki. Za nią biegł czarny, krótkowłose pies. Zauważył Sloana, podskoczył i oparł przednie łapy o jego kolana.

- Ciekawa byłam, dokąd pójdziesz najpierw - powiedziała Lilah, patrząc uważnie na twarz Maksa.

- Wyglądasz już trochę lepiej. To Fred - dodała, wskazując na psa, który zajął się obwąchiwaniem jego bosych stóp. - Gryzie tylko przestępców.

- Och. To dobrze.

- Skoro już zyskałeś jego akceptację, to może zejdziesz na dół? Usiądziemy na słońcu i zjemy lunch.

Max uświadomił sobie, że bardzo pragnąłby już usiąść, więc posłusznie poszedł za dziewczyną.

- Czy to naprawdę jest twój dom?

- Bez wątplenia. Mój pradziadek zbudował go na początku wieku. Uważaj na Freda, -

Szczeniak wskoczył między nich, przydeptał sobie ucho i pisnął żałośnie. Max, który w

swoim życiu przechodził bardzo podobny okres, natychmiast poczuł do niego współczucie i

sympatię. - Zastanawiamy się, czy nie zapisać go do grupy baletowej - ciągnęła Lilah, ale na

widok zupełnego niezrozumienia na twarzy Maksa zaśmiała się i poklepała go po policzku. -

Chyba rzeczywiście rosół cioci Coco dobrze ci zrobi.

Posadziła go za stołem i przyniosła zupę. Jej macierzyńskie instynkty zwykle zarezerwowane były dla rodziny i małych ptaszków, ale w tym mężczyźnie było coś, co sprawiało, że miała ochotę opiekować się nim. Wydawał się zupełnie wyrwany ze swojego naturalnego środowiska i bezradny jak dziecko.

W jego niebieskich oczach kryła się jakaś tajemnica. Nie chodziło tylko o wyczerpanie, Lilah wyraźnie dostrzegała, że on walczy ze sobą o odzyskanie wewnętrznej równowagi.

Zupa z miejsca dodała mu sił.

- Wypadłem z łodzi - powiedział nagle.

- To by wszystko wyjaśniało.

- Ale nie wiem, co tam robiłem.

Lilah bez wysiłku usiadła w pozycji lotosu.

- Może byłeś na wakacjach?

- Nie - zmarszczył brwi. - Ja nigdy nie wyjeżdżałem na wakacje.

- Dlaczego? - zdziwiła się, sięgając po krakersa. Na palcach miała trzy błyszczące pierścionki.

- Pracowałem.

- Szkoły są teraz zamknięte - mruknęła, przeciągając się.

- Zwykle uczyłem na letnich kursach. Ale teraz... Coś powoli wylaniało się z mroków niepamięci. W tym roku zamierzałem robić coś innego. Jakiś projekt badawczy. I chciałem zacząć pisać książkę.

- Naprawdę? O czym?

Max nagle oprzytomniał. Nigdy nikomu nie wspominał o swoich planach pisarskich.

Nikt z jego znajomych nie uwierzyłby, że pracowity, obowiązkowy, solidny Quartermain marzy o napisaniu powieści.

- Myślałem o tym już od jakiegoś czasu, a teraz nadarzyła się okazja, by popracować nad tym projektem... chodziło o historię rodziny.

- W takim razie to było coś akurat dla ciebie. Ja byłem kiepską studentką - przyznała Lilah z uśmiechem. - Leniwą. Nie potrafię zrozumieć, jak ktokolwiek może marzyć o zrobieniu kariery w sali wykładowej. Lubisz to zajęcie?

- Jestem w tym dobry - przyznał Max. I tak rzeczywiście było. Jego studenci czegoś się uczyli - jedni więcej, inni mniej. Przychodzili na jego wykłady i cenili je sobie.

- To nie to samo. Czy mogę zobaczyć twoją rękę?

- Co takiego? - zdziwił się.

- Rękę - powtórzyła i sama sięgnęła po jego dłoń, obracając ją wnętrzem do góry. -

Hm.

- Co ty robisz?

- Patrzę na twoje linie papilarne. Masz więcej inteligencji niż intuicji. Albo może po prostu bardziej ufasz rozsądkowi niż instynktom.

Max zaśmiał się nerwowo.

- Chyba nie wierzysz w takie rzeczy. To znaczy, w czytanie z dłoni.

- Oczywiście, że tak. Ale nie chodzi tylko o linie. Ważne jest wrażenie. - Jej uśmiech był jednocześnie leniwy i elektryzujący. - Masz ładne ręce. Popatrz tutaj. ~ Przełknął ślinę, gdy przesunęła palcem wzdłuż jednej z linii. - Masz przed sobą długie życie, ale widzisz tę przerwę? Otarcie się o śmierć.

- Wymyślasz to wszystko.

- To twoje linie - przypomniała mu. - Duża wyobraźnia. Myślę, że napiszesz tę książkę, ale musisz popracować nad wiarą w siebie.

Znów podniosła wzrok, tym razem z cieniem współczucia.

- Trudne dzieciństwo?

- Tak.,, nie - odchrząknął ze skrępowaniem. - Chyba nie bardziej niż każde inne.

Lilah uniosła brwi, ale nie komentowała tego.

- No cóż, teraz już jesteś dorosły. Widzisz, ta linia odpowiada za karierę, i tu odchodzi od niej odnoga. Twoje życie zawodowe jest bardzo wygodne - wydeptałeś sobie równą ścieżkę - ale ta druga linia nie daje ci spokoju. To może być ta książka. Będziesz musiał dokonać wyboru.

- Naprawdę myślę, że...

- Oczywiście, że tak. Myślałeś o tym już od lat. A tutaj jest wzgórek Wenus. Hm, Jesteś bardzo zmysłowym mężczyzną. I oddanym kochankiem.

Nie mógł oderwać wzroku od jej ust. Były pełne, bez szminki, kusząco wygięte. Ich pocałunek musiał przypominać erotyczny sen, z którego mężczyzna pragnąłby się nigdy nie obudzić.

Lilah poczuła się nieswojo. W atmosferze pojawiło się coś dziwnego. To na pewno przez sposób, w jaki Max na nią patrzył: jakby była jedyną kobietą na świecie. Po raz pierwszy w życiu obecność mężczyzny odbierała jej swobodę. Zwykle to ona kontrolowała sytuację i nadawała ton. Od dnia, w którym zrozumiała, że chłopcy różnią się od dziewczynek, używała swej władzy nad nimi, by prowadzić ich takimi ścieżkami, jakie jej odpowiadały.

Tymczasem Max wytrącał ją z równowagi jednym spojrzeniem.

Puściła jego rękę, ale ku jej zdziwieniu on mocno pochwycił jej przegub.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem i powiedział powoli.

To był banal, a jednak serce podskoczyło jej w piersi. Zmusiła się do uśmiechu.

- Chyba nieczęsto wychodzisz z domu, profesorze?

W jego oczach błysnęła irytacja. Nie był typem Casanovy, ale też nie tak łatwo było go osadzić w miejscu.

- To, co powiedziałem, to zwykle stwierdzenie faktu. A teraz chyba powinienem położyć ci monetę na dłoni, ale jestem bez grosza.

- Czytanie z ręki jest za darmo dla gości - uśmiechnęła się. - Gdy już poczujesz się trochę lepiej, zabiorę cię na wycieczkę do nawiedzanej wieży.

- Nie mogę się doczekać - rzucił sucho. Lilah roześmiała się na głos.

- Mam wrażenie, Max, że potrafisz być znakomitym kompanem, gdy zapomnisz o tym, że powinieneś być spięty i refleksyjny. A teraz idę na dół, żebyś mógł odpocząć. Bądź grzeczny i prześpij się trochę.

Był słaby, ale to jej jeszcze nie upoważniało, by go traktować jak chłopca. Podniósł się równocześnie z nią. Zaskoczył ją tym. Zauważyła, że kolory zaczynają wracać na jego twarz.

- Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy jesteś z kimś związana?

Uniosła brwi, odrzucając włosy na plecy.

- W jaki sposób?

- Lilah, to jest proste pytanie i proszę cię o prostą odpowiedź - powiedział belferskim tonem.

- Jeśli chodzi ci o to, czy jestem związana z jakimś mężczyzną emocjonalnie lub seksualnie, to odpowiedź brzmi: nie. Przynajmniej teraz.

- To dobrze.

- Posłuchaj, profesorze. Wyciągnęłam cię z wody. I wydaje mi się, że jesteś na tyle inteligentny, by zrozumieć, że zachodzi tu pewne przeniesienie emocji na osobę, która cię uratowała.

Tym razem to on się uśmiechnął.

- Przeniesienie? W jaki sposób?

- Powiedzmy, mylenie wdzięczności z namiętnością.

- Masz rację. Potrafię je odróżnić, szczególnie gdy czuję jedno i drugie jednocześnie - odrzekł, sam zdziwiony własnymi słowami. Może były to jeszcze skutki ekstremalnego doświadczenia. Może nie odzyskał jeszcze w pełni władz umysłowych.

Przez chwilę miał wrażenie, że Lilah ma ochotę uderzyć go w twarz, ale zaraz roześmiała się głośno.

- Przypuszczam, że było to kolejne stwierdzenie faktu. Jesteś interesującym mężczyzną, Max.

A poza tym nieszkodliwym, pomyślała, zabierając tacę. W każdym razie miała taką nadzieję.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Pieniądze z konta Maksa w Ithaca miały lada moment nadejść przekazem telegraficznym, Calhounowie nie chcieli jednak się zgodzić, by przeniósł się do hotelu. Prawdę mówiąc, nie upierał się przy tym za bardzo. Nigdy wcześniej nikt tak się nim nie opiekował ani o niego nie troszczył. Nigdy jeszcze nie czuł się częścią wielkiej, hałaśliwej rodziny. Traktowali go ze swobodną gościnnością, która miała w sobie wiele wdzięku i której nie sposób było się oprzeć.



W miarę jak coraz lepiej ich poznawał, coraz bardziej podobały mu się ich różnicowane osobowości i rodzinna jedność. W tym domu wiecznie coś się działo i każdy ciągle miał coś do powiedzenia. Max był jedynakiem i wychował się w domu, gdzie zamiłowanie do książek uznawano za wadę, toteż czuł się jak w raju wśród ludzi, którzy cenili własne i cudze zainteresowania.

C. C. była mechanikiem samochodowym, ciągle mówiła o silnikach i promieniowała szczęściem młodej mężatki. Amanda, konkretna i dobrze zorganizowana, pracowała jako asystentka menedżera w pobliskim hotelu. Suzanna prowadziła firmę zajmującą się architekturą zieleni i wychowywała dwójkę dzieci. Nikt nie wspominał o ich ojcu. Coco prowadziła dom, gotowała znakomite posiłki i lubiła męskie towarzystwo. Tylko raz wprawiała Maksa w zdenerwowanie, gdy zagroziła, że powróży mu z fusów od herbaty. Z kolei Lilah pracowała jako botanik w Parku Narodowym Acadia. Lubiała długie drzemki, muzykę klasyczną i wyrafinowane desery swojej ciotki. Gdy nachodził ją odpowiedni nastrój, siadywała wygodnie rozciągnięta na fotelu i wypytywała go o drobne szczegóły z jego życia. Potrafiła również leżeć na słońcu zwinięta w kłębek jak kot, śniąc na jawie i nie zdradzając nikomu swoich myśli. Potem uśmiechała się, przeciągała i znów otaczała się towarzystwem.

Była dla niego zagadką. Widział w niej dziwną kombinację czystej zmysłowości i absolutnej niewinności, brutalnej otwartości i samotności nie do przełamania.

Po trzech dniach Max odzyskał siły i wiedział, że powinien opuścić Towers, kupić bilet w jedną stronę do Nowego Jorku i poszukać sobie jakiejś pracy na wakacje jako wykładowca. Ale nie miał ochoty słuchać zdrowego rozsądku. To były jego pierwsze prawdziwe wakacje i aczkolwiek przymusowe, bardzo mu się podobały. Lubił budzić się rano, słysząc szum morza i czując jego zapach. Na szczęście wypadek nie spowodował żadnej

fobii ani lęku przed wodą. Czuł się bardzo rozluźniony, gdy stał na tarasie i patrzył w szmaragdową wodę, na majaczące na horyzoncie wyspy.

Ramię od czasu do czasu dawało jeszcze znać o sobie, ale wówczas siadywał na słońcu i wygrzewał

się jak kot. Miał czas na czytanie książek. Godzina, czy nawet dwie, spędzone w cieniu z powieścią albo biografią wyciągniętą z biblioteki Calhounów, stanowiły dodatkową przyjemność.

Jego dotychczasowe życie składało się z planów zajęć i nie było w nim miejsca na bezczynność. Tutaj, w Towers, gdzie wszędzie słyhać było szepty przeszłości, pęd terażniejszości i nadzieję na przyszłość, Max czuł się zawieszony poza czasem.

A poza tym jego fascynacja Lila stawała się coraz większa.

Lilah pojawiała się i znikwała. Rankiem wychodziła do pracy w schludnym mundurze parku narodowego, z włosami splecionymi w skromny warkocz. Gdy wracała do domu, przebierała się w powiewną spódnicę albo seksowne szorty. Uśmiechała się do niego, rozmawiała z nim, ale przez cały czas zachowywała lekki dystans.

Max wypełniał czas, bazgrząc coś w notesie albo bawiąc się z dziećmi Suzanny, Aleksem i Jenny, które zaczynały już zdradzać symptomy wakacyjnej nudy. Spacerował po ogrodzie albo po urwisku, dotrzymywał Coco towarzystwa w kuchni albo obserwował pracę robotników w zachodnim skrzydle.

Mógł robić, co tylko chciał, i to było najbardziej niezwykle.

Siedział teraz na trawniku, mając po jednej stronie Aleksa, a po drugiej Jenny. Słońce przeglądało zza srebrzystych chmur, wietrzyk niósł zapach lawendy i rozmarynu z ogrodu ziołowego, motyle tańczyły na trawie, a Fred usiłował je dogonić. Gdzieś w pobliżu, na gałęzi starego dębu, śpiewał ptak. Max opowiadał

dzieciom historię o chłopcu pochwyconym w wir wojny o niepodległość. Przeplatając fałdy z fikcją, zabawiał dzieci, a jednocześnie dawał upust swojemu zamiłowaniu do snucia opowieści.

- Założę się, że zabił całe mnóstwo tych brudnych Czerwonych Kurtek! - zawołał Alex z entuzjazmem. W wieku sześciu lat odznaczał się żywą i gwałtowną wyobraźnią.

- Całe mnóstwo - zgodziła się Jenny. Była o rok młodsza od brata i ze wszystkich sił starała się nie zostawać w tyle. - Sam jeden!

- Rewolucja nie polegała tylko na walce na strzelby i bagnety - uśmiechnął się Max i z rozbawieniem zauważył rozczarowanie na twarzach dzieci. - Wiele bitew wygrano dzięki intrygom i szpiegostwu.

Alex przez chwilę zastanawiał się nad dziwnie brzmiącymi słowami, po czym rozpromienił się ze zrozumieniem:

- Szpiedzy?

- Szpiedzy - przytaknął Max i żartobliwie potargał włosy chłopca. Ponieważ sam w dzieciństwie tęsknił do bliskiej więzi z ojcem, rozumiał tę potrzebę u malca.

Z pomocą nastoletniego bohatera swej opowieści przeprowadził dzieci przez mowy Patricka Henry'ego, Synów Wolności Samuela Adamsa, zawziętości polityki i cele rewolucjonistów, którzy zorganizowali bostońską herbatkę. Gdy jego bohater wrzucał skrzynki z herbatą do płytkiej wody Zatoki Bostońskiej, na trawniku pojawiła się Lilah. Szła przez trawę z leniwym, cygańskim wdziękiem. Wokół jej nóg powiewała przejrzysta szyfonowa spódnica. Włosy miała rozpuszczone, a stopy bose. Na jej ramionach dźwięczały tuziny cieniutkich bransoletek.

Fred natychmiast rzucił się w jej stronę, podskakując i popiskując. Lilah ze śmiechem

pochyliła się, by pogłaskać psa.

- Czy to zamknięta impreza? - zapytała, prostując się.

- Max opowiada nam historię - wyjaśniła Jenny.

- Lubię słuchać historii - stwierdziła Lilah, siadając na trawie.

Jenny przeniosła wzrok na twarz Maksa.

- Jej też opowiedz - poprosiła.

- Tak - powtórzyła Lilah z rozbawieniem. - Mnie też opowiedz.

Ich oczy spotkały się. Ona doskonale zdaje sobie sprawę, jaki wpływ wywiera na mężczyzn, pomyślał Max.

- Ehm... o czym to ja mówiłem? - zająknął się.

- Jim miał całą twarz wysmarowaną spalonym korkiem i wrzucał herbatę do wody - przypomniał mu Alex. - Jeszcze nikogo nie zastrzelili.

- Racja - pokiwał głową Max i podjął wątek. Z naturalną łatwością, którą uważał za niezmiernie istotną w procesie nauczania, stopniował napięcie, subtelnie rysował charaktery i opisywał wydarzenia historyczne w taki sposób, że Lilah zaczęła na niego patrzeć z nowym zainteresowaniem i szacunkiem.

Choć opowieść zakończyła się bez jednego wystrzału, w chwili gdy buntownicy zwyciężyli Brytyjczyków, nawet spragniony krwi Alex nie czuł się rozczarowany.

- Wygrali! - zawołał, podskakując na trawie.

Jestem Synem Wolności, a ty jesteś Czerwoną Kurtką! - rzekł stanowczo do siostry.

Na te słowa Jenny również poderwała się na nogi.

- Żadnych podatków bez odnowy! - wrzasnął chłopak i popędził w stronę domu. Jenny i Fred natychmiast pobiegli za nim.

- Mniej więcej o to chodziło - mruknął Max.

- Bardzo sprytnie, profesorze - pochwaliła Lilah, spoglądając na niego spod wpeł przymkniętych powiek. - Historia w twoim wydaniu jest bardzo zajmująca.

- Bo taka jest. To nie tylko daty i nazwiska, ale przede wszystkim ludzie.

- Gdy ja chodziłam do szkoły, trzeba było po prostu wiedzieć, co się zdarzyło w tysiąc sześćdziesiątym szóstym roku. Na tej samej zasadzie, na jakiej trzeba się było nauczyć na pamięć tabliczki mnożenia. Nadal nie pamiętam mnożenia przez dwanaście i nie wiem, co się stało w tysiąc sześćdziesiątym szóstym roku, chyba że to właśnie wtedy Hannibal przeprowadził słonie przez Alpy?

- Niezupełnie - uśmiechnął się Max.

- No widzisz? - Wyciągnęła się na trawie zręcznie jak kot i odrzuciła głowę do tyłu. - A zanim nauczyciel dotarł do Kongresu Kontynentalnego, ja zawsze już spałam.

Max powoli wypuścił oddech.

- Mogę ci udzielić korepetycji. Lilah rozchyliła powieki.

- Możesz już wyjść z klasy. A co wiesz o florze i faunie?

- Potrafię odróżnić królika od petunii.

Usiadła i pochyliła się w jego stronę.

- Bardzo dobrze, profesorze. Gdy będę miała odpowiedni nastrój, to możemy powymieniać się doświadczeniami.

- Możemy.

Był bardzo przystojny, gdy tak siedział na trawie w pożyczonych dżinsach i bawełnianej koszulce, z włosami opadającymi na czoło. Na jego twarzy pojawiły się już pierwsze ślady opalenizny. Lilah poczuła, że nie ma żadnych podstaw do niepokoju. Był to po prostu miły mężczyzna, wcześniej nieco oszołomiony okolicznościami, które sprawiły, że wzbudził w niej sympatię i zaciekawienie. Aby sobie to udowodnić, przyłożyła rękę do jego

policzka i pocałowała go lekko.

Max zauważył w jej oczach rozbawienie i otoczył dłonią jej przegub.

- Tym razem nie jestem już na wpół żywy - powiedział ostrzegawczo.

W pierwszej chwili w jej oczach odbiło się zdziwienie, a zaraz potem obojętna akceptacja. Nic z tego, pomyślał, kładąc dłoń na jej karku. Była zbyt pewna, że nic między nimi nie może zaistnieć. Przycisnął usta do jej ust z mieszaniną paniki i zranionej ambicji. Lilah lubiła się całować. Był to wyraz ciepłych uczuć, a poza tym dostarczał przyjemności fizycznej, i lubiła Maksa. Dlatego nie stawiała oporu. Oczekiwała kojącego ciepła, nic jednak nie przygotowało jej na elektryczny wstrząs.

Ten pocałunek poraził ją od stóp po koniuszki palców u rąk. Usta Maksa były gładkie i stanowcze, zasypywały ją gradem wrażeń. Uświadomiła sobie, że to coś więcej niż tylko czysto fizyczna przyjemność. Oczarowana, podniosła rękę z trawy i wsunęła ją w jego włosy. Max miał wrażenie, że znów tonie, ale tym razem nawet nie próbował walczyć o życie. Erotyzm Lii był wręcz nieprzyzwoity i nieposkromiony. Jeszcze nigdy nie spotkał takiej kobiety. Znów przyszło mu na myśl porównanie do syreny na skale, czeszącej długie włosy i kuszącej mężczyzn obietnicami niebiańskich rozkoszy, by następnie poprowadzić ich do zagłady.

W końcu instynkt przetrwania kazał mu się odsunąć od jej twarzy. Lilah pozostała jeszcze przez chwilę w tej samej pozycji, z przymkniętymi oczami i rozchylonymi ustami. Dopiero teraz Max uświadomił sobie, że wciąż otacza palcami jej przegub. Czul pod skórą mocne, nierówne tętno.

Powoli wyrwała się z oszołomienia i wreszcie otworzyła oczy.

- No, no, doktorze Quartermain, zdaje się, że historia nie jest jedyną dziedziną, w której jesteś dobry. Może przerobimy jeszcze jedną lekcję? - zapytała z uśmiechem.

Max zerwał się jak oparzony. Miał wrażenie, że ziemia chwieje mu się pod nogami jak pokład jachtu.

- Myślę, że jedna na dzisiaj wystarczy.

- Dlaczego? - zapytała Lilah z zaciekawieniem, odrzucając włosy z twarzy.

- Bo... - Bo gdyby pocałował ją jeszcze raz, to musiałby dotknąć jej ciała, a gdyby dotknął jej ciała, to musiałby się z nią kochać tutaj, pośrodku trawnika, na wprost okien domu. - Bo nie chcę cię wykorzystywać.

- Wykorzystywać? - uśmiechnęła się, jednocześnie poruszona i rozbawiona. - To bardzo miłe z twojej strony.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś nie traktowała mnie jak głupca - odrzekł suchym tonem.

- Czy tak to zabrzmiało? - zdziwiła się. - To, że jesteś miły, Max, nie oznacza jeszcze, że jesteś głupi. Po prostu większość mężczyzn, których znam, wykorzystałaby mnie z największą radością. Coś ci powiem, zanim się na mnie obrazisz. Może wejdziemy do domu? Pokażę ci wieżę Bianki.

Max już zdążył się poczuć urażony i miał zamiar jej to powiedzieć, ale jej ostatnie słowa poruszyły coś w jego umyśle.

- Wieża Bianki? - powtórzył powoli.

- Tak. Chciałabym, żebyś ją zobaczył.

Max nie poruszał się. Patrzył na nią ze zmarszczonym czołem, usiłując sobie przypomnieć, z czym kojarzy mu się imię „Bianca”. W końcu potrząsnął głową i wyciągnął rękę do Lili.

- Dobrze, chodźmy.

Widział już część domu, labirynt pokoi, pustych lub zastawionych starymi meblami i

podłami. Z zewnątrz budynek przypominał po części fortecę, po części arystokratyczną rezydencję. Miał błyszczące szyby w oknach, pełne uroku ganki połączone ze sterczącymi wieżyczkami i galeryjkami. Wewnątrz był to chaotyczny labirynt mrocznych korytarzy, skąpanych w słońcu pokoi, zniszczonych podłóg i wyslizganych poręczy schodowych. Dom zdążył już rzucić swój czar na Maksa.

Lilah poprowadziła go krętymi schodami do drzwi na samym szczycie wschodniego skrzydła.

- Możesz je pchnąć? - zapytała. Max wyteżył wszystkie siły i pchnął drzwi zdrowym ramieniem.

Ciągle zapominam poprosić Sloana, żeby je naprawił.

Wzięła go za rękę i wprowadziła do środka. Znaleźli się w dużym, okrągłym pomieszczeniu. Ze wszystkich stron otaczały ich łukowate okna. Na podłodze leżała warstwa kurzu, ale ktoś rzucił kilka kolorowych poduszek na parapet jednego z okien. Obok stała stara lampa z poplamionym abażurem.

- Wyobrażam sobie, że miała kiedyś w tym pokoju piękne rzeczy - powiedziała Lilah.

- Żeby nie czuć się samotnie. Przychodziła tu wieczorami, żeby pomyśleć.

- Kto?

- Bianca. Moja prababcia. Chodź, popatrz na ten widok.

Pociągnęła go do okna. Widać stąd było tylko skały i wodę. Max poczuł jednocześnie wielkie uniesienie i smutek. Położył rękę na szybie. Lilah zerknęła na niego ze zdziwieniem. Robiła to samo niezliczoną ilość razy, jakby próbując dotknąć czegoś odległego.

- Ten widok jest... smutny - stwierdził Max nieoczekiwanie dla siebie samego. Chciał raczej powiedzieć: piękny albo zapierający dech w piersiach.

- Tak, ale czasem niesie dziwną pociechę. Zawsze, gdy tu jestem, czuję bliskość



Bianki.

Bianca. To imię nie przestawało dręczyć jego pamięci.

- Czy ciocia Coco opowiadała ci już całą historię?

- Nie, a jest jakaś historia?

Lilah spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Zastanawiałam się tylko, czy opowiedziała ci wersję przeznaczoną dla Calhounów, czy dla prasy.

Max poczuł lekkie pulsowanie w skroni.

- Nie znam żadnej.

- Bianca rzuciła się z okna tej wieży pod koniec lata roku tysiąc dziewięćset trzynastego, Ale jej duch tu pozostał.

- Dlaczego to zrobiła?

- To długa historia - westchnęła Lilah i usiadła wygodnie na parapecie, opierając brodę na kolanach.

Max wysłuchał opowieści o nieszczęśliwej żonie uwięzionej w małżeństwie bez miłości w latach przed pierwszą wojną światową, Bianca wyszła za mąż za Ferula Calhouna, bogatego finansistę, i urodziła mu troje dzieci. Podczas wakacji spędzanych na wyspie Mount Desert poznała młodego artystę. Ze starego kalendarza, który odnalazły siostry Calhoun, wynikało, że na imię miał Christian, ale to było wszystko, co o nim wiedziały. Reszta była tylko legendą przekazaną dzieciom Bianki przez zaufaną nianię.

Młody artysta i nieszczęśliwa żona pokochali się głęboko. Rozdarta między obowiązkiem a głosem serca Bianca w końcu zdecydowała się opuścić męża. Spakowała kilka należących do niej przedmiotów, zwanych później skarbem Bianki, i gdzieś je ukryła. Wśród tych przedmiotów był szmaragdowy naszyjnik, który dostała od męża po urodzeniu

drugiego dziecka, a pierwszego syna, dziadka Liii. Nie odeszła

jednak do kochanka, lecz rzuciła się w dół z okna wieży. Szmaragdów nigdy nie odnaleziono.

- Poznałyśmy tę historię dopiero kilka miesięcy temu - dodała Lilah. - Chociaż ja widziałam wcześniej te szmaragdy.

Max poczuł wirowanie w głowie i przycisnął palce do skroni.

- Widziałaś je?

- We śnie - wyjaśniła z uśmiechem. - A potem podczas seansu spirytystycznego...

- Podczas seansu - powtórzył Max słabym głosem.

- Właśnie tak - zaśmiała się dziewczyna i poklepała go po dłoni. - Urządziliśmy seans spirytystyczny i C. C. miała wizję.

Z ust Maksa wyrwał się dziwny dźwięk. Lilah znów Wybuchnęła śmiechem.

- Szkoda, że cię tam nie było. W każdym razie C. C. zobaczyła naszyjnik i wtedy ciocia Coco uznała, że nadszedł odpowiedni moment, by przekazać nam legendę Calhounów.

Dalej opowiem ci w skrócie. Trent zakochał się w C. C. i zrezygnował z kupna Towers.

Miałyśmy poważne kłopoty finansowe i niewiele brakowało, a musiałybyśmy sprzedać dom.

Trent wymyślił, że można zamienić zachodnie skrzydło w hotel pod szyldem sieci St. James.

Znasz hotele St. James?

Trenton St. James, pomyślał Max, Szwagier Lili był właścicielem jednej z

największych sieci hoteli w kraju.

- Ze słyszenia - odrzekł.

- Potem Trent zatrudnił Sloana do nadzoru nad

renowacją, a Sloan zakochał się w Amandzie. Wszystko ułożyło się najlepiej, jak

mogło. Udało nam się zatrzymać dom i połączyć to z interesami, a poza tym pozyskałyśmy

dla rodziny dwóch mężczyzn. Minusem sytuacji było jednak to, że historia naszyjnika wy dostała się na zewnątrz i zaczęli nas prześladować poszukiwacze skarbów oraz złodzieje. Za ledwie parę tygodni temu jakiś bandyta omal nie zabił Amandy. Udało mu się ukraść część papierów, które przeglądałyśmy, szukając jakichś śladów istnienia naszyjnika.

- Papiery - powtórzył Max, czując, że zbiera mu się na mdłości. Pamięć wracała mu z taką siłą, że miał wrażenie, że fala znów cisnęła nim o skały. Calhoun, szmaragdy, Bianca.

- Co ci się stało, Max? - zapytała Lilah z troską, kładąc rękę na jego czole. - Jesteś blady jak ściana. Już dawno powinieneś odpocząć. Zejdźmy na dół, musisz się położyć.

- Nie, czuję się dobrze. To nic takiego - rzucił niecierpliwie i zaczął chodzić od ściany do ściany. Jak miał jej to powiedzieć? Jak mógł jej to powiedzieć, po tym, gdy ona uratowała mu życie i opiekowała się nim? Po tym, jak ją całował? Calhounowie otworzyli przed nim gościnne progi swego domu, bez żadnego wahania, nie pytając o nic. Zaufali mu. Jak miał powiedzieć Liii, że, aczkolwiek nieświadomie, pracował dla ludzi, którzy chcieli ją okraść? A jednak musiał to zrobić.

- Lilah... - Odwrócił się i spojrzał na nią. Patrzyła na niego z troską, lecz również z czujnością w oczach. - Łódź. Przypomniałem sobie łódź.

Uśmiechnęła się z ulgą.

- To dobrze. Byłam pewna, że wszystko sobie przypomnisz, jeśli tylko przestaniesz się o to martwić. Może usiądziesz, Max?

- Nie - odrzekł ostro. - Łódź... i człowieka, który mnie wynajął. Nazywał się Caufield. Ellis Caufield.

- I co?

- Czy to nazwisko nic ci nie mówi?

- Nie, a powinno?

Może się jednak mylił. Może rodzinna legenda zlała się w jedno z jego chaotycznymi wspomnieniami.

- Metr osiemdziesiąt wzrostu, bardzo szczupły. Około czterdziestki. Włosy ciemnoblonde, siwiejące na skroniach.

- No dobrze.

Max westchnął z frustracją.

Skontaktował się ze mną w Cornell jakiś miesiąc temu i zaproponował mi pracę.

Chciał, żebym przejrzał i skatalogował rodzinne papiery. Miałem dostać hojne wynagrodzenie i spędzić kilka tygodni na jachcie. Do tego pokrywał moje wydatki i zapewniał mi czas na pisanie książki.

A ponieważ nie jesteś upośledzony na umyśle, to zapewne przyjąłeś jego ofertę.

Tak, ale te papiery - Lilah, to były rachunki, listy, notatki. Na wszystkich było twoje nazwisko.

Moje?

Calhoun - powiedział Max, wbijając pięści

w kieszenie. - Nie rozumiesz? Zostałem wynajęty

i przez tydzień siedziałem na jachcie, odtwarzając

historię twojej rodziny z papierów, które wam ukradziono!

Lilah nie powiedziała ani słowa. Dopiero po dłuższej chwili zeszła z parapetu i

zapytała:

- Chcesz powiedzieć, że pracowałeś dla człowieka, który próbował zabić moją siostrę?

- Tak.

Nie odrywała wzroku od jego oczu. Niemal fizycznie czuł, że ona próbuje przeniknąć jego myśli.

- Dlaczego teraz mi to mówisz? - zapytała w końcu chłodnym, opanowanym głosem.

Max przesunął ręką po włosach.

- Bo dopiero teraz wszystko sobie przypomniałem. Gdy opowiedziałas mi o szmaragdach.

- To dziwne, prawda?

Skinął głową, patrząc na jej nieprzeniknioną twarz.

- Przypuszczam, że mi nie uwierzysz, ale wcześniej tego nie pamiętałem. A gdy przyjmowałem tę pracę, nie miałem pojęcia, co się za tym kryje.

Lilah chłoneła każde jego słowo, każdy gest.

- Wydaje mi się dziwne, że nie słyszałeś wcześniej o naszyjniku ani o kradzieży. Prasa rozpisywała się o tym od wielu tygodni. Trzeba było chyba mieszkać w jaskini, żeby o niczym nie słyszeć.

- Albo w sali wykładowej - mruknął i skrzywił się boleśnie, przypominając sobie, co powiedział mu Caufield: że więcej ma inteligencji niż rozumu, - Posłuchaj , zanim wyjadę, powiem ci wszystko, co wiem.

- Wyjedziesz?

- Nie wyobrażam sobie, żeby teraz ktokolwiek z twojej rodziny chciał mnie tu jeszcze widzieć.

Lilah wciąż na niego patrzyła. Instykt walczył w niej ze zdrowym rozsądkiem. W końcu westchnęła i podniosła rękę do góry.

Myślę, że powinieneś opowiedzieć tę historię całej rodzinie. Wszystkim naraz. A potem zdecydujemy, co z tym zrobić.

Dla Maksa było to pierwsze w życiu zebranie rodzinne. Wychował się w demokracji, ale pod bezkompromisową dyktaturą ojca. W rodzinie Calhounów wszystko odbywało się

zupełnie inaczej. Zebrali się w jadalni, wokół wielkiego mahoniowego stołu. Stanowili tak wyraźną jedność, że Max po raz pierwszy poczuł się tu jak intruz. Opowiedział im wszystko to, co wcześniej Liii w wieży. Słuchali uważnie, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie.

- Nie sprawdziłeś jego referencji? - zdziwił się Trent. - Tak po prostu przyjąłeś pracę u człowieka, którego widziałeś na oczy po raz pierwszy i o którym nic nie wiedziałeś?

- Nie miałem żadnego powodu, aby postąpić inaczej. Nie jestem biznesmenem, tylko nauczycielem

- rzekł Max ze znużeniem.

- W takim razie nie powinieneś mieć nic przeciwko temu, abyśmy my sprawdzili twoje referencje - włączył się Sloan.

Max spokojnie wytrzymał jego wzrok.

- Nie.

- Ja już to zrobiłam - odezwała się Amanda, postukując palcami w stół. - Wydawało mi się to rozsądne, więc odbyłam kilka rozmów telefonicznych.

- Na Mandy można liczyć - mruknęła Lilah.

- Pewnie w ogóle nie przyszło ci do głowy, żeby to z kimkolwiek uzgodnić.

- Nie.

- Dziewczynki - upomniała je Coco, siedząca u szczytu stołu. - Nie zaczynajcie.

- Uważam, że Amanda powinna nam o tym powiedzieć - rzekła Lilah z oburzeniem. -

To dotyczyło nas wszystkich. A poza tym, kto dał jej prawo do węszenia w życiu Maksa?

Rozgorzał gorący spór. Wszystkie cztery siostry głośno wyrażały swoje opinie i zastrzeżenia, Sloan gryzł się w język, Trent przymknął oczy, a Max tylko patrzył.

Rozmawiały o nim. Czy nie zdawały sobie sprawy, że kłócą się właśnie o niego, odbijając między sobą jego osobę jak piłeczkę pingpongową?

- Przepraszam - spróbował wtrącić, ale nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Odezwał się jeszcze raz - z podobnym skutkiem. Sloan po raz pierwszy rzucił mu uśmiech.

- Dość już, przestańcie! - zawołał w końcu głosem zirytowanego belfra i dopiero to zadziało. Wszystkie kobiety umilkły i spojrzały na niego z irytacją.

- Posłuchaj, człowieku - zaczęła C. C., ale on nie pozwolił jej skończyć.

- To wy posłuchajcie. Przede wszystkim, gdybym miał jakieś podłe zamiary, to po co miałbym wam opowiadać całą tę historię? A jeśli chcecie sprawdzić, kim jestem i czym się zajmuję, to może przestałybyście się kłócić i po prostu to zrobiły?

- Lubimy się kłócić - odrzekła Lilah wyniośle. - I nie lubimy, gdy ktoś nam w tym przeszkadza.

- Wystarczy już - oświadczyła Coco, korzystając z chwili względnego spokoju. - Skoro Amanda sprawdziła już Maksa - choć było to nieco nieuprzejme...

- Rozsądne - sprzeciwiła się Amanda.

- Chamskie - odparowała natychmiast Lilah. Niewiele brakowało, by kłótnia rozgorzała na

nowo, ale Suzanna podniosła do góry dłonie.

- Jakkolwiek to oceniać, już się stało, więc myślę, że powinniśmy posłuchać, co Amanda ma do powiedzenia.

Amanda zerknęła przelotnie na Lilę.

- Jak już mówiłam, zadzwoniłam w kilka miejsc. Dziekan w Cornell bardzo wysoko ceni Maksa. Używał takich słów, jak „błyskotliwy” i „oddany nauce”. Uważa go za jednego z najlepszych znawców historii amerykańskiej w kraju. Max skończył studia z wyróżnieniem w wieku dwudziestu lat, a w wieku dwudziestu pięciu został doktorem.

- Jajogłowy - uśmiechnęła się Lilah promiennie. Max poruszył się niespokojnie.

- Nasz doktor Quartermain - ciągnęła Amanda

- pochodzi z Indiany, jest kawalerem i nie jest notowany przez policję. Wykłada na Cornell od ośmiu lat i przez ten czas opublikował kilka artykułów, które zyskały szeroki oddźwięk. Ostatni z nich dotyczył atmosfery społecznej i politycznej w Ameryce przed pierwszą wojną światową. W kręgach akademickich uważany jest za kogoś w rodzaju cudownego dziecka, osobę poważną, odpowiedzialną i o olbrzymim potencjale intelektualnym. - Amanda wyczuła zażenowanie Makska i złagodziła nieco ton.

- Przepraszam cię za ten wywiad, Max, ale nie chciałam ryzykować, gdy chodziło o bezpieczeństwo rodziny.

- Wszyscy cię przepraszamy - uśmiechnęła się

Suzanna. - Mamy za sobą kilka niespokojnych miesięcy.

- Rozumiem - przyznał Max. One przecież nie mogły wiedzieć, jak bardzo nie cierpiał określenia „cudowne dziecko”. - Jeśli mój profil akademicki ma was uspokoić, to nie mam nic przeciwko temu.

- Ale jest jeszcze coś - dodała Suzanna. - Do tej pory nie wyjaśniłeś, skąd się wzięłaś w wodzie tamtego wieczoru, gdy Lilah cię znalazła.

Max zebrał myśli. Teraz przypominał sobie wszystko wyraźnie. Równie łatwo przychodziło mu przeniesienie się na pokład jachtu Caufielda, jak w sam środek bitwy pod Bull Run czy do Białego Domu za prezydentury Woodrowa Wilsona.

- Pracowałem nad papierami. Nadciągał sztorm i zaczęło kołysać. Chyba nie nadaje się na marynarza. Próbowałem wyczołgać się na pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, gdy usłyszałem rozmowę Caufielda z kapitanem Hawkinsem.

Zwięźle streścił im wszystko, co usłyszał.

- Zdałem sobie sprawę, w co się wpakowałem. Sam nie wiem, co chciałem zrobić.



Przyszedł mi do głowy wariacki pomysł, żeby zabrać papiery, uciec z jachtu i zanieść je na policję. W tych okolicznościach nie było to szczególnie mądre. W każdym razie złapali mnie. Caufield miał broń, ale tym razem sztorm zadziałał na moją korzyść. Udało mi się wydostać na pokład i poszukałem ratunku w wodzie.

- Skoczyłeś za burtę podczas sztormu? - zapytała Lilah z niedowierzaniem.

- To nie było zbyt mądre.

- To było bardzo odważne - poprawiła go.

- Nie, jeśli weźmiesz pod uwagę, że on do mnie strzelał - westchnął Max, dotykając bandaża na skroni.

- Twój opis tego Ellisa Caufielda się nie zgadza - powiedziała Amanda w zamyśleniu.

- Livingston, człowiek, który ukradł papiery, miał ciemne włosy i był około trzydziestki.

Lilah podniosła ręce do góry.

- No, to przeifarbował włosy. Przecież nie mógł tu wrócić pod tym samym nazwiskiem i z tym samym wyglądem. Policja ma jego opis.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - rzeki Sloan i na jego twarzy pojawił się ponury uśmiech. - Mam nadzieję, że ten sukinsyn wrócił i że uda mi się dostać go w ręce.

- Wszyscy spróbujemy dostać go w swoje ręce - poprawiła C. C. - Pytanie brzmi, co mamy zrobić teraz?

Znów zaczęła się kłótnia. Trent powtarzał żonie, że ma nie robić nic. Amanda przypominała mu, że to sprawa Calhounów. Sloan z ogniem w głosie kazał jej się trzymać od tego z daleka. Coco zaproponowała brandy, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- On myśli, że ja nie żyję - mruknął Max, właściwie do siebie. - Więc czuje się bezpiecznie. Prawdopodobnie wciąż jest w pobliżu, na tej samej łodzi. Łowca Wiatrów.

Lilah znów podniosła rękę do góry, nakazując ciszę.

- Pamiętasz tę łódź? Potrafisz ją opisać? Max uśmiechnął się lekko.

- Z najdrobniejszymi szczegółami. To pierwszy jacht, na jakim byłem w życiu.

Trent pokiwał głową.

- Musimy zanieść te informacje na policję. I trochę posprawdzamy sami. Panie znają wyspę równie dobrze jak ten dom. Jeśli on jest gdzieś niedaleko, to go znajdziemy.

- Już się nie mogę doczekać - rzucił Sloan. Spojrzał na Maxa i zdecydował się zaufać instynktowi. - Przyłączasz się do nas, Quartermain?

Max ze zdziwieniem zamrugał powiekami i uśmiechnął się szeroko.

- Jasne, że tak.

*Poszłam do domku Christiana, Może to było ryzykowne, bo mógł mnie zobaczyć ktoś ze znajomych, ale tak bardzo chciałam się dowiedzieć, jak mieszka i jakimi przedmiotami się otacza.*

*Jest to mały domek nad brzegiem morza, kwadratowa drewniana chata. Pokoje pełne są jego obrazów i zapachu terpentyny. Nad kuchnią znajduje się skąpana w słońcu antresola, która służy mu za studio. Całość przypominała mi domek dla lalek: urocze okienka, niskie sufity, stare drzewa od frontu, a od tyłu wąska weranda, na której siedzieliśmy i patrzyliśmy na wodę.*

*Christian mówił, że podczas odpływu poziom wody opada tak bardzo, że można przejść po kamieniach aż do widocznej w oddali kępy drzew. A w nocy powietrze wypełnia się dźwiękami. Świerszcze, pohukiwanie sów, uderzenia fal o skały.*

*Czułam się tam jak w domu. Ogarniało mnie spokojne szczęście. Miałam wrażenie, że już od wielu lat mieszkamy tam razem. Gdy powiedziałam o tym*

*Christianowi, przygarnął mnie do siebie i trzymał tak przez dłuższą chwilę.*

- Kocham cię, Bianco - powiedział. - Chciałem, żebyś tu przyszła. Chciałem zobaczyć

*cię w moim domu, wśród moich rzeczy. Teraz już zawsze będę cię tu widział i nigdy nie poczuję się samotny.*

*Tak bardzo pragnęłam przysiąc mu, że zostanę. Słowa same wypływały mi na usta, powstrzymywane tylko przez poczucie obowiązku. Przeklętego obowiązku. Christian chyba to wyczuł, bo pocałował mnie, jakby chciał zamknąć pieczęcią te niewypowiedziane słowa. Mogłam spędzić z nim tylko godzinę. Obydwoje wiedzieliśmy, że muszę wrócić do męża i dzieci, do życia, które wybrałam, zanim go poznałam. Czułam wokół siebie jego ramiona, smakowałam jego usta, wyczuwałam jego napięcie.*

*- Pragnę cię - szepnęłam bez odrobiny wstydu.*

*- Dotknij mnie, Christianie. Pozwól mi należeć do ciebie. Zabierz mnie do swojego łóżka. Kochaj mnie.*

*Jego ramiona zacisnęły się wokół mnie tak mocno, że zabrakło mi tchu. Położył dłonie na mojej twarzy i poczułam drżenie jego palców. Jego oczy pociemniały, stały się niemal czarne. Widziałam w nich miłość, namiętność, desperację, żal.*

*- Czy wiesz, jak często o tym marzyłem? Czy wiesz, ile nocy spędziłem bezsenne, tęskniąc do ciebie? - Wskazał na mój portret widzący na ścianie.*

*- Pragnę cię, Bianco, każdą myślą i każdym oddechem. I kocham cię tak bardzo, że nie mogę wziąć tego, co nie należy do mnie.*

*- Christianie...*

*- Czy myślisz, że gdybym raz cię dotknął, to mógłbym potem pozwolić ci odejść? - wybuchnął gwałtownie. - Me mogę znieść myśli, że musimy się ukrywać jak grzesznicy po to, by spędzić razem godzinę niewinną jak zabawy dzieci. A skoro nie mam tyle siły, by zupełnie się ciebie wyrzec, to muszę jej znaleźć choćby tyle, by nie pozwolić ci uczynić czegoś, czego później przyszłoby ci żałować.*

- *Jak mogłabym żałować tego, że należałabym do ciebie?*

- *Bo należysz już do kogoś innego. Za każdym razem, gdy do niego wracasz, myślę, że mógłbym go zabić gołymi rękami. Tylko dlatego, że on może na ciebie patrzeć wtedy, gdy ja nie mogę. Gdybyśmy zdecydowali się na ten ostateczny krok, to nie zostawiłbym ci żadnego wyboru. Nie mogłabyś już do niego wrócić, Bianco. Nie miałabyś powrotu do domu, do swojego życia.*

*Wiedziała, że to prawda. Zostawiłam go więc i wróciłam do domu, by zawiązać wstążkę we włosach Colleen, pobawić się piłką z Ethanem, otrzeć łzy z twarzy Seana, który obtarł sobie kolano. Aby zjeść kolację w atmosferze zimnej uprzejmości z moim mężem, który jest mi coraz bardziej obcy.*

*Słowa Christiana były prawdziwe i jest to prawda, której muszę stawić czoło.*

*Nadejdzie czas, gdy już dłużej nie będę mogła żyć w dwóch światach naraz i będę musiała wybrać tylko jeden z nich.*

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

- Mam znakomity pomysł - oznajmiła Coco, godnie wkraczając do kuchni, w której Lilah, Max, Suzanna i jej dzieci jedli śniadanie.

- To dobrze - powiedziała Lilah znad miseczki czekoladowych lodów. - Każdy, kto jest w stanie myśleć o tej porze, zasługuje na medal albo na potępienie.

Coco przyjrzała się ziołom rosnącym w doniczkach na parapecie, obskubała kilka suchych listków z bazylii i znów spojrzała na jedzących śniadanie kuzynów.

- Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam. Przecież to takie...

- Alex mnie kopie pod stołem!

- Alex, nie kop siostry - powiedziała Suzanna łagodnie. - Jenny, nie przerywaj.

- Ja jej wcale nie kopałem, to ona podstawiła kolano pod moją nogę - wyjaśnił Alex.

Po podbródku ściekały mu krople mleka.

- Wcale nie!

- Właśnie, że tak.

- Jesteś głupi jak indyk!

- A ty jak borsuk!

- Alex - powtórzyła Suzanna, przygryzając wargę, by nie stracić wyrazu matczynej dezaprobaty i nie wybuchnąć głośnym śmiechem. - Czy zamierzasz zjeść te płatki, czy nosić je na sobie?

- To ona zaczęła - wymruczał chłopiec.

- Wcale nie - odrzekła Jenny pod nosem.

- Właśnie, że tak.

Jedno spojrzenie na twarz matki wystarczyło, by obydwójce zamilkli i pochylili się nad miseczkami pełnymi płatków, ograniczając się do wymiany pochmurnych spojrzeń.

Lilah z rozbawieniem oblizwała łyżeczkę.

- Skoro ta sprawa została już załatwiona, to może teraz ciocia Coco powie nam, na czym polega jej znakomity pomysł.

- No właśnie - ożywiła się Coco. Z roztargnieniem poprawiła fryzurę i przejrzała się w opiekaczu do grzanek. - Chodzi o Maksa. W gruncie rzeczy to takie oczywiste. Ale rzecz jasna martwiliśmy się wszyscy o jego zdrowie, a poza tym tak trudno skupić myśli, gdy ciągle słyszeć te hałasy z budowy. Czy wiecie, że jeden z tych młodych mężczyzn robił coś rano na tarasie zupełnie nagi? Nie miał na sobie nic oprócz dżinsów i pasa na narzędzia. Coś takiego bardzo rozprasza.

- Przykro mi, że tego nie widziałam - westchnęła Lilah, mrugając do Maksa. - Czy to może był ten z długimi jasnymi włosami związanymi rzemykiem?

- Nie, ten z wąsami i ciemnymi lokami. Muszę przyznać, że jest bardzo dobrze zbudowany. Ale to zapewne dlatego, że przez cały dzień macha młotem.

Ten hałas jest okropny. Mam nadzieję, Max, że nie przeszkadza ci to za bardzo.

Szczęśliwie Max nauczył się już podążać za zawiłymi ścieżkami umysłu Coco.

- Nie. Może miałybyś ochotę na filiżankę kawy?

- Och, jak to miło z twojej strony. Chyba się napiję - rozpromieniła się Coco, siadając

przy stole. - Już prawie skończyli remont w sali bilardowej. Oczywiście, zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Dom nie wygląda ładnie, gdy wszędzie leżą jakieś rolki papy, deski i narzędzia. Ale warto się pomęczyć. O czym to ja mówiłam?

- Wspaniały pomysł - przypomniała jej Suzanna, gestem powstrzymując Aleksa, który celował w siostrę łyżką pełną płatków.

- Ach, tak. Przyszło mi to do głowy wczoraj w nocy, gdy rozkładałam tarota.

Chciałam rozstrzygnąć kilka osobistych problemów i rozjaśnić sobie obraz tej drugiej sprawy.

- Jakiej drugiej sprawy? - zaciekawił się Alex.

- To rzeczy dla dorosłych. Nudne - wyjaśniła Lilah, szturchając go pod żebrem.

Suzanna spojrzała na zegarek.

- Idźcie lepiej poszukać Freda. Jeśli chcecie iść ze mną, to musicie być gotowi za pięć minut.

Dzieci wybiegły z kuchni jak wystrzelone z armaty. Max roztarł łydkę, w którą trafiła stopa Aleksa.

- Co było w kartach, ciociu Coco? - zapytała Lilah.

- Niebezpieczeństwo, przeszłość i przyszłość. Irytujące. - Obrzuciła obydwie siostrzenice zmartwionym spojrzeniem. - Ale potrzebna nam jest

pomoc. Wyglądało na to, że będzie ona pochodzić z dwóch źródeł. Jedno jest

umysłowe, drugie Fizyczne, potencjalnie niebezpieczne. - Zmarszczyła czoło. - Nie udało mi się dokładniej określić tego fizycznego źródła, chociaż chyba powinnam, bo jest to ktoś, kogo znamy. Myślałam, że to może Sloan, ale nie. Jestem zupełnie pewna, że chodziło o kogoś innego. Ale źródło umysłowe to oczywiście Max.

Max poruszył się niespokojnie na krześle, Lilah za to rozpromieniła się.

- Naturalnie. Nasz domowy geniusz.

- Nie drażnij go - ostrzegła Suzanna, odnosząc naczynia do zlewu.

- Och, przecież on dobrze wie, że lubię go nie tylko za umysł. Prawda, Max?

Max poważnie się obawiał, że za chwilę będzie czerwony jak burak.

- Jeśli nie przestaniesz przerywać cioci, to spóźnisz się do pracy - bąknął.

- Ja też - zauważyła Suzanna. - Więc co wymyśliłaś, ciociu?

Coco po raz kolejny wzięła filiżankę do ręki i odstawiła nietkniętą na stół.

- Max powinien się zająć tym, czym od początku miał się zajmować. To znaczy badaniem historii Calhounów. Niech zgromadzi jak najwięcej informacji o Biance, Fergusie i innych. Nie dla tego okropnego Caufielda czy jak on się tam nazywał, ale dla nas.

Lilah była zaintrygowana.

- Ale przecież przejrzałyśmy już wszystkie papiery.

- Max będzie umiał spojrzeć na nie inaczej. Okiem znawcy, naukowego badacza - wyjaśniła Coco, nie zdradzając, że karty powiedziały jej również, iż Max i Lilah bardzo dobrze do siebie pasują.

- Jestem pewna, że jeśli się w to zaangażuje, to stworzy wiele bardzo interesujących teorii.

- To dobry pomysł - pokiwała głową Suzanna i spojrzała na gościa. - A ty co o tym myślisz?

Zastanawiał się przez chwilę. Karty tarota nie były dla niego żadnym argumentem, ale nie chciał ranić uczuć Coco, a poza tym jej pomysł rzeczywiście był bardzo rozsądny. W ten sposób mógłby odwdziaczyć się im za gościnę i uzasadnić konieczność pozostania w Bar Harbor jeszcze przez kilka tygodni.

- Chciałbym coś zrobić - odrzekł. - Możliwe, że policja nie znajdzie Caufielda nawet z tymi informacjami, które im przekazałem. Podczas gdy wszyscy będą go szukać, ja skoncentruję się na Biancie i naszymyjnku.

- Wiedziałaś - sapnęła Coco.

- Proponowałem Caufieldowi, że przejrzę bibliotekę, gazety, porozmawiam z ludźmi, którzy kiedyś mieszkali w tym domu, ale on od razu kazał mi wybić to sobie z głowy. -

Pomysł Coco z chwili na chwilę bardziej pobudzał jego wyobraźnię. Przemawiała do niego perspektywa samodzielnej pracy. - Mówił, że chce, bym wyciągał wnioski wyłącznie z rodzinnych papierów i jego własnych źródeł. Oczywiście nie mógł mi dać wolnej ręki, bo wtedy poznałbym prawdę.

- Teraz masz wolną rękę - stwierdziła Lilah. - Ale nie sądzę, byś znalazł naszymyjnka w bibliotece.

- Może jednak znajdę jego fotografię albo opis.

- Opis już znasz - uśmiechnęła się dziewczyna. Max nie przykładał większej wagi do snów i wizji, podobnie jak do kart tarota, więc znów tylko wzruszył ramionami.

- Mimo wszystko mogę znaleźć tam coś konkretnego. A na pewno natrafię na jakieś informacje o Biancie i Fergusie.

- Przynajmniej będziesz miał się czym zająć - powiedziała Lilah i wstała od stołu, niezbyt dotknięta niewiarą Maksa w jej nadzwyczajne pozazmysłowe zdolności. - Przyda ci się samochód. Mogę zostawić ci swój, o ile podrzucisz mnie do pracy.



Zirytowany brakiem wiary Lilah w jego umiejętności badawcze, Max spędził większą część dnia w bibliotece. Zawsze czuł się w takich miejscach jak u siebie w domu. Sterty książek, cisza, notatnik przy łokciu - to było to. Grzebanie się w papierach było dla niego wędrówką do celu, śledztwem, rozwiązywaniem tajemnic, choć wiodące doń tropy na pierwszy rzut oka nie wydawały się tak emocjonujące jak dymiąca lufa czy ścieżka z kropel krwi.

Ale cierpliwość, bystrość umysłu i inteligencja czyniły z niego detektywa, krok po kroku zbliżającego się do rozwiązania tajemnicy.

Bardzo szybko natrafił na pierwsze wzmianki o Fergusie i Biance i w miarę jak odnajdywał coraz więcej informacji, jego podniecenie zaczęło rosnąć.

Fergus Calhoun był irlandzkim imigrantem, którego do majątku i wpływów doprowadził upór, ciężka praca i twardy charakter. Przybył do Nowego Jorku w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku jako młody chłopak bez grosza przy duszy, podobny do wielu innych młodych mężczyzn, którzy schodzili z pokładów statków na wyspie Ellis, i w ciągu piętnastu lat zbudował imperium finansowe.

Zapewne chcąc zatrzeć wspomnienia ubóstwa w swojej młodości, otaczał się ostentacyjnym bogactwem i szybko dostał się do salonów wpływowych osób. Tam właśnie poznał Biancę Muldoon, wchodzącą w życie córkę starej, dobrej rodziny, która jednak wtedy już miała więcej błękitnej krwi niż pieniędzy. W następnym roku Fergus zbudował Towers, chcąc przebić przepychem inne letnie rezydencje, i ożenił się z Biancą.

Szczerście do pieniędzy nie opuszczało go. Imperium powiększało się stale, podobnie jak jego własna rodzina. Bianca urodziła mu troje dzieci. Nawet skandal wywołany jej samobójstwem w lecie tysiąc dziewięćset trzynastego roku nie wpłynął na powodzenie w interesach.

Po jej śmierci stał się samotnikiem, ale nadal zarządzał swoim imperium z domu w Bar Harbor. Jego córka nigdy nie wyszła za mąż, opuściła jednak ojca i zamieszkała w Paryżu. Najmłodszy syn wdał się w romans z zamężną kobietą i gdy z tego powodu wybuchł skandal, musiał uciekać do Indii Zachodnich. Jedyne Ethan, starszy syn Fergususa, ożenił się i miał dwoje dzieci: Judsona, ojca Liii, oraz Cordelię Calhoun, obecnie znaną jako Coco McPike.

Ethan zginął w wypadku na morzu, zaś Fergus ostatnie lata swego długiego życia spędził w zakładzie dla umysłowo chorych, gdzie rodzina umieściła go po kilku wybuchach gwałtownego, niepoczytalnego zachowania.

Ciekawa historia, pomyślał Max. Większość z tego jednak mogli mu powiedzieć sami Calhounowie. Potrzebował czegoś innego, jakiegoś drobnego śladu, który poprowadziłby go w innym kierunku.

Znalazł taki ślad w postrzępionej, zakurzonej książeczce pod tytułem Wakacje w Bar Harbor. Książka była napisana tak złym, pretensjonalnym stylem, że w pierwszej chwili omal zupełnie jej nie odrzucił. Nauczycielskie przyzwyczajenie jednak kazało mu się przedzierać, przez nieporadne zdania, tak jakby miał przed sobą pracę studenta zasługującą najwyżej na trzy z minusem. Jeszcze nigdy w życiu nie widział tylu przymiotników i górnolotnych określeń zgromadzonych na jednej stronie. Wszystko tu było olśniewające i niesłychane, wspaniałe i cudowne. Autor był wyraźnie zafascynowany stylem życia bogaczy i patrzył na nich jak na królewskie rody. Od jego składni Maksowi robiło się niedobrze, ale zaciskał zęby i dzielnie brnął dalej.

Dwie strony książki poświęcone były opisowi balu, który odbył się w Towers w roku tysiąc dziewięćset dwunastym. Max przeczytał opis z zaostrzoną czujnością. Autor bez wątpienia był obecny na sali balowej, bowiem wszystkie opisy, od sukien po serwowane

dania, aż kipiały od szczegółów. Bianca Calhoun ubrana była w suknię ze złotego jedwabiu, na dole wyszywaną koralikami. Kolor znakomicie podkreślał tycjanowską barwę jej włosów. Dopełnieniem sukni był... szmaragdowy naszyjnik. Jedno i drugie opisano w najdrobniejszych szczegółach. Po wykreśleniu wszystkich przymiotników w stopniu najwyższym Max bez trudu mógł sobie wyobrazić ten klejnot. Przewrócił kartkę i zaniemówił.

Na następnej stronie znajdowała się stara fotografia, niewykluczone, że skopiowana z gazety. Kontury postaci były niewyraźne i zatarte, ale bez trudu można było rozpoznać na zdjęciu Fergususa. Był tak samo sztywny i miał równie zaciętą twarz jak na portrecie, który wisiał nad kominkiem w salonie Calhounów. Uwagę Maksa przyciągnęła jednak siedząca na pierwszym planie kobieta.

Niedostatki fotografii nie mogły przysłonić jej ponadczasowej, eterycznej urody, której Lilah była wierną kopią. Porcelanowa cera, smukła szyja, masa włosów zaczesanych do góry i wielkie oczy, niewątpliwie zielone i bez uśmiechu.

Kobieta siedziała w eleganckim fotelu. Mąż stał z tyłu. Jego dłoń nie dotykała ramienia żony, lecz oparcia fotela, mimo to jednak Max dostrzegał w jego pozie pewną zaborczość. Podpis pod zdjęciem głosił: Pan i pani Calhoun, 1912.

Na szyi Bianca miała szmaragdy. Naszyjnik wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Lilah: dwa rzędy kamieni i pojedynczy duży klejnot w kształcie łyzy, zwieszający się pośrodku. Max przesunął palcem po klejnotach na fotografii, niemal wyczuwając ich chłód i gładkość. Rozumiał, co sprawia, że takie kamienie stają się legendą, dlaczego prześladują wyobraźnię ludzi i rozbudzają ich chciwość.

Zatrzymał wzrok na twarzy Bianki i pomyślał, że istnieją również twarze, które potrafią rozpalać i nawiedzać wyobraźnię w nie mniejszym stopniu niż klejnoty.

Lilah zatrzymała się na ścieżce, dając turystom chwilę na zrobienie zdjęć i odpoczynek. Tego dnia w parku był duży ruch. Lilah przemierzyła tę samą trasę już ośmiokrotnie, a właściwie szesnastokrotnie, jeśli wziąć pod uwagę drogę powrotną. Nie czuła jednak zmęczenia.

- Wiele spośród roślin, jakie można spotkać na tej wyspie, to typowo północne gatunki

- podjęła wykład. - Zdarzają się nawet gatunki należące do strefy subarktycznej, pozostawione tu przez lodowiec przed dziesięcioma tysiącami lat. Inne zostały przywiezione z Europy w ciągu ostatnich dwustu pięćdziesięciu lat.

Z wrodzoną cierpliwością odpowiadała na pytania, subtelnie odciągając uwagę dzieci, by nie deptały dzikich kwiatów, i udzielała dodatkowych informacji osobom bliżej zainteresowanym florą wyspy. Była to ostatnia grupa tego dnia, Lilah jednak poświęcała jej nie mniej uwagi niż pierwszej.

Lekki wietrzyk niósł zapach morza. Skały były tu gładkie i płaskie, wyszlizgane niezliczonymi przyływami i odpływami. W czarnym kamieniu błyszcząły smużki kwarcu.

Niebo nad głową było czyste, prawie bezchmurne. Po wodzie zatoki ślizgały się jachty.

Lilah znów pomyślała o Łowcy Wiatrów. Przy końcu każdej trasy uważnie przyglądała się wszystkim łodziom, ale widziała tylko statki dla turystów i mocne łódki poławiaczy krabów.

Uśmiechnęła się, gdy na ścieżce pojawił się Max. Oczywiście przybył punktualnie.

Była tego pewna. Podniósł wzrok i gdy ją zobaczył, jego oczy rozświeciły się i pojawił się w nich dziwny, intensywny wyraz. Mundur koloru khaki kontrastował z jej kobiecą, smukłą sylwetką, a jednocześnie wydawał się dziwnie odpowiedni, gdy tak stała, mając za plecami spienione morze.

- Jesteśmy w strefie przyływu - mówiła. - Roślinność przystosowała się tu do

zmiennego rytmu przyływów i odpływów. Różnica w poziomie wody jest największa wiosną. Dochodzi wtedy do siedmiu i pół metra.

Opowiadała o stworzeniach, które żyją na tym obszarze, mechanizmach przetrwania i łańcuchach pokarmowych. Na skale nieopodal przysiadł gil. Turyści wyciągnęli aparaty fotograficzne. Lilah przykucnęła między skałami obok niewielkiego zbiornika z wodą pozostawionego przez odpływ. Max podszedł bliżej, zafascynowany jej opisem. W niewielkiej, ciemnej kałuży dostrzegła bogactwo żywych istot. Wszystkie one czekały, aż znów nadejdzie fala i będą mogły wrócić do swego zwykłego życia. Pokazywała morskie anemony, bardziej przypominające kwiaty niż zwierzęta, muszelki zamieszkane przez mięczaki i jakieś stworzenia, które nazywała trąbikami. W jednej chwili sprawiała wrażenie specjalistki od biologii morza, w następnej - aktorki komediowej. Oczarowane dzieci zasypywały ją pytaniami. Max zauważył nastolatka, który wpatrywał się w nią wygłodniałym, nieprzytomnym z zachwyty wzrokiem, i poczuł natychmiastową empatię.

W końcu Lilah odrzuciła warkocz na plecy i na zakończenie podała garść informacji o innych trasach prowadzących przez park. Turyści powoli ruszyli w drogę powrotną, strzelając migawkami aparatów fotograficznych. Nastolatek, na którego Max wcześniej zwrócił uwagę, zbliżył się do Lii i zasypał ją pytaniami o przyływy, dzikie kwiaty i ptaki, choć było jasne, że w ogóle nie słyszy odpowiedzi. W końcu, po kilkakrotnym nawoływaniu matki, odszedł z ociąganiem.

- Nieprędko zapomni tę wycieczkę - skomentował Max.

Lilah tylko się uśmiechnęła.

- Myślę, że każdy z nich coś z tego zapamięta. Cieszę się, że zdążyłeś na czas, profesorze.

Wspięła się na palce i mocno pocałowała go w usta.

- Więc jak ci minął dzień? Max wziął głęboki oddech.

- Interesująco.

Lilah wsunęła dłoń pod jego ramię.

- Szkoda, że straciłeś pierwsze dwadzieścia minut trasy. Widzieliśmy kormorana i dwa rybołowy.

- Zobaczenie rybolowa było jednym z największych marzeń mojego życia -

oświadczył Max. - Czy zawsze idziesz tą samą trasą?

- Nie. Często chodzę nad Staw Jordana. Czasami mam dyżur w centrum informacyjnym, a czasem idę w góry.

- Dzięki temu zapewne nie staje się to nudne.

- To nigdy nie jest nudne, inaczej nie wytrzymałabym w tej pracy ani dnia. Nawet na

tej samej trasie za każdym razem widzisz co innego. Spójrz. - Wskazała na kępę roślin o

wąskich liściach i przywiedłych, różowych kwiatach. - Azalia pospolita. Kilka tygodni temu

wyglądała przepięknie. Teraz kwiaty już więdną i roślina czeka następnej wiosny. - Musnęła

palcami zwiotczałe płatki. - Lubię cykliczność. Jest w niej coś uspokajającego.

Lilah twierdziła, że nie lubi wysiłku fizycznego, ule Max ledwie za nią nadązał. Szła

ścieżką szybko i lekko, a jednocześnie bacznie rozglądała się dokoła, nie tracąc z oczu

najmniejszego szczegółu.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że twoja praca polega na chodzeniu przez cały dzień -

stwierdził Max.

- Dlatego po pracy najbardziej lubię pozycję leżącą i zaśmiała się. - Coś ci powiem.

Następnym razem, gdy będę miała popołudniową zmianę, zabiorę cię na dalszą wycieczkę. W

ten sposób upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ty obejrzysz sobie widoki, a ja

rozejrzę się za twoim przyjacielem Caufieldem.

- Wolałbym, żebyś się do tego nie mieszała.

To zdanie tak zaskoczyło dziewczynę, że zareagowała dopiero po dłuższej chwili.

- Co takiego?!

- Nie chcę, żebyś się do tego mieszała - powtórzył. - Dużo o tym myślałem.

- Naprawdę? - Gdyby znalazł ją lepiej, może usłyszałby w jej głosie ślady gniewu. - I w jakież to sposób doszedłeś do tego wniosku?

Max przypomniał sobie fanatyczne tony w głosie Caufielda.

- On jest niebezpieczny. Może nawet niezrównoważony psychicznie. A z całą pewnością nie cofnie się przed użyciem przemocy. Strzelał już do twojej siostry i do mnie.

Nie chcę, żebyś mu wchodziła w drogę.

- Nie chodzi o to, czego ty chcesz. Ta sprawa dotyczy mojej rodziny.

- Od tamtego sztormu dotyczy również i mnie - przypomniał jej. - Lilah, nie słyszałaś, co on wtedy powiedział. Mówił, że nic go nie powstrzyma przed zdobyciem tego naszyjnika, i mówił to zupełnie poważnie. To robota dla policji, a nie dla kilku kobiet, które...

- Kobiet, które co? - przerwała mu z błyskiem w oczach.

- Które są zbyt zaangażowane emocjonalnie, by zachować ostrożność.

Lilah powoli pokiwała głową.

- Rozumiem. To jest sprawa twoja, Sloana i Trenta. Wielkich, dzielnych mężczyzn, którzy mają bronić słabych, bezbronnych kobiet. Tak?

Max odrobinę za późno zrozumiał, że wkroczył na niebezpieczny grunt.

- Nie powiedziałem, że jesteście bezbronni.

- Ale to oczywiste. Pozwól, że teraz ja ci coś powiem, profesorze. Wszystkie kobiety z rodziny Calhounów potrafią zadbać o siebie równie dobrze, jak każdy mężczyzna, włącznie z geniuszami i niezrównoważonymi rabusiami klejnotów.

- No i sama widzisz - wzruszył ramionami Max.

- Zareagowałaś emocjonalnie, bez żadnej logiki ani zastanowienia.

Lilah złowroźnie przymrużyła oczy.

- Ty chyba jeszcze nie widziałeś prawdziwie emocjonalnej reakcji - mruknęła. -

Chcesz zobaczyć?

Max cofnął się ostrożnie.

- Chyba nie.

- W takim razie uważaj, co mówisz, i dobrze się zastanów, zanim znów zaczniesz mnie odwozić od zajmowania się czymś, co uważam za moją sprawę.

Wyminęła go i szybko poszła w stronę centrum informacyjnego.

- Lilah, ja po prostu nie chcę, żeby ci się stało coś złego! - zawołał za nią.

- Nie zamierzam do tego dopuścić. Mam bardzo niską tolerancję na ból. Ale nie będę siedziała z założonymi rękami, gdy ktoś planuje mnie okraść!

- Policja...

- Policja dotychczas w niczym nam nie pomogła - prychnęła Lilah. - Czy wiesz, że

Interpol poszukuje Livingstona i jego współników już od piętnastu lat? Po tym, jak postrzelił Amandę i zabrał nasze papiery, nikomu nie udało się go odnaleźć. Jeśli Caufield i Livingston są tym samym człowiekiem, to same musimy strzec swojej własności.

- Nawet jeśli on zechce przestrzelić ci mózg? Lilah rzuciła mu krótkie spojrzenie przez ramię.

- Pozwól, że o mój mózg ja sama będę się martwić, profesorze. Ty się zajmij swoim.

- Nie jestem żadnym geniuszem - wymamrotał i zdziwił się, gdy Lilah uśmiechnęła się szeroko. Na widok wyrazu jego twarzy zatrzymała się na ścieżce.

- Max, doceniam twoją troskę, ale naprawdę nie musisz się o mnie martwić. Może



poczekasz chwilę na tym murku? Muszę wejść do środka i zabrać swoje rzeczy.

Max z grymasem przysiadł na murku, pośród tłumu hałaśliwych turystów. Większość z nich miała ramiona spieczone na raka. Spojrzał na swoje ręce i ze zdziwieniem zauważył na nich opaleniznę.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wiele w jego życiu się zmieniło. Był opalony. Nie miał żadnego rozkładu zajęć. Zajmował się rozwiązywaniem kryminalnej zagadki oraz przełamywaniem murów dzielących go od niewiarygodnie atrakcyjnej kobiety.

W chwilę potem niezmiernie atrakcyjna kobieta, już w cywilnym ubraniu, wyszła z budynku. Wzięła go za rękę i razem poszli w stronę parkingu.

- Poprowadzisz? - zapytała.

- Dobrze, ale najpierw muszę ci coś pokazać - powiedział Max. Usiadł za kierownicą i wziął do ręki dużą kopertę. - Przejrzałem masę książek w bibliotece i natrafiłem na wzmianki o twojej rodzinie w różnych historiach i biografiach. Szczególnie jedna powinna cię zainteresować.

- Hm - mruknęła Lilah, wyciągając się już w fotelu do drzemki.

- Zrobiłem kopię - ciągnął Max. - To fotografia Bianki.

Lilah wyprostowała się gwałtownie.

- Naprawdę? Fergus po jej śmierci zniszczył wszystkie portrety, więc nigdy jej nie widziałam!

- Owszem, widziałas - zaśmiał się Max. - Widzisz ją za każdym razem, gdy spoglądasz w lustro.

Podał jej kopię zdjęcia. Lilah nie odezwała się ani słowem, tylko podniosła dłoń do własnej twarzy. Czy to dlatego czuła tak silną więź z prababką? Coś ścisnęło ją w gardle.

- Była piękna - powiedział cicho Max.

- Taka młoda - westchnęła Lilah. - Gdy zmarła, była młodsza ode mnie. Na tym

zdjęciu jest już zakochana. To widać w jej oczach.

- Ma na sobie szmaragdy.

- Tak, widzę. - Podobnie jak Max, Lilah przesunęła palcem po zarysie klejnotów. -

Jakie to musiało być dla niej trudne, kochać jednego mężczyznę i jednocześnie być związaną z drugim. Ten naszyjnik... symbol obowiązku wobec męża i pamięci o dzieciach.

- Tak to właśnie widzisz?

- Tak. Myślę, że czuła się bardzo związana z tym naszyjnikiem, inaczej nie

schowałaby go. - Wsunęła zdjęcie z powrotem do koperty. - Dobra robota, profesorze.

- To zaledwie początek.

Podniosła wzrok na jego twarz i splotła palce z jego palcami.

- Lubię początki. Stwarzają tyle różnych możliwości. Pojedziemy teraz do domu i

pokażemy to wszystkim, ale najpierw mamy coś do załatwienia.

- Co?

- Jeszcze jeden początek. Potrzebujesz jakichś ubrań.

Nie znosił zakupów. Powtarzał jej to wielokrotnie, ale ona zwyczajnie go zignorowała

i ciągnęła od jednego sklepu do drugiego. Udało mu się postawić na swoim przy

fluorescencyjnej koszulce, Lilah jednak nie oddała pola przy następnej, ozdobionej obrazkiem homara w stroju szefa kuchni.

Ekspedientki zupełnie jej nie onieśmiały. Spokojna i rozluźniona, niespiesznie

zeglowała przez proces selekcji i zakupów. Większość sprzedawczyń zwracała się do niej po

imieniu. Lilah chętnie wdawała się w pogawędki, niespostrzeżenie wypytyjąc o mężczyznę pasującego do opisu Caufelda.

- Czy już skończyliśmy? - zapytał Max żałośnie, wychodząc z kolejnego sklepu. Lilah

Wybuchnęła śmiechem.

- Niezupełnie - odrzekła, patrząc na niego z wyraźną przyjemnością. Był wymęczony, poirytowany i absolutnie czarujący. Obydwoma rękami podtrzymywał stertę pakunków.

Włosy opadały mu na oczy. Odgarnęła je. - A co z bielizną?

- Nie, to...

- Chodź, Tu zaraz jest sklep, w którym mają piękne rzeczy. Tygrysie wzory, nieprzyzwoite nadruki, czerwone serduszka...

Max stanął jak wryty.

- Nie - powiedział stanowczo. - Za nic w świecie! Lilah z trudem udało się zachować powagę.

- Masz rację, to do ciebie nie pasuje. W takim razie poprzestaniemy na tych białych majteczkach, pakowanych po trzy pary...

- Jak na kobietę, która nie ma braci, bardzo dobrze znasz się na męskiej bieliźnie - prychnął Max z desperacją i po krótkim namyśle wepchnął połowę pakunków w ramiona dziewczyny. - Sam to załatwię.

- Dobrze. A ja pooglądam sobie wystawy.

Przystanąła przed szybą, za którą wyłożono kryształy w różnych kształtach i kolorach.

Za nimi znajdowała się ręcznie robiona biżuteria. Lilah już miała wejść do środka i kupić parę kolczyków, gdy ktoś wpadł na nią od tyłu i rzucił ostro:

- Przepraszam.

Odwróciła głowę i zobaczyła krępego mężczyznę o ogorzałej twarzy i posiwiałych włosach. Mężczyzna był zirytowany bardziej, niż sytuacja mogłaby to usprawiedliwiać. W jego jasnych oczach było coś, co sprawiło, że Lilah cofnęła się o krok. Mimo wszystko z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Nic nie szkodzi.

O kilka kroków dalej zobaczyła Maksa, który patrzył na nią ze zdumieniem i niedowierzaniem. Gwałtownie rzucił się w jej stronę i wepchnął ją do sklepu.

- Co ten drań do ciebie powiedział? - zapytał ostro. - Czy próbował cię dotknąć? Jeśli cokolwiek ci zrobił...

Klienci sklepu spojrzeli na nich z zainteresowaniem. Lilah nic nie rozumiała. Jeszcze nigdy nie widziała go tak wzburzonego.

- Zaraz - powiedziała, kładąc rękę na jego ramieniu. - Uspokój się, Max. Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Widziałem go. Stał obok ciebie - powtarzał Max jak w transie.

- Ach, ten mężczyzna? - zdumiała się Lilah. Wyjrzała przez okno, ale nieznajomy już dawno roztopił się w tłumie. - Po prostu zderzył się ze mną. Na ulicy jest tłok.

- Nic ci nie powiedział? - wypytywał Max gorączkowo, nie zdając sobie sprawy, że dłonie ma zwinięte w pięści. - Nie zrobił ci nic złego?

- Nie, oczywiście, że nie! Chodź, usiądziemy. Wyszli na ulicę. Chciała usiąść na ławce przy chodniku, ale Max stanowczo pociągnął ją za siebie, osłaniając własnym ciałem, i czujnie przyglądał się wszystkim twarzom.

- Gdybym wiedziała, że kupowanie bielizny wprowadza cię w taki stan, to nie należałabym!

Obrócił się na pięcie i spojrział na nią z furią w oczach.

- To był Hawkins - powiedział ponuro. - Nadal tu są.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Lilah siedziała na swoim ulubionym miejscu w wieży Bianki i rozmyślała o Maksie.

Nie potrafiła go rozgryźć. Nie był wcale tak prosty, jak się wydawał na pierwszy rzut oka i za

jakiego sam siebie zapewne uważał. W jednej chwili nieśmiały i uroczy, w następnej potrafił się zmienić w groźnego wikinga o zaciętej twarzy. Te metamorfozy wytrącały Lilę z równowagi.

Po spotkaniu z Hawkinsem na ulicy Max zaciągnął ją do samochodu i przywiózł do domu, choć ona upierała się, że powinni spróbować go wysledzić. Zaraz po przekroczeniu progu Towers zadzwonił na policję i spokojnie, jakby był w sali wykładowej, zreferował całe zajście. A potem, typowo po męsku, oddalił się w nieznanym kierunku razem z Trentem i Sloanem.

Policji nie udało się dotychczas odnaleźć jachtu Caufielda ani zidentyfikować żadnego z przestępców.

Lilah uznała, że to wszystko jest zbyt skomplikowane. Złodzieje, szajki, Interpol. Ona osobiście wolała proste sytuacje. Życie stało się nieznośne, od kiedy prasa zajęła się szmaragdami Calhounów, a spotkanie Maksa przyniosło jeszcze więcej komplikacji.

Usłyszała kroki na schodach. C. C. wetknęła głowę przez drzwi.

- Hej - zawołała z radością. - Byłam pewna, że cię tu znajdę.

- Chyba staję się zbyt przewidywalna - uśmiechnęła się Lilah, zadowolona z towarzystwa, i zrobiła siostrze miejsce obok siebie na parapecie okna. - Co u pani słyhać, pani St. James?

- Prawie skończyłam odnawiać tego mustanga - sapnęła C. C. - Boże, co to za cudo. A oprócz tego miałam dzisiaj jeden problem z przewodami i dwa przeglądy. - Poczula się dziwnie zmęczona i przymknęła oczy. - No i te wszystkie historie w domu. Nie mogę uwierzyć, że wpadłaś na ulicy na jednego z tych typów.

- To są błogosławieństwa i przekleństwa małych miasteczek.

- Pojeździłam trochę po mieście, zanim wróciłam do domu - przyznała C. C..

- Nie powinnaś tego robić sama. C. C. wzruszyła ramionami.

- Chciałam się tylko rozejrzeć. Zresztą i tak nic ciekawego nie zobaczyłam. Nasi nieustraszeni mężczyźni wyruszyli teraz na poszukiwania.

Lilah wyprostowała się gwałtownie.

- Max też z nimi poszedł?

Jej siostra ziewnęła i otworzyła oczy.

- Jasne. Ni stąd, ni zowąd mamy w domu trzech muszkieterów. Czy jest coś bardziej irytującego od męskiego szowinizmu?

- Dziury w zębach - mruknęła Lilah nieobecny głosem, walcząc ze zdenerwowaniem. - Wydawało mi się, że Max miał się ograniczyć do grzebania w papierach!

- Dołączył do ekipy. Ale nie martw się, skarbnie pocieszyła ją C. C. - Dadzą sobie radę.

- Przecież on jest nauczycielem historii. A co będzie, jeśli naprawdę wpakuje się w jakieś kłopoty?

- Raz już się wpakował - przypomniała jej C. C..

- Jest twardszy, niż na to wygląda.

- Dlaczego tak myślisz? - rozzłościła się Lilah. Wstała i zaczęła niespokojnie spacerować po pokoju. Na ten widok C. C. uniosła wysoko brwi.

- Ten facet wyskoczył za burtę łodzi w samym środku sztormu i prawie udało mu się dopłynąć do brzegu, chociaż wcześniej został postrzelony w głowę. A następnego dnia był już na nogach. Wyglądał jak chodzący trup, ale był na nogach. Max to cicha woda. Lubię go.

Lilah tylko wzruszyła ramionami.

- A kto go nie lubi? Jego łatwo jest polubić.

- No wiesz, po tym wszystkim, czego dowiedziała się o nim Amanda - cudowne dziecko i tak dalej - można by się spodziewać, że będzie zarozumiały i nadęty. Ale nie jest.

Jest bardzo miły. Ciocia Coco jest już gotowa go adoptować.

- Jest miły - zgodziła się Lilah. - I nie chcę, żeby się narażał ze względu na jakąś źle pojętą wdzięczność.

C. C. pochyliła się i zajrzała w oczy siostry.

- Lilah, wiem, że to ty w rodzinie jesteś specjalistką od intuicji, ale tym razem to ja czuję wyraźne wibracje. Wydaje mi się, że poważnie się zaangażowałaś w Maksa.

Lilah wzdrygnęła się.

- Ależ skąd. Lubię go i w pewien sposób czuję się za niego odpowiedzialna, to wszystko.

- On jest bardzo atrakcyjny.

- Nie zapominaj, mała, że jesteś już mężatką.

- Ale nie jestem ślepa. Pod tą jego inteligencją i akademickim romantyzmem jest coś bardzo pociągającego, nie sądzisz?

Lilah znów usiadła i z rozbawieniem skrzywiła usta.

- Zaczęłaś ćwiczyć swatanie pod okiem cioci Coco?

- Tak tylko pytam. Jestem taka szczęśliwa, że chciałabym, żeby wszyscy byli równie szczęśliwi.

- Ja jestem szczęśliwa - przeciągnęła się Lilah. - Jestem zbyt leniwa na to, żeby być nieszczęśliwą.

- A propos lenistwa, mam wrażenie, że mogłabym przespać tydzień. Skoro Trent bawi się w zwiadowcę, to chyba pójdę się położyć.

Podniosła się z okna, ale naraz zakręciło jej się w głowie i zachwiała się. Lilah natychmiast ją podtrzymała.

- Hej! Hej, mała! Co się dzieje?

- Nic, chyba po prostu za szybko wstałam - mruknęła C. C., przykładając rękę do czoła. - Czuję się trochę...

Lilah przygięła jej plecy i przytrzymała głowę między kolanami.

- Oddychaj powoli. Wszystko będzie dobrze. Po chwili C. C. poczuła się lepiej.

- Chyba jestem przemęczona. Może złapałam jakiegoś wirusa.

Lilah uśmiechnęła się lekko.

- Nie miałaś przypadkiem ostatnio żadnych mdłości?

- Właściwie nie. Tylko od paru dni czuję się jakaś rozstrojona. I rano zupełnie nie mam apetytu.

Lilah ze śmiechem postukała kostkami palców o jej czoło.

- Skarbie, obudź się i zacznij kupować pieluchy!

- Co?

- Nie przyszło ci do głowy, że możesz być w ciąży?

- W ciąży? - Ciemnozielone oczy C. C. przybrały wielkość spodków. - Ja? Ale przecież wzięliśmy ślub zaledwie przed miesiącem!

- Chyba nie graliście przez cały ten czas w piotrusia?

C. C. otworzyła usta i znów je zamknęła.

- Jakoś w ogóle nie przyszło mi to do głowy... Dziecko. Och, Lilah - dodała miękkim głosem.

- To może być Trenton St. James IV.

- Dziecko - powtórzyła C. C. jeszcze raz, kładąc rękę na brzuchu. - Naprawdę tak myślisz?

- Naprawdę tak myślę. I nie muszę pytać, jak się z tym czujesz. Masz to wypisane na twarzy.



- Nie mów jeszcze nikomu - poprosiła C. C, nagle ożywiona. - Już wcale nie czuję się zmęczona! Jutro z samego rana zadzwonię do lekarza. Albo może lepiej kupię test w aptece?

Zrobię jedno i drugie!

Lilah tylko się uśmiechała. Radosne echa rozbrzmiewały w wieży jeszcze długo po wyjściu C. C. Znow usiadła na parapecie i wpatrzyła się w księżyc w pierwszej kwadrze.

Było już dobrze po północy, gdy zgasiła lampę i zeszła na dół. Dom był zupełnie cichy, Lilah jednak nie potrafiła odpędzić od siebie niepokoju.

Wzięła długą kąpiel w pachnącej pianie, a potem narzuciła na siebie ulubiony szlafrok.

Takie drobne, zmysłowe przyjemności nieodmiennie sprawiały jej radość: gorąca, pachnąca woda, dotyk jedwabiu na skórze. Niepokój jednak nie odszedł.

Wyszła na taras. Jakiś ptak śpiewał na drzewie w pobliżu. Widocznie nie mógł spać, tak jak ona.

Już chciała się cofnąć do sypialni, gdy jej uwagę przykuł jakiś ruch w ogrodzie. W świetle księżycy dostrzegła dwa pochylone cienie przekradające się przez trawnik.

Bez chwili zastanowienia zbiegła boso po kamiennych schodkach i poszła w ich kierunku. Ktokolwiek to był, musiał się przekonać, że świętości domu Calhounów nie można naruszać bezkarnie.

Przemykała przez ogród bezszelestnie, w powiewającym szlafroku. W końcu usłyszała stłumione głosy i zobaczyła strumyczek światła z latarki. Dobiegł ją cichy śmiech, a potem dźwięk łopaty uderzającej o kamień.

Temperament Calhounów ujawnił się w całej pełni. Nieustraszona Lilah wyłoniła się spomiędzy krzaków.

- Co tu robicie?

Dźwięk łopaty nagle ucichł. Latarka potoczyła się w azalie. Dwóch nastoletnich

poszukiwaczy skarbów rozglądało się gorączkowo dokoła, szukając źródła głosu. Zobaczyli bladą postać kobiety spowitej w białe szaty. Lilah w jednej chwili zrozumiała ich przerażenie i dla większego efektu podniosła ręce do góry.

- Jestem strażniczką szmaragdów! Czy macie odwagę stawić czoło kłątwie Calhounów? Straszna śmierć czeka każdego, kto naruszy spokój tego ogrodu! Uciekajcie, jeśli życie wam mile!

Nie musiała tego powtarzać. Mapa, za którą chłopcy zapłacili dziesięć dolarów, została na trawie, oni zaś popędzili ścieżką w stronę muru, potykając się o własne nogi. Lilah zachichotała pod nosem i podniosła mapę z ziemi.

Nie był to pierwszy egzemplarz, jaki widziała. Jakiś przedsiębiorczy obywatel Bar Harbor powiełał je i sprzedawał łatwowiernym turystom. Wsunęła skrawek papieru do kieszeni i postanowiła udzielić dwóm poszukiwaczom dodatkowej lekcji. Pobiegnęła za nimi, wydając z siebie nieludzki dźwięk, po chwili jednak wpadła na jeszcze jeden cień i wycie przeszło w niewyraźne mamrotanie.

Max zachwiał się, zaklął i upadł prosto na nią.

- Co ty tu, do diabła, robisz?!

- To ja - sapnęła Lilah. - A ty co wyprawiasz?

- Widziałem kogoś. Zostań tutaj.

- Nie! - zawołała, chwytając go za ramię. - To tylko dwoje dzieciaków z mapą ogrodu.

Odstraszyłam ich.

- Ty... - Max z furią uniósł się na łokciu. Pomimo mroku Lilah wyraźnie dostrzegła gniew w jego oczach. - Czyś ty zupełnie zwariowała? Przyszłaś tu, sama jedna, żeby odstraszyć dwóch intruzów?

- Dwóch wystraszonych nastolatków z mapą ukrycia skarbu - tłumaczyła cierpliwie. -

To w końcu mój dom!

- Nic mnie nie obchodzi, czyj jest ten dom. To mogli być Caufield i Hawkins! To mógł być ktokolwiek! Nikt, kto ma choćby odrobinę rozsądku, nie łązi w środku nocy po ogrodzie za potencjalnym włamywaczem!

Lilah wstrzymała oddech i przyjrzała mu się uważnie.

- A ty co tutaj robiłeś?

- Wyszedłem zobaczyć, kto to - prychnął i urwał na widok wyrazu jej twarzy. - To co innego!

- Dlaczego? Bo ja jestem kobietą?

- Nie. A właściwie tak.

- To szowinistyczna bzdura!

- To bardzo rozsądne szowinistyczne stwierdzenie - westchnął Max. - Lilah, przecież mogło ci się stać coś złego!

- Nikt oprócz ciebie nie próbował mi wyrządzić fizycznej krzywdy.

- Nie próbowałem wyrządzić ci krzywdy, tylko nie zauważyłem cię, bo patrzyłem na nich. Skąd mogłem wiedzieć, że skradasz się tu po ciemku?

- Nie skradałam się, tylko udawałam ducha! Przez cały czas klócili się głośnym szeptem. Teraz Max przymknął oczy i jęknął donośnie.

- Teraz już jestem pewien, że zupełnie zwariowałaś.

- Ale to okazało się bardzo skuteczne - zauważyła.

- To nie ma żadnego znaczenia!

- Oczywiście, że ma! Tylko że przewróciłeś mnie na ziemię, zanim skończyłam!

- Już cię za to przeprosiłem.

- Nie przypominam sobie.

- Dobrze. Przepraszam, jeśli... - Spróbował się podnieść z ziemi, ale nieopatrznie spojrzał w dół. Poły szlafroka Liii rozsunęły się przy upadku i wzrok Maksu zatrzymał się na jej odsłoniętych piersiach. - Och, Boże - wymamrotał wyschniętymi nagle ustami.

Lilah poczuła, że zapiera jej dech. Leżała nieruchomo, obserwując jego twarz, na której irytacja zmieniła się najpierw w szok, potem w zdziwienie, a w końcu w ciemne, mroczne pożądanie. Jeszcze żaden mężczyzna tak na nią nie patrzył. W jego oczach widziała tę samą intensywność i koncentrację, jaka pojawiała się tam, gdy próbował opanować fizyczny ból.

Gdy Max znów się nad nią pochylił, poczuła się jak we śnie. Wszystko wydawało się rozmyte, miękkie i pozbawione konturów. Usta miał zadziwiająco ciepłe i łagodne, czuła w nim jednak wstrzymywane napięcie, odbijające jej własne napięcie. Gdy jego usta powędrowały na jej piersi, poczuła się, jakby uniosła się o kilka centymetrów nad trawę. Naraz w jej ciele pojawiło się zupełnie nowe odczucie, jakby od stóp do głów przeniknął je poryw wiatru zapowiadający ostry, słodki, ogłuszający ból. Lilah odruchowo skurczyła się w proteście i usłyszała własny jęk.

Nawet gdyby uderzyła go w twarz, efekt nie mógłby być bardziej piorunujący. Max oderwał się od niej i ujrzał jej szeroko otwarte oczy, wypełnione lękiem i zmieszaniem. Dopiero teraz dotarło do niego, co robi. Przerażony własnym zachowaniem, niezgrabnie podniósł się na kolana, drżąc na całym ciele. Zauważył, że ona też drży. Nic dziwnego. Zachował się jak psychopata, przygniótł ją do ziemi, nie panował nad własnym zachowaniem. A w dodatku miał nieprzepartą ochotę robić to dalej.

- Lilah... - wykrztusił ochryple. Nie poruszyła się i nie oderwała wzroku od jego twarzy. Chciał pogłodzić ją po policzku, przytulić do siebie, ale obawiał się znów jej dotknąć.  
- Bardzo cię przepraszam. Wyglądałaś tak pięknie. Zupełnie straciłem głowę.

Czekała jeszcze przez chwilę, ale jej zwykła swoboda i równowaga umysłu nie wracały.

- Czy to już wszystko? - zapytała wreszcie. Max rozpaczliwie się zastanawiał, co ona jeszcze chciałaby usłyszeć. Czuł się jak zbrodniarz.

- Ja... Jesteś niewiarygodnie atrakcyjna - powiedział ostrożnie. - Ale to, co się właśnie zdarzyło, jest niewybaczalne.

Co się właściwie zdarzyło? Obawiała się, że zaczyna być w nim zakochana, i jeśli rzeczywiście tak było, to miłość sprawiała ból. Nie podobało jej się to w najmniejszym stopniu.

- Pragniesz mnie fizycznie.

Max odchrząknął. „Pragniesz” to nie było odpowiednie słowo. Nawet w dziesiątej części nie oddawało tego, co czuł. Najdelikatniej jak potrafił zasunął połę jej szlafroka.

- Każdy mężczyzna pragnąłby takiej kobiety jak ty - rzekł z napięciem.

Lilah z bolesnym rozczarowaniem przymknęła oczy. Każdy mężczyzna. Nie chodziło jej o każdego mężczyznę, tylko o tego jednego.

- W porządku, Mas - powiedziała nieco zbyt pogodnie i usiadła na trawie. - Nic się nie stało. Po prostu pociągamy się nawzajem fizycznie. To się często zdarza.

- Tak, ale... - zająknął się. Nie jemu. Nie aż tak. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w trawę. Przypuszczał, że dla niej było to łatwiejsze. Była tak otwarta, tak nieskrępowana.

Przez jej życie prawdopodobnie przewinęło się wielu mężczyzn. Na tę myśl poczuł nagłą złość. - Co twoim zdaniem powinniśmy z tym zrobić?

- Zrobić? - uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Może po prostu poczekamy, aż nam minie.

Jak grypa.

Gdy na nią spojrział, zauważyła w jego wzroku coś niebezpiecznego.

- Nie minie. Nie mnie. Pragnę cię. Kobieta taka jak ty musi wiedzieć, jak bardzo cię pragnę.

- Kobieta taka jak ja - powtórzyła Lilah cicho. - Tu jest pies pogrzebany, prawda, profesorze?

- Jaki pies?

- Kobieta, która lubi mężczyzn i jest dla nich bardzo hojna.

- Nie chciałem...

- Taka, która półnago uprawia zapasy na trawie. Dla ciebie zapewne jest to nieco egzotyczne, ale nie masz nic przeciwko temu, żeby trochę poeksperymentować - z kobietą taką jak ja.

- Lilah, na miłość boską...

- Na twoim miejscu nie próbowałabym znów przeproszać. Nie ma takiej potrzeby - mówiła gniewnie Lilah, zraniona ponad wszelką miarę. - Nie musisz przeproszać kobiety takiej jak ja. Przecież już przykleiłeś mi etykietkę, prawda?

Boże, czy w jej oczach naprawdę błyszczały łzy? Max wykonał bezradny gest.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Jasne. Potrafisz zrozumieć wyłącznie własne potrzeby. No cóż, profesorze, rozważę je i powiadomię cię o mojej decyzji.

Przełykając łzy, zgarnęła fałdy szlafroka i pobiegła do domu. W chwilę potem Max usłyszał trzaśnięcie drzwi na tarasie.

Lilah ze wszystkich sił powstrzymywała płacz, wiedziała bowiem, że zawsze przypląca go bólem głowy. Żaden mężczyzna na świecie nie był tego wart. Otworzyła szufladę nocnego stolika i wyciągnęła ostatnią deskę ratunku - czekoladowy batonik. Opadła na łóżko, ugryzła potężny kęs czekolady i wpatrzyła się w sufit.

Max Quartermain okazał się równie głupi i bezduszny jak wszyscy inni mężczyźni.

Widział tylko ładne opakowanie, nic poza tym.

Lilah wiedziała, w jaki sposób niektórzy odbierali jej swobodne zachowanie, ale przeważnie nic ją to nie obchodziło. Wystarczało jej, że ona sama siebie rozumie i czuje się dobrze ze sobą, Lilą Maeve Calhoun. Nie było nic złego w tym, że lubiła mężczyzn, choć ta sympatia nie sięgała aż tak daleko, jak zapewne niektórzy, włącznie z członkami jej własnej rodziny, uważali. Jej brak zahamowań nie był równoznaczny z brakiem wszelkich ograniczeń. Owszem, lubiła flirtować. Przychodziło jej to naturalnie, uważała jednak, że gra między mężczyzną a kobietą musi być ulicą prowadzącą w obydwu kierunkach.

A Max... Pragnęła, by jej powiedział, że obchodzi go to, co ona czuje, myśli, kim jest naprawdę. On zaś potrafił tylko przeproszać.

Przełknęła resztę czekolady i przypomniała sobie, jak dwa miesiące wcześniej C. C. przyszła do jej pokoju wściekła i zraniona, bo Trent pocałował ją, a potem przeprosił. Może to była typowa męska głupota. Trudno ich było winić za coś, z czym się urodzili. Skoro Trent przeproszał dlatego, że zależało mu na C. C, to może zachowanie Maksa wynikało z tych samych pobudek?

To była interesująca teoria, a ponadto nietrudna do sprawdzenia. W każdym razie warto się przekonać, pomyślała Lilah, i zdecydowała się zrobić to, co wychodziło jej najlepiej: poszła spać.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

W domu wielkości Towers nie było trudno unikać kogoś przez dzień czy dwa. Max zauważył, że Lilah wyraźnie stara się nie wchodzić mu w drogę. Nie mógł jej za to winić; sam sobie na to zasłużył własnym zachowaniem. Mimo wszystko drażniło go, że ona nie chciała przyjąć prostych i szczerych przeprosin, tylko zmieniała je w coś... sam dokładnie nie wiedział

w co.

Bardzo za nią tęsknił.

Usiłował przez cały czas czymś się zajmować. Zakopał się w książkach i dokumentach rodzinnych, które Amanda pedantycznie posegregowała, podpisała i oznaczyła datami. Odkrył, że po raz ostatni naszyjnik był widziany podczas kolacji z tańcami, która odbyła się w Bar Harbor dziesiątego sierpnia tysiąc dziewięćset trzynastego roku. Donosiła o tym notatka w gazecie. W dwa tygodnie później Bianca już nie żyła.

Bez większej nadziei na sukces Max zaczął sporządzać listę wszystkich służących, którzy pracowali w Towers latem tego roku. Niektórzy z nich mogli jeszcze być wśród żywych. Odnalezienie ich samych bądź ich rodzin było trudne, lecz nie niemożliwe. Max miał już doświadczenie w rozmowach ze starszymi ludźmi i wiedział, że ich wspomnienia z czasów młodości bywają zadziwiająco jasne i dokładne. Myśl o rozmowie z kimś, kto znał Biancę osobiście, widział ją na własne oczy - i widział również naszyjnik - wprawiała go w podniecenie. Pokojówka czy służący musieli pamiętać dom takim, jaki był wówczas, znać zwyczaje swoich pracodawców - a także ich sekrety.

Znów pochylił się nad listą, gdy naraz usłyszał:

- Widzę, że pilnie pracujesz.

Podniósł głowę. Lilah stała w progu magazynu, gdzie przechowywano pudła z dokumentami. Na pierwszy rzut oka zauważyła, że przywołała Maksa z przeszłości.

- Przeszkadzam ci w czymś?

- Tak... nie. Robiłem właśnie listę.

- Moja siostra ma taki sam problem. - Lilah pokiwała głową. Ubrana była w powiewną białą sukienkę, w uszach miała malachitowe kolczyki.

- Amanda - domyślił się Max i odłożył ołówek na stół. - Doskonale skatalogowała



wszystkie te informacje.

- Ona ma fioła na punkcie dobrej organizacji.

- Lilah wzruszyła ramionami i oparła się biodrem o stolik, przy którym siedział Max. -

Podoba mi się twoja koszulka.

To była koszulka z homarem, ta sama, którą kupili razem.

- Dziękuję - mruknął. - Myślałem, że jesteś w pracy.

- Wzięłam sobie wolne. - Stała za nim i pochyliła się nad jego ramieniem. - A czy ty nigdy nie bierzesz?

- Czego? - zapytał, czując się idiotycznie.

- Wolnego dnia - uśmiechnęła się, odgarniając włosy z twarzy. - Żeby się rozerwać.

Nie miał żadnych wątpliwości, że ona to robi celowo. Może sprawiało jej przyjemność obserwowanie, jak on robi z siebie idiotę.

- Jestem zajęty - mruknął, wpatrując się w listę, choć nie widział liter. - Bardzo zajęty.

Próbuję wynotować nazwiska wszystkich osób, które pracowały tutaj tamtego lata.

- To wielka robota - stwierdziła Lilah z uznaniem i przysunęła się jeszcze bliżej.

Reakcje Maksa wprawiały ją w znakomity humor. Z całą pewnością nie było to tylko pożądanie. Żaden mężczyzna nie walczyłby tak zaciekle z czystym pożądaniem. - Może ci pomóc?

- Nie, nie. To praca dla jednej osoby - odrzekł pośpiesznie, pragnąc, by Lilah wreszcie sobie poszła. Nie był pewien, jak długo jeszcze będzie w stanie się kontrolować.

- Po jej śmierci musiała tu panować okropna atmosfera. A jak czuł się Christian, gdy przeczytał o tym w gazecie i nie mógł nic zrobić? Chyba bardzo ją kochał. Kochałeś kiedyś kogoś?

Max spojrzał na nią. W jej oczach nie było uśmiechu. Odniósł wrażenie, że to

najpoważniejsze pytanie, jakie kiedykolwiek mu zadała.

- Nie.

- Ja też nie. Jak myślisz, jak to jest?

- Nie mam pojęcia.

- Ale na pewno masz jakieś wyobrażenie. Teorię. Przemyslenia.

Max czuł się jak zahipnotyzowany.

- Chyba to jest tak, że masz swój własny, prywatny świat. Jak sen. Wszystko tam jest wyraźniejsze, trochę niezrównoważone i wyłącznie twoje.

- Podoba mi się ta definicja - stwierdziła. - Masz ochotę pójść na spacer?

- Na spacer? - zdziwił się.

- Ze mną. Na urwisko.

Nie był pewien, czy będzie w stanie utrzymać się na nogach.

- To chyba dobry pomysł - powiedział mimo wszystko. Lilah podała mu rękę. Ujął ją i wyszedł za nią na taras.

Wiatr popychał białe obłoki po błękitnym niebie. Przeszli przez trawnik i zostawili za sobą budynki.

- Nie jestem miłośniczką spacerów, ale czasem chodzę na urwisko - powiedziała

Lilah. - Czuję tam potężne, piękne wspomnienia.

- Twoje? - zapytał Max, znów myśląc o wszystkich mężczyznach, którzy musieli ją kochać.

- Nie. Chyba Bianki. A jeśli nawet nie wierzysz w takie rzeczy, to warto tam pójść dla samego widoku. Jest niesamowity.

Szedł za nią po zboczu. Czuł się dobrze i swobodnie.

- Nie jesteś już na mnie zła - stwierdził.

- Zła? - zdziwiła się, unosząc lekko brwi. Nie zamierzała mu wszystkiego nadmiernie ułatwiać. - Z jakiego powodu?

- Z powodu tamtego wieczoru. Wiem, że się zdenerwowałaś.

- Ach, o tym mówisz.

Ponieważ nie dodała nic więcej, spróbował jeszcze raz:

- Myślałem o tym.

Podniosła na niego oczy pełne tajemnic.

- Naprawdę?

- Tak. Zdaję sobie sprawę, że nie zachowałem się zbyt zręcznie.

- A chciałbyś dostać jeszcze jedną szansę? Max zatrzymał się w miejscu. Lilah roześmiała się głośno i po przyjacielsku pocałowała go w policzek.

- Rozluźnij się. Po prostu zastanów się nad tym. Zobacz, górskie żurawiny już kwitną.

Pochyliła się i delikatnie dotknęła kępy różowych dzwonków, które przywarły do skał.

Zauważył, że ich nie zerwała.

- To najlepsza pora roku dla dzikich kwiatów - powiedziała, prostując się. - A widzisz tutaj?

- Te chwasty?

- A ja myślałam, że jesteś poetą - zaśmiała się i znów wzięła go za rękę. - Lekcja pierwsza.

Po drodze pokazywała mu kępki najrozmaitszych kwiatków, które przedzierały się przez skalne szczeliny. Wskazała dzikie jagody, które miały dojrzeć za miesiąc. Zauważała motyle i pszczoły krążące nisko w trawie. Przy niej najzwyklejsze rzeczy nabierały egzotycznego posmaku.

Zerwała jakiś liść i rozkruszyła w palcach. Pachniał tak samo jak jej skóra.

W końcu stanęli nad przepaścią. Pod nimi szalały spienione fale. Lilah wskazała kilka ptasich gniazd, sprytnie zamocowanych na wąskich skalnych półkach.

- Co za fantastyczny widok - powiedział Max. Z podniecenia nie mógł usiąść. Tak wiele można tu było zobaczyć i poczuć.

- Wiem - pokiwała głową dziewczyna. Usadowiła się wygodnie na skale, wystawiając twarz do słońca. Wiatr rozwiewał jej włosy. Obserwowanie zachwytu Maksa sprawiało jej wielką przyjemność. Rana na jego skroni już prawie się zagoiła, pozostała jednak blizna, która dodawała dziwnego uroku jego inteligentnej twarzy.

- Dobrze wyglądasz, Max - powiedziała, zaplatając ramiona wokół kolan.

Z roztargnieniem spojrział na nią przez ramię.

- Co powiedziałaś?

- Że dobrze wyglądasz. Jesteś bardzo przystojny. - Zaśmiała się na widok wyrazu jego twarzy. - Czy nikt ci jeszcze nie mówił, że jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną?

W co ona teraz próbuje grać? zastanawiał się Max.

- Chyba nie - wzruszył ramionami.

- Żadna studentka, żadna specjalistka od literatury angielskiej? W takim razie wiele straciłeś. Przypuszczam, że niejedna próbowała zwrócić na siebie twoją uwagę, ale ty byłeś za głęboko zakopany w książkach, żeby to zauważyć.

Max ściągnął brwi.

- Nie żyłem jak mnich - stwierdził krótko.

- Nie - uśmiechnęła się Lilah. - To zdążyłam już zauważyć.

Znów go prowokowała. On jednak nie miał zamiaru po raz drugi popełniać tego samego błędu.

- Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać - poskarżył się.

- Dziękuję.

- To nie był komplement.

- Jeszcze lepiej. Ale lubisz rzeczy przewidywalne, prawda, profesorze? Lubisz wiedzieć, co się zdarzy za chwilę.

- Tak samo jak ty lubisz mnie denerwować. Lilah roześmiała się i wyciągnęła do niego rękę.

- Przepraszam cię, Max, ale czasem nie potrafię się oprzeć. Chodź, usiądź tu.

Obiecuję, że będę grzeczna.

Ostrożnie, mając się na baczności, usiadł obok niej. Lilah przyjaźnie poklepała go po udzie.

- Chcesz, żebyśmy byli kumplami? - zapytała.

- Kumplami?

- No, tak - potwierdziła z rozbawieniem. - Lubię cię. Lubię twój poważny umysł i szczerą duszę. Podoba mi się, jak kręcisz się niespokojnie, gdy czujesz się skrepowany...

- Nie kręcę się!

- ...twój autorytatywny ton, gdy coś cię zirytuje. A teraz ty mi powiedz, co lubisz we mnie.

- Muszę pomyśleć.

- Powinam jeszcze dodać twoje cierpkie poczucie humoru.

Max musiał się uśmiechnąć.

- Jesteś najbardziej spójną wewnątrznie osobą, jaką znam. - Zatrzymał wzrok na jej twarzy. - Jesteś dobra, ale nie okazujesz tego ostentacyjnie. Jesteś bardzo bystra, ale tego też nie okazujesz ostentacyjnie. Chyba w ogóle nie lubisz ostentacji.

- Jest zbyt męcząca - przyznała Lilah. Słowa Maksa napełniły ją dziwnym ciepłem. -

Czy w takim razie mogę uważać, że jesteśmy przyjaciółmi?

- Możesz.

- To dobrze. - Uścisnęła jego dłoń. - Bo to ważne, żebyśmy byli przyjaciółmi, zanim zostaniemy kochankami.

Max omal nie spadł ze skały.

- Przepraszam?

- Obydwoje wiemy, że tego chcemy - uśmiechnęła się cierpliwie. Przemysłała sobie wszystko i była pewna - no, prawie zupełnie pewna - że tak będzie najlepiej dla nich obydwójga. - Uspokój się, w tym stanie to nie jest przestępstwo.

- Lilah, zdaję sobie sprawę, że... to znaczy wiem, że się do ciebie zalecałem...

- „Zalecałem” - powtórzyła z rozczeniem i dotknęła jego policzka. - Och, Max.

- Nie jestem dumny ze swojego zachowania - rzekł. - Nie chciałbym...

Lilah znów poczuła się zraniona i odrzucona.

- Nie chcesz pójść ze mną do łóżka? Max poczuł, że robi mu się słabo.

- Oczywiście, że chcę. Każdy mężczyzna...

- Nie mówię o każdym mężczyźnie. Mówię o nas, o mnie i o tobie, tutaj i teraz. - Z

ferworem zerwała się ze skały. - Chcę wiedzieć, co ty naprawdę czujesz. Gdyby interesowały mnie uczucia każdego mężczyzny, to wzięłabym telefon albo pojechałabym do miasta i zapytała pierwszego z brzegu.

Max przyjrzał się jej uważnie, nie ruszając się z miejsca.

- Jak na osobę, która większość rzeczy robi powoli, masz zadziwiająco gwałtowny temperament.

- Nie mów do mnie tym profesorskim tonem. Tym razem to on musiał się uśmiechnąć.

- Myślałem, że to ci się podoba.

- Zmieniłam zdanie.

Zaskoczona własną irytacją, spojrzała na wodę, żeby się uspokoić. Zwykle spokój przychodził jej bez trudności.

- Wiem, co o mnie myślisz.

- Nie mam pojęcia, jak możesz wiedzieć, skoro ja sam nie jestem pewien. - Max wzruszył ramionami. - Lilah, jesteś piękną kobietą...

Obróciła się na pięcie, wzrokiem ciskając pioruny.

- Słowo daję, jeśli jeszcze raz mi to powiesz, to chyba cię uderzę.

- Co? - Max z bezgranicznym zdumieniem przesunął ręką po włosach. - Dlaczego?

Boże, ja już nic nie rozumiem.

- Nie chcę słyszeć, że moje włosy mają kolor zachodzącego słońca, a oczy przypominają morską pianę! To wszystko już słyszałam i nic mnie to nie obchodzi!

Max pomyślał, że żywot mnicha ma jednak swoje zalety.

- A co chciałabyś usłyszeć?

- Nie będę ci mówić, co chciałabym usłyszeć, bo jaki to wtedy miałoby sens?

- Ja już zupełnie nie rozumiem, o co tu chodzi - westchnął Max w ostatecznej desperacji. - W jednej chwili rozmawiamy o kwiatkach i przyjaźni, a w następnej pytasz, czy chcę pójść z tobą do łóżka. Jak ja powinienem na to zareagować? Lilah przymrużyła oczy.

- Ty sam mi to powiedz.

Max stwierdził, że jeśli ma zatonać, to równie dobrze może pójść na dno pełną parą.

Pochwyił ją za ramiona, przyciągnął bliżej i pocałował gwałtownie. Lilah wyczuwała w tym pocałunku jego gniew, frustrację i namiętność. Te same emocje kłębiły się również i w niej.

Po raz pierwszy walczyła z nim, usiłując pohamować reakcje własnego ciała, a on po raz pierwszy ignorował jej protesty. To coś nowego, pomyślała Lilah. Jeszcze żadnemu

mężczyźnie nie udało się zmusić jej, by poczuła coś wbrew własnej woli. Nie chciała tego pragnienia, tej desperacji. Od czasu ostatniego zetknięcia z Makssem udało jej się przekonać siebie, że miłość może być wygodnym, bezbolesnym uczuciem, o ile tylko ona okaże się wystarczająco bystra. A jednak cierpienie znów się pojawiło i żadna namiętność nie była w stanie go przysłonić.

Max oderwał usta od jej warg i wbił palce w jej ramiona.

- Czy tego właśnie chcesz? - zapytał. - Czy chcesz, żebym zapomniał o wszelkich zasadach, o wszelkiej przyzwoitości? Chcesz wiedzieć, co czuję? Za każdym razem, gdy jestem przy tobie, myślę tylko o tym, żeby cię dotknąć. A gdy cię dotykam, chcę cię zaciągnąć w jakieś odludne miejsce i kochać się z tobą, aż zapomnisz, że był w twoim życiu jakikolwiek inny mężczyzna.

- Więc dlaczego tego nie zrobisz?

- Bo zależy mi na tobie! Bo cię szanuję. Za bardzo cię szanuję, żeby zgodzić się na rolę kolejnego faceta w twoim łóżku!

W oczach Liii błysnęła czułość.

- Nie byłbyś - powiedziała cicho, podnosząc dłoń do jego twarzy. - Max, jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ty.

Nic nie odpowiedział, ale wątpliwości w jego oczach sprawiły, że opuściła rękę.

- Nie wierzysz mi.

- Odkąd cię spotkałem, nie potrafię jasno myśleć. Chyba można powiedzieć, że mnie zaślepiasz.

Lilah opuściła wzrok. Omal nie wyjawiała mu wszystkiego, co leżało jej na sercu. A tymczasem byłoby to tylko kolejne upokorzenie dla niej, zażenowanie dla niego. Skoro ich związek miał się ograniczyć tylko do płaszczyzny fizycznej, musiała znaleźć w sobie siłę, by



to zaakceptować.

- Może zostawimy to na razie. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Chyba za bardzo poważnie traktujemy siebie. - Pocałowała go miękko. - Jesteśmy przyjaciółmi?

Max powoli wypuścił oddech.

- Jasne.

Lilah wsunęła rękę w jego dłoń.

- Wracajmy do domu. Mam ochotę na drzemkę.

W godzinę później Max siedział na tarasie przy swoim pokoju, pogrążony w myślach.

Obok niego leżał zapomniany notatnik.

W żaden sposób nie potrafił zrozumieć tej kobiety i był pewien, że nigdy jej nie zrozumie, nawet gdyby poświęcił na to kilkadziesiąt najbliższych lat. Ale zależało mu na niej, a poza tym własne uczucia wzbudzały w nim lęk. Co on, zwykły wykładowca w college'u, mógł zaproponować tak olśniewającej i egzotycznej kobiecie, wolnej duszy, która emanowała seksem, jak niektóre kobiety emanują zapachem perfum? Jak miał jej powiedzieć, że obawia się pójść za własnymi instynktami, bo gdyby raz im uległ, to już nigdy nie byłby w stanie wyzwolić się od niej? Dla niej byłby to tylko letni romans, dla niego doświadczenie zmieniające całe życie. Wiedział, że w życiu Lii nie ma dla niego miejsca. Miał tylko nadzieję, że uda mu się jeszcze na jakiś czas powściągnąć własne emocje, zanim zaprowadzą go za daleko, i że już za kilka tygodni wróci do swego uporządkowanego życia. Na razie zaś powinien trzymać się zasady, że towarzystwo książek jest dla niego odpowiedniejsze niż towarzystwo kobiet.

Trent, który szedł okrężną drogą do zachodniego skrzydła, zauważył go i zatrzymał się przy jego krześle.

- Max, przeszkodziłem ci w czymś? Max zerknął na zamknięty notatnik.

- Nie.

- Wyglądałeś, jakbyś zastanawiał się nad rozwiązaniem jakiejś szczególnie trudnej zagadki. Czy to miało coś wspólnego z naszymi? Czy to miało coś wspólnego z naszymi?

- Nie. Z kobietami. Trent uniósł brwi.

. - Aha. W takim razie życzę ci powodzenia. Szczególnie jeśli chodzi o kobietę z rodziny Calhounów.

- Lilah. - Max pokręcił głową i ze znużeniem przesunął dłoń po twarzy. - Im więcej o niej myślę, tym mniej rozumiem.

- To doskonały początek związku - uśmiechnął się Trent, a ponieważ czuł się pewny własnej kobiety, przysiadł na sąsiednim krześle i wdał się w pogawędkę. - Lilah jest fascynującą osobą.

- Doszedłem do wniosku, że bardziej pasuje tu słowo: niezrównoważona.

- Jest też piękna.

- Nie wolno jej tego powiedzieć - skrzywił się Max - bo grozi rękoczynami. Czy C. C. też się tak zachowuje?

- Nie posuwa się aż tak daleko.

- Myślałem, że to może jakiś rodzinny gen. - Max w zamyśleniu postukał ołówkiem w notes. - Niewiele wiem o kobietach.

- W takim razie może ja powiem ci wszystko, co wiem - rozpromienił się Trent i zaczął odliczać na palcach. - Są frustrujące, podniecające, zadziwiające, fantastyczne i wkurzające.

Max odczekał chwilę.

- To już wszystko?

- Tak - mruknął Trent i podniósł rękę w pozdrowieniu. Na tarasie pojawił się Sloan.

- Przerwa na kawę? - zapytał i wyjął z kieszeni cygaro.

- Rozmawiamy o kobietach - wyjaśnił Trent. - Może coś dodasz do mojej krótkiej charakterystyki.

Sloan powoli zapalił cygaro.

- Uparte jak muły, wredne jak koty, ale nigdzie nie znajdziesz lepszej rozrywki - mruknął po chwili.

Wydychał dym i uśmiechnął się do Maksa. - Podoba ci się Lilah, tak?

- No cóż, ja...

- Nie wstydź się - poradził mu dobrotliwie Sloan.

- Jesteś wśród swoich.

Max nie przywykł do rozmów o kobietach, a szczególnie o swoich uczuciach do kobiet.

- Trudno się chyba dziwić, że jestem zainteresowany - mruknął.

Sloan wybuchnął donośnym śmiechem i mrugnął do Trenta.

- Chłopie, gdybyś nie był zainteresowany, toby znaczyło, że nie żyjesz. Więc na czym polega twój problem?

- Nie mam pojęcia, jak z nią postępować. Usta Trenta zadrgały.

- To brzmi znajomo. A co byś chciał z nią zrobić? Max rzucił mu przeciągłe, wymowne spojrzenie.

Obydwaj jego towarzysze znów zanieśli się śmiechem.

- No, właśnie - mruknął Sloan z satysfakcją.

- A czy ona też jest zainteresowana?

Max odchrząknął.

- No cóż, dała mi do zrozumienia, że..., to znaczy, byliśmy dzisiaj na urwisku i ona...

no, tak.

- Ale? - podsunął Trent.

- Ale ja już wpadłem po uszy.

- W takim razie najlepiej od razu zejść na samo dno - poradził mu Sloan, wpatrując się w czubek swojego cygara. - Bo jeśli ją unieszczęśliwisz, to będziesz miał ze mną do czynienia. Bardzo ją lubię.

Max przyglądał mu się przez chwilę, a potem odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- Nie ma sposobu, żeby wygrać w tej grze. Chyba już się o tym przekonałem.

- To dopiero pierwszy etap - wyjaśnił Trent.

- A skoro jesteśmy tu sami, bez pań, to chyba powinienem wam powiedzieć, że dostałem informacje od policji o tym Hawkinsie. Jasper Hawkins, przemytnik, pochodzi z Miami. Znany jako współpracownik naszego przyjaciela Livingstona.

- No, no - mruknął Sloan.

- Zdaje się, że Livingston i Caufield to ta sama osoba. Łodzi jeszcze nie odnaleziono.

- Zastanawiałem się nad tym - wtrącił Max.

- Możliwe, że woleli zatrzeć za sobą ślady. Nawet jeśli uznali, że nie żyją, to musieli wziąć pod uwagę, że ciało w końcu zostanie odnalezione i zidentyfikowane. I że rozpoczną się poszukiwania.

- Więc ukryli gdzieś łódź - mruknął Trent. Max rozłożył szeroko ręce.

- Albo zamienili na inną. Ale jestem pewien, że się nie wycofali. Caufield ma obsesję na punkcie tego naszyjnika. Może zmienić taktykę, ale na pewno się nie podda.

Trent wzruszył ramionami.

- My też nie.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia. Z drzwi na końcu tarasu wybiegła C. C.

Zauważyła ich i podeszła bliżej, promieniejąc.

- Co się stało? - zdziwił się Trent. - Co ty robisz w domu o tej porze?

- Nic. Nic się nie stało. - Z głośnym śmiechem zarzuciła mu ręce na szyję. - Kocham cię!

- Ja też cię kocham - rzekł Trent, patrząc uważnie na jej twarz. Policzki miała zarumienione, oczy błyszczące i wilgotne. - Zdaje się, że masz jakieś dobre wiadomości.

- Najlepsze z możliwych! - Zerknęła przez ramię na Sloana i Maksa. - Przepraszam - powiedziała i pociągnęła Trenta w stronę ich sypialni. W połowie drogi jednak Wybuchnęła: - Och, nie mogę już wytrzymać! Gdy dostałam wyniki testów, chyba pokonałam barierę dźwięku, wracając o domu!

- Jakich testów? Jesteś chora?

- Jestem w ciąży. - Wstrzymała oddech, patrząc na jego twarz, na której troska zmieniła się w szok, a szok w zachwyty.

- Ty... w ciąży? - Trent zatrzymał spojrzenie na jej płaskim brzuchu, a potem znów podniósł je wyżej.

- Dziecko? Będziemy mieli dziecko?

Porwał ją w ramiona i zawirował.

- Co im się stało? - zdziwił się Sloan.

- Mężczyźni - westchnęła Lilah, wysuwając się na taras zza innych drzwi. - Jesteście wszyscy tacy tępi. Będziemy mieli dziecko.

- A niech mnie - jęknął Sloan. Podeszedł do Trenta, poklepał go po plecach i pocałował C. C.

Max usłyszał za swoimi plecami na wpół westchnienie, na wpół szloch.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne - uśmiechnęła się Lilah, ocierając łzę.

- To moja najmłodsza siostra! - Pociągnęła nosem i z wdzięcznością przyjęła od Maxa chusteczkę. - Na tobie można polegać. Czy mogę ją na razie zatrzymać? Musimy jeszcze zejść na dół i zawiadomić resztę rodziny.

- Oczywiście. - Niepewny, jak się zachować, Max wetknął ręce do kieszeni spodni.

- Chodź, zobaczymy, czy jest jakiś szampan w lodówce.

- Ja chyba zostanę tutaj. Nie chciałbym przeszkadzać.

Lilah stanowczo wzięła go za rękę.

- Nie bądź głupi, profesorze. Chcesz tego, czynie, należysz już do rodziny.

Pozwolił jej się prowadzić i odkrył przy okazji, że bardzo mu się to podoba.

*Zaczęło się od bezdomnego szczeniaka. Był taki biedny, bezradny i oszołomiony. Nie mam pojęcia, skąd wziął się na urwisku. Może ktoś go tam wyrzucił, a może sam zgubił swoją mamę. Znaleźliśmy go obydwój z Christianem pewnego złocistego popołudnia. Próbował się schować wśród kamieni. Był wygłodzony i skamlał. Przypominał kuleczkę składającą się z kości i zmierzwionego czarnego Jutra.*

*Christian z niezmierną cierpliwością wywabił go z kryjówki, przemawiając do niego łagodnie i podsuwając mu okruchy chleba i sera. Ta dobroć mężczyzny, którego kocham, poruszyła mnie do głębi. Dla mnie zawsze jest czuły, ale widziałam w nim również gorączkową niecierpliwość, gdy malował, i czułam namiętność graniczącą z gwałtownością, gdy trzymał mnie w ramionach.*

*Ale wobec szczeniaka był niezmiernie łagodny. Pies chyba to wyczuł, bo polizał go po ręce i pozwolił się pogłaskać.*

- Twarda sztuka, prawda? - zaśmiał się Christian.

*- Przydałaby mu się kąpiel - powiedziałam, ale również wybuchnęłam śmiechem, gdy brudne łapy oparły się na mojej sukni. - I porządny posiłek.*

*Pies polizał mnie po twarzy, drżąc z radości. Oczywiście natychmiast się w nim zakochałam. Bawiliśmy się z nim jak dzieci i w końcu pokłóciliśmy się o to, jak go nazwać. Stało na imieniu Fred. Szczeniak chyba je zaakceptował, bo zaszczekał radośnie, podskakując na piasku. Nigdy nie zapomnę tego, jak siedzieliśmy tam razem, udając, że zabierzemy go do naszego domu i obydwójce będziemy się nim opiekować.*

*W końcu to ja zabrałam Freda ze sobą. Ethan już od dawna chciał mieć jakieś zwierzątko. Uznałam, że jest już wystarczająco duży, by zacząć uczyć się odpowiedzialności. Nie potrafię opisać tego, co się działo, gdy wniosłam Freda do pokoju dzieciennego. Podniecone dzieci kłóciły się o to, w jakiej kolejności mogą go potrzymać. Szczeniak czuł się jak król.*

*Został wykąpany i nakarmiony z wielką pompą, a potem, głaskany, przytulany i łaskotany, w końcu usnął z wyczerpania.*

*Wtedy Fergus wrócił do domu. Z podniecenia zupełnie zapomniałam o naszych planach na wieczór. Z pewnością Fergus miał prawo do irytacji, gdy przekonał się, że nie jestem ubrana i gotowa do wyjścia. Podniecone dzieci biegały po domu, powiększając jeszcze jego zniecierpliwienie. Mały Ethan, niczym świeżo upieczony ojciec, przyniósł Freda do salonu.*

*- Co ty tam, do diabła, masz? - zapytał Fergus.*

*- Psa - wyjaśnił Ethan, podsuwając go ojcu pod nos. - Nazywa się Fred.*

*Na widok wyrazu twarzy męża zabrałam szczeniaka z rąk chłopca i zaczęłam wyjaśniać, skąd się tu wziął. Miałam chyba nadzieję, że uda mi się przemówić do lepszej strony charakteru Fergususa, wzbudzić w nim jakieś uczucia, a przynajmniej dumę z syna.*

*Łudziłam się jednak.*

*- Nie będę trzymał kundla w domu. Czy myślisz, że przez całe życie harowałem po to, żeby teraz jakiś zapchlony przybłęda moczył mi dywany i obgryzał draperie?*

*- On będzie grzeczny - obiecywała Colleen, ciągnąc mnie za spódnicę. - Proszę cię, tato. Będziemy go trzymać w naszym pokoju i dobrze pilnować.*

*- Nic z tego, moja damo - prychnął Fergus, nie zważając na łzy w oczach córki, i zwrócił się do Ethana, którego oczy również błyszczały podejrzanie. Wyraz jego twarzy odrobinę złagodniał. W końcu to był jego pierwszy syn, dziedzic majątku i spadkobierca nazwiska. - Kundel nie jest dla ciebie odpowiednim towarzyszem zabaw, chłopcze. Jeśli chcesz mieć psa, to poszukamy odpowiedniego w Nowym Jorku. Pięknego psa, z rodowodem. Ethan patrzył na ojca błagalnie.*

*- Ja chcę Freda!*

*Nawet mały Sean zaczął płakać, choć wątpię, by rozumiał sytuację.*

*- To jest wykluczone - rzekł Fergus. Jego cierpliwość najwyraźniej już zaczynała się wyczerpywać. Podszedł do stolika i nalał sobie whiskey. - Ten pies jest tu zupełnie nie na miejscu. Blanca, każ komuś ze służby wyrzucić go za drzwi.*

*Musiałam być równie blada jak dzieci. Fred zaskamlał i przycisnął pyszczek do mojej piersi.*

*- Nie możesz być tak okrutny - błagałam.*

*W jego oczach odbiło się zdziwienie. Widocznie nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogę się odezwać do niego w ten sposób przy dzieciach.*

*- Proszę wykonać polecenie.*

*- Ale mama mówiła, że będzie mógł z nami zostać! - zaczęła mówić Colleen podniesionym głosem. - Mama obiecała! Nie możesz go wyrzucić! Mama ci nie pozwoli!*



- To ja rządę tym domem. Uważaj, jak się do mnie odzywasz, jeśli nie chcesz dostać w skórę.

Obronnie objęłam Colleen za ramiona. On nie podniesie ręki na moje dzieci. Myśl, że mógłby to zrobić, doprowadziła mnie do ślepej furii.

- *Idź teraz na górę, do niani - powiedziałam cicho. - I zabierz ze sobą braci.*

- *On nie zabije Freda! Nienawidzę go i nie pozwolę mu zabić Freda!*

*Czy istnieje coś bardziej bezwzględnego od gniewu dziecka?*

- *Ćśśś - uspokajałam ją. - Obiecuję ci, że nic złego nie stanie się Fredowi. Wszystko będzie dobrze. Idź do niani.*

- *Kiepsko je wychowałaś, Bianco - stwierdził Fergus, gdy dzieci wyszły z pokoju. -*

*Dziewczynka jest już dość duża, by znać swoje miejsce.*

*Moje oburzenie przerosło wszelką miarę.*

- *Swoje miejsce? A jakie jest jej miejsce? Czy ma siedzieć cicho w kącie ze złożonymi rękami, zachowując dla siebie wszystkie swoje myśli, do czasu gdy znajdziesz jej odpowiedniego kandydata na męża? To są dzieci, nasze dzieci! Jak możesz je tak ranić?!*

*Jeszcze nigdy podczas trwania naszego małżeństwa nie używałam takiego tonu wobec męża. Nigdy nie sądziłam, że będę mówić do niego w ten sposób. Przez chwilę byłam pewna, że mnie uderzy. Widziałam to w jego oczach. Opanował się jednak, choć jego palce zaciśnięte na szklance pobielały.*

- *Sprzeciwiasz mi się, Bianco? - zapytał z pobladłą twarzą i pociemniałymi oczami. -*

*Czy zapomniałaś, w którym domu jesteś, kto cię żywi i kto cię ubiera?*

- *Nie - odrzekłam. - Nie zapomniałam. Nie mogę tego zapomnieć. Ale wołałabym nosić lachmany i głodować, niż widzieć, jak w ten sposób ranisz moje dzieci. Nie pozwolę ci zabrać im psa i zabić.*

- Nie pozwolisz? - powtórzył, tym razem czerwony z wściekłości. - Teraz to ty

zapominasz, jakie jest twoje miejsce w tym domu! Trudno się dziwić, że dzieci takiej matki otwarcie mi się przeciwstawiają!

- Potrzebują twojej miłości, twojej uwagi! - krzyczałam. - Tak samo jak ja! Ale ty kochasz tylko pieniądze i swoją pozycję!

Jakże gorzka była ta kłótnia. Nie chcę powtarzać słów, którymi mnie obrzucał. Rzucił szklanką o ścianę. Kryształ roztrzaskał się na drobne kawałki. W jego oczach pojawił się dziki, szalony wyraz. Zacisnął dłonie na mojej szyi. Obawiałam się o własne życie i o dzieci. Pchnął mnie tak mocno, że upadłam na krzesło, i patrzył na mnie, oddychając szybko. Powoli, z wielkim wysiłkiem, opanował się wreszcie.

- Teraz widzę, że byłem dla ciebie za dobry. Od tej chwili wszystko się zmieni. Nie sądz, że będziesz mogła w dalszym ciągu robić, co ci się spodoba. Nie wyjdziemy nigdzie dzisiaj wieczorem. Mam sprawy do załatwienia w Bostonie. Poszukam tam odpowiedniej guwernantki. Czas już, żeby dzieci naliczyły się szacunku dla starszych i by zaczęły doceniać swoje położenie. Przy tobie i niani stają się samowolne i rozkapryszone.

Wyjął z kieszeni zegarek i sprawdził godzinę.

- Wyjeżdżam jeszcze dziś wieczorem. Wrócę za dwa dni. Spodziewam się, że po moim powrocie będziesz pamiętała o swoich obowiązkach. Jeśli ten kundel nadal tu będzie, ukarzę zarówno ciebie, jak i dzieci. Czy wyrażam się jasno, Bianco?

- Tak - odrzekłam drżącym głosem. - Zupełnie jasno.

- Doskonale. W takim razie zobaczymy się za dwa dni.

Wyszedł z salonu. Ja pozostałam tam jeszcze przez godzinę. Słyszałam, jak przed dom zajechał powóz i Fergus wydał służbie ostatnie instrukcje. Do tego czasu moje myśli przejaśniły się i wiedziałam już, co powinnam zrobić.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Po co właściwie babrzemy się w tych papierach? - zapytał Hawkins ze złością, chodząc od ściany do ściany pokoju w wynajętym domu. Nigdy nie odznaczał się cierpliwością i wolał używać pięści niż mózgu.

Jego towarzysz, obecnie występujący pod nazwiskiem Robert Marshall, siedział przy dębowym biurku i starannie przeglądał dokumenty, które przed miesiącem ukradł w Towers. Włosy miał przefarbowane na nijaki brąz. Zapuścił również brodę i wąsy.

- Zadałem sobie wiele trudu, żeby zdobyć te papiery - odrzekł łagodnie. - A teraz, gdy nie mamy już profesora, muszę sam się nimi zająć. Po prostu zajmie nam to trochę więcej czasu.

- Cała ta sprawa śmierdzi - warknął Hawkins, wyglądając przez okno. Dom stał w zacisznej uliczce, osłonięty szpalerem drzew, pomiędzy którymi widać było fragmenty zatoki. Te skrawki błękitu dodatkowo denerwowały Hawkinsa. Spędził wiele lat w więzieniu i nie cierpiał zamknięcia, nawet w tak uroczym miejscu.

- Możliwe, że będziemy musieli tkwić tu przez parę tygodni - mruknął, stając plecami do okna.

- Zajmij się podziwianiem widoków - odrzekł Caufield cierpliwie. Tolerował temperament Hawkinsa, gdyż potrzebował jego pomocy. - Ja osobiście wolę ten dom od łodzi. Znalezienie go kosztowało nas wiele zachodu i pieniędzy.

Hawkins zapalił papierosa.

- To następna sprawa. Wydaliśmy już kupę szmalu i jak na razie mamy z tego tylko trochę starych kwitów.

- Zapewniam cię, że szmaragdy są tego wszystkiego warte.

- Jeśli w ogóle istnieją.

- Istnieją - rzekł Caufield bez odrobiny wątpliwości. - I jeszcze przed końcem lata

będę je miał w ręku. Będą moje.

- Nasze - poprawił Hawkins.

Caufield podniósł na niego wzrok i uśmiechnął się.

- Nasze, oczywiście.

Max doszedł do wniosku, że im szybciej wykona swoje zobowiązanie wobec

Calhounów i będzie mógł wrócić do Cornell i swego zwykłego, spokojnego trybu życia, tym

lepiej dla niego. Toteż zaraz po kolacji znów usiadł nad listą osób, które pracowały w Towers

latem tysiąc dziewięćset trzynastego roku. Po jakimś czasie stwierdził, że potrzebna mu jest

pomoc Amandy. Zgarnął notatki i poszedł jej poszukać.

Była w swoim pokoju, również pochylona nad listą - listą gości na ślubie, który miał

się odbyć za trzy tygodnie.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedział Max nieśmiało.

- Nie przeszkadzasz - uśmiechnęła się, zsuwając okulary na czubek nosa. - Kontroluję

wszystko oprócz własnych nerwów.

Złożyła swoje papiery i odsunęła je na brzeg biurka.

- Myślałam o tym, żeby wziąć ślub potajemnie, ale ciocia Coco zjadłaby mnie

żywcem - westchnęła.

- Przypuszczam, że przygotowania do ślubu zajmują bardzo dużo czasu.

- Organizowanie nawet niewielkiej uroczystości rodzinnej to jak planowanie poważnej

ofensywy. Albo spektakl w cyrku - roześmiała się. - Żonglujesz fotografiami, kolorami,

przymiarkami i bukietami. Ale zaczynam już się w tym rozeznawać. Zajmowałam się też

ślubem C. C, więc powinno mi się udać i tym razem. Tylko że nie wiadomo dlaczego, czuję

się okropnie przestraszona i chciałabym przestać myśleć o tym wszystkim choć na chwilę.

Więc powiedz mi, co ci chodzi po głowie.

- Tu jest spis, który opracowałem. Nie wiem, w jakim stopniu jest kompletny -

powiedział Max, kładąc przed nią listę. - Nazwiska służących, wszystkie, jakie udało mi się odnaleźć. Pracowali tu tego lata, gdy Bianca zginęła.

Amanda wydeła usta i znów nałożyła okulary. Podobał jej się równy charakter pisma Maksa i schludne kolumny na papierze.

- Aż tyle tego? - zdziwiła się.

- Według ksiąg, które przejrzałem. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy odszukać ich rodziny albo ich samych. Może niektórzy jeszcze żyją.

- Ktoś, kto pracował tu w tysiąc dziewięćset trzynastym roku, teraz musiałby mieć już ponad sto lat.

- Niekoniecznie. Na pewno zatrudniano tu również bardzo młode osoby. Pokojówki, pomoce kuchenne czy ogrodowe. Wiem, że mierzę daleko, ale... - wzruszył ramionami.

Amanda pokiwała głową, nie spuszczać oczu z listy.

- Wcale nie. Podoba mi się ten pomysł. Nawet jeśli nie znajdziemy nikogo, kto wtedy tu pracował, to mogli przecież opowiadać coś dzieciom. Niektórzy na pewno pochodzili stąd.

- Podniosła wzrok. - Dobra robota, Max.

- Mogę ci pomóc odszukać miejscowych.

- Pomoc na pewno mi się przyda. To nie będzie łatwe. Może podzielimy tę listę na pół i zaczniemy od jutra? Myślę, że kucharz, kamerdyner, gospodyni, osobista pokojówka Bianki i niania przyjeżdżali tu z Nowego Jorku.

- Ale niższe stanowiska na pewno były obsadzone przez miejscowych.

- No właśnie. Spróbujmy wydzielić te niższe stanowiska, a potem porobić odnośniki...

- Urwała, gdy Sloan wszedł do pokoju z butelką szampana i dwoma kieliszkami.

- Wystarczy cię spuścić z oka na pięć minut, i już zaczniesz zabawiać innych mężczyzn - zagrział groźnie. - A w dodatku słyszałem coś o odnośnikach. Zdaje się, że sprawa jest poważna.

- Nie przerobiliśmy jeszcze całej listy - wyjaśniła słodko Amanda.

- To znaczy, że przyszedłem w samą porę. Wyjął ołówek z jej ręki i przyciągnął ją do siebie.

- Jeszcze chwila, a oboje bylibyście zaabsorbowani głębokimi korelacjami.

Max uznał, że nie jest tu już do niczego potrzebny. Amanda i Sloan zdążyli już zapomnieć o jego obecności i całowali się jak szaleni. Spojrzał na nich przez ramię z odrobiną zazdrości. Uśmiechali się do siebie, nie mówiąc nic.

Wrócił do swojego pokoju i zdecydował, że przez resztę wieczoru zajmie się notatkami do swojej książki. A może nawet, jeśli wystarczy mu odwagi, usiądzie do starej maszyny do pisania, którą Coco gdzieś dla niego znalazła. Powinien wreszcie uczynić ten wielki krok i zacząć pisać swoją powieść, zamiast wiecznie się do tego przygotowywać. Spojrzał na wysłużonego remingtona i poczuł ściskanie w żołądku. Korciło go, by usiąść, położyć palce na tych klawiszach, ale myśl o białej kartce papieru wzbudzała w nim przerażenie.

Powiedział sobie, że musi się przygotować. Trzeba było najpierw poukładać książki w odpowiednim porządku, uporządkować notatki, ustawić lampkę we właściwym miejscu, zająć się tysiącem innych szczegółów.

Wkrótce jednak wszystko było gotowe i nie przychodziło mu do głowy nic, co jeszcze mógłby zrobić. Trzeba było napisać pierwsze zdanie. Usiadł przy maszynie i zwinął dłonie w pięści.

Dlaczego właściwie sądził, że potrafi napisać powieść? Wykład, artykuł - to co

innego. Tego się nauczył. Ale nie można było nikogo nauczyć, jak się pisze powieści. Do tego potrzebna była wyobraźnia, dowcip i wycucie dramatyzmu. Po co zaczynać coś, co na pewno okaże się porażką? Dopóki wszystko kończyło się na rozmyślaniach i przygotowaniach, nie podejmował żadnego ryzyka. Mógł się tak przygotowywać jeszcze przez wiele lat. A jeśli naprawdę zacznie pisać, to już nie będzie odwrotu. Porażka będzie oznaczała koniec jego marzeń.

Powoli przesuwając palcami po klawiszach i gdy pierwsze zdanie napisało się jakby mimowolnie, wypuścił długo wstrzymywany oddech.

W trzy godziny później miał już całe dziesięć stron. Historia, którą tak długo obracał w myślach, zaczynała nabierać realnego kształtu. Wiedział, że prawdopodobnie jest beznadziejna, ale to nie miało znaczenia. Była jego. Naprawdę pisał. Ten proces wydawał mu się fascynujący, rozbudzał w nim euforię. Stukot klawiszy stał się najpiękniejszym dźwiękiem na świecie.

Zrzucił koszulę i buty i siedział pochylony nad klawiaturą, ze zmarszczonymi brwiami i rozproszonym spojrzeniem. Palce szybko biegły po klawiszach, a potem zatrzymywały się i czekały, aż w jego głowie sformułuje się nowa myśl.

Takim zobaczyła go Lilah. Zupełnie zapomniał, że zostawił otwarte drzwi na taras. W pokoju było ciemno, paliła się tylko lampka na biurku. Lilah przez dłuższą chwilę stała cicho w drzwiach i patrzyła na niego, zafascynowana jego zupełną koncentracją, oczarowana opadającymi na czoło włosami.

Ten sam instynkt, który wcześniej zaprowadził ją na plażę w czasie sztormu, teraz kazał jej przyjść tutaj. Jak mogła się trzymać z dala od Maksa, skoro była zakochana w nim po uszy? Wiedziała, że decyzja musi należeć do niej. Max nie zechciałby wziąć od niej niczego, czego sama by mu nie oferowała. Wstała więc ze swojego łóżka i przyszła do niego.

Powiew wiatru wpadający przez otwarte drzwi poniósł jej zapach w stronę biurka.

Max podniósł głowę i zobaczył ją, owiniętą w biały szlafrok, z włosami rozpuszczonymi na ramionach. Na tle czarnego nieba wyglądała, jakby zeszła z obrazu.

- Lilah - szepnął, niepewny, czy to iluzja, czy rzeczywistość.

- Miałam sen - powiedziała cicho. - O tobie i o mnie. Świecił księżyc. Czułam jego światło na skórze. A potem ty mnie dotknąłeś i nie czułam już niczego innego. To był piękny sen. - Podeszła bliżej. - A potem obudziłam się i byłam sama.

- Jest późno - powiedział Max z trudem. - Nie powinnaś tu być.

- Dlaczego?

- Bo... bo to jest...

- Niewłaściwe? - podsunęła, odgarniając włosy z jego czoła. - Lekkomyślne?

Niebezpieczne?

- Tak. Wszystko naraz.

- Ale ja mam ochotę być lekkomyślna, A ty? Palce Maksa, zaciśnięte na oparciu krzesła, pobielaly.

- Jest jeszcze kwestia szacunku. Lilah uśmiechnęła się ciepło.

- Szanuję cię, Max.

- Nie, to znaczy... Przecież uzgodniliśmy, że będziemy przyjaciółmi.

- Jesteśmy.

- A to jest...

- Coś, czego chcemy obydwójce - dokończyła i pochyliła się w jego stronę. Max szarpnął się do tyłu tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Lilah Wybuchnęła śmiechem.

- Czy ja cię wprawiam w zdenerwowanie?

- To za mało powiedziane - mruknął. Miał wrażenie, że płuca ma wypełnione



rozczarowanym powietrzem. - Lilah, nie chciałbym niszczyć tego, co jest między nami. Nie chcę, żebyś mi złamała serce.

Uśmiechnęła się z nadzieją, której sobie nie uświadamiała.

- A czy mogłabym to zrobić?

- Wiesz, że mogłabyś. Na pewno już nie potrafisz zliczyć serc, które złamałaś.

Znów to samo, pomyślała z gorzkim rozczarowaniem. On zawsze będzie w niej widział tylko nieczułą syrenę, wiodącą mężczyzn do zguby. Nie dostrzegął, że stawką było również i jej serce.

Ale to nie mogło jej powstrzymać. Zbyt wyraźnie czuła, że tę noc musi spędzić z nim.

- Powiedz, profesorze, czy śnisz o mnie czasami? Czy zdarza ci się leżeć w ciemnościach i zastanawiać się, jak by to było?

Max z chwili na chwilę coraz bardziej tracił grunt pod nogami.

- Wiesz, że tak jest - przyznał.

Lilah znów przysunęła się o krok i stanęła w świetle księżyca.

. - Gdzie wtedy jesteśmy?

- To nie ma znaczenia - odrzekł, dotykając jej włosów samymi czubkami palców. Nie potrafił się oprzeć. - Jesteśmy sami.

- Teraz też jesteśmy sami - powiedziała, splatając dłonie na jego karku. - Pocałuj mnie, Max. Tak jak za pierwszym razem, wtedy na trawniku.

- Lilah, tym razem to się nie skończy na pocałunku - szepnął.

- Pocałuj mnie - powtórzyła, unosząc twarz. Max uczeplił się nadziei, że uda mu się spędzić z nią tę jedną noc i ocalić duszę.

To wszystko wydawało się tak naturalne. Jego głowa między jej piersiami. Jej dłoń w jego włosach. Ich palce wciąż splecione, od chwili gdy razem stoczyli się w otchłań. Lilah

przymknęła oczy i na wpół sennie zastanawiała się, jak to by było, gdyby usypiali tak razem każdego dnia.

Max czuł, jak jej ciało rozluźnia się powoli. Wiedział, że dał jej rozkosz i że przez chwilę byli tak blisko, jak tylko może być dwoje ludzi. Nie miał jednak pojęcia, co powinien teraz powiedzieć - jedyne, co przychodziło mu do głowy, to wyznanie miłości.

- O czym myślisz? - wymruczała Lilah.

- Jeszcze o niczym - odpowiedział ostrożnie i usłyszał jej niski, cichy śmiech.

Przesunęła się i ich twarze znalazły się naprzeciwko siebie.

- W takim razie ja ci powiem, o czym myślę. - Pocałowała go czule. - Podobają mi się twoje usta. I ręce. Ramiona, oczy. Szczerze mówiąc, w tej chwili nie potrafię wymienić niczego, co by mi się w tobie nie podobało.

- Przypomnę ci o tym następnym razem, gdy się na mnie zdenerwujesz - uśmiechnął się, odgarniając jej włosy na poduszkę. - Nie mogę uwierzyć, że jesteś tu ze mną.

- A czy od samego początku nie czułeś, że to się musi stać?

- Tak. Ale myślałem, że to tylko moje pobożne życzenia.

- Nie doceniasz siebie, profesorze. Jesteś atrakcyjnym mężczyzną o godnym podziwu umyśle i niezwykłej dobroci. - Położyła dłoń na jego policzku. - Ta noc była bardzo piękna.

Najpiękniejsza w moim życiu.

W jego oczach dostrzegła wyraźne niedowierzanie, a ponieważ w tej chwili czuła się zupełnie bezbronna, jego niewiara zraniła ją boleśnie.

- Przepraszam - powiedziała sztywno, odsuwając się. - W moich ustach takie słowa zapewne brzmią banalnie.

- Lilah...

- Nie ma o czym mówić. - Zacisnęła usta i odezwała się dopiero wtedy, gdy już była

pewna, że głos jej nie zadrzy. - Nie ma sensu komplikować sytuacji. - Usiadła i odrzuciła włosy do tyłu. - Nie zarzucam na ciebie żadnych siideł, profesorze. Żadnych pułapek.

Jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi, którzy cieszą się sobą nawzajem. Zgoda?

- Nie jestem pewien.

- Nie wybiegajmy zanadto w przyszłość. Na razie mamy dzisiejszą noc, A teraz, skoro już to ustaliliśmy, to chyba sobie pójdę.

- Nie idź. - Pochwycił ją za rękę, zanim zdążyła wyslizgnąć się z łóżka. - Nie odchodź

- powtórzył, patrząc na nią uważnie. - Żadnych komplikacji. Ale dzisiaj zostań ze mną.

- Skończy się na tym, że znów cię uwiodę - uśmiechnęła się.

Przyciągnął ją do siebie.

- Miałem nadzieję, że to powiesz. Chcę, żebyś była ze mną, gdy wszędzie słońce.

Max usiłował oderwać myśli od Liii i skupić się na odnalezieniu osób figurujących na liście. Sprawdzał archiwa sądowe, policyjne, parafialne, a także wykazy zmarłych osób. Jego wysiłki zostały nagrodzone kilkoma adresami.

Gdy już wyczerpał wszystkie możliwości, pojechał do warsztatu C. C. Zastał ją pochyloną nad czarnym kabrioletem. Rozsuwany dach zasłaniał górną połowę jej ciała.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się głośno, przekrzykując muzykę z radia.

- To nie przeszkadzaj! - odkrzyknęła, ale wyjrzała spod dachu samochodu. Na policzku miała smugę smaru. Na jego widok jej twarz się rozjaśniła.

- Cześć, Max!

- Mogę przyjść później.

- Nie, dlaczego? Odstraszyłam cię? - roześmiała się, wycierając ręce w szmatę

wyciągniętą z kieszeni kombinezonu. - Kupić ci coś do picia? - dodała, wskazując na automat z napojami.

- Nie, dziękuję. Chciałem tylko zapytać cię o samochód.

- Przecież jeździsz samochodem Lili... Zepsuł się?

- Nie, tylko że przez kilka najbliższych dni będę musiał dużo jeździć po okolicy, a nie chciałbym zostawić jej bez środka transportu. Pomyślałem, że może ty wiesz, czy ktoś tu ma coś do sprzedania.

C. C. z namysłem wydeła usta.

- Chcesz kupić samochód?

- Nic ekstrawaganckiego. Po prostu wygodny środek transportu. A gdy wrócę do Nowego Jorku...

- zawahał się. Nie chciał teraz myśleć o powrocie.

- Zawsze mogę go sprzedać, gdy już nie będzie mi potrzebny - wzruszył ramionami.

- Tak się składa, że znam kogoś, kto ma samochód do sprzedania. Ja.

- Ty? - zdziwił się Max.

C. C. pokiwała głową i wepchnęła szmatę do kieszeni.

- Chyba muszę zamienić mojego spitfire'a na samochód rodzinny.

- Spitfire? - Max nie był pewien, co to takiego, ale nie brzmiało to jak nazwa auta odpowiedniego dla statecznego profesora uniwersytetu.

- Mam go od lat i będę się czuła lepiej, gdy trafi w ręce kogoś znajomego.

Pociągnęła go do drzwi. Obok warsztatu stało czerwone sportowe cacko z białym odsuwającym dachem i kubełkowymi fotelami.

- Parę lat temu przerobiłam mu silnik. Jeździ jak marzenie. Ma niecałe dwadzieścia tysięcy przebiegu. Jestem pierwszą właścicielką, więc mogę zagwarantować, że był należycie traktowany. A poza tym...

- Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się szeroko. - Zdaje się, że zaczynam gadać

jak zawodowy pośrednik.

Max patrzył na odbicie swojej twarzy w wypolerowanym lakierze.

- Nigdy nie miałem sportowego samochodu - powiedział z żalem w głosie.

- Coś ci powiem. Zostaw tutaj samochód Liii i przejedź się tym. Zobacysz, czy ci odpowiada.

Max usiadł za kierownicą, starając się powściągnąć szeroki uśmiech, który sam wypłynął na jego twarz, gdy poczuł wiatr we włosach. Zastanawiał się, co by powiedzieli jego studenci, gdyby zobaczyli poważnego profesora Quartermaina w tak ekstrawaganckim pojeździe. Prawdopodobnie doszliby do wniosku, że zwariował. Może i zwariował, ale bawił się świetnie jak nigdy jeszcze w życiu.

Pomyślał, że ten samochód pasowałby do Lili. Bez trudu mógł sobie ją wyobrazić obok siebie na fotelu pasażera, z włosami rozwianymi przez wiatr. To była miła wizja, a w dodatku mogła się spełnić. Może nie sprzeda tego samochodu po powrocie do Nowego Jorku. Żaden przepis nie nakazywał mu jeździć praktycznym, bezbarwnym samochodem. Może go zatrzymać jako pamiątkę po kilku niezwykłych tygodniach, które zmieniły jego życie.

Przypuszczał, że już nigdy nie wróci do swojej poprzedniej skóry.

Pojeździł trochę po krętych górskich drogach, a potem wrócił do miasta, by sprawdzić, jak samochód sprawuje się w ruchu ulicznym. Z zadowolonym wyrazem twarzy zatrzymał się na światłach, postukując palcami o kierownicę w rytm muzyki z radia.

Na chodnikach tłoczyli się przechodnie, wędrując od sklepu do sklepu. Gdyby zauważył wolne miejsce do zaparkowania, może sam też wszedłby do jakiegoś sklepu, tylko po to, by sprawdzić własną wytrzymałość na tego typu bodźce. Ponieważ jednak wszystkie parkingi były zajęte, zadowalał się obserwowaniem turystów.

Zauważył ciemnowłosego mężczyznę z brodą, który stał tuż przy krawężniku i

uporczywie się w niego wpatrywał. Dumny z siebie i ze swojego pojazdu, Max z szerokim uśmiechem pomachał mu ręką. Był już o przecznicę dalej, gdy nagle uświadomił sobie, że twarz mężczyzny była dziwnie znajoma. Gwałtownie zahamował i nie zważając na ryk klaksonów, zawrócił w bocznej uliczce, ale mężczyzna już zniknął. Przez kilka minut jeździł po sąsiednich ulicach, ale nigdzie nie zobaczył tej twarzy. Zaklął pod nosem, zły na siebie i na własny brak spostrzegawczości.

Włosy były przefarbowane, a broda zasłaniała połowę twarzy. Ale oczy... Max nie mógł zapomnieć tych oczu. Mężczyzną, który stał przy krawężniku i patrzył na niego, nie z podziwem, lecz ze źle hamowaną wściekłością, był Caufield.

Gdy nadszedł czas, by odebrać Lilę z pracy, Max był już opanowany. Postanowił o niczym jej nie wspominać. Ta decyzja wydawała mu się logiczna. Im mniej wiedziała, tym mniej była zaangażowana w całą sprawę. A im mniej była zaangażowana, tym mniejsza była szansa, że stanie się jej coś złego.

Lilah była zbyt impulsywna. Gdyby jej powiedział, że widział w mieście Caufielda, to na pewno próbowałyby sama go odnaleźć. A gdyby go znalazła... Na tę myśl krew w żyłach Maksa zmieniała się w lód. Nikt lepiej od niego nie wiedział, jak bezlitosną osobą był Caufield.

Patrzył na Lilę, która szła w jego stronę przez trawnik przed centrum informacyjnym, i myślał, że zrobiłby wszystko, nawet zaryzykował własne życie, byle tylko zapewnić jej bezpieczeństwo.

- No, no, co my tu mamy? - Uśmiechnęła się, postukując palcem w zderzak. - Mój stary grat nie był dla ciebie dość dobry, więc pożyczyłeś ukochane dziecko mojej siostry?

- Co? - zapytał Max nieprzytomnie. Od chwili gdy zobaczył Caufielda, zapomniał o wszystkim innym włącznie z samochodem.

Lilah pocałowała go i zdziwiła się brakiem reakcji z jego strony. Max tylko poklepał ją po ramieniu.

- Prawdę mówiąc, chyba kupię ten samochód od C. C. Ona potrzebuje teraz czegoś większego dla rodziny.

- A więc ty chcesz sobie kupić nową zabawkę.

- Wiem, że on nie jest w moim stylu... - spieszył się Max.

- Nie miałam tego na myśli. - Lilah ściągnęła brwi i przyjrzała mu się uważnie. Max wyraźnie był czymś zaabsorbowany. - Przeciwnie, chciałam powiedzieć, że to dobry pomysł. Cieszę się, że zaczynasz się rozluźniać.

Wskoczyła do środka i wyciągnęła się wygodnie na fotelu.

- Może się gdzieś przejedziemy? Na przykład wzdłuż wybrzeża.

- Jestem trochę zmęczony - mruknął Max. Nie znosił kłamstw, ale chciał jak najszybciej porozmawiać z Trentem i Sloanem oraz skontaktować się z policją. - Może odłożymy to na kiedy indziej?

- Jak chcesz - wzruszyła ramionami Lilah, nieco urażona. Max otoczył się tarczą chłodnej uprzejmości i wyraźnie starał się zachować dystans. Próbując odnaleźć choć ślad wcześniejszej bliskości, położyła rękę na jego dłoni. - Jeśli masz ochotę na drzemkę, to ja zawsze jestem za. Twój pokój czy mój?

Dłoń Maksa zeszywniała, a palce nie splotły się z jej palcami. Odkąd wsiadła do samochodu, nawet na nią nie spojrzał.

- Chyba nie... to chyba nie jest najlepszy pomysł - mruknął.

- Rozumiem - powiedziała Lilah cicho, cofając rękę. - W tych okolicznościach chyba masz rację.

- Lilah...

- Tak?

Nie, zdecydował Max. Musiał to przeprowadzić po swojemu.

- Nic - odrzekł i zapalił silnik.

W drodze do domu nie rozmawiali. Max powtarzał sobie, że kłamstwo było jedynym rozsądnym wyjściem. Czuł, że Lilah jest rozczarowana, ale obiecał sobie, że później jej to wynagrodzi. Najpierw jednak musiał załatwić kilka spraw. Skoro obydwaj, Hawkins i Caufield, byli na wyspie i wystarczyło im odwagi, by spacerować po miasteczku, czy mogło to oznaczać, że znaleźli jakieś ważne informacje w papierach? A może wciąż szukali śladu?

W każdym razie teraz już wiedzieli, że on nie zginął. Czy wiedzieli również o jego przyjaźni z Calhounami? W takim razie jego związek z Lilą mógłby narazić dziewczynę na niebezpieczeństwo. A na takie ryzyko nie mógł się zgodzić.

- Możliwe, że będę musiał wrócić do Nowego Jorku wcześniej, niż przypuszczałem - powiedział, skręcając w boczną drogę prowadzącą do Towers.

Lilah zacisnęła usta.

- Naprawdę? - zapytała po chwili.

Max spojrzał na nią przez ramię i odchrząknął.

- Tak... ważne sprawy. Mógłbym stamtąd nadal prowadzić poszukiwania.

- To bardzo miło, że tak mówisz, profesorze. Rozumiem, że nie lubisz porzucać pracy w połowie. W Nowym Jorku nic by cię nie rozpraszało.

Max zaabsorbowany był myślami o tym, co musi zrobić w pierwszej kolejności, toteż tylko mruknął niewyraźnie coś, co można było uznać za potwierdzenie.

Zanim zatrzymał samochód przed domem, uraza Lili zdążyła zmienić się w gniew.

Max nie chciał się z nią wiązać i z jego zachowania jasno wynikało, że żałował tego, co między nimi zaszło. Dobrze. W takim razie ona również nie miała zamiaru rozpaczać.



Udało jej się nie trzasnąć drzwiczkami i nie ugryźć go w rękę, którą położył na jej ramieniu.

- Może przejedziemy się wzdłuż wybrzeża jutro - zaproponował.

Spojrzała na niego przelotnie i odeszła bez słowa.

Max wbił ręce w kieszenie i poszedł poszukać Sloana i Trenta. Następnie pojechał na policję. Gdy wreszcie wrócił, poczuł się naprawdę zmęczony. Może sprawiło to napięcie, a może fakt, że poprzedniej nocy spał zaledwie parę godzin. W każdym razie rzucił się na łóżko i wstał dopiero w porze kolacji.

Zszedł na dół z myślą, że odnajdzie Lilę i zabierze ją na spacer po ogrodzie albo na przejażdżkę w świetle księżyca. Skoro postanowił, że wyjedzie, to może być ich ostatni wieczór spędzony razem. A może Lilah zechciałaby go odwiedzić w Nowym Jorku - na przykład na weekend. Jeśli dobrze to rozegra, ich związek wcale nie musi się zakończyć wraz z jego wyjazdem.

Salon był pusty. Z sąsiedniego pokoju dobiegały dźwięki pianina. Max zajrzał do środka. To była Suzanna. Grała jakąś smutną melodię, ale gdy go zobaczyła, z uśmiechem zamknęła pokrywę instrumentu.

- Nie chciałem ci przeszkadzać - usprawiedliwił się Max.

- Nic nie szkodzi. I tak muszę już wracać do rzeczywistości. Amanda zabrała dzieci do miasta, więc korzystałam z wolnej chwili.

- Szukałem Lili.

- Och, nie ma jej w domu.

- Nie ma jej? - powtórzył Max z rozczarowaniem.

- Wyszła.

- Kiedy? Gdzie?

Suzanna przyjrzała mu się uważnie.

- Niedawno. Chyba była z kimś umówiona.

- Umówiona? - powtórzył Max powoli. Miał wrażenie, że ktoś uderzył go miotem pneumatycznym w skroń.

- Przykro mi, Max - powiedziała Suzanna, podchodząc do niego. Chyba jeszcze nigdy nie widziała nikogo równie zakochanego i nieszczęśliwego. - Nie wiedziałam... Może po prostu wyszła gdzieś z przyjaciółmi albo sama.

Max tylko potrząsnął głową. Nie, ta możliwość była jeszcze gorsza. Jeśli Lilah była sama i spotkała gdzieś Caufielda... Opanował jednak panikę. W końcu Caufieldowi nie chodziło o dziewczynę, tylko o szmaragdy.

- Nic się nie stało, chciałem z nią tylko o czymś porozmawiać.

- Czy ona wie, co do niej czujesz? - zapytała Suzanna wprost.

- Nie... tak. Sam nie wiem - rzekł bezradnie. Wszystkie jego romantyczne marzenia waliły się w gruzy. - To nie ma znaczenia.

- Ma. Lilah nie lekceważy niczyich uczuć, Max. Żadnych sideł. Żadnych pułapek. No cóż, on i tak wpadł już w pułapkę, sam założył sobie pętlę na szyję. Ale nie to było w tej chwili najważniejsze.

- Po prostu wolałbym, żeby nie wychodziła nigdzie sama. Policja nie złapała jeszcze Hawkinsa ani Caufielda.

- Lilah wyszła gdzieś na kolację. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł na nią napaść w restauracji i domagać się od niej szmaragdów, których ona nie ma - powiedziała Suzanna łagodnie. - Poczujesz się lepiej, kiedy coś zjesz. Cytrynowy kurczak cioci Coco na pewno jest już gotowy.

Max z trudem udawał apetyt, ale jego uwagę przez cały czas przyciągało puste miejsce

przy stole. Skorzystał na tym Fred, któremu Max niepostrzeżenie wrzucił pod stół prawie całą swoją porcję kurczaka.

Przychodziło mu do głowy, że mógłby pojechać do miasta i wstępować do wszystkich restauracji po kolei. Uznał jednak, że to byłoby zbyt głupie. W końcu postanowił wrócić do siebie i popracować nad książką.

Zdania jednak nie układały się tak gładko jak poprzedniego wieczoru, a przerwy między jednym a drugim stawały się coraz dłuższe. Mimo wszystko Max nie podnosił się od maszyny. Minęła godzina, potem druga i trzecia. Gdy w końcu wstał i spojrzął na zegarek, było już po północy. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie słyszał powrotu Lili, chociaż specjalnie zostawił drzwi do swojego pokoju uchylone.

Może był tak zaabsorbowany pracą, że kroki w korytarzu umknęły jego uwagi. Na pewno już wróciła. Nikt nie je kolacji przez pięć godzin. Musiał to sprawdzić.

Cicho wyszedł z pokoju. U Suzanny paliło się jeszcze światło, ale poza tym cały dom był ciemny. Przy drzwiach sypialni Lili zawahał się, a potem cicho zastukał. Nikt nie odpowiedział. Max niepewnie położył rękę na klamce. Czuł się jak intruz, pomyślał jednak, że skoro spędził z nią ostatnią noc, to chyba nie powinien jej obrazić, wchodząc do jej pokoju. Nie było jej tam. Pościel na starym żelaznym łóżku pomalowanym na białą była nietknięta. Łóżko musiało kiedyś należeć do kogoś ze służby. Pozostałe elementy wystroju wnętrza były oszałamiająco kolorowe.

Łóżko było przykryte patchworkiem pozszywanym ze skrawków materiału we wszystkich możliwych wzorach i kolorach. Kropki, kratki, paski, czerwienie i błękity. A do tego jeszcze sterta barwnych poduszek. Na takim łóżku, pomyślał Max, można przeleżeć cały dzień. Pasowało do niej.

Pokój był wielki, jak większość pomieszczeń w tym domu, ale za sprawą

nagromadzenia sprzętów stał się zadziwiająco przytulny. Na ścianach wisały szkice polnych kwiatów z wyraźnym, dużym podpisem Lili w rogu. Max nawet nie przypuszczał, że ona potrafi rysować. Uświadomił sobie, że wie o niej bardzo niewiele.

Podszedł do półki z książkami. Poezje Keatsa i Byrona sąsiadowały z brukowymi kryminałami i współczesnymi romansami. Przed jednym z okien stało kilka foteli. Na stoliku błyszczały kolczyki i bransoletki. Obok miseczki pełnej barwnych kamyków stał porcelanowy pingwin z pozytywką. I wszędzie były świece w rozmaitych świecznikach - od szlachetnej zabytkowej porcelany po tandetnego plastikowego jednorożca. Oraz rodzinne fotografie. Max wziął do ręki jedną z nich. Przedstawiała mężczyznę i kobietę, objętych w pól i roześmianych. Rodzice, pomyślał. Lilah była podobna do ojca, Suzanna do matki.

Kukułka, która raptownie wyskoczyła z zegara, uświadomiła mu, że jest w pól do pierwszej. Gdzie ona się, do diabła, podziewała?

Naraz drzwi sypialni otworzyły się z rozmachem i w progu stanęła Lilah z rozwianymi włosami i zarumienioną twarzą. Wyglądała... niewiarygodnie. Miała na sobie jakąś błyszczącą, drapowaną sukienkę, w uszach długie, wielobarwne kolczyki. Uniosła wysoko brwi i zamknęła drzwi za sobą.

- Hm - powiedziała. - Czuj się jak u siebie.

- Gdzieś ty się podziewała? - wybuchnął Max.

- Czy już po godzinie policyjnej, tatusiu? - odparowała słodko, rzucając torebkę na biurko.

Max brutalnie pochwycił ją za ramiona.

- Martwiłem się o ciebie. Tak długo nie wracałaś i nikt nie wiedział, dokąd poszłaś.

Lilah wyrwała się z jego uścisku. W jej oczach błysnął gniew, głos jednak miała spokojny i opanowany.

- Może cię to zdziwi, profesorze, ale już od dawna nie muszę się nikomu opowiadać.

- Teraz to co innego.

- Och? A niby dlaczego? - Sięgnęła do ucha, by zdjąć kolczyk.

- Bo... Bo nie wiemy, gdzie może być Caufield. Lilah spojrzała na niego pozornie sennym wzrokiem.

- Potrafię zadbać o własne bezpieczeństwo. Czy już skończyłeś kazanie?

- To nie jest żadne kazanie, Lilah. Naprawdę się martwiłem. Mam prawo wiedzieć, co robisz.

- A to niby dlaczego?

- Bo jesteśmy przyjaciółmi.

Na jej ustach pojawił się smutny uśmiech.

- Naprawdę?

Max ponuro wbił ręce w kieszenie.

- Zależy mi na tobie. Po ostatniej nocy myślałem, że... że obydwójce coś dla siebie znaczymy. A tymczasem w parę godzin później ty wychodzisz na kolację z kimś innym. W dodatku tak ubrana.

Lilah spokojnie zdjęła buty.

- Ostatniej nocy poszliśmy do łóżka i było to przyjemne doświadczenie. O ile pamiętam, umawialiśmy się, że nie będzie żadnych komplikacji. - Przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego uważnie. - A skoro już tu jesteś, to przypuszczam, że możemy zafundować sobie powtórkę. - Podeszła bliżej i przesunęła palcami po jego piersiach. - Przecież tego właśnie ode mnie chcesz, prawda?

Max z wściekłością odepchnął jej rękę.

- Nie mam ochoty być drugim daniem tego wieczoru.

Lilah pobladła i odwróciła się do niego plecami.

- Gratuluję - szepnęła. - To był celny strzał.

- A co mam powiedzieć? Że możesz przychodzić i odchodzić, jak ci się spodoba, zadawać się z kim zechcesz, a ja będę potulnie czekał na resztki z twojego stołu?

- Nie chcę, żebyś cokolwiek mówił. Chcę tylko, żebyś stąd wyszedł i zostawił mnie w spokoju.

- Nigdzie nie pójde, dopóki sobie tego nie wyjaśnimy.

- Dobrze - wzruszyła ramionami, rozsuwając zamek sukienki. - Siedź tu, dopóki zechcesz. Ja idę spać.

Odrzuciła sukienkę na bok i w koronkowej jedwabnej halce podeszła do staroświeckiej toaletki. Usiadła przed lustrem i zaczęła szczotkować włosy.

- Dlaczego jesteś taka zła? - zapytał Max. Lilah zgrzytnęła zębami.

- A niby dlaczego miałabym być zła? Bo przecież chyba nie dlatego, że czekałeś na mnie w moim pokoju wściekły, bo ja ośmieliłam się mieć własne plany, skoro ty nie miałeś ochoty poświęcić mi nawet godziny?

- O czym ty mówisz? - zdumiał się Max i pochwycił ją za ramię, zaraz jednak syknął, gdy szczotka do włosów uderzyła w kostki jego palców.

- Gdy będę chciała, żebyś mnie dotknął, to dam ci znać.

Max zaklął, wyrwał jej szczotkę i rzucił przez pokój, a potem jednym szarpnięciem postawił dziewczynę przed sobą.

- Zadałem ci pytanie - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Lilah odrzuciła głowę do tyłu.

- Jeśli już skończyłeś...

- Nie prowokuj mnie - syknął Max. To ona jednak Wybuchnęła pierwsza.

- Wczoraj w nocy, a nawet dzisiaj rano zasługiwałam na twój czas i uwagę. Dopóki chodziło o seks. A po południu nie chciałeś nawet na mnie spojrzeć. Zależało ci tylko na tym, żeby pozbyć się mnie jak najszybciej!

- Chyba zwariowałaś - zdumiał się.

- Tak właśnie było. Mamrotałeś coś pod nosem i poklepywałeś mnie po ramieniu! A teraz znów zaczęło cię swędzić i rozzłościłeś się, że nie czekałam, żeby cię podrapać!

Max był teraz równie blady jak ona.

- Czy tak o mnie myślisz?

Lilah westchnęła. Gniew zniknął z jej twarzy.

- Nie, Max. To ty tak o mnie myślisz. A teraz idź już sobie.

Rozluźnił uchwyt, a ona natychmiast odsunęła się od niego.

- Po południu byłem czymś bardzo zaabsorbowany. Nie chodziło o to, że nie miałem ochoty spędzać z tobą czasu.

- Nie chcę żadnych usprawiedliwień - wzruszyła ramionami i podeszła do drzwi tarasu. - Zupełnie jasno okazałeś swoje uczucia do mnie.

- Najwidoczniej nie. W żadnym wypadku nie chciałem cię urazić. - Wszystko przez to, że ją okłamałem. To był pierwszy błąd. - Pół godziny przed tym, zanim po ciebie przyjechałem, widziałem w miasteczku Caufielda - wyznał.

Lilah obróciła się na pięcie.

- Jak to? Widziałeś go?! Gdzie?

- Stałem na światłach, a on był na chodniku. Przeфарbował włosy i zapuścił brodę.

Zanim sobie uświadomiłem, że to on, już go straciłem z oczu i nie udało mi się go odnaleźć.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie chciałem cię martwić. Obawiałem się, że przyjdzie ci do głowy jakiś głupi

pomysł i zechcesz sama go poszukać. Masz zwyczaj działać pod wpływem impulsu, więc...

Policzki Liii znów się zaróżowiły.

- Ty idioto! Ten człowiek chce okraść moją rodzinę, a tobie nie starcza rozumu, żeby mi powiedzieć, że widziałeś go o kilka kilometrów stąd! Gdybym wiedziała, to może udałoby mi się go wytropić!

- Właśnie o tym mówię. Nie chcę, żebyś się angażowała bardziej, niż to konieczne.

Właśnie dlatego przyszło mi do głowy, że chyba powinienem wrócić do Nowego Jorku. Oni teraz wiedzą, że tu jestem, a ja nie chcę sprowadzać na ciebie niebezpieczeństwa.

- Tylko mi nie mów, że...

- Właśnie ci mówię - przerwał jej stanowczo i z satysfakcją zauważył jej zdumienie. -

A poza tym nie będziesz więcej wychodziła sama wieczorem z domu, dopóki on się nie znajdzie w więzieniu. Przemyślałem wszystko i uznałem, że najlepiej będzie, jeśli zostanę w pobliżu i będę cię pilnował, czy chcesz tego, czy nie.

- Nie chcę! Nie potrzebuję, żeby ktoś mnie pilnował!

- Mniejsza o to. - Max wzruszył ramionami, uznając rozmowę za zakończoną. Lilah jednak była odmiennego zdania.

- Jesteś aroganckim, nadętym...

- Wystarczy - przerwał jej swoim belferskim tonem. - Nie ma sensu się kłócić, skoro zapadła już najlepsza możliwa decyzja. Zamierzam codziennie odwozić cię do pracy.

Poinformuj mnie, jeśli będziesz miała jakieś inne plany.

Lilah zaniemówiła.

- Nic z tego - wyjąkała. - Nie będę cię o niczym informować.

- Owszem, będziesz - odrzekł Max łagodnie i pociągnął ją za rękę. A co do dzisiejszej nocy - dodał, obejmując ją - to widzę, że zupełnie niewłaściwie rozumiesz moje motyw i



uczucia.

- Nie chcę o tym mówić - prychnęła, wyrywając się, ale ku jej zdziwieniu Max nie pozwolił jej się uwolnić.

- Wiem, że wolisz krzyczeć, ale to nie jest w moim stylu, a poza tym do niczego nie prowadzi - powiedział stanowczo. - Chcę ci wyjaśnić, że nie przyszedłem tutaj dlatego, że coś mnie zaswędziało, choć to prawda, że chcę spędzić z tobą noc.

Lilah już dawno nie czuła się tak zaskoczona.

- Co się z tobą stało? - wyjąkała.

- Uświadomiłem sobie, że powinienem postępować z tobą dokładnie tak samo, jak z trudnymi studentami. Sama cierpliwość w takich wypadkach nie wystarcza. Trzeba jeszcze silnej ręki oraz jasnego określenia intencji i celów.

Lilah wzięła głęboki oddech.

- Max, myślę, że powinieneś połknąć aspirynę i położyć się spać.

- Jak już mówiłem - ciągnął niewzruszenie - nie chodzi mi tylko o seks, choć przyznaję, że ten aspekt naszej znajomości jest ogromnie satysfakcjonujący. Ale istotniejsze jest to, że jestem tobą bez reszty oczarowany.

Delikatnie musnął ustami jej ucho.

- Nie - zaprotestowała słabo.

- Może popełniłem błąd, dając ci do zrozumienia, że pociąga mnie tylko twój wygląd i doznania fizyczne. Ale chodzi o coś więcej. Po prostu nie wiem, jak ci to powiedzieć. -

Obrócił ją i oparł plecami o siebie. - Nigdy jeszcze w moim życiu nie było takiej kobiety jak ty. I mam zamiar sprawić, żebyś w nim pozostała.

- Co ty robisz?

- Zabieram cię do łóżka.

- Nie - potrząsnęła głową. Nadal była na niego zła, choć nie do końca wiedziała, o co.

Po chwili jednak zupełnie o tym zapomniała.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Max nalał sobie kawy, pogwizdując. Miał wielkie plany. Przejazdźka wzdłuż

wybrzeża, kolacja w jakiejś ustronnej restauracji, a potem długi spacer po plaży.

Podniósł filiżankę do ust, oparzył sobie język i uśmiechnął się szeroko. Miał romans.

- Miło jest widzieć człowieka, który ma tak dobry humor wcześniej rano - zawołała

Coco, dostojnie wkraczając do kuchni. Poprzedniego wieczoru przefarbowała włosy na

kruczoczarny kolor i ta zmiana wprowadziła ją w świetny nastrój. - Może masz ochotę na pączki z jagodami?

- Wyglądasz wspaniale - zachwycił się Max. Coco rozpromieniła się, zawiązując tasiemki fartuszka z falbankami.

- Dziękuję ci, mój drogi. Zawsze mówię, że kobieta od czasu do czasu potrzebuje jakiejś zmiany. Dzięki temu mężczyźni się nie nudzą. - Sięgnęła do szafki po miskę i

zatrzymała wzrok na jego twarzy. - Muszę powiedzieć, Max, że ty też wyglądasz dzisiaj wyjątkowo dobrze. Morskie powietrze albo... w każdym razie coś ci tu służy.

- Czuję się tu doskonale. Nigdy nie będę w stanie wystarczająco podziękować wam wszystkim za to, że pozwoliliście mi tu zostać.

- Bzdury - machnęła ręką Coco i na swój chaotyczny sposób zaczęła wrzucać do miski składniki ciasta. Max nigdy nie potrafił zrozumieć, jak przy tych metodach pracy udaje jej się osiągać tak znakomite rezultaty. - Widzisz, to było przeznaczenie. Wiedziałam o tym od chwili, gdy Lilah przyprowadziła cię do domu. Ona zawsze coś przynosiła do domu. Zranione ptaki, małe króliczki. Kiedyś nawet przyniosła węża. Ale nigdy wcześniej nie przyprowadziła żadnego mężczyzny. Ty byłeś pierwszy. Cała Lilah - ciągnęła Coco, z zapalem mieszając w

misce.

- Zawsze robi to, czego nikt się po niej nie spodziewa. A poza tym jest bardzo utalentowana. Zna wszystkie łacińskie nazwy roślin, trasy migracji ptaków i takie rzeczy. Potrafi też pięknie rysować, kiedy jest w odpowiednim nastroju.

- Wiem. Widziałem szkice w jej pokoju. Coco zerknęła na niego z ukosa.

- Widziałeś je?

- Tak. Masz ochotę na kawę?

- Nie. Napiję się, kiedy śniadanie będzie gotowe - odpowiedziała Coco, myśląc: no, no. Wszystko jest na najlepszej drodze. Karty nie kłamały.

- Tak, nasza Lilah to fascynująca dziewczyna - podjęła wątek. - Równie inteligentna jak pozostałe, chociaż nie lubi tego okazywać. Zawsze byłam przekonana, że znajdzie się odpowiedni mężczyzna, który ją doceni. Musi być cierpliwy, ale nie można pozwolić jej sobą rządzić. Wystarczająco silny, żeby umiał ją powstrzymać od zbaczania z kursu, i wystarczająco mądry, żeby nie próbował jej zmieniać. Ale jeśli się kogoś kocha, to po co go zmieniać? - uśmiechnęła się.

Lilah weszła do kuchni, ziewając.

- Ciociu Coco, czy wydajesz instrukcje Maksowi?

- Cóż ty opowiadasz - obruszyła się Coco. - Po prostu miło sobie gawędzimy, prawda, Max?

- To bardzo fascynująca pogawędka - pokiwał głową Max.

Lilah wyjęła mu kawę z rąk, a ponieważ on się nie poruszył, pocałowała go na powitanie. Coco w duchu zatarła ręce.

- Uznaję to za komplement, a że widzę na horyzoncie pączki z jagodami, to nie będę narzekać - powiedziała Lilah, prostując się.

- Wcześniej wstałaś - zauważyła ciotka.

Lilah uśmiechnęła się leniwie, sącząc kawę Maksa.

- Chyba zaczynam się przyzwyczajać. Trzeba to będzie niedługo zmienić.

- Może nakryjesz do stołu? Zaraz wszyscy zejdą na śniadanie.

- Zdecydowanie trzeba to będzie zmienić - westchnęła dziewczyna i oddała kawę właścicielowi.

- Podoba mi się twój kolor włosów - uśmiechnęła się do ciotki. - Jest bardzo francuski.

- Weź świąteczną porcelanę, skarbie. Mam ochotę coś uczcić.

Caufield z wściekłością odłożył słuchawkę i uderzył pięścią w stół, a potem rzucił o ścianę kryształowym wazonem. Hawkins już nie po raz pierwszy był świadkiem podobnej sceny, toteż bez słowa czekał, aż jego towarzysz się uspokoi.

Caufield wziął trzy głębokie oddechy i usiadł, splatając dłonie.

- Zdaje się, że los nam nie sprzyja. Samochód, którym jechał nasz dobry profesor, jest zarejestrowany na nazwisko Catherine Calhoun St. James.

Hawkins zaklął pod nosem.

- Mówiłem ci, że ta robota śmierdzi. On powinien być martwy, a tymczasem żyje i w najlepsze brata się z Calhounami. Na pewno już dawno im wszystko opowiedział.

- Bez wątplenia - zgodził się Caufield.

- A jeśli cię poznał...

- Nie poznał. Gdyby poznał, toby mi nie pomachał. On nie jest taki odważny. To zwykły głupiec. Ja więcej nauczyłem się przez rok na ulicy niż on przez wszystkie te lata na swoim uniwersytecie. Poza tym jesteśmy teraz tutaj, a nie na jachcie.

- Ale on wie - upierał się Hawkins. - Teraz już wszyscy wiedzą i będą ostrożni.

- Dzięki temu zabawa staje się jeszcze ciekawsza. Czas już zacząć. Skoro Quartermain

przyłaczył się do Calhounów, to chyba będę musiał odwiedzić którąś z tych dam.

- Zupełnie zwariowałeś.

- Uważaj, co mówisz, przyjacielu - rzekł Caufield łagodnie. - Jeśli nie podobają ci się moje zasady, to nikt cię tu nie trzyma siłą.

Hawkins przesunął ręką po krótkich, kręconych włosach.

- To ja zapłaciłem za tę cholerną łódź. Siedzę w tym już od miesiąca. Mam udziały w tej inwestycji.

- W takim razie pozwól, że ja się będę martwił o to, by się zwróciła. O ile dobrze sobie przypominam, Amanda Calhoun mówiła mi podczas naszej krótkiej przyjaźni, że jej siostra Lilah wie najwięcej o Bianca. Może również wiedzieć najwięcej o szmaragdach.

To wreszcie miało jakiś sens dla Hawkinsa.

- Chcesz ją porwać? Caufield skrzywił się.

- To w twoim stylu, Hawkins, nie w moim. Ja działam subtelniejszymi metodami.

Chyba odwiedzę park Acadia. Podobno są tam bardzo ciekawe trasy.

Lilah zawsze lubiła długie, letnie dni. Choć nie miała również nic przeciwko zimowym, sztormowym nocom. W gruncie rzeczy lubiła czas. Nie nosiła zegarka. Czas należało doceniać za sam fakt jego istnienia, nie zwracając sobie głowy szczegółowym mierzeniem. Teraz jednak po raz pierwszy w życiu pragnęła przyśpieszyć jego bieg.

Tęskniła do Maksa.

Tymczasem jednak musiała się zająć kolejną grupą turystów, których prowadziła do Stawu Jordana.

- Proszę nie zrywać ani nie deptać roślin. Wiem, że są bardzo kuszące, ale ten park odwiedzają tysiące ludzi, którzy chcą się nimi cieszyć i podziwiać je w naturalnym środowisku. Ten kwiat w kształcie butelki, widoczny pośrodku stawu, to żółta lilia wodna, a

te duże liście to grzybienie. Występują na wszystkich tutejszych stawach.

Caufield, ubrany w zniszczone dzinsy i z równie zniszczonym plecakiem w ręku, uważnie przysłuchiwał się jej komentarzom, chociaż flora i fauna nic go nie obchodziła i gdy cała grupa zachwycała się jastrzębiem zrywającym się do lotu, z trudem powstrzymał pogardliwe prychnięcie. Oczy miał przysłonięte ciemnymi okularami. Co jakiś czas brał do ręki aparat fotograficzny zawieszony na szyi i pstrykał przypadkowe zdjęcie.

Gdy wykład dobiegł końca, część grupy rozeszła się do samochodów, a inni zdecydowali się na spacer dokoła stawu. Caufield zbliżył się do przewodniczki.

- Panno Calhoun?

Lilah podniosła głowę. Zwróciła wcześniej uwagę na mężczyznę z brodą, choć nie zadał jej jeszcze żadnego pytania. W jego głosie usłyszała ślad południowego akcentu.

- Tak?

- Chciałem powiedzieć, że bardzo mi się podobał pani wykład. Uczę geografii w szkole średniej i co roku podczas wakacji odwiedzam jakiś park narodowy, ale chyba jeszcze nigdy nie słyszałem równie ciekawych komentarzy.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem, coś ją jednak powstrzymało przed wyciągnięciem ręki do tego mężczyzny. - Powinien pan zajrzeć do centrum informacyjnego.

Życzę miłego pobytu.

Mężczyzna położył dłoń na jej ramieniu. W tym geście nie było niczego niezwykłego, Lilah jednak poczuła się bardzo nieswojo.

- Miałem nadzieję, że zechce pani poświęcić mi chwilę. Chciałbym przekazać moim wychowankom jak najpełniejszy obraz. Wielu z nich nigdy w życiu nie było w parku narodowym.

Lilah z chwili na chwilę czuła do niego coraz większą, choć zupełnie irracjonalną

niechęć.

- Z przyjemnością odpowiem na wszelkie pytania - powiedziała, powtarzając sobie, że to przecież jej praca.

Nieznajomy wyciągnął z kieszeni notes. Lilah rozluźniła się nieco i zaserwowała mu poszerzony wykład. W końcu mężczyzna schował notes do kieszeni.

- Jestem pani niezmiernie wdzięczny. Czy zechciałaby pani pójść ze mną na kawę albo na lunch?

- Dziękuję, ale wykonuję tylko swoją pracę. Nie musi mnie pan nigdzie zapraszać.

- To byłaby dla mnie wielka przyjemność.

- Dziękuję, mam inne plany. Caufield uśmiechał się cierpliwie.

- No cóż, zamierzam tu pozostać jeszcze przez kilka tygodni, więc może innym razem? To pewnie dziwnie zabrzmiało, ale wydaje mi się, że już gdzieś panią widziałem. Czy była pani kiedyś w Raleigh?

- Nie - odrzekła Lilah krótko, pragnąc wreszcie się go pozbyć.

- W takim razie nie mam pojęcia, skąd to wrażenie - powiedział natręt, potrząsając głową. - Mógłbym przysiąc, że już gdzieś panią widziałem. No cóż, jeszcze raz dziękuję. -

Odszedł o dwa kroki, ale po chwili znów się zatrzymał. - Już wiem. Gazety. Widziałem pani zdjęcia. To pani jest tą kobietą ze szmaragdami.

- Obawiam się, że jestem kobietą bez szmaragdów.

- Co za historia! Czytałem o tym w Raleigh jakiś miesiąc czy dwa miesiące temu.

Muszę pani wyznać, że jestem uzależniony od plotkarskich gazet. To pewnie dlatego, że mieszkam sam i czytam za dużo prac uczniów. - Jego zażenowany uśmiech zapewne poruszyłby serce Lili, gdyby nie to, że w jej głowie głośno brzęczał sygnał alarmowy.

- Przypuszczam, że strony poświęcone Calhounom wyściełają obecnie wiele klatek z

papugami.

Nieznajomy ze śmiechem zakołysał się na piętach.

- Poczucie humoru zawsze się przydaje. Przypuszczam, że dla pani rodziny jest to kłopotliwe, ale wielu ludzi takie historie podniecają. Zaginione szmaragdy, złodzieje klejnotów.

- Mapy ukrycia skarbu...

- Jest jakaś mapa? - zapytał mężczyzna ostro, ale natychmiast złagodził ton głosu. -

Nie słyszałem o tym.

- Oczywiście, że są mapy. Można je kupić w miasteczku. - Lilah sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła najnowszą wersję. - Zaczęłam je kolekcjonować. Wielu ludzi wydaje ciężko zarobione pieniądze, by się poniewczasie przekonać, że w miejscu oznaczonym krzyżykiem nie ma nic.

Caufield z trudem rozluźnił zaciśnięte szczęki.

- Ach. Kapitalizm.

- No właśnie. Proszę to wziąć na pamiątkę. - Lilah podała mu mapę, uważając, by nie dotknąć przy tym jego palców. - Pańskim uczniom na pewno się ona spodoba.

- Ma pani rację - rzekł Caufield, powoli składając mapę i chowając ją do kieszeni. - Ta historia naprawdę jest niezmiernie fascynująca. Może wybierzemy się wkrótce na ten lunch i wtedy opowie mi pani dokładnie, jak się szuka ukrytego skarbu.

- To bardzo męczące zajęcie. Życzę panu miłego pobytu w parku.

Nie mógł jej już dłużej zatrzymywać bez wzbudzania podejrzeń. Patrzył za nią w milczeniu. Zauważył, że ma piękne ciało, i miał nadzieję, że nie będzie go musiał oszpecić.

- Spóźniłaś się - zawołał Max, idąc ścieżką naprzeciw niej.

- Zdaje się, że spotykam dzisiaj samych nauczycieli - zaśmiała się, podnosząc twarz



do pocałunku. - Zatrzymał mnie jakiś południowiec. Potrzebował informacji do prowadzenia lekcji geografii.

- Mam nadzieję, że był gruby i łysy. Lilah zaśmiała się niepewnie.

- Nie, prawdę mówiąc, był szczupły i miał całkiem gęste włosy. Ale odrzuciłam jego oświadczenia.

- Czy próbował cię podrywać? - najeżył się.

- Nie - odrzekła ze śmiechem. ~ Max, ja tylko żartuję, a nawet gdyby nie, to potrafię się obronić przed niechcianymi adoratorami.

Max nie dawał się tak łatwo zbić z tropu.

- Nie obroniłaś się przede mną.

- Niektórych adoratorów zatrzymuję na dłużej. Co tam trzymasz za plecami?

- Ręce.

- A w rękach?

Max wyciągnął do niej bukiet stokrotek.

- Nie zerwałem ich - powiedział szybko. ~ Kupiłem od Suzanny. Powiedziała, że bardzo je lubisz.

- Są takie wesołe - powiedziała ze wzruszeniem i podniosła kwiatki do twarzy. -

Dziękuję!

Max objął ramieniem jej plecy.

- Dziś po południu kupiłem samochód od C. C..

- Profesorze, jesteś człowiekiem pełnym niespodzianek!

- Pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę posłuchać, do czego się dokopaliśmy z Amandą. Możemy pojechać wzdłuż wybrzeża i znaleźć jakąś miłą restaurację.

- To dobry pomysł, tylko że moje kwiatki zwiędną.

Na twarzy Maksa pojawił się szeroki uśmiech.

- Kupiłem wazonik. Jest w samochodzie.

Słońce zachodziło za wzgórzami. Lilah i Max szli po kamienistej plaży na południowym krańcu wyspy. Powierzchnia zatoki była spokojna. Na szarobłękitnym niebie rozległ się krzyk samotnej mewy.

- To niezwykle miejsce - stwierdziła Lilah. - Magiczne. Nawet powietrze jest tutaj inne. - Przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech. - Pełne nagromadzonej energii.

- Tu jest pięknie - stwierdził Max po prostu. Pochylił się i podniósł jakiś kamyk.

- Często tu przyjeżdżam, po prostu po to, żeby chwilę tu pobyc. Wydaje mi się, że kiedyś już tu byłam.

- Przecież właśnie powiedziałaś, że już tu byłaś - zdziwił się Max.

- Nie, mówię o tym, że mogłam tu być sto albo pięćset lat temu. Nie wierzysz w reinkarnację, profesorze?

- Szczerze mówiąc, wierzę. Pisałem o tym artykuł w college'u i po zebraniu materiałów doszedłem do wniosku, że to bardzo sensowna teoria. Gdy się ją zastosuje do historii...

Lilah objęła jego twarz dłońmi.

- Max, szaleję za tobą.

- Czym sobie zasłużyłem?

- Widzę cię, jak siedzisz zagrzebany po uszy w grubych tomach i pomiętych notatkach, z włosami opadającymi na twarz i ściągniętymi brwiami. Zawsze tak wyglądasz, gdy koncentrujesz się na poszukiwaniu prawdy.

Max ze skrzepowaniem przełożył kamyk z ręki do ręki.

- To dosyć nudny obraz.

- Nie, wcale nie. To twój prawdziwy obraz i bardzo mi się podoba. Jesteś odważnym człowiekiem.

Max zaśmiał się krótko.

- Do siedzenia w bibliotece nie trzeba wiele odwagi. Gdy byłem dzieckiem, uciekałem w książki. Wyobrażałem sobie, że płynę z Magellanem, wybieram się na wyprawę badawczą z Lewisem i Clarkiem, bronię fortu Alamo... Ale mój ojciec...

- Co robił?

Max wzruszył ramionami.

- Miał nadzieję, że będę kimś innym. On sam był w szkole gwiazdą futbolu. Nigdy w życiu nie chorował. Lubił napić się piwa w sobotę wieczorem i jeździć na polowania w sezonie. A ja zaczynałem się dusić, gdy tylko poczułem zapach prochu. Chciał zrobić ze mnie mężczyznę, ale nigdy mu się to nie udało.

- Ty sam zrobiłeś z siebie mężczyznę - stwierdziła Lilah, kładąc ręce na jego ramionach. Wyczuwała w nim powstrzymywany gniew na ojca, który nie cenił go za jego prawdziwe zalety. - Skoro nie potrafił być z ciebie dumny, to była jego wina, nie twoja.

- Cieszę się, że tak myślisz - rzekł Max, nieco zażenowany tym wybuchem starych urazów. - W każdym razie poszedłem własną drogą. O wiele lepiej czułem się w klasie niż na boisku. Ale gdybym przez tyle lat nie ukrywał się w bibliotece, to teraz nie stałbym tutaj obok ciebie. A właśnie tu chcę być.

- Teraz ja się cieszę, że tak myślisz.

- Czy uderzysz mnie, jeśli ci powiem, że jesteś piękna?

- Tym razem nie.

Max przyciągnął ją do siebie.

- Muszę pojechać na parę dni do Bangor.

- Po co?

- Odnalazłem kobietę, która była pokojówką w Towers tamtego lata. Mieszka teraz w domu opieki w Bangor. Jestem z nią umówiony na rozmowę. Jedź ze mną.

*Gdy dzieci już spały, zwierzyłam się niani ze swoich planów. Wiem, że wstrząsnęło nią to, że chciałam opuścić męża. Próbowala łagodzić mój nastrój. Jak miałam jej wytłumaczyć, że przyczyną mojej decyzji nie był Fred? To zajście po prostu uświadomiło mi, jak niewiele sensu ma pozostawanie w nieszczęśliwym, ograniczającym małżeństwie. Ja przekonałam samą siebie, że chcę to zrobić ze względu na dzieci. Ich ojciec nie widzi w nich istot, które trzeba kochać i pieścić, lecz pionki, materiał, który należy modelować, rugując zeń wszelkie słabości. Tak w każdym razie postępuje z Ethanem i Seanem. Colleen, moją małą dziewczynkę, zupełnie ignoruje i będzie ją ignorował, aż dojdzie do wieku, w którym będzie mógł ją wydać za mąż dla podniesienia swojego statusu lub pozycji majątkowej.*

*Nie pozwolę na to. Wiem, że Fergus wkrótce odbierze mi wszelką kontrolę nad dziećmi. Jego duma tego się domaga. Wybrana przez niego guwernantka będzie wypełniała jego polecenia, ignorując moje. Dzieci zostaną skazane na powielanie mojego błędu. Ja sama zdaję sobie sprawę, że jestem niczym więcej jak tylko ozdobą przy jego stole. Jeśli mu się przeciwstawię, będę musiała za to zapłacić. Nie wątpię, że ukarze mnie, kwestionując mój autorytet w oczach dzieci. Niezadowolony jestem w stanie przed nimi ukrywać, jawnej wrogości nie potrafię.*

*Muszę je zabrać i odejść stąd, znaleźć jakieś miejsce, w którym moglibyśmy zniknąć.*

*Najpierw jednak poszłam do Christiana.*

*Noc była mroźna. Owinęłam się płaszczem, głowę obyłam kapturem i poszłam, przyciskając do piersi szczeniaka. Szłam do jego domku przez ciche uliczki, pachnące morzem i kwiatami. Serce biło mi głośno, gdy stukalam do jego drzwi. To był pierwszy krok, po którym*

*nie mogłam się już wycofać.*

*Ale gdy zobaczyłam jego twarz, wiedziałam, że nie chcę się cofnąć.*

*- Bianca - powiedział. - Co się stało?*

*- Muszę z tobą porozmawiać.*

*Wciągnął mnie do środka i zamknął drzwi. Pod zapaloną lampą leżała książka.*

*Światło tej lampy i widok jego obrazów uspokoił mnie bardziej niż wszelkie słowa.*

*Postawiłam szczeniaka na podłodze, a on natychmiast zaczął obwąchiwać wszystko, co napotkał.*

*Christian posadził mnie i przyniósł szklaneczkę brandy. Opowiedziałam mu scenę z Fergusem i choć próbowałam zachować spokój, wciąż widziałam przed sobą jego rozwścieżoną twarz i czułam na szyi uścisk jego dłoni.*

*- Mój Boże! - zawołał Christian, dotykając mojej szyi. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, że Fergus pozostawił na niej sińce.*

*Oczy Christiana pociemniały.*

*- Zabiję go za to.*

*W ostatniej chwili powstrzymałam go, zanim wybiegi z domu. Nie pamiętam, co mówiłam, ale w końcu zatrzymały go moje łzy. Przytulił mnie do siebie jak dziecko, gdy ja wylewałam przed nim wszystkie swoje żale i całą rozpacz.*

*Błagałam go, aby zabrał gdzieś mnie i moje dzieci. Może powinnam się wstydzić, że chciałam zrzucić na niego tak wielki ciężar, tak wielką odpowiedzialność. Wiem, że gdyby odmówił, to wyjechałabym sama, zabrałabym moją trójkę do jakiejś wioski w Anglii lub Irlandii. Christian jednak osuszył moje łzy.*

*- Oczywiście, że wyjedziemy. Nie pozwolę, byście spędzili choćby jeszcze jedną noc pod jego dachem. On już nigdy więcej cię nie dotknie. Ale to będzie trudne, Bianco. Ty i dzieci*

*nie będziecie już mogli wieść takiego życia, do jakiego przywykliście. A ponadto skandal...*

*- Nic mnie nie obchodzi skandal. Dzieci potrzebują miłości i bezpieczeństwa. Sama nie wiem, co powinnam zrobić. Wiele nocy spędziłam, zastanawiając się, czy mam prawo cię kochać. Złożyłam przysięgę małżeńską i mam troje dzieci. Jakaś część mnie zawsze będzie cierpieć z powodu złamania tej przysięgi, ale muszę coś zrobić, bo inaczej oszaleję. Może Bóg nigdy mi tego nie wybaczy, ale nie zniosę takiego życia.*

*Christian ujął moje dłonie.*

*- Jesteśmy dla siebie stworzeni. Obydwoje o tym wiemy. Dopóki wiedziałem, że jesteś bezpieczna, zadowalałem się tymi kilkoma wykradzionymi godzinami. Ale nie będę stał z boku i przyglądał się obojętnie, jak poświęcasz swoje życie człowiekowi, który źle cię traktuje. Od dzisiaj jesteś moja i zostaniesz moja na zawsze. Nikt i nic nie może tego zmienić.*

*Wierzyłam mu. Potrzebowałam tej wiary.*

*- W takim razie dziś wieczorem należę do ciebie. Czulałam się jak panna młoda. Nie spuszczając oczu z mojej twarzy, drżącymi palcami wyjął szpilki z moich włosów. Potem, w świetle lampy, rozpiął moją sukienkę, a ja jego koszulę. Za oknem zaczął śpiewać ptak. Nasza miłość była wspólnym tańcem. Miałam wrażenie, że kochaliśmy się tak już niezliczoną ilość razy.*

*Wszystko było dziwnie znajome, a jednocześnie odkrywałam zupełnie nowy świat.*

*Każdy gest przychodził tak naturalnie jak oddech. Gdy Christian uczynił mnie swoją, wiedziałam, że odnalazłam coś, czego szuka każda dusza - prostą miłość.*

*Świtało już, gdy wróciłam do Towers. W cichych porannych godzinach spakowałam niewielki kuferek. Niania pomoże mi zebrać rzeczy dzieci, ale to było coś, co chciałam zrobić sama. Może to symbol niezależności. I może właśnie dlatego pomyślałam o szmaragdach. To jedyny prezent od Fergususa, który uważam za swoją własność. Bywały chwile, gdy czulałam do*

*nich niechęć, wiedząc, że dostałam je za urodzenie dziedzica. A jednak były moje, tak samo jak dzieci.*

*Nie myślałam o ich wartości pieniężnej. To ma być spadek dla moich dzieci, symbol wolności i nadziei. Postanowiłam, że schowam je razem z tym dziennikiem w bezpiecznym miejscu, gdzie doczekają chwili, gdy znów połączę się z Christianem.*

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Park Madison House pełen był pensjonariuszy. Niektórych popychali na wózkach pielęgniarze i rodzina, inni powoli spacerowali, opierając się na laskach. Kobieta, z którą Max był umówiony na rozmowę, była bardzo stara i wydawała się krucha. Siedziała w cieniu wiązu obok barwnego klombu. Na kolanach miała koszyczek z nićmi i zaczętym haftem. Jej skóra była ciemnobrązowa jak łupina orzecha i pocięta liniami zmarszczek jak stara mapa. Jeszcze przed dwoma laty była samodzielna. Uprawiała ogródek i sama przyrządzała sobie posiłki. Ale pewnego dnia upadła tak nieszczęśliwie na podłogę w kuchni, że nie była w stanie się podnieść i spędziła dwanaście godzin, czekając na pomoc. To wydarzenie przekonało ją, że czas na zmiany w życiu. Była jednak uparta i choć kilka osób z rodziny prosiło ją, by z nimi zamieszkała, nie chciała się na to zgodzić. Skoro nie mogła mieszkać sama, nie chciała być dla nikogo ciężarem. Była wystarczająco zamożna, by móc sobie pozwolić na dobry dom opieki. W Madison House miała własny pokój i mogła podziwiać kwiaty w parku. Jeśli życzyła sobie towarzystwa, miała je, jeśli nie, nie była na nie skazana. Millie Tobias uważała, że w wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat ma prawo wybierać. Zapowiedź wizyty sprawiła jej przyjemność. Dzień zaczął się całkiem dobrze. Obudziła się rano bez żadnego nadprogramowego bólu. Biodro trochę ją rwało, co niechybnie zwiastowało nadejście deszczu. Ale nie miała nic przeciwko temu. Deszcz był dobry dla kwiatów.

Jej powykręcane reumatyzmem ręce bezustannie pracowały nad haftem, Millie jednak nawet na nie nie patrzyła. One same wiedziały, co robić. Jej wzrok błędził po parku.

Zauważyła ciemnowłosego młodego człowieka i szczupłą, rudą dziewczynę, którzy szli alejką, trzymając się za ręce. Millie miała słabość do zakochanych. Uznała, że ta para wygląda ładnie jak z obrazka.

Młodzi ludzie zeszli z alejki na trawnik i zbliżyli się do niej.

- Pani Tobiasz?

Mężczyzna miał szczere niebieskie oczy i nieśmiały uśmiech.

- Ano, to ja - odpowiedziała. - A pan to pewnie doktor Quartermain. Nie wiedziałam, że doktorzy mogą być tacy młodzi.

Mężczyzna wskazał na swoją towarzyszkę.

- To jest Lilah Calhoun.

Tej to na pewno nie można nazwać nieśmiałą, uznała Millie.

Lilah przykucnęła na trawie, podziwiając haft.

- Jakie to piękne - zachwyciła się szczerze, dotykając delikatnie niebieskiej nici. - Co to będzie?

- Co zechce. Pani jest z wyspy.

- Tak, tam się urodziłam. Millie westchnęła lekko.

- Trzydzieści lat już tam nie byłam. Nie chciałam tam zostać po śmierci Toma. Ale brakuje mi szumu morza.

- Jak długo trwało pani małżeństwo?

- Pięćdziesiąt lat. To było dobre życie. Mieliśmy ośmioro dzieci i wszystkie przeżyły.

A teraz mam dwadzieścia troje wnuków, piętnaścioro prawnuków i siedmioro praprawnuków.

Czasem mi się wydaje, że sama jedna zaludniłam całą ziemię. Wyjmij ręce z kieszeni,



chłopcze - zwróciła się do Maksa. - I podejdz tu bliżej, żebym nie musiała tak wykręcać szyi.

To twoja narzeczona? - zapytała niespodziewanie.

- Hm... ja...

- Narzeczona czy nie? - dopytywała się Millie, wyszczerzając w uśmiechu sztuczną szczękę.

- No właśnie, Max - uśmiechnęła się Lilah z rozbawieniem. - Narzeczona czy nie?

Postawiony pod ścianą Max westchnął ciężko.

- Chyba tak.

Staruszka mrugnęła do dziewczyny.

- Powoli się namyśla, co? To nic złego. Wyglądasz tak samo jak ona - dodała nagle.

- Jak kto?

- Bianca Calhoun. To przecież o niej chcecie rozmawiać?

Lilah położyła rękę na jej ramieniu. Skóra staruszki była cienka jak papier.

- Pamięta ją pani?

- Ano tak. To była wielka dama. Piękna i z wielkim sercem. Przepadała za swoimi dziećmi. Inne panie często zostawiały swoje dzieci z niańkami i guwernantkami, ale pani Calhoun lubiła sama się nimi opiekować. Często zabierała je na spacerzy albo bawiła się z nimi w pokoju dzieciennym. Sama kładła je spać, jeśli tylko nie wychodziła nigdzie wieczorem z mężem. Była dobrą matką, a nic lepszego nie można powiedzieć o kobiecie.

Millie Tobias zdecydowanie pokiwała głową i ożywiła się, widząc, że Max notuje.

- Pracowałam tam przez trzy lata. W dwunastym, trzynastym i czternastym roku.

Okazało się, że jej pamięć dotycząca tych dni jest doskonała.

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu? - zapytał Max, wyjmując z torby mały magnetofon.

- Zupełnie nic - rozjaśniła się, w gruncie rzeczy bardzo zadowolona. Czują się jak gwiazda w telewizyjnym talk show. Poprawiła się na krześle i zwróciła się do Liii:

- Nadal mieszkasz w Towers?

- Tak, razem z rodziną.

- Ileż to ja razy chodziłam w górę i w dół po tych schodach. Pan nie lubił, kiedy służba używała głównych schodów, ale kiedy go nie było, chodziłam tamtędy i wyobrażałam sobie, że jestem damą. Byłam wtedy młoda i sprytna, i całkiem niebrzydka. Flirtowałam z ogrodnikiem. Joseph miał na imię. Ale to tylko po to, żeby Tom zaczął być zazdrosny.

- Nigdy więcej nie widziałam takiego domu - ciągnęła z westchnieniem. - Jakie tam były meble, jakie kryształ, jakie obrazy. Co tydzień myłyśmy wszystkie okna octem, żeby błyszczały jak brylanty. A pani to lubiła mieć wszędzie świeże kwiaty. Ścinała róże i piwonie w ogrodzie albo zbierała dzikie orchidee.

- Czy może nam pani opowiedzieć o tym lecie, kiedy Bianca zginęła? - poprosił Max.

- Wtedy dużo siedziała w pokoju na wieży. Patrzyła przez okno na skały albo pisała w swojej książce.

- W książce? - przerwała jej Lilah. - Czy to był jakiś dziennik, pamiętnik?

- Chyba właśnie coś takiego. Czasem widziałam, jak pisze, gdy przynosiłam jej herbatę. Zawsze mi dziękowała. I mówiła mi po imieniu. „Dziękuję, Millie,” mówiła, „ładny dzisiaj dzień”. Albo: „Nie musiałaś sobie robić kłopotu, Millie. Jak się miewa twój chłopiec?”

Była bardzo uprzejma. Ale pan - Millie zacisnęła usta - pan nigdy do nikogo nie odezwał się nawet słowem. Traktował człowieka jak kawałek drewna.

- Nie lubiła go pani - podsunął Max.

- To nie było moje miejsce, lubić go albo nie lubić, ale nigdy w życiu nie spotkałam drugiego takiego twardego, zimnego człowieka. Czasem rozmawialiśmy o tym, ja i jedna z

moich koleżanek. Dlaczego taka dobra kobieta wyszła za takiego mężczyznę? Ja mówiłam, że dla pieniędzy. Miała piękne suknie, no i te wszystkie przyjęcia, i biżuterię. Ale nie była z tym szczęśliwa. Oczy miała smutne. Wychodziła z panem wieczorami albo przyjmowali gości w domu. A często pan wychodził sam. Zajmował się interesami albo polityką. Prawie nie zwracał uwagi na żonę, a jeszcze mniej na dzieci. Chociaż wyróżniał starszego chłopca.

- Ethana - odpowiedziała Lilah. - Mojego dziadka.

- To był ładny chłopiec i żywy jak iskra. Lubił zjeżdżać po poręczy i bawić się na dworze. Pani nie przeszkadzało, że się przy tym brudził, ale zawsze pilnowała, żeby był wymyty, kiedy pan wracał do domu. Fergus Calhoun prowadził dom twardą ręką. Nic dziwnego, że ta biedna kobieta poszukała sobie trochę dobroci.

Lilah uścisnęła dłoń Maksa.

- Wiedziała pani, że ona się z kimś spotyka?

- Sprzątałam w pokoju na wieży. Nie raz widziałam przez okno, jak biegła w dół na skały. Tam czekał na nią mężczyzna. Wiem, że była przecież mężatką, ale to nie moja sprawa ją osądzać, ani wtedy, ani teraz. Kiedy stamtąd wracała, wyglądała na szczęśliwą, przynajmniej na krótki czas.

- Czy wie pani, kim on był? - zapytał Max.

- Nie. Chyba jakiś malarz, bo czasem miał rozstawione sztalugi. Ale nigdy nikogo nie pytałam ani z nikim o tym nie rozmawiałam. To był sekret pani. Zasługiwała na to.

Złożyła zmęczone ręce na kolanach i mówiła dalej:

- Na dzień przed śmiercią przyniosła do domu szczeniaka dla dzieci. Powiedziała, że to przybłąda, znalazła go na skałach. Boże, co to było za zamieszanie. Dzieci od razu zwariowały na punkcie tego psa. Pani kazała ogrodnikowi nalać wody do wanny i razem z dziećmi wykąpała tego psa. Oni się śmiali, pies wył. Pani zupełnie zniszczyła sobie sukienkę,

A potem pomagałam niani umyć dzieci. Wtedy ostatni raz widziałam ich szczęśliwych. Na chwilę przerwała, zbierając myśli.

- Pan wrócił do domu i zaczęła się okropna awantura. Pierwszy raz wtedy słyszałam, żeby pani podniosła na niego głos. Oni byli w salonie, a ja w holu, więc słyszałam każde słowo. Pan nie chciał się zgodzić, żeby ten pies został w domu. Dzieci płakały, ale on powiedział, że pani ma go oddać komuś ze służących, żeby ten go wyprowadził z domu i zabił.

Lilah poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Ale dlaczego?

- Bo nie był dość dobry. To był kundel. Dziewczynka próbowała go bronić, ale to było jeszcze małe dziecko, i on wcale nie zwrócił na nią uwagi. Myślałam, że ją uderzy, bo mówił takim złym głosem, ale pani kazała dzieciom zabrać psa i pójść na górę do niani. A potem było jeszcze gorzej. Pani wpadła w szał. Nie sądziłam, że ma taki temperament, ale wtedy zupełnie przestała nad sobą panować. Pan mówił jej okropne, podłe rzeczy. Powiedział, że wyjeżdża na parę dni do Bostonu i ona ma przez ten czas pozbyć się psa i przypomnieć sobie, jakie jest jej miejsce. Gdy wyszedł z salonu, miał taką twarz... nigdy jej nie zapomnę. Był wściekły. Zajrzałam do salonu i zobaczyłam, że pani, blada jak ściana, siedzi w fotelu i przyciska rękę do gardła. Następnego nocy już nie żyła.

Max przez chwilę milczał. Lilah patrzyła w dal oczami pełnymi łez.

- Pani Tobias, czy słyszała pani coś o tym, by Bianca chciała porzucić męża?

- To słyszałam później. Pan zwolnił nianię, chociaż te małe biedactwa bardzo za nią płakały. Nazywała się Mary Beals. Kochała dzieci i panią jak własną rodzinę. Widziałam ją we wsi tego dnia, gdy zabierali panią do Nowego Jorku, żeby ją pochować. Powiedziała mi, że pani nigdy by się nie zabiła, bo nie mogłaby urobić tego dzieciom. Mówiła, że to musiał

być wypadek. I wtedy też mi powiedziała, że pani postanowiła uciec, że już nie mogła wytrzymać z mężem. Chciała zabrać dzieci ze sobą. I ta Mary Beals powiedziała mi jeszcze, że jedzie do Nowego Jorku i że zostanie przy dzieciach, nieważne, co mówi pan Calhoun. Potem słyszałam, że dostała z powrotem swoje stanowisko.

- A czy widziała pani szmaragdy Calhounów? - zapytał Max.

- Ano, pewnie. Kto je raz widział, nigdy ich nie zapomni. Pani wyglądała w nich jak królowa. Zniknęły tej samej nocy, gdy ona umarła. - Na ustach pani Tobias pojawił się lekki uśmiech. - Znam tę legendę, chłopcze. Można powiedzieć, że sama byłam jej częścią.

- Nie wie pani, co się stało z tymi szmaragdami?

- Wiem, że Fergus Calhoun na pewno nie wrzucił ich do morza. On nigdy nie wrzucił nawet centa do źródelka, tak pilnował swoich pieniędzy. Jeśli chciała od niego odejść, to na pewno zamierzała je zabrać ze sobą. Tylko że on wrócił.

Max szybko podniósł na nią wzrok.

- Wrócił?

- Wrócił po południu tego dnia, kiedy ona zginęła. Dlatego je schowała. I nigdy już nie miała okazji ich wyjąć z ukrycia ani zabrać dzieci i zniknąć.

- Gdzie ona mogła je schować? - mruknęła Lilah.

- Kto to wie? To wielki dom - wzruszyła ramionami Millie. - Byłam tam potem, gdy pakowaliśmy jej rzeczy. Smutny dzień. Wszystkie płakałyśmy. Zawinęłyśmy jej suknie w bibułkę i ułożyłyśmy w kufrze. Kazano nam posprzątać pokój, zabrać z niego wszystko, nawet grzebienie i perfumy. On nie chciał, żeby cokolwiek po niej zostało. Nigdy więcej nie widziałam szmaragdów.

- A dziennika? Czy dziennik znalazł się w jej pokoju?

Millie powoli potrząsnęła głową.

- Nie. Nie było żadnego dziennika.

- A papier, kartki, listy?

- Papier do pisania był w biurku, ale dziennika nie widziałam. Zabrałyśmy stamtąd wszystko, nie została nawet szpilka do włosów. Następnego lata on znów przyjechał, ale jej pokój był przez cały czas zamknięty, nikt go nie otwierał. W domu nie pozostał po niej żaden ślad. Zdjęcia, portret, wszystko zniknęło. Dzieci prawie nigdy się nie śmiały. Kiedyś zobaczyłam młodszego, jak stał na schodach i patrzył na drzwi jej pokoju. Wymówiłam w środku sezonu. Nie mogłam tam już pracować, nie u pana Calhouna. Stał się jeszcze twardszy i zimniejszy. Całymi godzinami siedział w wieży. Tego samego roku wyszłam za Toma i nigdy więcej nie byłam w Towers.

W kilka godzin później Lilah stała na wąskim balkonie pokoju hotelowego. Na dole znajdował się basen. Słyszała śmiech i krzyki rodzin, które przyjechały tu na wakacje, ale w jej umyśle przesuwały się obrazy sprzed osiemdziesięciu lat.

Max podszedł po cichu i od tyłu otoczył ją ramieniem. Lilah oparła głowę o jego pierś.

- Zawsze wiedziałam, że ona była nieszczęśliwa - powiedziała. - Czułam to, tak samo jak czułam, że była beznadziejnie zakochana. Ale nie miałam pojęcia o tym, że się bała.

Nigdy tego nie zauważyłam.

- Lilah, to było tak dawno temu - westchnął Max.

- Może pani Tobias trochę przesadziła. Była wtedy młodą dziewczyną.

Lilah odwróciła się i zajrzała mu głęboko w oczy.

- Sam w to nie wierzysz.

- Nie - przyznał. - Ale nie możemy zmienić tego, co już się stało. Nie możemy jej pomóc.

- Właśnie o to chodzi, że możemy! Pomożemy jej, jeśli znajdziemy naszyjnik i

dziennik. Na pewno opisywała tam swoje uczucia. Musiała pisać o wszystkich pragnieniach i lękach. I musiała schować ten dziennik w miejscu, gdzie Fergus nie mógłby go znaleźć. Skoro schowała szmaragdy, to musiała schować również i dziennik.

- W takim razie znajdziemy jedno i drugie. Według pani Tobias, Fergus wrócił do domu wcześniej, niż się go spodziewano. Bianca nie miała możliwości wynieść szmaragdów z domu. Nadal więc gdzieś są, więc to tylko kwestia czasu, zanim je znajdziemy.

- Ale...

Max potrząsnął głową i ujął jej twarz w dłonie.

- Przecież to ty zawsze wierzyłaś w swoje przeczucia. Zastanów się. Trent przyjeżdża do Towers i zakochuje się w C. C. . Ponieważ przychodzi mu do głowy pomysł, żeby odnowić dom i przekształcić jego część w hotel, dawna legenda zostaje ujawniona. Gdy wiadomości o niej się rozchodzą, Livingston czy Caufield, czy jakkolwiek się on nazywa, dostaje obsesji na punkcie naszyjnika. Odstawia spektakl przed Amandą, ale ona już poznała Sloana - który również przyjechał tu z powodu domu. Caufield zaczyna się niecierpliwić, toteż kradnie część papierów. Dlatego ja się pojawiam w akcji. Ty wyławiasz mnie z wody i zabierasz do domu. Razem znajdujemy kolejne informacje. Znalazłem fotografię Bianki i szmaragdów, a potem kobietę, która znała ją osobiście i która potwierdziła przypuszczenie, że naszyjnik ukryty jest w domu. Wszystko tu się ze sobą łączy, każdy krok wynika z poprzedniego. Czy myślisz, że gdybyśmy nie mieli znaleźć naszyjnika, to dotarlibyśmy aż tak daleko?

Lilah ze łzami wzruszenia ujęła go za rękę.

- Profesorze, jesteś dla mnie taki dobry. Właśnie potrzebowałam odrobiny optymistycznej logiki.

- Mogę ci powiedzieć coś jeszcze. Myślę, że naszym następnym krokiem powinno być odnalezienie tego artysty.

- Christiana? Ale jak?

- Zostaw to mnie.

- Dobrze - westchnęła i znów się o niego oparła. - Jest jeszcze jedno ogniwo. Może pomyślisz, że zupełnie zwariowałam, ale przez cały czas chodzi mi to po głowie.

- Powiedz, co to takiego.

- Parę miesięcy temu Trent wybrał się na spacer na urwisko i znalazł Freda. Nigdy nam się nie udało dowiedzieć, skąd szczeniak mógł się tam wziąć. Ale kojarzy mi się to ze szczeniakiem Bianki, z tym, o którego pokłóciła się z Fergussem na dzień przed śmiercią. Ciekawa jestem, co się z nim stało. I myślę jeszcze o jej dzieciach. Trudno jest wyobrazić sobie własnego dziadka jako małego chłopca. Właściwie w ogóle go nie znałam, bo zginął przed moim urodzeniem. Ale widzę, jak stoi zrozpaczony przed drzwiami pokoju swojej matki, i serce mi pęka. Max przytulił ją mocno.

- Ćśśś. Lepiej myśleć, że Bianca zaznała odrobinę szczęścia ze swoim artystą.

- Masz rację - zamyśliła się Lilah. - Może dlatego tak lubię siedzieć w wieży. Tam nie zawsze czuła się nieszczęśliwa. Nie wtedy, gdy o nim myślała.

Po chwili otrząsnęła się ze smutku i powiedziała weselszym tonem:

- Mam pomysł. Może skorzystamy z tego basenu na dole? Chciałabym dla odmiany popływać z tobą dla czystej przyjemności.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Hawkins miał już dosyć czekania. Jego zdaniem każdy dzień spędzony na wyspie był dniem straconym. Zrezygnował z miłej, dobrze przygotowanej roboty w Nowym Jorku, na której zarobiłby przynajmniej dziesięć tysięcy, i zainwestował połowę tej sumy w przedsięwzięcie, które coraz wyraźniej pachniało wielką klapą.

Wiedział, że Caufield jest dobrym fachowcem. Niewielu było lepszych od niego, jeśli



chodziło o otwieranie wszelkich zamków i kiwanie policji. W ciągu lat współpracy przeprowadzili razem kilka gładkich operacji. Ale właśnie dlatego Hawkins zaczynał się coraz poważniej martwić.

W tej robocie nic nie szło gładko. Jakiś pętał z college'u poważnie pokrzyżował im plany. Hawkins żałował, że Caufield wcześniej nie pozwolił mu zrobić porządku z Quartermainem. Można było przecież zaaranżować jakiś niewinny wypadek.

Dalej: Caufield dostał obsesji na punkcie tych szmaragdów. Gadał o nich dniem i nocą, jakby to były żywe istoty, a nie ładne kamyki warte kupę szmalu. Hawkins zaczął podejrzewać, że Caufield wcale nie zamierza wymienić klejnotów na gotówkę i że prowadzi podwójną grę, toteż pilnie obserwował każdy ruch swego towarzysza.

Niepokoili go również ataki szału Caufielda, które zdarzały się coraz częściej.

Zaledwie poprzedniego dnia Caufield wpadł do domu blady z wściekłości i zaczął rzucać nożem w meble. A wszystko dlatego, że nie zastał w parku jednej z panien Calhoun.

Hawkins zaczynał bać się nieobliczalności Caufielda. I dlatego mógł zrobić tylko jedno: spróbować go przechytrzyć.

Caufield znów poszedł do parku. Hawkins zabrał się do przeszukiwania domu. Potrafił to robić, nie pozostawiając praktycznie żadnych śladów. Przejrzał skradzione dokumenty i skrzywił się z niechęcią. Gdyby Caufield znalazł coś ważnego, nigdy nie zostawiłby tego na wierzchu.

Postanowił skupić się na najbardziej oczywistym miejscu: sypialni swego towarzysza.

Najpierw wytrząsnął książki. Wiedział, że Caufield lubi udawać erudyte, chociaż nie był wykształcony bardziej od Hawkinsa. Ale w tomach Szekspira i Steinbecka nie było nic.

Szukał pod materacem i w szufladach biurka, za lustrami, pod szufladami i pod dywanem. W końcu zwrócił wzrok na szafę.

I oto w kieszeni dzinsów znalazł mapę, nierówno wyrysowaną na pożółkłym papierze.

Nie było żadnych wątpliwości: mapa przedstawiała Towers. Hawkins poczuł narastającą wściekłość, a więc Caufield znalazł mapę wśród papierów i zachował ją dla siebie. No cóż, pomyślał, wsuwając mapę do własnej kieszeni, w takim razie zasłużył sobie na to, żeby mu odplacić pięknym za nadobne.

Znalezienie Christiana okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał i zajęło mu niecałe pół dnia. Natrafił na niego w zakurzonej tomie zatytułowanej *Artyści i ich dzieła: 1900 - 1950*.

Cierpliwie przekopał się przez literę A i bez większej nadziei brnął przez B, gdy naraz w oczy rzuciła mu się notka: Christian Bradford, 1884 - 1976. To było to.

*Choć Bradford doczekał się szerszego uznania dopiero w ostatnich latach życia, wartość jego wczesnych prac znacznie wzrosła od czasu jego śmierci.*

Ominął opis stylu artysty i czytał dalej:

*Swego czasu zaliczany do artystycznej cyganerii ze względu na częste zmiany miejsca pobytu, Bradford wymienił wiele swych prac na noclegi i wyżywienie. Był płodnym artystą i często kończył obraz w ciągu kilku dni. Podobno, gdy był w odpowiednim nastroju, potrafił pracować przez dwadzieścia godzin pod rząd. Pozostaje tajemnicą, dlaczego nie stworzył niczego w latach 1914 - 1916.*

Och, Boże, pomyślał Max i otarł wilgotne dłonie o spodnie.

*Ożenił się w 1925 roku z Margaret Doogan i miał z nią jednego syna. Niewiele wiadomo o jego życiu osobistym. Przed siedemdziesiątym rokiem życia przeszedł poważny atak serca, mimo to jednak nie przerwał pracy. Zmarł w Bar Harbor w stanie Maine, w domu, który należał do niego przez ponad pół wieku. Pozostawił po sobie syna i wnuka.*

- Mam cię - mruknął Max z satysfakcją. Odwrócił stronę i przyjrzał się reprodukcji

jednego z obrazów Bradforda. Obraz przedstawiał morze podczas sztormu. Perspektywa

wydawała się znajoma: był to widok z urwiska u stóp Towers.

W godzinę później Max wrócił do domu z tuzinem książek pod pachą. Lilah kończyła pracę dopiero za następną godzinę, a jej siostry wracały do domu jeszcze później. Podniecony sukcesem, przywitał Freda tak serdecznie, że pies z radości omal nie zaczął wspinać się na ściany holu.

- O mój Boże - zawołała Coco, drepcząc w dół po schodach. - Cóż to za zamieszanie?

- Przepraszam - zakłopotał się Max.

- Nie masz za co przepraszać. Chyba zwariowałabym z nudów, gdyby zdarzył się tu jeden spokojny dzień. Wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie.

- Bo właśnie...

W tej chwili jednak Alex i Jenny wpadli do holu, strzelając do siebie z wyimaginowanych pistoletów laserowych.

- Trup! Trup! - wrzeszczał Alex.

- Jeśli musicie kogoś zabijać, to proszę, wyjdźcie na zewnątrz - rzekła łagodnie Coco.

- I zabierzcie Freda. Przyda mu się spacer.

- Śmierć najeżdżcom! - odkrzyknął w odpowiedzi Alex. - Zrobimy z nich jajecznice!

Jenny w milczącym porozumieniu wycelowała laserową broń w Freda. Pies znów popędził przez hol, szczekając donośnie, a dzieci pobiegły za nim. Po chwili tylne drzwi trzasnęły tak mocno, że dom zakołysał się w posadach.

- Nie mam pojęcia, po kim one odziedziczyły taką krwawą wyobraźnię - westchnęła

Coco, - Suzanna to najłagodniejsza osoba na świecie, a ich ojciec... Urwała i w jej oczach pojawiło się coś niedobrego.

- No cóż, to zupełnie inna historia - dodała szybko. - Ale powiedz mi w końcu,

dłaczego, jesteś taki szczęśliwy?

Tym razem rozmowę przerwał dzwoniący telefon. Coco podniosła słuchawkę.

- Halo. Tak. Tak, jest tutaj. - Zasłoniła mikrofon i szepnęła głośno: - Max, to twój dziekan. Chce z tobą rozmawiać.

Max położył książki na stoliku obok telefonu. Coco dyskretnie odsunęła się o metr i zaczęła poprawiać obrazki, krzywo wiszące na ścianie.

- Dziekan Hodgins? Tak, dobrze, dziękuję. To bardzo piękne miejsce. Nie, jeszcze nie wiem, kiedy wrócę... Profesor Blake?

Coco podniosła głowę, zaalarmowana tonem jego głosu.

- Kiedy? Czy to coś poważnego? Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że...

przepraszam, co takiego? - Max wypuścił oddech i oparł się o poręcz schodów. - To dla mnie wielki zaszczyt, ale... - Znów zamilkł. - Dziękuję. Tak, rozumiem. Gdybym mógł się nad tym zastanowić przez dzień lub dwa..., Bardzo dziękuję. Tak. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i stał nieruchomo, patrząc w przestrzeń. Coco odchrząknęła.

- Mam nadzieję, że nie stało się nic złego?

- Słucham? - ocknął się Max. - Nie, to znaczy tak. To znaczy, szef wydziału historii miał w zeszłym tygodniu atak serca.

Coco natychmiast pośpieszyła z wyrazami współczucia.

- Och, to okropne!

- To nie był poważny atak. Lekarze są zdania, że to raczej ostrzeżenie. Zalecili mu, żeby zrezygnował z części obowiązków, a on potraktował te zalecenia poważnie i postanowił przejść na emeryturę. A w dodatku zarekomendował mnie na swoje stanowisko.

- To wielki zaszczyt, prawda? - uśmiechnęła się Coco, przypatrując mu się bacznie.

- Musiałbym wrócić do Nowego Jorku już w przyszłym tygodniu, objąć rolę szefa pełniącego obowiązki i poczekać na ostateczną decyzję - powiedział jakby do siebie.

- Czasami trudno jest rozstrzygnąć, co należałoby zrobić i którą drogę wybrać. Może napijemy się herbaty? - zaproponowała Coco. - A potem zobaczę, co mówią fusy.

- Naprawdę nie sędzę, żeby...

Przed wrózeniem z fusów uratowało Maksa stukanie do drzwi wejściowych. Coco poszła otworzyć i w chwilę potem Max usłyszał jej słaby głos:

- Och, mój Boże. Och, mój Boże!

- Nie stój tak z otwartymi ustami, Cordelio - powiedział ktoś ostrym, autorytatywnym tonem. - Niech ktoś się zajmie moimi bagażami.

- Ciocia Colleen - westchnęła Coco. - Cóż za... miła niespodzianka.

- Ha! Wolałabyś zobaczyć na progu szatana we własnej osobie - odrzekła ciocia

Colleen i weszła do holu, postukując błyszczącą laską ze złotą gałką. Max zobaczył wysoką, chudą kobietę z masą siwych włosów, ubraną w elegancki biały kostium i ze sznurem pereł na szyi. Jej cera była niemal równie biała jak kostium. Gdyby nie ciemnoniebieskie, wzbudzające lęk oczy, wyglądałaby jak duch.

- Kto to jest, do diabła? - zapytała, zatrzymując na nim wzrok.

- Urn. Urn.

Colleen niecierpliwie postukała laską w podłogę.

- Mów głośniej, dziewczyno, i nie jękaj się. Nigdy nie potrafiłaś używać rozsądku, jakim obdarzył cię Bóg.

Coco rozpaczliwie wykręcała ręce.

- Ciociu Colleen, to jest doktor Quartermain. Max, to jest Colleen Calhoun.

- Doktor - warknęła Colleen. - A kto jest chory? Nie mam zamiaru mieszkać w domu dotkniętym epidemią.

- Pani Calhoun, ja jestem doktorem historii - uśmiechnął się Max. - Miło mi panią

poznać.

- Ha. - Colleen pociągnęła nosem i rozejrzała się po holu. - W dalszym ciągu wszystko się tu rozsypuje. Najlepiej by było, gdyby piorun trafił w ten dom i spalił go do fundamentów. Zajmij się tymi walizkami, Cordelio, i niech ktoś mi przyniesie herbatę. Mam za sobą długą podróż.

Wydawszy dyspozycje, pomaszerowała w stronę salonu. Coco spojrzała na Maksa bezradnie.

- Wybacz, ale muszę cię poprosić...

- Oczywiście - odrzekł Max. - Dokąd mam zabrać bagaże?

Coco przycisnęła dłonie do policzków.

- Och, mój Boże. Do pierwszego pokoju po prawej na piętrze. Musimy ją jakoś zatrzymać na dole, żebym mogła przygotować ten pokój. Och, i na pewno nie zapłaciła taksówkarzowi. Stara skąpa... Zadzwonię do Amandy, żeby ostrzegła pozostałe dziewczynki.

Max, jeśli wierzysz w moc modlitwy, to módl się, by była to jak najkrótsza wizyta.

- Gdzie ta herbata? - zawołała Colleen donośnie.

- Zaraz będzie! - odkrzyknęła Coco i pobiegła przez hol.

Coco wyciągnęła wszystkie swoje króliki z kapelusza naraz. Przyniosła ciotce herbatę i słodkie ciasteczka, odciągnęła Trenta i Sloana od pracy i ubłagała Maksa, by również dołączył do towarzystwa w salonie. Amanda miała poprosić Lilę i Suzannę, by wcześniej skończyły pracę i pomogły jej przygotować pokój gościnny.

To zupełnie jak przygotowania do najazdu, pomyślał Max, wchodząc do salonu.

Colleen siedziała sztywno jak generał, mierząc przeciwników stalowym spojrzeniem.

- A więc to ty ożeniłeś się z Catherine. Hotele, tak?

- Tak, proszę pani - odrzekł grzecznie Trent.

- Nigdy się w nich nie zatrzymuję - skwitowała starsza pani lekceważąco. - Nie za szybko wzięliście ślub?

- Obawiałem się, że Catherine może zmienić zdanie.

Niewiele brakowało, a byłaby się uśmiechnęła. Następnym celem stał się Sloan.

- A ty uganiaasz się za Amandą?

- Zgadza się.

- Co to za akcent? - zainteresowała się natychmiast. - Skąd jesteś?

- Z Oklahomy.

- O'Riley - powtórzyła z zastanowieniem, po czym wyciągnęła palec wskazujący. -

Ropa naftowa.

- Tak jest.

- Hm. I wpadliście na idiotyczny pomysł, żeby przerobić zachodnie skrzydło domu na hotel. Lepiej spalić to wszystko i wziąć pieniądze z ubezpieczenia.

Coco z wrażenia zaparło dech.

- Ciociu Colleen, chyba tak nie myślisz!

- Zawsze mówię to, co myślę. Przez większą część życia nienawidziłam tego domu. -

Zatrzymała wzrok na portrecie swego ojca. - On nie zniósłby płatnych gości w Towers. Taki pomysł napełniłby go odrazą.

- Przykro mi, ciociu Colleen - stwierdziła Coco - ale robimy, co możemy.

- A czy kazałam ci się tłumaczyć? - prychnęła szacowna staruszka. - Gdzie, do diabła, podziwiają się moje bratanice? Czy nie mają na tyle poczucia przyzwoitości, żeby mi złożyć uszanowanie?

- Niedługo wrócą - uspokajała ją desperacko Coco. - Nie spodziewaliśmy się ciebie i...

- Dom zawsze powinien być gotowy na przybycie gości - oznajmiła ciotka z

satisfakcją i ze zmarszczonym czołem przyjrzała się Suzannie, która właśnie stanęła w progu.

- Która to jest?

- Jestem Suzanna - przedstawiła się i podeszła, by pocałować cioteczną babkę w policzek.

- Podobna jesteś do matki. Lubiłam Delię. - Przeniosła wzrok na Maksa. - Ty się o nią ubiegasz?

Sloan głośno zakaszłał, maskując wybuch śmiechu. Max zamrugał powiekami.

- Ach, nie. Nie, proszę pani.

- A dlaczego nie? Masz kłopoty ze wzrokiem?

- Nie - powtórzył Max, niespokojnie kręcąc się na krześle. Na twarzy Suzanny pojawił się szeroki uśmiech. Coco podążyła im na ratunek.

- Max jest naszym gościem przez kilka tygodni. Pomaga nam... w badaniach historycznych.

Colleen wyprostowała się i oczy jej zabłyśły.

- Szmaragdy. Nie traktuj mnie jak głupiej, Cordelio. Dostajemy na statku gazety.

Mówię o pasażerskich statkach wycieczkowych - wyjaśniła, zwracając się w stronę Trenta. -

O wiele bardziej cywilizowane niż hotele. Teraz powiedzcie mi wreszcie, co się tutaj właściwie dzieje.

- W zasadzie nic takiego - chrząknęła Coco. - Wiesz, jak prasa lubi wszystko rozdmuchiwać ponad miarę.

- Czy w tym domu był jakiś złodziej, który strzelał z pistoletu?

- Owszem, był. To dosyć irytujące, ale... Staruszka wyciągnęła laskę i wymierzyła ją w pierś Maksa.

- Ty. Ty, z tym doktoratem. Przypuszczam, że potrafisz wyrażać się precyzyjnie.



Wyjaśnij mi sytuację, tylko zwięźle.

Max pochwycił błagalne spojrzenie Coco i odstawił niechcianą herbatę.

- Zaszło kilka wydarzeń, które sprawiły, że rodzina postanowiła zbadać prawdziwość legendy o szmaragdach Calhounów. Niestety, wiadomości o naszyjniku wydostały się na zewnątrz, powodując szerokie zainteresowania i spekulacje wśród osób rozmaitego autoramentu. Pierwszy krok polegał na skatalogowaniu rodzinnych dokumentów, by na tej podstawie stwierdzić, czy szmaragdy rzeczywiście istniały.

- Oczywiście, że istniały! - przerwała mu Colleen ze zniecierpliwieniem. - Przecież widziałam je na własne oczy.

- Trudno było się z tobą skontaktować - zaczęła Coco, ale Colleen uciszyła ją spojrzeniem.

- W każdym razie - ciągnął Max - ktoś włamał się do domu i ukradł część papierów.

Pokrótkie streścił jej rozwój kolejnych wypadków. Colleen zmarszczyła brwi.

- Hm. Czym ty się zajmujesz, pisaniem? Max ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Wykładam historię na Uniwersytecie Cornella.

- Narobiliście tu wszyscy okropnego bałaganu. Złodzieje w domu, nazwisko szargane po gazetach, omal was nie pozabijano. Z tego, co wiadomo, ojciec mógł sprzedać szmaragdy.

- Pozostałby po tym jakiś ślad w dokumentach finansowych - zauważył Max i zaskarbił sobie tą uwagą zainteresowanie gościa.

- Masz rację, doktorze. Ojciec zapisywał każdego wydanego centa. - Przymknęła oczy.

- Niania zawsze mówiła, że ona gdzieś je schowała dla nas. Ale to bajki.

- Uwielbiam bajki - zawołała Lilah z progu. Po jej obydwu stronach stały Amanda i C.

C..

- Wejdz do środka, żebym mogła ci się lepiej przyjrzeć.

- Ty pierwsza - mruknęła Lilah do C. C..
  - Dlaczego?
  - Bo jesteś najmłodsza.
  - Rzucacie kobietę w ciąży na pożarcie wilkom - odgryzła się C. C..
  - Co ty masz na twarzy? - zaciekała się Colleen. C. C. potarła policzek dłonią.
  - Pewnie smar.
  - Do czego to dochodzi? Masz dobre kości twarzy - stwierdziła nagle. - Będziesz się ładnie starzeć. Jesteś już w ciąży?
  - Tak - uśmiechnęła się dziewczyna, wkładając ręce do kieszeni. - Dziecko ma się urodzić w lutym.
  - To dobrze. - Colleen gestem przywołała kolejną delikwentkę na przesłuchanie. Tym razem była to Amanda.
  - Dzień dobry, ciociu. Cieszę się, że przyjechałaś na mój ślub.
  - Może tak, może nie. - Colleen wyduła usta i przyjrzała się jej. - W każdym razie potrafisz napisać porządny list. Dostałam go w zeszłym tygodniu. Czy jest jakiś powód, dla którego nie możesz wyjść za mężczyznę ze wschodniego wybrzeża?
  - Jest. Żaden z nich nie denerwował mnie tak jak Sloan. Colleen wydała z siebie coś w rodzaju śmiechu i przeniosła wzrok na Lilę, ale natychmiast oczy zaczęły ją piec i musiała przygryźć usta, by ukryć ich drżenie. Czuła się tak, jakby patrzyła na własną matkę.
  - Więc ty jesteś Lilah - powiedziała w końcu.
  - Co robisz ze swoim życiem?
  - Tak niewiele, jak tylko się da - odrzekła Lilah swobodnie. - A ty?
- Usta Colleen zadrgały. Lilah usiadła na podłodze u stóp Maksa i swobodnie położyła rękę na jego kolanie.

- A więc to ty zagięłaś parol na tego chłopca.

- Tak - odrzekła Lilah, promieniejąc. - Prawda, że jest fantastyczny?

- Lilah - mruknął Max groźnie.

- Nie pocałowałaś mnie jeszcze na powitanie - odrzekła głośno i wyraźnie.

Colleen postukała laską w podłogę, bardziej rozbawiona, niż chciała to okazać.

- Zostaw go w spokoju. On przynajmniej jest dobrze wychowany. A teraz czas już postanowić, co mamy robić dalej z tym bałaganem, w który się wpakowałyście. Im szybciej się to skończy, tym szybciej będę mogła wrócić na mój statek.

- Chyba nie chcesz powiedzieć... - zająknęła się Coco i poprawiła się szybko: - Czy zamierzasz tu zostać, dopóki nie odnajdziemy szmaragdów?

- Zamierzam zostać tak długo, dopóki nie będę gotowa, by wyjechać - odparła Colleen z godnością.

- To wspaniale - powiedziała Coco niepewnym głosem. - Chyba pójde się zająć kolacją.

- Jadam punktualnie o siódmej trzydzieści - odprawiła ją ciotka.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Lilah wygodnie zwinęła się w kłębek w fotelu samochodu Maksa i powiedziała w zamyśleniu:

- Wiesz, zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek znajdziemy ten naszyjnik. Do tej pory nie poczyniliśmy właściwie żadnych postępów.

- To nieprawda - zaprotestował. - Stwierdziliśmy, że istniał naprawdę. Marny jego fotografię. Znaleźliśmy panią Tobias i zidentyfikowaliśmy Christiana.

Lilah wyprostowała się gwałtownie.

- Kiedy to zidentyfikowaliśmy Christiana?

- Zapomniałem ci powiedzieć. - Max wzruszył ramionami. - Nie patrz tak na mnie. To przez ten najazd twojej ciotecznej babki.

- W takim razie opowiedz mi o tym teraz. Max streścił jej rezultaty swoich poszukiwań w bibliotece.

- Christian Bradford - powtórzyła. - To nazwisko brzmi jakoś znajomo. Bradford, Bradford. - Przymknęła oczy i przez chwilę milczała. - Już mam! - wykrzyknęła nagle. -

Znałyśmy chłopaka o nazwisku Bradford. Wychował się tutaj, na wyspie. Holt Bradford.

Ciemny, milczący i pochmurny. Był o kilka lat starszy od nas. Ma domek w miasteczku. Mój Boże, Max, jeśli to wnuk Christiana, to jest to ten sam dom!

- Nie wybiegaj za daleko. Musimy to sprawdzić.

- Trzeba porozmawiać z Suzanną. Ona zna go trochę lepiej. Pamiętam, że straciła go z motocykla w pierwszym tygodniu po otrzymaniu prawa jazdy.

- Nie straciłam go z motocykla - zaprzeczyła Suzanna stanowczo, zanurzając się w pianie. - Sam spadł, bo zrobił za ostry unik. Ja miałam pierwszeństwo.

- Mniejsza o to. Co o nim wiesz? - indagowała Lilah, siedząc na krawędzi wanny.

- Paskudny charakter. Tamtego dnia omal mnie nie zamordował. Nie byłby taki podrapany, gdyby jeździł w kasku. Po co ci to?

- Potem ci powiem. Przypomnij sobie wszystko, co wiesz.

- Dobrze, poczekaj chwilę. Muszę się zastanowić. Był trzy czy cztery lata starszy ode mnie. Dziewczyny za nim szalały, bo wyglądał niebezpiecznie. Jego ojciec był rybakiem.

Zginął na morzu, gdy byliśmy nastolatkami. Naprawdę nie pamiętam wiele więcej. Aha, po

szkole wyjechał gdzieś, chyba do Portland. Był policjantem, ale przydarzył mu się jakiś

incydent i wtedy wrócił na wyspę. Teraz chyba zajmuje się naprawą łodzi. Powiesz wreszcie,

do czego ci to potrzebne?

- Christian nosił nazwisko Bradford i miał domek na wyspie.

- Och - westchnęła Suzanna.

- Lilah, czy Max już ci przekazał nowiny?

- Och, tak, chociaż z pewnym opóźnieniem.

- Czy podjął już jakąś decyzję? Wiem, że to dla niego wielka szansa, ale byłoby mi bardzo przykro, gdyby musiał już wyjechać.

- Wyjechać? Dokąd?

- Jeśli przyjmie to stanowisko, to już w przyszłym tygodniu powinien być na uniwersytecie. Chciałam postawić karty wczoraj wieczorem, ale Colleen narobiła takiego zamieszania...

- Jakie stanowisko?

- Szefa wydziału historii. Myślałam, że już ci powiedział!

Lilah wzruszyła ramionami z obojętnym wyrazem twarzy.

- Widocznie nie słuchałam go uważnie.

Poszła do jego pokoju, ale nie było go tam. Wróciła do siebie i stanęła w otwartych drzwiach tarasu. Niebo pokryte było chmurami. Po upalnym dniu zanosило się na burzę. W oddali rozległ się grzmot.

W pierwszej chwili wydawało jej się, że to tylko złudzenie, zaraz jednak przekonała się, że w ogrodzie rzeczywiście ktoś jest. Och, nie, pomyślała z wściekłością. Tylko nie to.

Kolejni małoletni poszukiwacze skarbów.

Cicho zeszła po schodkach do ogrodu. Zobaczyła promień światła z latarki i skierowała się w tamtą stronę, zastanawiając się po drodze, czy lepiej będzie znów udawać ducha, czy zagrozić intruzom policją.

Naraz światło zgasło. Zatrzymała się, zdezorientowana, nasłuchując, ale docierał do

niej tylko odgłos własnego oddechu.

Wzruszyła ramionami i już miała iść dalej, gdy naraz poczuła zimny, nieprzyjemny dotyk metalu na szyi.

- Ani słowa - syknął ktoś do jej ucha. - Rób, co ci mówię, a nic ci się nie stanie. Jeśli zaczniesz krzyczeć, poderżnę ci gardło. Zrozumiano?

Skinęła głową i szepnęła:

- Tracisz tylko czas. Naszyjnika tu nie ma.

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Mam mapę - usłyszała.

Przymknęła oczy i zaczęła się histerycznie śmiać.

Max z niepokojem krążył po swojej sypialni. Zastanawiał się, gdzie może się podziewać Lilah, Zbierało się na burzę, a jej nie było w domu. Chyba nie wymyśliła niczego głupiego. Przypomniawszy sobie, jak próbowała wystraszyć poszukiwaczy skarbów, i przeszył go zimny dreszcz na myśl, że znów mogła czegoś takiego spróbować.

Naraz w ogrodzie rozległ się dziki, histeryczny śmiech. Max rozpoznał głos Liii i jak szalony rzucił się w mrok.

Napastnik szarpnął ją za włosy tak mocno, że skrzywiła się z bólu.

- Ta mapa jest fałszywa - szepnęła, zastanawiając się gorączkowo, jak wybrnąć z tej sytuacji i odciągnąć go jak najdalej od domu. - Chodź za mną, to pokażę ci, gdzie naprawdę ukryte są szmaragdy.

Nie była pewna, czy jej wybieg zadziała, ale napastnik po chwili wahania mocno pochwycił ją za obydwie ręce.

- Idź przede mną.

Poprowadziła go do miejsca, gdzie ogród graniczył z pierwszymi skalami urwiska.

- Szmaragdy są tutaj - szepnęła, wskazując na kupkę kamieni. - Pod spodem, w

metalowym pudełku.

Pochylił się nad kamieniami. Lilah ostrożnie oceniała swoje szanse. Zamierzała gwałtownie uskoczyć i pobiec co sił w stronę domu. On jednak zrozumiał jej intencje i gwałtownie szarpnął ją za spódnicę.

- Jeden niepotrzebny ruch i już nie żyjesz - warknął. - A jeśli nie znajdę tu kamieni, to też będziesz martwa.

Przybliżył twarz do jej twarzy i w jednej chwili z wrażenia zaparło jej dech. To był człowiek, w którym Max rozpoznał Hawkinsa.

Naraz w mroku rozległo się przekleństwo. Lilah patrzyła z przerażeniem na Maksa, który wyskoczył z ciemności prosto na napastnika. Po chwili jej przerażenie przeszło w grozę, gdy w ręku Hawkinsa błysnął nóż. Bez namysłu skoczyła mu na plecy. Ostrze o centymetry minęło twarz Maksa.

- Uciekaj! - krzyknął do niej Max, obiema rękami przytrzymując przegub krępego marynarza. Tarzali się po trawie i byli już na samym skraju urwiska. Lilah pobiegła, ale nie w stronę domu. Znalazła kamień i zamierzyła się, wyczekując dogodnej chwili. Głowa Maksa uderzyła o kamień, ostrze noża prześlizgnęło się po jego skroni. Lilah stała jak skamieniała, niezdolna się poruszyć. Nie mogła rzucić kamieniem, bo walczący przemieszczali się zbyt szybko.

W końcu Max uwolnił jedną rękę i z całej siły uderzył Hawkinsa pięścią w twarz. Ten odrzucił głowę do tyłu i znieruchomiał. Lilah nie mogła zrozumieć, co się stało.

Usłyszała za plecami wystrzały i szczekanie psów. Hawkins nadal się nie poruszał. W końcu Max podniósł się powoli i podszedł do niej.

- Nadział się na własny nóż - powiedział dziwnie nieobecny głosem. - Chyba nie żyje.

Spojrzał z oszołomieniem na swoje zakrwawione ręce, a potem na Lilę.

- Nic ci się nie stało?

- Och, Max - westchnęła, drżąc na całym ciele. Obawiała się, że za chwilę zupełnie się rozsypie.

Max przyciągnął ją do siebie i gładził po plecach.

- Już wszystko w porządku. Wszystko w porządku - powtarzał. Nie była pewna, czy próbował uspokoić ją, czy siebie.

Najpierw pojawił się pies, a potem cały tłum ludzi. Gdy policja wreszcie odjechała, zabierając ciało Hawkinsa, było już dobrze po północy.

Max i Lilah stali w milczeniu na tarasie. Po złożeniu zeznań i wielokrotnym referowaniu przebiegu zdarzeń żadne z nich nie miało już ochoty wracać do ostatnich wypadków.

Naraz Lilah coś sobie przypomniała.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytała ostro.

- Dokąd? - zdziwił się Max.

- No, jak to? Ciocia Coco powiedziała mi o twoim nowym stanowisku. Gratuluję,

Max. Dlaczego sam mi o tym nie powiedziałeś? Chyba będziemy musieli wydać jakieś przyjęcie, żeby to uczcić.

Max milczał przez chwilę.

- Tak myślisz? - zapytał wreszcie.

- Oczywiście - westchnęła Lilah z ciężkim sercem. - Nie co dzień zostaje się szefem wydziału. Teraz pewnie ani się obejrzysz, jak mianują cię dziekanem... To tylko kwestia czasu. A potem...

- Lilah, proszę cię, usiądźmy.



- Ciocia Coco upiecze wspaniały tort.

- Naprawdę się cieszysz, że dostałem tę propozycję?

- Oczywiście! Na pewno marzyłeś o tym przez całe życie. Cieszę się, że zostałeś doceniony.

- I chcesz, żebym przyjął to stanowisko? Lilah zmarszczyła brwi.

- A jak mógłbyś odmówić? To dla ciebie największa szansa w życiu!

- Szkoda, że tak myślisz - westchnął. - Bo ja już odmówiłem.

- Co takiego?! - zdumiała się.

- Podziękowałem za wyróżnienie i odmówiłem. Między innymi dlatego nie wspomniałem ci o tym. Nie wydawało mi się takie ważne. Aha, i jeszcze złożyłem rezygnację ze stanowiska wykładowcy.

Lilah patrzyła na niego z kompletnym niezrozumieniem. Max zauważył to i uśmiechnął się.

- Pamiętasz, jak kiedyś wróżyłaś mi z ręki i powiedziałaś, że będę musiał wybrać?

Otóż zacząłem pisać moją książkę. Gdybym teraz wrócił na Cornell, prawdopodobnie nigdy bym jej nie skończył. Więc wybrałem. To jedna z rzeczy, które zmieniły się dla mnie tego lata. Tylko że boję się teraz zapytać cię, czy zechcesz wyjść za bezrobotnego byłego wykładowcę akademickiego, któremu wydaje się, że potrafi napisać książkę.

- Nie - powiedziała Lilah stanowczo. Max poczuł zimny dreszcz.

- Ale chcę wyjść za bardzo utalentowanego i błyskotliwego mężczyznę, który napisze piękną książkę! Och, Max, jestem z ciebie taka dumna!

**SUZANNA**

# PROLOG

*Bar Harbor, 1965*

*Od chwili gdy ją zobaczyłem, moje życie zmieniło się nieodwracalnie. Od tego czasu minęło ponad pięćdziesiąt lat. Jestem już stary i siwy, moje ciało jest słabe, ale wspomnienia wciąż są pełne siły i barw.*

*Od czasu gdy przydarzył mi się atak serca, lekarz kazał mi codziennie odpoczywać.*

*Wróciłem więc na wyspę - na jej wyspę, gdzie wszystko się dla mnie zaczęło.*

*Wyspa zmieniła się, podobnie jak i ja. Pożar w czterdziestym siódmym roku dokonał wielu zniszczeń. Pojawiły się jednak nowe budynki i nowi ludzie. Zatłoczone samochodami ulice nie mają takiego uroku jak wtedy, gdy jeździły po nich powozy. Ale i tak miałem szczęście, że mogłem zobaczyć wyspę, jaką była kiedyś i taką, jaka jest teraz.*

*Mój syn jest już dorosłym mężczyzną, dobrym człowiekiem, który z własnego wyboru utrzymuje się z pracy na morzu. Nigdy nie potrafiliśmy się zrozumieć, ale udaje nam się pozostawać w dobrych stosunkach. Ma ładną, cichą żonę i syna. Mały Holt jest dla mnie wielką radością, może dlatego, że wyraźnie widzę w nim siebie, własną niecierpliwość, ogień i pasję, takie same jak te, które kiedyś wrzały we mnie. Gdybym miał przekazać mu tylko jedną wskazówkę, to poradziłbym, żeby chwycił życie pełnymi garściami i brał z niego tyle, ile zdoła pochwycić.*

*Moje życie było spełnione i wdzięczny jestem losowi za lata spędzone z Margaret. Nie byłem już młody, gdy została moją żoną. Nie łączyła nas płomienna namiętność, lecz spokojne, bezpieczne ciepło domowego ogniska. Było mi z nią dobrze i mam nadzieję, że ona również była ze mną szczęśliwa. Już niemal dziesięć lat minęło, odkąd odeszła, i często ją wspominam.*

*Przesiaduje mnie jednak wspomnienie innej kobiety, tak boleśnie wyraźne i pełne, że*

*upływ lat nie przyćmił go w najmniejszym nawet stopniu. Teraz, gdy sam już stoję nad grobem, mogę sobie pozwolić, by znów otworzyć się na to uczucie, przywołać wszystko, czego nigdy nie udało mi się zapomnieć. Kiedyś te wspomnienia były zbyt bolesne, więc odciąłem się od nich. Próbowałem szukać pociechy w butelce, a gdy okazało się to daremne, całą duszą pogrążyłem się w pracy. Malowanie stało się moją ucieczką, ale zawsze wracałem tam, gdzie kiedyś zacząłem naprawdę żyć i gdzie pewnego dnia umrę.*

*Tak kochać można tylko raz, a i to przy odrobinie szczęścia. Dla mnie taką miłością była Blanca.*

*Spotkałem ją w czerwcu 1912 roku, przed wielką wojną, która rozdarła świat na dwoje. Wioska Bar Harbor otworzyła się wówczas na bogaczy i stała się schronieniem artystów. Było to piękne i spokojne lato, lato sztuki i poezji.*

*Przyszła na urwisko, gdzie pracowałem. Prowadziła ze sobą dziecko. Z pędzlem w ręku odwróciłem się od płótna i wtedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Stała pośród skal, smukła i piękna. Wiatr szarpał jej rozpuszczone włosy koloru zachodzącego słońca i jasnoniebieską sukienkę. Miała jasną, typowo irlandzką cerę. Jej oczy, patrzące na mnie z zaciekawieniem i czujnością, miały barwę morza. Właśnie tę barwę desperacko próbowałem oddać na płótnie.*

*W chwili gdy ją ujrzałem, wiedziałem, że muszę ją namalować. Teraz myślę, że wiedziałem również, iż będę musiał ją kochać.*

*Przeprosiła za to, że przeszkadza mi w pracy. W jej uprzejmym, miękkim głosie pobrzmiwał śpiewny irlandzki akcent. Chłopiec, którego ze sobą przyprowadziła, był jej synem. Nazywała się Bianca Calhoun i była żoną innego mężczyzny. Nad urwiskiem wznosił się jej letni dom, Towers, okazały zamek zbudowany przez Fergusa Calhouna. Choć byłem na wyspie Mount Desert dopiero od niedawna, słyszałem o Calhounie i o jego domu. Prawdę*

*mówiąc, podziwiałem tę budowę, jej arogancję i fantazję, wieżyczki i mansardy, galerie i wieże.*

*To miejsce pasowało do stojącej przede mną kobiety. Jej uroda była ponadczasowa.*

*Była w niej spokojna stałość, niewymuszony, wrodzony wdzięk i skrywane pasje, widoczne w blasku oczu. Już wtedy byłem zakochany, chociaż jedynie w jej urodzie. Jako artysta chciałem przedstawić tę urodę na swój sposób, ołówkiem lub farbami. Może wpatrywałem się w nią zbyt intensywnie. Chyba trochę się przestraszyła, ale chłopiec, miał na imię Ethan, nie bał się mnie.*

*Wyglądała tak młodo, iż trudno było uwierzyć, że to jej dziecko i że ma jeszcze dwoje innych.*

*Tamtego dnia nie została ze mną długo. Zabrała syna i wróciła do męża. Patrzyłem za nią, gdy szła pomiędzy dzikimi różami, ze słońcem we włosach.*

*Nie mogłem już więcej malować morza. Nie mogłem już przestać myśleć o jej twarzy...*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Suzanna zaciągnęła dwudziestopięciokilogramowy worek ściółki do samochodu i z trudem wrzuciła go na tył. Niektóre obowiązki nie są przyjemne, ale nie ma wyjścia, pomyślała, i nie miała przy tym na myśli wysiłku fizycznego. Chodziło o coś innego, co musiała załatwić.

Obiecała rodzinie, że porozmawia z Holtem Bradfordem. A Suzanna Calhoun Dumont zwykle dotrzymywała słowa.

Westchnęła, ocierając twarz rękawem. Zmęczyła się. Przez cały dzień była zajęta w Southwest Harbor, gdzie urządziła ogród wokół nowo wybudowanego domu. Wszystko wskazywało na to, że następny dzień również będzie wypełniony po brzegi. Ślub jej siostry Amandy miał się odbyć już za tydzień i przygotowania do uroczystości oraz trwający właśnie

remont zachodniego skrzydła sprawiały, że w domu panował nieopisany bałagan. Wolała nawet nie myśleć o tym, że na jej powrót z pracy czeka dwoje pełnych energii dzieci, które potrzebują czasu i uwagi matki, oraz biurko pełne papierów. A w dodatku jej pomocnik właśnie tego ranka złożył wypowiedzenie.

No cóż, chciała prowadzić własną firmę i dopięła swego. Spojrzała na zamknięte drzwi sklepu. Na wystawie pyszniły się letnie kwiaty. Z tyłu znajdowała się szklarnia. To wszystko należało do niej - oraz do banku, pomyślała z cieniem uśmiechu - każdy bratek, petunia i piwonia. Udowodniła, że do czegoś się jednak nadaje, wbrew wszystkiemu, co przez wiele lat usiłował jej wmówić były mąż.

Miała dwoje bardzo udanych dzieci, kochającą rodzinę oraz firmę, która zajmowała się ogrodami i architekturą zieleni. Bax nie miałby już prawa powiedzieć jej, że jest tępa i nudna. Tym bardziej że właśnie włączyła się w niecodzienną przygodę, której początki sięgały osiemdziesiąt lat wstecz: poszukiwania bezcennego szmaragdowego naszyjnika, niegdyś najcenniejszego klejnotu prababci Bianki. Oprócz rodziny Calhounów naszyjnik pragnęli zdobyć również złodzieje, gotowi na wszystko kryminaliści o międzynarodowej sławie.

Dotychczasowy udział Suzanny w poszukiwaniach ograniczał się do kibicowania.

Wszystko zaczęło się od tego, że jej siostra, C. C. , zakochała się w Trentonie St. Jamesie III, z tych St. Jamesów, którzy byli właścicielami wielkiej sieci hoteli. Trenton z kolei wpadł na pomysł, by przekształcić część Towers w luksusowy pensjonat i w ten sposób wyciągnąć rodzinę z nieustannych kłopotów finansowych. Stara legenda rodzinna przedostała się tym sposobem do prasy, wywołując łańcuch zdarzeń, czasem niebezpiecznych, a niekiedy wręcz absurdalnych.

Amanda omal nie straciła życia, gdy zdesperowany rabuś, William Livingston,

ogarnięty obsesją na punkcie naszyjnika, skradł część rodzinnych dokumentów w nadziei, że trafi w nich na jakiś ślad prowadzący do szmaragdów. Wkrótce po tym druga siostra Suzanny, Lilah, również znalazła się w niebezpieczeństwie. Od tego czasu upłynął już tydzień, a policja nie wpadła na żaden ślad Livingstona czy też Ellisa Caufielda, pod takim bowiem nazwiskiem występował ostatnio.

To dziwne, pomyślała Suzanna, do jakiego stopnia dom oraz zaginione szmaragdy zmieniły los całej rodziny. Najpierw chęć zakupu Towers przywiodła do nich Trenta, co zakończyło się jego ślubem z C. C.. Potem Sloan O'Riley, projektant nadzorujący przebudowę, zakochał się w Amandzie. Następnie Max Quartermain, nieśmiały profesor historii, zwariował na punkcie trzeciej siostry, Lilah, i obydwójce omal nie zginęli. A wszystko przez szmaragdy.

Czasami Suzanna wołałaby, aby mogli zapomnieć o naszyjniku prababci. W głębi duszy była jednak przekonana, podobnie jak cała rodzina, że los chce, by klejnot, który Bianca ukryła przed swą tragiczną śmiercią, znalazł się właśnie teraz. Szukali go więc, nie lekceważąc żadnego, nawet najsłabszego śladu. A teraz Max odnalazł nazwisko artysty, którego Bianca kochała, i kolejnym ogniwem w łańcuchu poszukiwań miał być jego wnuk, Holt Bradford.

Tu właśnie do akcji musiała włączyć się Suzanna. Nie znała Holta dobrze. Nie sądziła, by ktokolwiek znał go dobrze, ale pamiętała go ze swoich szkolnych czasów. Był pochmurnym, milczącym samotnikiem, co oczywiście podnosiło jego atrakcyjność w oczach dziewcząt. Suzanna omal go nie przejechała, gdy jako świeżo upieczony kierowca potrąciła jego motocykl.

Co prawda nic mu się nie stało, a poza tym to ona miała pierwszeństwo, jednak do tej pory pamiętała gniewne spojrzenie jego ciemnoszarych oczu. Miała nadzieję, że Holt

zapomniał o tym zdarzeniu, przecież minęło już ponad dziesięć lat! W każdym razie obiecała Lilah, że z nim porozmawia. Jako wnuk Christiana Bradforda mógł słyszeć coś o naszyjniku. Holt wrócił do Bar Harbor zaledwie przed kilkoma miesiącami. Mieszkał w tym samym domku, który w czasach romansu z Biancą należał do jego dziadka. Suzanna miała w sobie irlandzką krew i głęboko wierzyła w przeznaczenie. Skoro Bradford znów pojawił się w domku, a Calhounowie nadal mieszkali w Towers, było jasne, że wspólnie muszą znaleźć klucz do tajemnicy, która prześladowała ich rodziny od pokoleń.

Prosty, drewniany domek stał nad brzegiem morza, w cieniu dwóch wielkich wierzb. Dokoła nie było ani jednego kwiatka. Trawa była świeżo skoszona, ale oko profesjonalistki natychmiast wypatrzyło miejsca, w których należało jej dosiać.

Wysiadła z samochodu i podeszła do drzwi, ale zanim zdążyła zastukać, usłyszała szczekanie psa i męski głos. Odwróciła głowę. Od bocznej ściany domu odchodził rozchwiany, drewniany pomost, przy którym cumowała niewielka, śnieżnobiała łódź motorowa. W sterówce siedział opalony czarnowłosy mężczyzna, zajęty polerowaniem mosiężnych części wyposażenia. Był bez koszuli, tylko w obciętych na krótko džinsach.

Suzanna zauważyła jego smukłe dłonie o długich palcach i zastanawiała się, czy odziedzyczył je po dziadku artyście.

Łódka kołysała się łagodnie na wodzie. Wysoko na niebie krzyknęła rybitwa.

Mężczyzna był bez reszty skupiony na swym zajęciu. Wydawało się, że to, co dzieje się wokół niego, nic go nie obchodzi.

Suzanna zbliżyła się do pomostu.

- Przepraszam bardzo - zawołała z uprzejmym uśmiechem, który jednak natychmiast zniknął z jej twarzy, gdy mężczyzna podniósł głowę.

Odniosła wrażenie, że gdyby miał pistolet, w jednej chwili znalazłaby się na muszce.

To przejście od swobody i spokoju do pełnego napięcia i czujności było zdumiewające.

Zmienił się, stwierdziła. Z pochmurnego chłopaka wyrósł niebezpiecznie przystojny mężczyzna. Rysy twarzy miał znacznie ostrzejsze niż kiedyś, a dwudniowy zarost jeszcze to podkreślał. Jedyne spojrzenie, ostre i przeszywające na wskroś, pozostało to samo.

Nie podniósł się z miejsca ani nic nie powiedział, tylko w milczeniu przeszywał ją wzrokiem. Poznał ją natychmiast. Żaden mężczyzna nie mógłby zapomnieć tej ponadczasowo pięknej twarzy. Prawie się nie zmieniła. Nadal miała jasną irlandzką cerę, klasycznie owalną twarz i rozmarzone niebieskie oczy z długimi rzęsami. Długie, jasne włosy miała związane w koński ogon. Była wysoka, podobnie jak wszystkie kobiety z rodziny Calhounów, i o wiele za szczupła. Słyszał, że ma za sobą nieudane małżeństwo zakończone nieprzyjemnym rozwodem i że wychowuje dwoje dzieci, syna i córkę.

Po długiej chwili odwrócił wzrok i zabrał się ponownie do polerowania koła sterowego.

- Co cię tu sprowadza? - zapytał niechętnie.

- Przepraszam, że nachodzę cię bez uprzedzenia. Nazywam się Suzanna Dumont...

Suzanna Calhoun.

- Wiem.

- Mhm... - odchrząknęła. - Widzę, że jesteś zajęty, ale czy znalazłbyś kilka minut na rozmowę? Jeśli to nie jest odpowiedni moment...

- O czym?

Zirytowana Suzanna postanowiła przejść od razu do rzeczy.

- O twoim dziadku. Nazywał się Christian Bradford, prawda? I był artystą?

- Tak. Więc?

- To dłuższa historia. Czy mogę usiąść? Wzruszył tylko ramionami, weszła jednak na



pomost i ostrożnie usiadła na rozchwianych deskach.

- Ta sprawa sięga 1912 albo 1913 roku i ma związek z moją prababcią Biancą.

- Słyszałem tę bajkę - mruknął mężczyzna. - Miała bogatego, niedobrego męża i była nieszczęśliwa w małżeństwie. Wynagrodziła to sobie, znajdując kochanka. Po drodze schowała gdzieś szmaragdowy naszyjnik. Miało to być zabezpieczenie na wypadek, gdyby wystarczyło jej odwagi, żeby odejść od męża. Ale zamiast wyjechać z kochankiem na koniec świata, rzuciła się z okna wieży, a szmaragdów nigdy nie odnaleziono.

- To nie było dokładnie tak...

- A teraz twoja rodzina bawi się w szukanie skarbu - ciągnął, ignorując jej protest. -

Dzięki temu macie na głowie tłumy dziennikarzy. Podobno parę tygodni temu działo się u was coś ciekawego.

- Jeśli uważasz za ciekawe to, że bandyta przyłożył nóż do gardła mojej siostrze, to masz zupełną rację - odrzekła Suzanna z gniewem. Nie zawsze potrafiła stanąć we własnej obronie, ale gdy chodziło o kogoś z rodziny, walczyła do ostatniej kropli krwi.

- Wspólnik Livingstona, czy jak tam się ten bandyta nazywa, omal nie zabił Lilah i jej narzeczonego.

- Jasna sprawa. Kiedy chodzi o cenny klejnot, w dodatku otoczony legendą, jest oczywiste, że jakieś szczury będą się próbowały do niego dostać - mruknął Holt.

Słyszał o Livingstone. Dziesięć lat przepracował w policji i choć sam nie zajmował się kradzieżami klejnotów, nazwisko groźnego przestępcy o międzynarodowej sławie nie było mu obce.

- Ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Już nie pracuję w policji.

- Nie szukam u ciebie profesjonalnej pomocy. To sprawa osobista - wyjaśniła

Suzanna, zbierając myśli. - Narzeczonego Lilah był profesorem historii na Uniwersytecie

Cornella. Kilka miesięcy temu Livingston, który wtedy występował pod nazwiskiem Ellis Caufield, wynajął go do przejrzenia skradzionych dokumentów naszej rodziny.

Holt w dalszym ciągu spokojnie czyścił mosiądz.

- Zdaje się, że Lilah ma nie najlepszy gust - stwierdził krótko.

- Max nie wiedział, że te papiery są skradzione - wycedziła Suzanna przez zęby. - Gdy odkrył prawdę, Caufield próbował go zabić. Wtedy Max trafił do Towers i kontynuował poszukiwania, ale już dla nas. Znaleźliśmy potwierdzenie, że szmaragdy naprawdę istniały, i nawet udało nam się porozmawiać z kobietą, która pracowała w Towers tego lata, gdy Bianca zginęła.

- Mieliście sporo pracy.

- Tak. Ta kobieta potwierdziła historię o ukryciu szmaragdów, jak również to, że Bianca była zakochana i chciała odejść od męża. Mężczyzna, którego kochała, był artystą. - Suzanna urwała na chwilę, wzięła głęboki oddech i dodała: - Nazywał się Christian Bradford.

W oczach Holta pokazał się krótki błysk. Powoli odłożył szmatę, wyjął z pudełka papierosa i niespiesznie zapalił.

- Czy naprawdę myślisz, że uwierzę w tę bajkę? Suzanna oczekiwała zdziwienia, a nie znudzonego pobłażania.

- To prawda! - oburzyła się. - Spotykali się na urwisku pod Towers.

Holt uśmiechnął się ironicznie.

- Widziałaś ich, tak? Ja też słyszałem o melancholijnym duchu Bianki Calhoun, który snuje się po letnim domu. Wasza rodzina chowa w zanadrzu mnóstwo legend.

Suzanna pohamowała złość.

- Bianca Calhoun i Christian Bradford byli w sobie zakochani - powtórzyła spokojnie.

- Tego lata, gdy Bianca zmarła, często się spotykali na skałach pod domem.

Holt tylko wzruszył ramionami.

- No to co z tego?

- Nie możemy sobie teraz pozwolić na przeoczenie żadnego śladu, szczególnie tak ważnego jak ten.

Może Bianca powiedziała twojemu dziadkowi, gdzie schowała naszyjnik.

- Nie rozumiem, co nic nieznaczący flirt sprzed osiemdziesięciu lat może mieć wspólnego z naszyjnikiem.

- Gdybyś na chwilę pozbył się uprzedzeń, jakie żywisz do mojej rodziny, to moglibyśmy się wspólnie nad tym zastanowić.

- Nie interesuje mnie to - powiedział spokojnie i otworzył małą lodówkę. - Napijesz się piwa?

- Nie.

- Niestety, szampan właśnie mi się skończył - stwierdził ironicznie, otwierając butelkę piwa.

- Gdybyś się nad tym zastanowiła, to sama doszłabyś do wniosku, że trudno w to uwierzyć. Wielka dama ze wspaniałej rezydencji i ubogi artysta. To zupełnie do siebie nie pasuje. Lepiej daj sobie z tym spokój i skup się na sadzeniu kwiatków. Zdaje się, że właśnie tym się zajmujesz?

- W porządku. Nie będę dłużej tracić czasu - westchnęła Suzanna, podnosząc się. Ale gdy już zeszła z pomostu, usłyszała za plecami głos Holta.

- Suzanno, nauczyłaś się w końcu jeździć? Obróciła się do niego z wściekłością.

- Aha, więc o to ci chodzi? Nadal jesteś urażony, bo upadek z motocykla zranił twoją męską dumę?

- Nie tylko dumę. - Holt wzruszył ramionami, przypominając sobie tę scenę. Suzanna

mogła wtedy mieć najwyżej szesnaście lat. Wybiegła z samochodu z rozwianymi włosami i z pobladłą, przelęknioną twarzą, on zaś leżał na poboczu, nie wiedząc, czy bardziej bolą go otarcia i potłuczenia, czy podrażniona ambicja dwudziestolatka.

- Nie do wiary - mówiła Suzanna. - Po dwunastu latach nadal masz mi za złe ten wypadek, chociaż to była twoja wina!

- Moja? Przecież to ty mnie potrąciłaś!

- Ja nikogo nie potrąciłam! Sam spadłeś z motocykla!

- Gdybym nagle nie skręcił, tobyś mnie przejechała! Nie patrzyłaś, gdzie jedziesz!

- Miałam pierwszeństwo, a ty jechałeś za szybko! Zresztą, nie mam zamiaru stać tu i kłócić się o coś, co zdarzyło się dwanaście lat temu!

- Przecież przyjechałaś tu po to, żeby mnie wciągnąć w historię sprzed osiemdziesięciu lat - zdziwił się Holt.

- To była pomyłka - oświadczyła Suzanna, zdecydowana zniknąć ze sceny. W tym momencie wielki, mokry pies jednym susem przebiegi przez trawnik i szczekając radośnie, skoczył na nią z rozpędu, opierając ubłocone łapy o jej koszulę.

- Siad, Sadie! - wykrzyknął ostro Holt. Zdążył podtrzymać Suzannę, zanim upadła. - Głupia suka!

- Słucham? - zdumiała się.

- Nie ty, tylko pies - zniecierpliwził się. - Nic ci się nie stało?

Pies siedział już grzecznie na ziemi, machając ogonem. Suzanna spojrzała na swoją koszulę.

- Nic - odparła.

Holt nadal mocno trzymał ją za ramiona. Poczwała się nieswojo. Już dawno nie była tak blisko żadnego mężczyzny.

- Przepraszam cię - powiedział po chwili, odsuwając się od niej. - Sadie ciągle uważa się za nieszkodliwego szczeniaka. Pobrudziła ci ubranie.

- Nie szkodzi, w pracy codziennie się brudzę - mruknęła Suzanna. Przykucnęła i podrapała psa po łbie. - Cześć, Sadie.

Holt wbił ręce w kieszenie.

- Właściciel takiego miłego psa nie może chyba być zupełnie złym człowiekiem - dodała, podnosząc głowę. Lekki uśmiech na jej ustach zamarł jednak, gdy napotkała mroczne spojrzenie jego oczu płonących dziwnym blaskiem w ściągniętej twarzy. Holt emanował fizyczną agresją. Suzanna знаła takie spojrzenie i na sam widok robiło jej się słabo.

Jego ciało rozluźniało się powoli, bardzo powoli.

- Może masz rację - rzekł sztucznie lekkim tonem. - Ale zdaje się, że to raczej ja jestem własnością Sadie.

- My też mamy szczeniaka - powiedziała Suzanna, opuszczając wzrok. - Ale szybko rośnie i niedługo pewnie będzie taki duży jak ona. Jest zresztą bardzo do niej podobny. Czy ona nie miała dzieci przed kilkoma miesiącami?

- Nie.

- Hm. Ma zupełnie ten sam kolor i taki sam kształt pyska. Mój szwagier znalazł go wyczerpanego i zagłodzonego na urwisku. Ktoś go pewnie wyrzucił i jakoś udało mu się wdrapać na skały.

- Nawet ja nie wyrzucam z domu bezbronnych szczeniaków.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała szybko Suzanna, zastanawiając się nad czymś.

- Czy twój dziadek miał psa?

- Pewnie. Wszędzie z nim chodził, Sadie pochodzi w prostej linii od niego.

Suzanna wstała, ogarnięta niejasnym przeczuciem.

- A czy pies twojego dziadka przypadkiem nie nazywał się Fred?

Holt zmarszczył brwi.

- Bo co?

- Nazywał się tak?

- Pierwszy pies dziadka rzeczywiście nazywał się Fred - powiedział Holt niechętnie.

Nie miał pojęcia, do czego Suzanna zmierza, ale nie podobał mu się kierunek tej rozmowy. -

To było jeszcze przed pierwszą wojną. Dziadek nawet go namalował. A kiedy Fred zaczął rozsiewać swoje geny po okolicy, dziadek wziął na wychowanie kilka szczeniąt.

Suzanna otarła zwilgotniałe dłonie o dzinsy, z trudem hamując podniecenie.

- Na dzień przed śmiercią Bianca przyniosła do domu w prezencie dla dzieci małego, czarnego szczeniaka. Nazwała go Fred. - W oczach Holta pojawił się błysk zainteresowania. -

Znalazła go na urwisku, gdzie spotykała się z Christianem.

Holt patrzył na nią bez słowa.

- Mój pradziadek nie zgodził się zatrzymać psa w domu - ciągnęła. - Wybuchła między nimi wielka kłótnia. Pokojówka, ta, którą udało nam się odnaleźć, słyszała tę kłótnię.

Nikt aż do dzisiaj nie wiedział, co się stało z psem.

- Nawet jeśli to prawda, to jeszcze nic nie znaczy - powiedział Holt powoli. - Nic nie mogę dla ciebie zrobić.

- Możesz pomyśleć i spróbować sobie przypomnieć, czy dziadek kiedyś coś o tym mówił. Coś, co mogłoby nas naprowadzić na jakiś ślad.

- Mam dosyć spraw na głowie - mruknął Holt, odchodząc o parę kroków dalej. Nie miał ochoty angażować się w nic, co zbliżałoby go do tej kobiety.

Ona zaś nie nalegała dłużej. Zatrzymała wzrok na jego plecach. Od ramienia prawie do pasa widniała na nich długa blizna. Holt spojrzał na Suzannę i zauważył przerażenie w jej

wzroku.

- Przepraszam, gdybym wiedział, że chcesz tu wpaść z wizytą, nałożyłbym koszulę.

Suzanna z trudem przełknęła ślinę.

- Co ci się stało?

- Byłem gliniarzem o jeden dzień za długo - rzekł, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. - Nie mogę ci pomóc, Suzanno.

- Nie chcesz - sprostowała, skrywając odruch współczucia. Była pewna, że nie oczekiwał tego od niej.

- Możesz to nazwać, jak wolisz. Gdybym wciąż miał ochotę grzebać się w problemach innych ludzi, to nie porzuciłbym służby.

- Proszę tylko o to, żebyś się zastanowił i dał nam znać, jeśli przypomnisz sobie cokolwiek, co może okazać się istotne.

Cierpliwość Holta była już na wyczerpaniu.

- Gdy dziadek umarł, ja byłem jeszcze dzieckiem. Czy naprawdę sądzisz, że opowiadałby mi o swoim romansie z zamężną kobietą?

- Mówisz o tym tak pogardliwie.

- Nie wszyscy ludzie uważają cudzołóstwo za romantyczne - wzruszył ramionami. W gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło.

Suzanna odwróciła wzrok.

- Nie interesują mnie twoje poglądy na moralność, Holt, tylko to, co pamiętasz. Ale zabrałam ci już wystarczająco dużo czasu.

Nie wiedział, skąd wziął się ten smutek i ból w jej wzroku, i nie chciał, by odeszła od niego w takim nastroju.

- Wydaje mi się, że to, co robicie, to pościg za cieniem, ale jeśli coś mi się przypomni,

to dam ci znać. Ze względu na dziadka Sadie.

- Będę ci bardzo wdzięczna.

- Ale nie oczekuj zbyt wiele - dodał. Suzanna zaśmiała się krótko, idąc do samochodu.

- Tego możesz być pewien. Zdziwiła się, gdy Holt ją dogonił.

- Słyszałem, że prowadzisz firmę.

- Zgadza się. Mógłbyś mnie zatrudnić. - Uśmiechnęła się, rozglądając się wokół domu.

- Nie przepadam za różami - prychnął Holt.

- Ale ten dom je lubi - odrzekła bez urazy, wyjmując kluczyki z kieszeni. - Niewiele potrzeba, by stworzyć tu piękne otoczenie.

- Nie zgłaszałem się do konkursu na najpiękniejszy ogród. Różane ogrody dobre są dla kogoś takiego jak ty.

Suzanna pomyślała o bólu mięśni po każdym dniu pracy.

- Tak, troska o różane ogrody to akurat zajęcie dla kobiet - stwierdziła, zajmując miejsce za kierownicą. - A swoją drogą, twój trawnik potrzebuje nawozu.

Zapaliła silnik, wrzuciła wsteczny bieg i odjechała.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Chłopiec i dziewczynka przemknęli po wyszczerbionych kamiennych schodkach z wdziękiem i swobodą młodości. Za nimi wybiegi z domu czarny szczeniak. Potknął się o swoje własne wielkie łapy i wywinął kozła. Biedny Fred, pomyślała Suzanna, wyskakując z samochodu. Chyba nigdy nie wyrośnie ze szczenięcej nieporadności.

- Mamo! - usłyszała.

Dzieci uczepliły się jej nóg. Sześcioletni Alex był wysoki na swój wiek i opalony jak Cygan. Kolana i łokcie miał poobijane, nie z powodu niezręczności, lecz przeciwnie - nadmiernej brawury. Jenny, o rok młodsza blondynka, wyglądała podobnie. Na ich widok



Suzanna zupełnie zapomniała o zmęczeniu i irytacji.

- Co dzisiaj porabialiście?

- Budujemy fort - oznajmił Alex z przejęciem. - Będzie nie do zdobycia. Sloan obiecał, że w sobotę nam pomoże.

- A ty, też nam pomożesz? - dopytywała się Jenny.

- Po pracy - obiecała Suzanna. Pochyliła się i pogłaskała Freda, który wreszcie precisnął się do niej między nogami dzieci. - Cześć, mały. Zdaje się, że spotkałam dzisiaj kogoś z twojej rodziny.

- To Fred ma rodzinę? - zdziwiła się Jenny.

- Na to wygląda - odrzekła Suzanna, siadając razem z dziećmi na schodkach. - Poznałam jego kuzynkę Sadie.

- Gdzie ona jest? Czy może nas odwiedzić? Czy jest miła?

Suzanna odpowiedziała na ten potok pytań po kolei:

- W miasteczku. Nie wiem. Tak, jest bardzo miła i wielka. Fred też będzie taki wielki.

Co jeszcze dzisiaj robiliście?

- Przyszły do nas Loren i Lisa - powiedziała Jenny. - Zabiliśmy tysiące maruderów.

- W takim razie możecie dzisiaj spać spokojnie.

- I Max opowiedział nam o szturmie na plażę w Normalii.

Suzanna ze śmiechem pocałowała małą w czubek głowy.

- To chyba była Normandia - zauważyła.

- Lisa i Jenny bawiły się lalkami - prychnął Alex pogardliwie.

- To ona chciała! - sprostowała jego siostra natychmiast. - Dostała na urodziny nową

Barbie z samochodem!

- To było ferrari - dodał Alex tonem eksperta, ale nie przyznał się, że obydwaj z

Lorenem także bawili się tym samochodem, gdy dziewczynki wyszły z pokoju. - Loren i Lisa w przyszłym tygodniu jadą do Disneylandu!

Suzanna stłumiła westchnienie. Wiedziała, że dzieci marzą o wyprawie do tego zaczarowanego królestwa na Florydzie.

- Kiedyś i my pojedziemy - obiecała mgliście.

- Niedługo? - nie ustępował Alex. Tego jednak nie mogła im obiecać.

- Kiedyś - powtórzyła. Zmęczenie wróciło. Podniosła się, trzymając dzieci za ręce. -

Biegnijcie powiedzieć cioci Coco, że już jestem w domu. Wezmę prysznic i przebiorę się, dobrze?

- A czy możemy jutro pójść z tobą do pracy?

- Jutro w sklepie będzie siedziała Carolanne. Ja mam pracę w terenie. Pójdziecie ze mną w przyszłym tygodniu - dodała szybko, wyczuwając rozczarowanie dzieci. - A teraz już idźcie. Zobaczę wasz fort po kolacji.

Dzieci popędziły korytarzem, a za nimi pospieszył pies.

Nie prosili o wiele, myślała Suzanna, idąc po schodach na piętro. A ona pragnęła im dać o wiele więcej, niż mogła. Wiedziała, że są bezpieczne i szczęśliwe. Miały wielką, kochającą rodzinę. Jedna z jej siostr była już mężatką, a dwie inne właśnie się zaręczyły, toteż w rodzinie byli również mężczyźni. Wprawdzie wujek to nie to samo co ojciec, ale lepsze to niż nic.

Baxter Dumont nie kontaktował się z nimi od miesiący. Nawet nie przysłał synowi kartki na urodziny. Alimenty spóźniały się jak zwykle. Bax był bystrym prawnikiem i wiedział, że nie może sobie pozwolić na zupełne zaniechanie płacenia, ale skrupulatnie pilnował, by pieniądze nigdy nie dochodziły na czas. Chciał doprowadzić do tego, żeby Suzanna musiała go prosić o wsparcie. Bogu dzięki, dotychczas udało jej się tego uniknąć.

Byli już półtora roku po rozwodzie, ale Baxter nadal odreagowywał na dzieciach wrogość, jaką czuł do niej, a przecież były jedyną wartością, jaką wspólnie stworzyli.

Może dlatego Suzannie dotychczas nie udało się pozbyć goryczy i rozczarowania.

Wciąż czuła się zdradzona i zagubiona. Nie odzyskała jeszcze w pełni poczucia własnej wartości. Nie kochała Baxtera, uczucie wygasło jeszcze przed urodzeniem Jenny, ale nie musiała go kochać, by przez niego cierpieć. Potrząsnęła głową. Pracowała nad własnymi uczuciami i szło jej coraz lepiej.

Weszła do swojego pokoju. Jak większość pomieszczeń w Towers, był ogromny.

Dom, zbudowany przez pradziadka na początku dwudziestego wieku, był świadectwem jego próżności i snobizmu, potrzeby statusu i umiłowania ostentacji. Cztery kondygnacje mocnego granitu ozdobionego fantazyjnymi wieżyczkami, galeryjkami i parapetami. Nad bryłą budynku górowały dwie duże, okrągłe wieże. Wnętrze stanowiło labirynt korytarzy i wysokich pomieszczeń wykończonych drewnem. Po części był to zamek, a po części dwór. Pierwotnie zaprojektowany jako dom letni, wkrótce zaczął pełnić funkcję całorocznej rezydencji.

Upływ lat i zmienne koleje fortuny nadkruszyły świetność Towers. W pokoju

Suzanny, podobnie jak i we wszystkich innych, gipsowe tynki były popękane, a podłoga dziurawa. Dach przeciekał, a kanalizacja trzymała się na słowo honoru. Calhounowie jednak kochali swe gniazdo rodzinne. Teraz zaś w zachodnim skrzydle trwał remont i była nadzieja, że po jego zakończeniu dom będzie w stanie zarobić na swe utrzymanie.

Suzanna uważała, że ma wiele szczęścia. Mogła przywieźć dzieci tutaj, gdy ich własny dom rozpadł się w gruzy. Nie musiała wynajmować obcych opiekunek, by pójść do pracy.

Siostra ojca, która wychowała Suzannę i jej siostry po śmierci rodziców, teraz zajmowała się jej dziećmi. Nikt nie zrobiłby tego lepiej.

Ktoś zapukał do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, Lilah wsunęła głowę do środka.

- Suze, widziałaś się z nim?

- Mhm - mruknęła Suzanna.

Jej siostra weszła do pokoju i natychmiast rozciągnęła się na łóżku, odrzucając na plecy burzę długich, rudych loków. Horyzontalna pozycja ciała zawsze była jej ulubioną.

- Mów - zażądała, wsuwając poduszkę pod głowę.

- Niewiele się zmienił.

- Oho.

- Był ostry i nieuprzejmy - mówiła Suzanna, ściągając przez głowę koszulkę. - Chyba się zastanawiał, czy nie zastrzelić mnie za to, że weszłam na jego teren bez pozwolenia.

Kiedy próbowałam mu wyjaśnić, o co mi chodzi, prawie mnie wyśmiał. Zachowywał się nieznośnie i arogancko.

- Hm. Wydaje mu się, że jest prawdziwym księciem.

- Jego zdaniem same wymyśliłyśmy to wszystko, żeby rozreklamować hotel przed nadchodzącym sezonem.

Lilah z oburzeniem usiadła na łóżku.

- Ma nas za wariatki? Przecież Max omal nie zginął!

- Właśnie tak - skinęła głową Suzanna, nakładając szlafrok. - Nie mam pojęcia, dlaczego, ale chyba ma jakiś uraz do Calhounów.

Lilah uśmiechnęła się sennie.

- Nadal jest wściekły za to, że zrzuciłaś go z motocykla.

- Ja go nie zrzuciłam! - oburzyła się Suzanna, ale po chwili poddała się. - Mniejsza o to. W każdym razie nie sądzę, żeby nam pomógł. Chociaż kiedy powiedziałam mu o psie, obiecał, że się zastanowi.

- O co chodzi z tym psem?

- O kuzynkę Freda - rzuciła Suzanna przez ramię, idąc do łazienki. Lilah poszła za nią i stanęła w drzwiach.

- Fred ma kuzynkę?

Poprzez szum wody Suzanna opowiedziała jej o Sadie i jej przodkach.

- Ależ to niezwykle! - ożywiła się Lilah. - Kolejne ogniwo łańcuszka! Muszę to opowiedzieć Maksowi!

Suzanna przymknęła oczy i wsunęła głowę pod strumień wody.

- Powiedz mu, że musi działać samodzielnie. Wnuk Christiana nie ma ochoty na współpracę.

Siedział na werandzie z psem u stóp i patrzył na wodę, która w półmroku przybrała błękitnofioletowy odcień.

Otaczała go muzyka owadów w trawie, szum wiatru, odgłosy fal rozbijających się o drewniany pomost. Po drugiej stronie zatoki zarysy Bar Island stapiały się już z tłem.

Niedaleko słychać było grające radio: solówka na saksofonie altowym pasowała do nastroju Holta.

Właśnie tego pragnął: spokoju i samotności bez żadnych obowiązków. Przecież zasłużył sobie na to. Poświęcił dziesięć lat życia na problemy, tragedie i nieszczęścia innych ludzi. A teraz był wypalony, wyjałowiony i piekielnie zmęczony.

Nie miał żadnej pewności, że był dobrym policjantem. Owszem, miał kolekcję medali i pochwał, ale trzydziestocentymetrowa blizna na plecach wciąż mu przypominała, że omal nie stał się martwym policjantem.

Teraz chciał tylko cieszyć się emeryturą, doprowadzić do porządku kilka motocykli, może trochę popływać. Zawsze miał manualne uzdolnienia i wiedział, że bez trudu zarobi na życie naprawianiem łodzi. Prowadził własną firmę we własnym tempie i na swój własny

sposób. Nie musiał pisać żadnych raportów, przeszukiwać ciemnych zaułków, tropić śladów. Nie groziło mu już, że gdzieś z mroku dosięgnie go nóż i zostawi krwawiącego na zimnym betonie.

Przymknął oczy i podniósł do ust butelkę z piwem. Podczas pobytu w szpitalu zdążył wiele przemyśleć. Zdecydował, że w jego życiu nie będzie żadnych więcej zobowiązań. Już nigdy nie będzie próbował zbawiać świata. Zamierzał dbać tylko i wyłącznie o siebie.

Wziął pieniądze, które dostał w spadku, i wrócił do domu, by spędzić tu resztę życia w jak największej beczynności. Słońce i morze w lecie, ogień w kominku i wycie wiatru w zimie. Nie pragnął niczego więcej.

Wreszcie zaczynał czuć się dobrze. I akurat wtedy ona musiała się tu pojawić. Piękna i nieosiągalna Suzanna Calhoun. Księżniczka z wieży. Mieszkała w tym zamku na urwisku, a on w skromnym domku na skraju wioski. Jego ojciec był poławiaczem raków i Holt często dostarczał je do domu Calhounów, ale nigdy nie wyszedł poza kuchnię. Czasami tylko słyszał głosy lub dźwięki muzyki.

A teraz to ona do niego przyszła, tylko że on nie był już ślepo zakochanym chłopakiem. Stał się realistą. Suzanna grała w innej lidze niż on. Zawsze tak było, niezależnie od tego, że nie interesowały go kobiety, które na twarzy wypisane miały „Dzieci i ognisko domowe”.

Co do szmaragdów, nie mógł ani nie chciał jej pomóc. Oczywiście słyszał wcześniej o naszyjniku. Pisała o nim prasa w całym chyba kraju. Jednak wiadomość, że jego dziadek miał romans z kobietą o nazwisku Calhoun i był przez nią kochany, mocno go poruszyła. Nie mógł w to uwierzyć. Nawet psy go nie przekonały.

Holt nie zdążył poznać swojej babci, lecz dziadek był bohaterem jego dzieciństwa, tajemniczą postacią, człowiekiem, który wyjeżdżał do innych krajów i przywoził z nich

niezwykle historie, wyczarowywał całe światy za pomocą pędzla i płótna. Jako mały chłopiec Holt wspinał się po schodach do pracowni dziadka, by obserwować go przy pracy, która przypominała raczej walkę, pojedynek z płótnem.

Dziadek zabierał go na długie spacery. Szli zwykle wzdłuż wybrzeża, przy skałach albo na urwisko. Holt przypomniał sobie coś i wstrzymał oddech z wrażenia. Bardzo często chodzili na urwisko pod Towers. Już jako dziecko wiedział, że gdy dziadek patrzył na morze, myślami błądził gdzieś indziej.

Kiedyś siedzieli na skałach i dziadek opowiedział mu historię o zamku na skałach i o księżniczce, która w nim mieszkała. Czy mówił wtedy o Towers i o Bianca?

Holt podniósł się niespokojnie i wszedł do domu. Na dźwięk trzaśnięcia drzwiami Sadie podniosła łeb, po czym znów złożyła go na przednich łapach.

Ten domek odpowiadał mu bardziej niż dom, w którym się wychował. Tamten był bezdusznym budynkiem ze zniszczonym linoleum i ścianami pokrytymi ciemną boazerią. Sprzedał go przed trzema laty, po śmierci matki. Część pieniędzy przeznaczył na remont domku po dziadku, nie zmienił jednak wiele. Chciał, by chata w miarę możliwości wyglądała tak jak niegdyś.

Domek przypominał pudełko. Miał gipsowe ściany, drewniane podłogi i kamienny kominek. Sypialnia była malutka, wystawała z głównej bryły budynku, jakby dobudowano ją dopiero po namyśle. Holt lubił leżeć wieczorem w łóżku i słuchać deszczu dudniącego o dach. Schody do pracowni dziadka zostały wzmocnione, podobnie jak balustrada balkonu. Holt wspinał się teraz na górę, by popatrzeć na rozległą przestrzeń, spowitą już mrokiem. Od czasu do czasu przychodziło mu do głowy, by zamontować światła pod skośnym dachem, ale nigdy nie miał zamiaru odnawiać podłogi. Stare deski pokryte były plamami farby, która spłynęła z pędzla dziadka. Niektóre plamki były karminowe, inne - turkusowe,

szmaragdowe i jaskrawożółte. Dziadek lubił żywe, jaskrawe, wręcz gwałtowne kolory.

Pod jedną ze ścian stały obrazy, dziedzictwo artysty, który zaczął zyskiwać uznanie i rozgłos dopiero pod koniec życia. Holt wiedział, że są sporo warte, ale nie miał zamiaru ich sprzedawać. Teraz przykucnął i zaczął je przeglądać jeden po drugim. Znał wszystkie, oglądał je niezliczoną ilość razy i zawsze przy tym zastanawiał się, jak to możliwe, by on sam był potomkiem człowieka obdarzonego taką potęgą talentu i wizjonerstwem. W końcu znalazł portret.

Kobieta była piękna jak marzenie. Miała owalną twarz o regularnych rysach, alabastrową cerę, złocistorude włosy i pełne usta. Ale Holta zawsze najbardziej przyciągały w tej twarzy oczy, zielone jak morze, i ukryte w nich dziwne emocje. Spokojny smutek, wewnętrzne cierpienie, takie samo jak to, które zauważył dzisiaj w oczach Suzanny.

Czy kobietą z portretu mogła być Bianca? Owszem, zauważał pewne podobieństwo w kształcie twarzy i wygięciu ust, ale kolor włosów i oczu był zupełnie inny. Tylko wyraz tych oczu. Za każdym razem, gdy na nie spojrzał, przywodziły mu na myśl Suzannę.

To na pewno dlatego, że zbyt wiele o niej myślał.

Wstał, ale nie odwrócił portretu do ściany. Jeszcze przez długą chwilę patrzył na namalowaną twarz, zastanawiając się, czy to tę kobietę kochał jego dziadek.

Zanosilo się na kolejny upalny dzień. Choć była dopiero siódma, powietrze już stawało się lepkie i gęste. Przydałby się deszcz, ale pomimo wysokiej wilgotności chmury nie chciały się zebrać.

Suzanna zajrzała do kwiatów w chłodni i zostawiła Carolanne kartkę z zaleceniem obniżki ceny goździków o połowę. Potem sprawdziła, czy ziemia w wiszących doniczkach z niecierpkami i geranium jest wystarczająco wilgotna, i zaczęła ustawiać na wystawie gloksynie oraz begonie.



W końcu, zadowolona, zajęła się podlewaniem grządek z bylinami i roślinami jednorocznymi. Róże i piwonie rozwijały się całkiem ładnie. Jałowce też wyglądały nieźle.

O wpół do ósmej poszła do szklarni. Tu stały rośliny, które zamierzała przezimować i spożytkować na sadzonki w następnym sezonie. Ale od zimy dzieliło ją jeszcze wiele miesięcy.

O ósmej Suzanna wsiadła do wyładowanego po brzegi samochodu i ruszyła do Seal Harbor. Czekał ją cały dzień pracy w ogrodzie przy nowo budowanym letnim domu. Właściciele byli bostończykami. Życzyli sobie, by dom po zakończeniu budowy otoczony był krzewami, drzewami i rabatami kwiatów. Wymagało to ciężkiej pracy, szczególnie przy tym upale, ale przynajmniej nikt jej nie przeszkadzał. Andersonowie mieli się pojawić dopiero za tydzień. Suzanna lubiła grzebać się w ziemi. Obserwowanie roślin, które sama posadziła, sprawiało jej wielką radość.

Podobne uczucia wzbudzały w niej dzieci, Za każdym razem, gdy kładła je do łóżka albo patrzyła na nie w ciągu dnia, czuła, że nic, co zdarzyło jej się dotychczas, ani nic, co jeszcze może się przydarzyć, nie przyćmi radości płynącej z faktu ich istnienia. Bardzo boleśnie przeżyła rozpad małżeństwa i od czasu do czasu wciąż jeszcze zdarzało jej się powątpiewać we własną wartość jako kobiety, ale zawsze świetnie się czuła w roli matki.

W ciągu ostatnich dwóch lat okazało się, że może również odnosić sukcesy zawodowe. Zawsze lubiła zajmować się ogrodem, była to właściwie jedyna pożyteczna umiejętność, jaką posiadała, a także jedyna ucieczka w ostatnich miesiącach trwania małżeństwa. Po jego rozpadzie uczyniła desperacki krok: sprzedała biżuterię, wzięła kredyt i otworzyła firmę „Ogrody na Wyspie”. Wróciła do panińskiego nazwiska i od razu poczuła się lepiej.

Pierwszy rok był ciężki, zwłaszcza że każdy zarobiony grosz wydawała na

prawników, którzy walczyli dla niej o prawo do opieki nad dziećmi. Na samą myśl o tym, że mogłaby je stracić, przeszywał ją zimny dreszcz. Bax wcale nie pragnął, by zostały z nim, ale zależało mu na tym, by jak najbardziej uprzykrzyć życie Suzannie. Gdy batalia wreszcie dobiegła końca, Suzanna była o osiem kilogramów szczuplejsza, po uszy w długach i cierpiała na bezsenność, ale udało jej się zatrzymać dzieci. A to było warte każdej ceny. Krok po kroku odzyskiwała formę. Przytyła o kilka kilogramów, zaczęła lepiej spać i powoli wychodziła z długów. W ciągu dwóch lat prowadzenia firmy zyskała opinię osoby odpowiedzialnej, rozsądnej i obdarzonej wyobraźnią. Dwa ośrodki wypoczynkowe zleciły jej próbne zamówienia i zanosilo się na to, że podpiszą z nią długoterminowe kontrakty. Gdyby tak się stało, mogłaby kupić ciężarówkę i wynająć pracownika w pełnym wymiarze godzin. A może również zabrać dzieci na wycieczkę do parku Disneya.

Zatrzymała samochód przed domem i wysiadła. Posiadłość, położona na zboczu o niedużym spadku, zajmowała około pół hektara. Suzanna miała za sobą trzy długie, wyczerpujące narady z właścicielami. Pani Anderson chciała mieć w ogrodzie dużo drzew i krzewów kwitnących wiosną oraz rośliny wiecznie zielone, zasłaniające dom przed spojrzem ciekawskich. Jeśli chodzi o kwiaty, życzyła sobie, by były barwne przez całe lato i nie wymagały wiele pielęgnacji. Nie zamierzała spędzać całego lata na pracach ogrodniczych. Z boku domu, gdzie spadek był większy, Suzanna zaplanowała skalniaki i rośliny okrywowe, by zapobiec erozji gleby.

Do południa cały ogród był już dokładnie zmierzony. Suzanna zdążyła też posadzić azalie i dwa krzewy pnących róż przy kamiennej ścieżce. Pani Anderson wspominała, że lubi bzy, toteż trzy zwarte krzewy znalazły się pod oknem sypialni, by wiatr niósł ich zapach do środka.

Teren dokoła domu ożywał. Nie zważając na ból mięśni, podlała świeżo posadzone

rośliny. Na drzewach śpiewały ptaki, gdzieś w pobliżu słychać było warkot kosiarki do trawników.

Oczami wyobraźni widziała już, jak świeżo posadzony różany żywopłot rozrośnie się i zakryje podtrzymujące go druty, widziała azalie w pełni wiosennego rozkwitu, liście klonu czerwieniejące jesienią, i ogarnęła ją miła świadomość, że częśćka jej samej pozostanie w tym ogrodzie. Nie przyznawała się do tego nikomu, ale bardzo ważne dla niej było, by zostawić po sobie jakiś ślad. Potrzebowała tego, by nigdy już nie czuć się słabą, bezużyteczną kobietą, z którą można się nie liczyć.

Spocona, wzięła do ręki polewaczkę i łopatę i znów poszła na frontowe podwórko.

Posadziła jeden migdałowiec i właśnie kopała dół pod drugi, gdy jakiś samochód zatrzymał się na podjeździe za jej półciężarówką. Oparła się na trzonku łopaty i spojrzała w tę stronę z zaciekawieniem. Z samochodu wysiadł Holt.

Westchnęła, zirytowana, że zakłóca jej spokój, i wróciła do kopania.

- Wybrałeś się na przejażdżkę? - zapytała, gdy poczuła na sobie jego cień.

- Nie, dziewczyna w kwiaciarni powiedziała mi, gdzie jesteś. Co ty właściwie robisz?

- Gram w kanastę - prychnęła. - Czego chcesz?

- Odłóż tę łopatę, bo zaraz się skaleczysz. Nie powinnaś kopać dołów.

- Kopanie dołów to moja praca. O co ci chodzi? Przyglądał się jej jeszcze przez dziesięć sekund i w końcu wyrwał łopatę z jej rąk.

- Daj mi to i usiądź.

Suzanna zawsze uważała się za osobę cierpliwą, ale teraz nerwy zaczynały ją ponosić.

Odsunęła czapkę z daszkiem na tył głowy i powiedziała chłodno:

- Jestem w pracy i muszę posadzić jeszcze sześć drzew, dwa krzewy róż i sześć

metrów kwadratowych bylin. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to mów, a ja będę kopać.

Holt odsunął szpadel poza zasięg jej rąk.

- Jak głęboki ma być ten dół?

- Dwa metry - warknęła.

Ku jej zaskoczeniu Holt uśmiechnął się szeroko.

- A kiedyś byłaś taka miła. Powiedz mi, kiedy mam przestać - dodał, wbijając szpadel w ziemię.

Suzanna zazwyczaj odpowiadała uprzejmością na uprzejmość, tym razem jednak zamierzała zrobić wyjątek od tej zasady.

- Możesz przestać już teraz. Nie potrzebuję pomocy i nie mam ochoty na towarzystwo.

Holt pokiwał głową.

- Nie wiedziałem, że jesteś uparta. Chyba dałem się nabrać na tę ładną twarz.

Zauważył jednak teraz na tej ładnej twarzy podkrążone oczy i inne oznaki wyraźnego zmęczenia. Nie wiadomo dlaczego, zirytowało go to.

- Myślałem, że tylko sprzedajesz kwiatki - zdziwił się.

- Sprzedaję i sadzę.

- Ale nawet ja wiem, że to tutaj to nie jest kwiatek, tylko drzewo.

- Drzewa też sadzę - mruknęła Suzanna, wycierając kark chusteczką. - Ten dołek powinien być szerszy. Na głębokość już wystarczy.

- Dlaczego nie zatrudnisz kogoś do cięższych prac?

- Bo mogę to zrobić sama.

W tym głosie słychać było wyraźny upór i równie wyraźną nieuprzejmość. Podobało mu się to.

- To robota dla dwóch osób - zauważył.

- Owszem, ale ten drugi wczoraj porzucił pracę, żeby zostać gwiazdą rocka. Jego

kapela gra dzisiaj w Brighton Beach.

- Wielka chwila.

- Mhm. Już wystarczy - powiedziała.

Podniosła z ziemi półtorametrowe drzewko i ostrożnie wsunęła korzenie do dołka.

Holt przyglądał się temu ze zmarszczonymi brwiami.

- A teraz pewnie trzeba to zasypać - domyślił się.

- To ty masz szpadel! - Suzanna wzruszyła ramionami.

Przyciągnęła worek z torfem i zaczęła starannie mieszać go z ziemią przy korzeniach.

Holt zauważył, że paznokcie miała krótko obcięte i nie nosiła obrączki. W ogóle nie nosiła biżuterii, choć dłonie miała piękne, stworzone wręcz do ozdób. Pracowała cierpliwie i spokojnie, z nisko pochyloną głową. Daszek czapki zasłaniał jej oczy. W końcu sięgnęła po wąż i podlała drzewko.

- Codziennie robisz takie rzeczy? - zapytał.

- Czasem przez dzień czy dwa siedzę w sklepie. Wtedy mogę przyprowadzić ze sobą dzieci.

Udeptała ziemię dokoła korzeni i rozsypała po wierzchu ściółkę. Jej ruchy były wprawne i zręczne.

- Następnej wiosny zakwitnie - stwierdziła, ocierając czoło przegubem. - Posłuchaj,

Holt, ja naprawdę mam tu co robić. Muszę jeszcze posadzić za domem sosnę i jałowce, więc jeśli chcesz rozmawiać, to musisz tam ze mną pójść.

Holt rozejrzał się dokoła.

~ Wszystko to zrobiłaś dzisiaj?

- Tak, a bo co?

- Uważaj, żebyś nie dostała udaru.

- Dziękuję za radę. - Pokiwała głową i wyciągnęła rękę po szpadel, - Daj, będzie mi potrzebny.

- Ja zaniosę.

- Dobrze. - Suzanna wzruszyła ramionami i załadowała taczkę workami torfu i ściółki.

Holt zaklął, wrzucił szpadel na wierzch taczki i sam ją poprowadził.

- Gdzie mam to postawić?

- Z tyłu, przy płocie - powiedziała, idąc za nim. Za domem Holt zaczął kopać dołek, nie pytając jej o nic, opróżniła więc taczkę i wróciła do samochodu. Podniósł głowę i zobaczył, że Suzanna wiezie jeszcze dwa drzewka, W milczeniu posadzili razem pierwsze z nich.

Holt nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że sadzenie roślin może przynosić spokój i radość, ale gdy drzewko znalazło się w ziemi, poczuł dziwną satysfakcję.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś wczoraj - odezwał się, zabierając się do następnej rośliny.

- I co?

- I nadal uważam, że ani nie potrafię ci pomóc, ani nie mam na to wielkiej ochoty, ale chyba rzeczywiście ma to jakiś związek z moim dziadkiem.

- Wiem - stwierdziła krótko, wycierając ręce o dżinsy. - Jeśli tylko to chciałeś mi powiedzieć, to niepotrzebnie się fatygowałeś.

Zaprowadziła taczkę do samochodu i sięgnęła po kolejne dwa drzewka, Holt niespodziewanie pojawił się tuż obok niej.

- Ja to wyjmę - mruknął. - On nigdy mi o niej nie wspominał. Może ją znalazł i może rzeczywiście mieli romans, ale nie wiem, do czego może ci się to przydać.

- Kochał ją - powiedziała cicho Suzanna. - To znaczy, że musiał znać jej uczucia i

myśli. Może wiedział coś o tym, gdzie schowała szmaragdy.

- On nie żyje.

- Wiem - mruknęła i umilkła. - Bianca prowadziła dziennik - dodała po chwili. -

Jesteśmy tego prawie pewne. Zapewne schowała go razem z naszymi. Może Christian też prowadził jakieś zapiski.

Holt wzruszył ramionami.

- Nigdy niczego takiego nie znalazłem. Suzanna zebrała resztki cierpliwości.

- Przypuszczam, że większość ludzi trzyma prywatne zapiski w ukryciu. Mógł mieć również jakieś listy od niej. Znalazłyśmy list, który Bianca napisała do niego, ale nigdy go nie wysiała.

- Uganiacie się za cieniami.

- To ważne dla mojej rodziny - tłumaczyła, wkładając kolejną sosnę w dołek. - Nie chodzi o finansową wartość szmaragdów, tylko o to, że wiele znaczyły dla Bianki.

- Skąd wiesz? - zdziwił się, patrząc na jej pochylony kark.

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić, w każdym razie w sposób, który byłbyś w stanie zrozumieć - odrzekła, nie patrząc na niego.

- Spróbuj.

- My wszystkie czujemy z nią dziwną więź, szczególnie Lilah. - Usłyszała za plecami zgrzyt łopaty o kamień, ale nie odwróciła się, by spojrzeć.

- Nigdy nie widziałyśmy tych szmaragdów, nawet na fotografii. Po śmierci Bianki Fergus, jej mąż, a mój pradziadek, zniszczył wszystkie jej portrety. Ale Lilah pewnego wieczoru narysowała ten naszujnik. To było po seansie spirytystycznym.

Dopiero teraz podniosła głowę i zobaczyła w jego oczach zdziwienie pomieszane z rozbawieniem.

- Wiem, jak to brzmi - dodała sztywno. - Ale moja ciotka wierzy w takie rzeczy. A po tamtym wieczorze myślę, że może mieć rację. Moja młodsza siostra, C. C., przeżyła wtedy coś dziwnego. Widziała te szmaragdy. Wtedy właśnie Lilah je narysowała. A w kilka tygodni później jej narzeczony znalazł fotografię w starej książce w bibliotece. Wyglądały dokładnie tak samo jak na rysunku i w wizji C. C. .

Przez chwilę Holt nic nie mówił, przyglądając się, jak Suzanna obsypuje ziemią korzenie następnego drzewka.

- Nie jestem mistykiem - powiedział wreszcie.

- Może któraś z twoich sióstr widziała gdzieś wcześniej fotografię naszyjnika, tylko zapomniała o tym.

- Gdyby którakolwiek z nas go widziała, nigdy by tego nie zapomniała. Ale najważniejsze jest to, że wszystkie czujemy, że znalezienie naszyjnika jest bardzo ważne.

- Mógł zostać sprzedany osiemdziesiąt lat temu.

- Nie. Po takiej transakcji pozostałby jakiś ślad. Fergus prowadził księgi z maniacką pedanterią. - Suzanna rozprostowała bolące ramiona. - Wierz mi, przejrzaliśmy wszystkie świstki, jakie tylko były w domu.

Holt przez dłuższy czas nic nie mówił.

- Słyszałaś kiedyś o szukaniu igły w stogu siana? - zapytał wreszcie. - Czegoś takiego po prostu nie da się znaleźć.

Suzanna przykucnęła na piętach i przyjrzała mu się uważnie.

- Da się, trzeba tylko szukać wystarczająco długo. Nie wierzysz?

- Wierzę tylko w to, co mogę zobaczyć na własne oczy - odrzekł, hamując odruch, by zetrzeć brudną smugę z jej policzka.

- W takim razie żal mi ciebie - odrzekła. Podnieśli się równocześnie, niemal ocierając



się o siebie. Suzanna poczuła dreszcz i odruchowo cofnęła się o krok.

- Jaki sens ma sadzenie drzew, wychowywanie dzieci czy nawet patrzenie na zachód słońca, jeśli się nie wierzy w to, co może być?

- Trzeba skupiać się na tym, co istnieje naprawdę, bo inaczej łatwo przeżyć całe życie.

Suzanno, nie wierzę w ten naszyjnik ani w duchy, ani w wieczną miłość. Ale jeśli zyskam pewność, że mój dziadek rzeczywiście był związany z Biancą Calhoun, to zrobię, co będę mógł, żeby ci pomóc.

Suzanna zaśmiała się lekko.

- Skoro nie wierzysz w nadzieję, miłość ani nic takiego, to dlaczego chcesz nam pomóc?

- Bo jeśli on rzeczywiście ją kochał, to chciałby, żebym to zrobił - odrzekł Holt.

Suzanna z trudem wcisnęła się na parking między półciężarówkę a duży, rodzinny samochód osobowy. Sporo ludzi kręciło się między grządkami z roślinami jednorocznymi.

Jakaś para deliberowała przy krzewach pnących róż. Kobieta w zaawansowanej ciąży wiozła na wózku kolekcję rozmaitych doniczek, a kilkuletni chłopiec u jej boku wymachiwał pojedynczym geranium jak flagą.

W sklepie stojąca za kasą Carolanne zajęta była flirtowaniem z chłopakiem, który obracał w rękach ceramiczną doniczkę różowych begonii.

- Twoja mama będzie zachwycona - rzekła, trzepocząc długimi rzęsami. - Nie ma lepszego prezentu na urodziny niż kwiaty. Mamy dziś zniżkę na goździki - dodała, odrzucając ciemne loki na plecy. - Jeśli na przykład masz dziewczynę...

- Nie - wymamrotał chłopak. - Właściwie akurat teraz to nie mam.

Uśmiech Carolanne stał się o kilka stopni cieplejszy.

- Och, jaka szkoda. Proszę do nas zaglądać. Jestem tu prawie codziennie.

- Oczywiście. Dziękuję - rzeki chłopak, wycofując się ze sklepu. Omal nie wpadł przy tym na Suzannę.

- Mam nadzieję, że te begonie spodobają się pańskiej matce - zaśmiała się i weszła za ladę.

- Jesteś niesamowita - zwróciła się do Carolanne.

- Przystojny był, prawda? - rozpromieniła się dziewczyna. - Uwielbiam, kiedy się rumienią. Wcześniej wróciłaś.

Suzanna nie miała ochoty przyznawać się, że zyskała nieoczekiwanego pomocnika.

Carolanne doskonale radziła sobie z pracą w sklepie, ale była nieuleczalną plotkarką.

- Jak ci dzisiaj poszło? - zapytała.

- Nie najgorzej. Słońce dobrze działa na ludzi. Zaczynają myśleć o swoich ogródkach.

Aha, pani Russ znów się u nas pojawiła. Tak bardzo jej się podobały nasze pierwiosniki, że

kazała mężowi zbudować jeszcze jedną szklarenkę, A ponieważ była w odpowiednim

nastroju do zakupów, to sprzedałam jej dodatkowo dwa hibiskusy i dwie terakotowe donice, żeby miała je w czym posadzić.

- Uwielbiam cię. Pani Russ też cię uwielbia, a pan Russ wkrótce cię znienawidzi - stwierdziła Suzanna.

- Wyjdę chyba i pomogę tej parze zdecydować się na jakąś różę - dodała, spoglądając przez okno.

- To nowi, państwo Halley. Obydwoje pracują jako kelnerzy w „Kapitanie Jacku”.

Właśnie kupili tu dom. On studiuje na politechnice, a ona od września będzie uczyć w podstawówce.

Suzanna znów się zaśmiała, potrząsając głową.

- Naprawdę jesteś niesamowita.

- Po prostu jestem ciekawska - stwierdziła Carolanne pogodnie. - Poza tym ludzie

kupują więcej, jeśli się z nimi rozmawia. A ja tak kocham gadać!

- Gdyby nie to, musiałabym zamknąć sklep.

- Nie, po prostu pracowałabyś dwa razy więcej - stwierdziła dziewczyna. - O ile to w ogóle możliwe. Pytałam dzisiaj, czy ktoś nie potrzebuje pracy na parę godzin w tygodniu, ale nie znalazłam jeszcze nikogo chętnego.

- Jest środek sezonu - zauważyła Suzanna. - Wszyscy już gdzieś pracują.

- Gdyby ten palant Parotti nas nie zostawił...

- No cóż, ma okazję zrobić coś, o czym zawsze marzył. Nie można go za to winić.

- Ale ty musisz teraz sama odwalać całą robotę w terenie. To za ciężka praca dla jednej osoby.

- Jakoś sobie poradzę - powiedziała Suzanna nieobecny tonem. - Posłuchaj, Carolanne, mam dzisiaj do załatwienia jeszcze jedną dostawę. Poradzisz sobie tutaj do zamknięcia?

- Jasne. Ja przecież tylko siedzę na stołku i się wachluję, to ty machasz łopata.

- Spróbuj sprzedać jak najwięcej goździków - dodała Suzanna i wyszła.

W godzinę później zatrzymała samochód przed domem Holta, powtarzając sobie, że nie robi tego pod wpływem impulsu. Calhounowie zawsze wywiązują się ze zobowiązań.

Weszła na ganek, mimowolnie zastanawiając się, jak upiększyć to miejsce. Nie trzeba było wiele: wilec pnący się po poręczy schodków, trochę lwich paszczy i lawendy, lilie na zboczu, rząderek niecierpków wzdłuż trawnika, miniaturowe różyczki pod oknem. A tam, na tym nierównym, kamienistym skrawku ziemi grządka ziół ubarwiona wiosennymi kwiatami.

Ten domek mógłby wyglądać jak z bajki - ale człowiek, który w nim mieszkał, nie wierzył w bajki.

Zastukała do drzwi raz, drugi. Samochód Holta stał na podjeździe. Obeszła dom. Przy pomocy nie było łodzi. Wzruszyła ramionami. I tak zrobi to, po co tu przyjechała.

Wybrała już odpowiednie miejsce: między domem a brzegiem morza, tak, żeby było widać krzew przez okno kuchni. Nie było to wiele, ale chciała przydać otoczeniu choć odrobinę koloru. Wyjęła z samochodu łopatę i zaczęła kopać.

Holt siedział w szopie nad rozebrany silnikiem łodzi. Ta praca wymagała wiele czasu i koncentracji. Miał już dość rozmyślań o Calhounach, tragicznych romansach i zobowiązaniach.

Nawet nie podniósł głowy, gdy Sadie wstała ze swego legowiska i wybiegła na zewnątrz. Rozumieli się z psem bez słów. Ona robiła, co chciała, a on ją karmił.

Nie reagował na jej szczekanie. Sadie była beznadziejnym strażnikiem domu.

Obszczekiwała wiewiórki, trawę szumiącą na wietrze, szczekała przez sen. Ale gdy rok temu złodziej włamał się do domu Holta w Portland, Holt osobiście musiał mu odebrać sprzęt stereo, podczas gdy Sadie spokojnie spała na dywaniku pośrodku salonu.

Podniósł głowę dopiero wtedy, gdy usłyszał niski kobiecy śmiech. Wyjrzał na zewnątrz i poczuł, że kolana się pod nim uginają. Dlaczego ona nie może zostawić go w spokoju? Przecież powiedział, że się zastanowi. Po co znów tu przyjechała?

Najspokojniej w świecie stała pośrodku jego podwórza i kopała dół, rozmawiając jednocześnie z psem.

Holt wbił ręce w kieszenie i powoli wyszedł z szopy.

- Co ty tu, do diabła, robisz?

Zaskoczona, podniosła głowę i po dłuższej chwili uśmiechnęła się z trudem.

- Myślałam, że cię nie ma.

- I dlatego postanowiłaś wykopać dziurę na środku mojego podwórza?

- Chyba tak. - Uśmiechnęła się niepewnie, znów naciskając szpadel nogą. -

Przywiozłam ci krzew.

Tym razem nie miał zamiaru pomagać jej w pracy, podszedł jednak bliżej.

- Po co?

- Żeby ci podziękować za pomoc. Zaoszczędziłam dzięki temu przynajmniej godzinę.

- I teraz marnujesz ją na wykopanie jeszcze jednego dołka.

- Mhm. Dzisiaj jest wiatr od morza, - Uniosła twarz do góry. - Przyjemnie.

Holt z grymasem na twarzy spojrział na krzew pokryty żółtymi pąkami.

- Nie umiem zajmować się roślinami. Skazujesz ten krzew na pewną śmierć.

Suzanna tylko się roześmiała.

- Nie trzeba wiele przy nim robić. To twarda sztuka, dobrze znosi brak wody i kwitnie aż do późnej jesieni. Czy mogę użyć węża?

- Co?

- Twojego węża do podlewania.

- Tak, oczywiście - odparł, przesuwając ręką po włosach. Nie miał pojęcia, jak powinien się zachować. Chyba po raz pierwszy w życiu ktoś dał mu kwiaty, nie licząc jednej okazji, gdy leżał w szpitalu i koledzy z posterunku przynieśli mu bukiet.

Suzanna odkręciła wodę i skierowała strumień na świeżo skopaną ziemię.

- Nie będzie ci przeszkadzał. To dobrze wychowana roślina i dorasta tylko do półtora metra. Ale jeśli wolałbyś coś innego...

Holt nie miał zamiaru pozwolić, by tak łatwo go zawojowała.

- Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia. I tak nie potrafiłbym odróżnić jednego od drugiego.

- No cóż, to jest *hypericum kalmianum*. Jego usta skrzywiły się w uśmiechu.

- Dużo mi to mówi. Suzanna roześmiała się.

- Może pomożesz mi go posadzić? Stanie ci się przez to bliższy.

- Jesteś pewna, że nie chcesz mnie przekupić? - zapytał Holt podejrzliwie. - Żeby ci pomógł w sprawie naszyjnika?

Suzanna przysiadła na piętach.

- Zastanawiam się, dlaczego jesteś tak cyniczny i nieprzyjaźnie do mnie nastawiony.

Zapewne masz jakieś swoje powody, ale nie chcę dociekać. Wyrzuciłeś mi dzisiaj przysługę i chcę ci się odwdziaczyć, to wszystko. Ale jeśli nie chcesz tego krzewu, to mogę go zabrać i dać komuś innemu.

Holt uniósł brwi.

- Czy w taki sam sposób przywołujesz do porządku swoje dzieci?

- Jeśli to konieczne. Więc jak?

Może rzeczywiście potraktował ją zbyt ostro, odrzucając jej przyjazny gest. Skoro ją stać było na zwykłą życzliwość, to jego też.

- Mam już dziurę w ziemi na podwórzu - powiedział, przyklękając obok niej - więc równie dobrze możemy tu coś zasadzić.

Suzanna domyślała się, że te słowa mają być wyrazem podziękowania.

- W jakim wieku są twoje dzieci? - zapytał Holt.

- Alex ma sześć, a Jenny pięć lat. Rosną tak szybko, że nie nadążam za nimi.

- Dlaczego wróciłaś tutaj po rozwodzie? Dłonie Suzanny na chwilę zatrzymały się.

- Bo tu jest mój dom.

Holt zauważył, że trafił w czuły punkt, i zmienił temat.

- Podobno przekształcacie Towers w hotel.

- Tylko zachodnie skrzydło. Mąż C. C. zajmuje się hotelami.

- Trudno mi wyobrazić sobie C. C. jako mężatkę. Ostatnim razem widziałem ją, gdy miała chyba ze dwanaście lat.

- Teraz jest dorosłą, piękną kobietą.

- To u was rodzinne.

Suzanna ze zdziwieniem podniosła na niego wzrok.

- Zdaje się, że właśnie powiedziałeś coś miłego.

- To tylko stwierdzenie faktu. Na siostry Calhoun zawsze warto było popatrzeć. W męskim gronie często się o was rozmawiało.

Na wspomnienie tych czasów Suzanna zaśmiała się cicho.

- Gdybyśmy wtedy o tym wiedziały, na pewno bardzo by nam to pochlebiało.

- Często ci się przyglądałem - powiedział Holt powoli. - Chyba nawet bardzo często.

- Naprawdę? - zdziwiła się, podnosząc na niego czujne spojrzenie. - Nigdy tego nie zauważyłam.

- Jak miałaś zauważyć? - Wzruszył ramionami.

- Księżniczki nie zauważają chłopów.

Teraz to ona zmarszczyła brwi.

- Co za bzdury wygadujesz.

- Tak właśnie cię widziałem: jako księżniczkę w zamku.

- Ten zamek od lat rozsypywał się w gruzy - rzekła sucho. - O ile pamiętam, byłeś zbyt zajęty podbojami wśród dziewczyn, by mnie choćby zauważyć.

- Owszem, między jednym podbojem a drugim zawsze cię zauważałem - odparł z szerokim uśmiechem. Coś w jego twarzy sprawiło, że w głowie Suzanny odezwał się ostrzegawczy dzwonek.

- To było dawno temu - powiedziała niepewnie.

- Przypuszczam, że obydwójce sporo się zmieniliśmy od tego czasu.

- Nie mogę zaprzeczyć - mruknął Holt, ugniatając ziemię.

- Nie, nie tak mocno. Musisz tylko lekko przycisnąć - ożywiła się natychmiast

Suzanna i położyła rękę na jego dłoni, żeby mu pokazać właściwą siłę nacisku. - Potrzebny jest tylko dobry początek, a potem...

Urwała, gdy Holt pochwycił ją za rękę. Klęczeli na ziemi tuż obok siebie. Holt zauważył, że jej dłonie były stwardniałe i pokryte odciskami. Siła jej palców zdumiałaby go, gdyby nie widział jej wcześniej przy pracy. Z niewiadomych powodów kontrast tych dłoni z gładką cerą i spokojnymi oczami wydał mu się niesłychanie erotyczny.

- Masz mocne ręce, Suzanno - powiedział cicho.

- Ręce ogrodnika - odrzekła lekko, powściągając emocje. - W tej chwili są mi potrzebne. Muszę uklepać ziemię.

Holt tylko wzmocnił uścisk.

- Zdążymy. Wiesz, że przez piętnaście lat zastanawiałem się, jak to jest całować cię?

Z jej twarzy zniknął uśmiech i w oczach pojawiła się czujność. Holtowi to nie przeszkadzało. Może to nawet lepiej, że ona się boi, pomyślał.

- To bardzo długi czas na rozmyślania - rzekła. Wypuścił jedną jej dłoń, ale natychmiast położył swoją na jej karku.

- Mam zamiar wreszcie się przekonać.

Nie zostawił jej czasu na odmowę. Zanim zdążyła otworzyć usta, już poczuła na nich jego wargi. Był stanowczy, niepowstrzymany. Przyciągnął ją do siebie tak mocno, że z lękiem odepchnęła jego ramię, ale równie dobrze mogłaby odpychać buldożer.

Holt czuł jej napięcie, ale nie zważał na nie. W tej chwili pragnął tylko jednego:

musiał wreszcie pozbyć się swych fantazji, które od lat wypalały mu duszę. Musiał się



przekonać, że Suzanna jest zwyczajną kobietą, taką samą jak wszystkie inne, a wpływ, jaki na niego wywiera, spowodowany jest wyłącznie przez niespełnione marzenia chłopca.

W końcu puścił ją, oddychając ciężko, nieco zawstydzony. Niewiele brakowało, a zgwałciłby ją pośrodku własnego podwórza.

- Mam nadzieję, że teraz czujesz się lepiej - powiedziała Suzanna, nie patrząc na niego.

Holt zwinął dłonie w pięści.

- Nie - mruknął niechętnie.

Suzanna pochyliła się nad krzewem i obsypała korzenie ściółką.

- Dopóki się nie przyjmie, musisz go często podlewać.

Znów pochwycił ją za rękę, tak gwałtownie, że drgnęła ze zdziwienia.

- Nie zrobisz mi awantury?

Wzięła głęboki oddech i spojrzała w niebo, żeby się uspokoić.

- To nie miałoby żadnego sensu - odrzekła spokojnie. - Na pewno myślisz, że kobieta taka jak ja potrzebuje mężczyzny.

- Gdy cię całowałem, nie myślałem o twoich potrzebach, Suzanno. To był wyraz czystego egoizmu. Jestem egoistą.

Tym razem bez trudu udało jej się wysunąć dłonie z jego uścisku.

- Myślę, że rzeczywiście tak jest - powiedziała, podnosząc się z ziemi. Spokojnie załadowała taczkę, choć w głowie miała zupełną pustkę. Holt położył rękę na jej ramieniu i obrócił ją twarzą do siebie.

- W co ty właściwie grasz? - rzucił szorstko, pragnąc ją sprowokować do wybuchu. -

Prawie przewróciłem cię na ziemię, nie pytając, czy tego chcesz, czy nie, a ty spokojnie ładujesz taczkę i odchodzisz?

Suzanna obawiała się, że on właśnie tego pragnąłby najbardziej - żeby sobie poszła - dlatego było dla niej tak ważne, by zachować spokój.

- Jeśli chcesz się ze mną pokłócić albo zaciągnąć mnie do łóżka, to trafiłeś na niewłaściwą osobę. Dzieci czekają na mnie w domu i jestem już zmęczona uściskami.

Owszem, głos miała spokojny, nawet bardzo spokojny, ale pod palcami Holt czuł drżenie jej ramion. Uświadomił sobie, że w tych spokojnych oczach Suzanna ukrywa jakąś tajemnicę.

- Jesteś zmęczona uściskami w ogóle czy tylko moimi?

Suzanna zaczynała już tracić cierpliwość. Temperament Calhounów powoli brał górę.

- To ty się na mnie rzuciłeś. Nie lubię tego.

- Szkoda, bo mam wrażenie, że zrobię to jeszcze nieraz, zanim wszystko ze sobą załatwimy.

- Chyba nie wyraziłam się dostatecznie jasno. Już załatwiliśmy ze sobą wszystko - powiedziała, idąc z taczką do samochodu.

- Wreszcie zaczynasz się złościć - oznajmił z satysfakcją.

- Tak. Czy czujesz się przez to lepiej?

- Owszem. Wolę, żebyś rzuciła się na mnie z pięściami, niż żebyś wymykała się stąd jak zraniony ptak.

- Nigdzie się nie wymykam - obruszyła się. - Po prostu idę do domu.

- Zapomniałaś zabrać szpadel.

Wyrwała mu go z ręki i z rozmachem wrzuciła na taczkę.

- Dzięki - mruknęła przez zaciśnięte zęby.

- Proszę bardzo - uśmiechnął się Holt. Odczekał, aż Suzanna oddali się o jakieś pięć

metrów, i zawołał ją po imieniu. Nie zatrzymała się, ale zwolniła i spojrzała na niego przez

ramię.

- Co takiego?

- Przepraszam cię.

Po chwili milczenia wzruszyła ramionami.

- Nie ma o czym mówić.

Holt wbił ręce w kieszenie spodni i zakołysał się na piętach.

- Nie, przeprosiłem za to, że nie pocałowałem cię tak piętnaście lat temu.

Zakłęła pod nosem i przyśpieszyła kroku. Gdy zniknęła z pola widzenia, Holt zatrzymał wzrok na krzaku, zastanawiając się, jak nadrobić wszystkie stracone lata.

Potrzebowała samotności. W domu takim jak Towers, wiecznie pełnym ludzi, samotność była luksusem. Teraz jednak dzieci były już w łózkach, a na niebie właśnie wschodził księżyc. Suzanna wyszła na taras.

Noc była pogodna. Całodniowy upał ustąpił miejsca chłodnemu wietrzykowi, który niósł zapach morza i róż. Z tarasu widać było ciemne skały urwiska. To miejsce zawsze miało dla Suzanny magiczny urok. Odległy szum wody działał jak kołysanka.

Była pewna, że tego wieczoru nie będzie mogła zasnąć. Jej ciało było zmęczone, ale umysł zbyt poruszony. Suzanna bezskutecznie powtarzała sobie, że nie ma powodów do zmartwień. Dzieci były bezpieczne, siostry szczęśliwe. Nawet ciocia Coco zdrowa i zadowolona z życia wyczekiwała dnia, gdy remont zostanie ukończony i będzie mogła objąć posadę szefa kuchni w Ustroniu, bo tak miał nazywać się hotel.

Rodzinne sprawy układały się pomyślnie. Nie groziło im już, że będą musieli sprzedać Towers, jedyny prawdziwy dom, jaki mieli w życiu. Nie było sensu martwić się o szmaragdy. Ale to właśnie z powodu naszyjnika pojechała odwiedzić Holta Bradforda. Zacisnęła palce na kamiennym parapecie. Ta wizyta nie miała żadnego sensu. Choć Holt był wnukiem

Christiana, nie czuł żadnej więzi z ich rodzinną tajemnicą. Przeszłość nie interesowała go zupełnie. Myślał tylko o teraźniejszości, o sobie, o własnej wygodzie i przyjemności.

Przymknęła oczy i przyłożyła dłoń do brzucha. Pocałunek Holta rozbudził w niej dawno zapomniane tęsknoty. Przynajmniej teraz czuła, że żyje, mogła mieć pewność, że nie jest zimną lalką, którą Bax beztrósco odrzucił na bok. Powinna cieszyć się z tego, że potrafi poczuć coś jeszcze oprócz żalu i rozczarowania. Była jednak pewna, że duma nie pozwoli jej znów narazić się na upokorzenie.

W końcu nosiła nazwisko Calhoun, a kobiety z tej rodziny potrafiły walczyć. Jeśli będzie musiała znów zobaczyć się z Holtem, by zwiększyć szansę odnalezienia naszyjnika, zrobi to. Ale już nigdy, przenigdy nie pozwoli zniszczyć się mężczyźnie.

- Tu jesteś - odezwał się jakiś głos za jej plecami. Odwróciła się i w drzwiach prowadzących z sypialni na taras zobaczyła ciotkę.

- Przepraszam cię, skarbie, ale nie odpowiadałaś na pukanie, a światło w pokoju było zapalone, więc zajrzałam do środka.

- Nic nie szkodzi. - Suzanna uśmiechnęła się. Ciocia Coco od piętnastu lat zastępowała jej matkę i ojca. - Zamyśliłam się. Taka piękna noc.

Coco przez chwilę w milczeniu patrzyła na ciemny ogród. Ze wszystkich swoich siostrzenic to właśnie o Suzannę martwiła się najbardziej. Widziała ją jako radosną pannę młodą, a zaledwie w cztery lata później jako bladą, zrozpaczoną kobietę z dwójką małych dzieci. Zaś przez ostatnie trzy lata z dumą i radością obserwowała jej starania o to, by wychować dzieci i utrzymać firmę. Nade wszystko Coco pragnęła, by pewnego dnia z oczu siostrzenicy znikł ten szczególny, bolesny wyraz.

- Nie mogłaś spać? - zapytała Suzanna.

- Nawet jeszcze nie przyszło mi do głowy, żeby się położyć - odrzekła Coco z

głębokim westchnieniem. - Ta kobieta doprowadza mnie do szału.

Suzanna powściągnęła uśmiech. „Ta kobieta” to była jej cioteczna babka Colleen, najstarsza z dzieci Bianki, siostra ojca Coco. Arogancka, wymagająca i wiecznie niezadowolona, zjechała do nich w odwiedziny przed tygodniem. Coco była pewna, że jedynym celem tej wizyty było zatrucie jej życia, a Suzanna nie mogła temu zaprzeczyć, gdy przypominała sobie pierwszy dzień pobytu Colleen w Towers.

Weszła wówczas do salonu, tocząc przed sobą wózek z herbatą, w samą porę, by usłyszeć ostry ton ciotecznej babki:

- Czas już najwyższy zdecydować, co zrobić z tym bałaganem, w który się wplątałyście. Im szybciej uda się to rozwikłać, tym szybciej będę mogła wrócić na statek.

Słyszając te słowa, Coco omal się nie zakrztusiła.

- Chyba nie chcesz.... czyżbyś planowała zostać u nas, dopóki nie znajdziemy szmaragdów?

- Zamierzam zostać, dopóki nie będę gotowa, by wyjechać - wyjaśniła Colleen prowokująco.

- To wspaniale - wymamrotała Coco drżącymi ustami. - Chyba pójde sprawdzic, co z kolacją.

- Zawsze jadam kolację dokładnie o wpół do ósmej.

- Oczywiście - chrząknęła Coco, podnosząc się z miejsca, ale zanim doszła do drzwi, w holu rozległ się rumor i Suzanna zerwała się na równe nogi. Było już jednak za późno.

Dzieci wpadły do salonu jak burza, pokrzykując i popychając się.

- Co to za chuligani? - zapytała Colleen z pewnym zainteresowaniem.

- To moje dzieci - westchnęła Suzanna, zerkając na nie z ukosa. Chociaż umyła je zaledwie przed dwudziestoma minutami, zdążyły się już czymś wysmarować.

Colleen zakołysała w dłoni szklaneczkę z brandy, którą ugościła ją Coco.

- Przyrowadź je tu bliżej. Chcę się im przyjrzeć.

- Alex, Jenny! - zawołała Suzanna ostrzegawczo. - Chodźcie tu i poznajcie ciocię

Colleen.

- Ale nie będzie nas całować? - wymamrotał Alex, zbliżając się ostrożnie.

- Oczywiście, że nie - odrzekła cioteczna babka z godnością. - Nie mam zwyczaju

całować brudnych chłopców. Jak się masz?

Alex z lekkim rumieńcem ujął wyciągniętą do niego dłoń.

- Dobrze.

- Jesteś okropnie stara - zauważyła Jenny.

- Masz zupełną rację - zgodziła się Colleen, zanim Suzanna zdążyła zareagować. -

Przy odrobinie szczęścia ty również będziesz miała kiedyś ten sam problem. Spodziewam się,

że podczas mojego pobytu w domu nie będziecie krzyczeć ani trzaskać drzwiami. Ponadto... -

Urwała, bo coś miękkiego otarło się o jej nogę.

Pochyliła się i spojrzała na psa, który obwąchiwał dywan w poszukiwaniu okruchów.

- Co to jest? - zapytała z pobladłą twarzą.

- To nasz pies - wyjaśnił Alex i dorzucił w przyływie inspiracji: - Jeśli będziesz dla

nas niedobra, to cię pogryzie!

- Niczego takiego nie robi - wtrąciła Suzanna, kładąc ostrzegawczo dłoń na ramieniu

chłopca.

Alex tylko wydał usta.

- Może ją pogryźć. On nie lubi złych ludzi. Prawda, Fred?

Twarz Colleen zrobiła się jeszcze bledsza.

- Jak on się nazywa?

- Fred - odrzekła Jenny pogodnie. - Trent znalazł go na skałach i przyniósł do domu, w prezencie dla nas. I on wcale nie gryzie. To dobry pies.

Wzięła szczeniaka na ręce i podsunęła ciotce pod nos.

- Jenny, postaw go - odezwała się Suzanna, ale Colleen natychmiast pomachała ręką.

- Nie. Pokaż go.

Posadziła sobie szczeniaka na kolanach i drżącymi rękami pogładziła jego sierść.

- Miałam kiedyś psa o imieniu Fred - powiedziała cicho i po jej policzku spłynęła łza.

- Był ze mną krótko, ale bardzo go kochałam.

- Jak chcesz, to możesz się z nim pobawić - zezwolił wspaniałomyślnie Alex,

wstrząśnięty tym, że ktoś tak stary jak ciocia Colleen płacze. - Tak naprawdę to on nie gryzie.

Colleen zdążyła już wziąć się w garść i postawiła psa na podłodze.

- Oczywiście, że mnie nie ugryzie. Dobrze wie, że wtedy ja też bym go ugryzła. Czy

ktos wreszcie zaprowadzi mnie do mojego pokoju, czy też mam tu siedzieć przez cały dzień i pół nocy?

Od tego dnia upłynął zaledwie tydzień, a nerwy cioci Coco były już w strzępach.

- Słyszałaś, co mówiła przy kolacji? - szepnęła teraz do siostrzenicy. Colleen była

dobrze po osiemdziesiątce i jej sypialnia znajdowała się w innej części domu, ale miała

znakomity słuch, toteż Coco na wszelki wypadek wołała szeptać. - Sos był za gęsty, szparagi za miękkie. Miałam ochotę owinać jej tę laskę wokół szyi!

- Kolacja była znakomita jak zawsze - uspokajała ją Suzanna. - Ona po prostu musi na

coś narzekać, inaczej miałyby wrażenie, że zmarnowała dzień. Zdaje się, że nie zostawiła ani odrobiny na talerzu.

- Masz rację - odetchnęła Coco. - Wiem, że nie powinnam tak się nią przejmować, ale

zawsze śmiertelnie się jej bałam i ona dobrze o tym wie. Gdyby nie joga i medytacje, to chyba

już do reszty straciłabym rozum. Dopóki siedziała na tych swoich statkach wycieczkowych, wystarczało, że od czasu do czasu z obowiązku napisałam do niej list, ale mieszkanie z nią pod jednym dachem to stanowczo za wiele.

- Niedługo zmęczy się nami i popłynie na następny rejs po Nilu albo po Amazonce - pocieszała ją Suzanna.

- Oby jak najprędzej. Ale obawiam się, że nie zechce wyjechać, dopóki nie znajdziemy szmaragdów. - Coco oparła się o ścianę. - Medytowałam ostatnio z kryształami. To bardzo uspokaja, szczególnie po spędzeniu wieczoru w towarzystwie Colleen.

- Zgrzytnęła zębami ze złością. - W każdym razie medytowałam z pustym umysłem, gdy nagle napłynęły myśli o Biancie.

- Nic w tym dziwnego - wtrąciła Suzanna.

- Wszyscy o niej ciągle myślimy.

- Ale to było bardzo silne odczucie, skarbie. Bardzo wyraźne. Taka wielka melancholia, aż łzy mi napłynęły do oczu. - Coco wyciągnęła chusteczkę z kieszeni szlafroka.

- A potem nagle zaczęłam myśleć o tobie. Związek między tobą a Biancą był oczywisty.

Uświadomiłam sobie, że musi być po temu jakiś powód, i po zastanowieniu doszłam do wniosku, że to przez Holta Bradforda. - Oczy ciotki roz błysły entuzjazmem. - Rozumiesz, ponieważ z nim rozmawiałaś, to stworzyłaś pomost między Christianem a Biancą.

- Nie sądzę, aby moje rozmowy z Holtem można było nazwać tworzeniem pomostu.

- Nie, Suzanno, on jest tu kluczem. Wątpię, by doceniał wagę informacji, jakie posiada, ale jestem pewna, że bez niego nie posuniemy się ani o krok dalej.

Suzanna niecierpliwie wzruszyła ramionami.

- Jego to wszystko zupełnie nie interesuje.

- W takim razie ty musisz sprawić, żeby go zainteresowało - oznajmiła Coco, ściskając



dłoń siostrzenicy. - On jest nam potrzebny. Dopóki nie znajdziemy szmaragdów, nikt z nas nie będzie mógł się czuć bezpiecznie. Policji nie udało się natrafić na trop tego złodzieja i nie wiadomo, czego może spróbować następnym razem. Holt jest naszym jedynym łącznikiem z mężczyzną, którego Bianca kochała.

- Wiem o tym - westchnęła Suzanna.

- W takim razie musisz się z nim znów spotkać i porozmawiać.

Suzanna wpatrywała się w cienie pokrywające urwisko.

- Tak, będę musiała to zrobić.

*Wiem, że ona wróci. Szukałem jej przez całe popołudnie. W dni, gdy nie przychodziła na urwisko, wpatrywałem się w wieże jej rezydencji przepelniony tęsknotą, jakiej nie mam prawa czuć do żony innego mężczyzny. A gdy szła do mnie po urwisku, moja radość nie miała równej sobie.*

*Na początku nasze rozmowy były uprzejme i pełne dystansu. Mówiliśmy o pogodzie, błahych płótkach z wioski, sztuce i literaturze. W miarę jak czas mijał, zaczęła czuć się przy mnie coraz swobodniej i mówiła o dzieciach. Poznałem je dzięki jej opowieściom. Mała Colleen lubi ładne sukienki i pragnie mieć kucyka. Ethan chciałby tylko biegać i szukać przygód. A mały Sean dopiero uczy się chodzić.*

*Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by zauważyć, że dzieci były całym jej życiem.*

*Rzadko mówiła o przyjęciach, musicalach, zebraniach towarzyskich, na których bywała niemal codziennie.*

*I w ogóle nie mówiła o mężczyźnie, który jest jej mężem.*

*Przyznaję, że byłem go ciekaw. Oczywiście wszyscy w okolicy wiedzą, że Fergus*

*Calhoun jest ambitnym bogaczem, który w ciągu swego życia przekształcił kilka dolarów w wielkie imperium finansowe. W świecie interesów jego nazwisko wzbudza szacunek i lęk. Ale*

*nie o to mi chodziło.*

*Chciałem wiedzieć, jakim człowiekiem prywatnie jest ten, który nazywa ją swoją żoną, który w nocy kładzie się obok niej i dotyka jej ciała. Byłem już w niej zakochany. Może byłem w niej zakochany już od tej chwili, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, idącą pomiędzy krzewami dzikich róż, z dłonią dziecka w swojej dłoni.*

*Byłoby dla mnie najlepiej, gdybym wybrał sobie inne miejsce do malowania. Ale wiedząc, że dostanę co najwyżej kilka godzin rozmowy, nic więcej, ciągle tu wracałem. Zgodziła się, bym ją malował, i wtedy zacząłem dostrzegać jej wnętrze. Pod zewnętrzną urodą i znakomitymi manierami kryła się desperacko nieszczęśliwa kobieta. Nigdy nie byłem cierpliwym ani szlachetnym człowiekiem, ale przy niej stawałem się jednym i drugim. Zmieniła mnie, choć ani razu jej nie dotknąłem. Po tamtym lecie nic już nie było takie samo.*

*Nawet teraz, choć minęło wiele lat, widzę ją zawsze, gdy jestem na urwisku. Zapach morza nigdy się nie zmienia. Wystarczy, bym zerwał kwiat dzikiej róży i przytknął oczy, a jej zapach i głos wraca do mnie tak wyraźnie, jakby stała tuż obok.*

*Pamiętam ostatnie popołudnie, jakie spędziliśmy razem tego pierwszego lata. Stała tuż obok mnie, a jednak była równie odległa i niedosiężna jak księżyc.*

*- Jutro rano wyjeżdżamy - powiedziała, nie patrząc na mnie. - Dzieci bardzo tego żałują.*

*- A ty?*

*Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.*

*- Czasami zastanawiam się, czy żyłam już kiedyś wcześniej. Jeśli tak, to moim domem musiała być wyspa podobna do tej. Gdy przyjechałam tu po raz pierwszy, miałam wrażenie, że wróciłam do miejsca, do którego zawsze tęskniłam. Będzie mi brakowało morza.*

*Spojrzała na mnie i westchnęła.*

*- Nowy Jork jest zupełnie inny, pełen hałasu i pośpiechu. Gdy tu stoję, trudno mi uwierzyć, że takie miejsce istnieje naprawdę. A czy ty spędzasz zimę na wyspie?*

*Pomyślałem o zimnych, samotnych miesiącach, jakie mnie czekały, i przekląłem los, który kusił mnie czymś, czego nie mogłem mieć.*

*- Moje plany zależą od nastroju - powiedziałem lekkim tonem, próbując powstrzymać gorycz.*

*- Zazdroszczę ci wolności - westchnęła, podchodząc do swego portretu rozpiętego na sztalugach.*

*- I talentu. Ujrzałeś we mnie rzeczy, których nie mam.*

*- Nie zdołałem ujrzeć wszystkiego, co w sobie masz - sprostowałem. - Niektórych rzeczy nie da się utrwalić na płótnie.*

*- Jak nazwiesz ten obraz?*

*- Bianca. To zupełnie wystarczy.*

*Zapewne zrozumiała wtedy moje uczucia, choć sam przed sobą nie chciałem się do nich przyznać. Gdy na mnie spojrzała, w jej oczach pojawiło się coś dziwnego. Zaraz jednak cofnęła się, jakby ze skraju przepaści.*

*- Pewnego dnia staniesz się sławny i ludzie będą cię błagać o obrazy.*

*Nie mogłem oderwać od niej oczu. Wiedziałem, że być może więcej jej już nie zobaczę.*

*- Me maluję dla sławy.*

*- I dlatego jest ci ona pisana. A gdy tak się stanie, ja będę wspominać to lato. Do widzenia, Christianie.*

*Odeszła między skałami, wśród dzikich traw i kwiatów wznoszących się do słońca.*

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Coco Calhoun McPike nigdy nie zdawała się na przypadek, a w dodatku z jej horoskopu na ten dzień wynikało, iż powinna aktywnie włączyć się w sprawy rodzinne i odwiedzić starego znajomego. Uznała, że połączy te dwie sprawy, składając niezapowiedzianą wizytę Holtowi Bradfordowi.

Pamiętała go jako ciemnowłosego chłopaka o płomiennym spojrzeniu, który dostarczał do Towers homary i włóczył się po wiosce, szukając kłopotów. Przypomniała sobie również, że kiedyś pomógł jej zmienić koło, gdy stała na poboczu drogi, zastanawiając się, który koniec lewarka podkłada się pod samochód. Sztywno odmówił wówczas przyjęcia pieniędzy i zanim zdążyła mu podziękować, wskoczył na swój motocykl i zniknął.

Dumny buntownik, myślała, wjeżdżając przed jego dom. A jednak, na swój szorstki sposób, szarmancki. Może przy odrobinie inteligencji - a Coco była przekonana, że tego jej nie brakuje - uda jej się zagrać na tych jego cechach i uzyskać to, czego chciała.

A więc to jest domek Christiana Bradforda. Oczywiście widziała go wcześniej, ale nie zwracała uwagi. Teraz zatrzymała się na chwilę i z przymkniętymi oczami próbowała coś poczuć. Musiała tu pozostać jakaś energia, coś, czego wiatr i deszcz nie zdołały zmyć z murów.

Coco uważała się za mistyczkę. Czy była to tylko jej wyobraźnia, czy nie, w każdym razie miała wrażenie, że jest w stanie wyczuć w atmosferze napięcie i pozostałości wielkich emocji. Zadowolona z siebie, weszła na schodki.

Ubrała się na tę okazję bardzo starannie. Oczywiście zależało jej na tym, by wyglądać atrakcyjnie, ale również godnie. Stary, klasyczny kostium Chanel w kolorze przypudrowanego błękitu był doskonały na tę okazję.

Przywołała na twarz przyjazny uśmiech i zastukała do drzwi. Po drugiej stronie rozległo się szaleńcze szczekanie psa, ktoś rzucił parę niecenzuralnych słów. Coco przyłożyła

dłoń do piersi. Drzwi otworzyły się z rozmachem i na progu stanął Holt, prosto spod prysznicza. Sadie jak pocisk przemknęła obok niego. Coco wydała głośny pisk. Holt jednak wykazał się refleksem i pochwycił psa za obrożę, zanim Sadie zdążyła zepchnąć gościa ze schodków.

Trzymając w jednej ręce tacę z czekoladowymi pierniczkami, Coco przenosiła wzrok z psa na mężczyznę i z powrotem.

- Och Boże - powiedziała jednym tchem. - Jaki ogromny pies! I jaki podobny do naszego Freda! A ja miałam nadzieję, że on niedługo przestanie rosnać! Przecież na tym psie dałoby się jeździć! - Rzuciła Holtowi promienny uśmiech. - Bardzo przepraszam, ale chyba przeszkadzam.

Holt mocno przytrzymał Sadie, która wyrywała się do pierniczków.

- Słucham?

- Chyba przeszkadzam - powtórzyła Coco. - Wiem, że jest jeszcze wcześnie, ale nie umiem długo spać, gdy dzień jest taki piękny. Słońce, śpiew ptaków, nie wspominając już o piłowaniu i waleniu młotkami. Czy ona miałaby ochotę na pierniczka? - Nie czekając na odpowiedź, zdjęła jedno ciastko z tacy i podała psu. - A teraz usiądź i zachowuj się grzecznie.

Sadie usiadła z uszczęśliwionym wyrazem pyska i z zachwytem wpatrzyła się w Coco.

- Dobry pies - uśmiechnęła się Coco i przeniosła wzrok na Holta. - Pewnie mnie pan nie pamięta. Nie widzieliśmy się już od lat.

- Pani McPike - stwierdził Holt. Owszem, pamiętał ciocię Coco, chociaż ostatnim razem, gdy ją widział, była platynową blondynką. Od tego czasu minęło dziesięć lat, a jednak wyglądała teraz znacznie młodziej. Albo przeszła pierwszorzędny lifting, pomyślał, albo odkryła źródło młodości.

- Tak, to ja. Bardzo mi pochlebia to, że pamięta mnie tak atrakcyjny mężczyzna. Ale

gdy się ostatnio widzieliśmy, był pan jeszcze chłopcem. Proszę bardzo. - Podsunęła mu tacę.

Nie miał wyboru. Musiał ją przyjąć i zaprosić gościa do środka.

- Dziękuję - mruknął, patrząc na pierniczki. Widocznie przynoszenie mu prezentów stało się nowym hobby Calhounów. Coco tymczasem przesunęła się obok niego i swobodnie weszła do domu. - Co mogę dla pani zrobić?

- Prawdę mówiąc, po prostu bardzo chciałam zobaczyć ten dom. Pomyśleć, że to właśnie tu Christian Bradford mieszkał i pracował... - Westchnęła. - I marzył o Biance.

- Cóż, na pewno mieszkał tu i pracował.

- Suzanna mówiła, że nie jest pan przekonany, czy oni rzeczywiście się kochali.

Rozumiem pańskie wątpliwości, ale to część historii mojej rodziny. Pańskiej również. Och, jaki wspaniały obraz!

Przeszła przez pokój i stanęła przed mglistym pejzażem wiszącym nad kamiennym kominkiem. Choć obraz przedstawiał mgłę, kolory były żywe i nasycone, jakby potęga życia i namiętności próbowała się wyłonić w pełni spoza szarej zasłony. Białe czapy piany na falach, ostre, czarne krawędzie skał, ponure cienie wysp majaczyły na tle zimnego, mrocznego morza.

- Co za potęga - wymruczała Coco. - I jaki samotny pejzaż. To jego, prawda?

- Tak.

Coco westchnęła.

- Jeśli chce pan zobaczyć ten widok w naturze, wystarczy tylko pójść na urwisko pod Towers. Suzanna chodzi tam na spacer, czasami z dziećmi, czasami sama. Zbyt często sama.

- Potrząsnęła głową i spojrzała na Holta. - Moja siostrzenica odniosła wrażenie, że nie jest pan szczególnie zainteresowany potwierdzeniem związku Christiana z Biancą i odnalezieniem szmaragdów. Trudno mi w to uwierzyć.

Holt odstawił pierniczki na stół.

- Nie rozumiem, dlaczego. Ale powiedziałem pani siostrzenicy, że jeśli przekonam się, iż między nimi istniała jakaś istotna więź, zrobię, co będę mógł, by wam pomóc.

- Był pan w policji, prawda?

Holt wsunął kciuki w kieszenie spodni, nieufny wobec tej nagiej zmiany tematu.

- Tak.

- Muszę przyznać, że byłam zaskoczona, gdy dowiedziałam się, jaki zawód pan wybrał, ale jestem pewna, że dobrze pan wykonywał swoją pracę.

- Staralem się - odrzekł Holt z pozornym spokojem.

- Przypuszczam, że rozwiązywał pan różne zagadki.

Jego usta zadrgały.

- Owszem, kilka.

- Zawsze podziwiam policjantów z telewizji, którzy rozwiązują zagadki i przed końcem programu przywracają wszystko do porządku - uśmiechnęła się Coco.

- W życiu nie ma porządku.

Coco pomyślała, że niektórym mężczyznom do twarzy jest z ironią.

- To prawda, ale ktoś z pańskim doświadczeniem bardzo by się nam przydał.

Podeszła bliżej i powiedziała już bez uśmiechu:

- Będę szczerą. Gdybym wiedziała, jakie kłopoty dla rodziny z tego wynikną, to nikomu nie wspominałabym o legendzie związanej ze szmaragdami. Gdy zginął mój brat i jego żona, musiałam się zaopiekować dziewczynkami i uznałam, że moim obowiązkiem jest przekazać im tę historię w odpowiednim czasie. Ale wypełniając ten obowiązek, naraziłam rodzinę na niebezpieczeństwo. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ją ochronić. A dopóki szmaragdy się nie znajdą, moja rodzina nie będzie bezpieczna.

- Powinna pani skontaktować się z policją - stwierdził Holt.

- Robią, co mogą, ale to za mało. - Coco położyła dłoń na jego ręce. - Ta sprawa nie dotyczy ich osobiście i nie potrafią zrozumieć jej wagi. Pan jednak to potrafi.

Uparta logika Coco wzbudziła niepokój Holta.

- Przecenia mnie pani - mruknął niepewnie.

- Myślę, że nie. Ale nie chcę na pana naciskać. Przyszłam tylko po to, by pomóc Suzannie. Ona nie umie dopominać się o to, czego chce.

- Radzi sobie zupełnie dobrze.

- Miło mi to słyszeć. Ale Suzanna zajęta jest swoją firmą i wieloma innymi rzeczami.

Przez ostatnich kilka miesięcy nasze życie wywróciło się do góry nogami. Najpierw był ślub C. C. i remont, teraz Amanda i Sloan... Lilah też już ustala datę ślubu z Maksem. - Umilkła i posmutniała. - Gdyby jeszcze udało mi się znaleźć jakiegoś miłego mężczyznę dla Suzanny, to mogłabym już być spokojna o wszystkie moje dziewczynki.

Jej badawcze spojrzenie nie uszło uwagi Holta.

- Jestem pewien, że sama będzie potrafiła o to zadbać, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

- Kiedy ona nawet nie próbuje szukać. Zresztą po tym, co ten drań jej zrobił... -

Urwała, wiedząc, że jeśli zacznie mówić o Baxterze, to nieprędko skończy, a nie był to odpowiedni temat do towarzyskiej rozmowy. - „W każdym razie Suzanna jest zbyt zajęta firmą i dziećmi, więc muszę się trochę porozglądać w jej imieniu. Nie ma pan żony, prawda?

Nie sposób posądzić tej kobiety o nadmiar subtelności, pomyślał Holt z rozbawieniem.

- Owszem, mam żonę i sześcioro dzieci w Portland.

Coco otworzyła usta, ale po chwili Wybuchnęła głośnym śmiechem.

- To było niestosowne pytanie - przyznała. - Lepiej pójdę, zanim zadam panu następne.



Ruszyła do wyjścia i z zadowoleniem zauważyła, że Holt otworzył przed nią drzwi.

- Aha, ślub Amandy jest w sobotę o szóstej. Przyjęcie odbędzie się w sali balowej w Towers. Chciałabym, żeby pan przyszedł.

To nieoczekiwane zaproszenie zaskoczyło Holta.

- To chyba nie byłoby właściwe - mruknął.

- Ależ jak najbardziej - obruszyła się Coco. - Nasze rodziny od dawna są ze sobą powiązane. Bardzo byśmy chcieli gościć cię na tym ślubie.

Już za progiem odwróciła się i dorzuciła:

- A Suzannie, niestety, nikt nie będzie towarzyszył.

Używał wielu nazwisk. Gdy po raz pierwszy pojawił się w Bar Harbor, szukając szmaragdów, podawał się za brytyjskiego finansistę o nazwisku Livingston. Ponieważ jego plan powiódł się tylko częściowo, wrócił na wyspę pod nazwiskiem Ellis Caufield, tym razem odgrywając rolę bogatego ekscentryka. Niestety, pech oraz głupota współnika sprawiły, że musiał porzucić również i to przebranie.

Śmierć współnika pokrzyżowała jego plany tylko w niewielkim stopniu. Teraz występował jako Robert Marshall i zaczynał lubić swoją nową tożsamość. Marshall był wysoki, opalony i mówił z bostońskim akcentem. Ciemne włosy sięgały mu do ramion, a twarz zdobiły wąsy. Szklka kontaktowe zmieniły kolor oczu na brązowy. Zęby miał nieco wystające. Aparat ortodontyczny kosztował go ładny kawał grosza, ale zupełnie zmienił wygląd szczęki.

Używając fałszywych referencji, Marshall zatrudnił się przy renowacji Towers.

Szmaragdy były warte wszystkich tych wydatków i zachodów. Zamierzał je zdobyć za wszelką cenę.

W ciągu ostatnich miesięcy te szmaragdy stały się jego obsesją. Ryzyko pracy tak

blisko Calhounów dodawało tylko pikanterii całej sprawie. Znajdował się o półtora metra od Amandy, gdy przyszła do zachodniego skrzydła porozmawiać ze Sloanem O'Rileyem. Obydwoje znali go jako Livingstona, ale żadne z nich nie zatrzymało dłużej wzroku na Marshallu.

Do jego obowiązków należało przynoszenie narzędzi i sprzątanie gruzu. Wykonywał swoją pracę dobrze i nikt nie miał do niego zastrzeżeń. Przyjaźnie odnosił się do innych robotników i nawet od czasu do czasu wyskakiwał z nimi po pracy na piwo. A potem wracał do wynajętego domu po drugiej stronie zatoki i snuł plany.

System bezpieczeństwa w Towers nie stanowił żadnego problemu, szczególnie że mógł go wyłączyć od wewnątrz. Pracując w pobliżu Calhounów, mógł być pewien, że usłyszy o wszelkich nowych tropach prowadzących do naszyjnika. A zachowując ostrożność, mógł sam trochę poszukać.

W papierach, które ukradł, nie znalazł żadnej wyraźnej wskazówki. Jedynym śladem był list do Bianki podpisany „Christian”. Był to list miłosny. Może tu należało poszukać jakichś śladów?

- Hej, Bob, masz chwilę?

Podniósł głowę i uśmiechnął się do majstra.

- Mam parę minut.

- Trzeba przenieść stoły do sali balowej na jutrzejsze wesele. Idźcie tam obaj z

Rickiem i pomóżcie paniom.

Marshall poczuł na plecach przyjemny dreszczyk podniecenia. Poszedł do mieszkalnej części domu, wysłuchał instrukcji przejętej Coco i posłusznie pochwycił za krawędź ciężkiego stołu, który należało przenieść na inne piętro.

- Czy myślisz, że przyjdzie? - zapytała C. C.. Suzannę, kończąc mycie luster

pokrywających ścianę.

- Wątpię.

C. C. cofnęła się o krok i pod światło przyjrzała się lustrum, wypatrując smug.

- Nie rozumiem, dlaczego nie miałby przyjść. Może złamie się i dołączy do nas.

- On nie jest szczególnie towarzyski - pokręciła głową Suzanna i w tej samej chwili

dostrzegła dwóch mężczyzn taszczących stół. - O, tutaj, przy tej ścianie. Dziękuję.

- Nie ma za co - wykrztusił Rick przez zaciśnięte zęby. Marshall tylko się uśmiechnął.

- Może gdy zobaczy zdjęcie Bianki i usłyszy taśmę, którą nagrali Max i Lilah, tę z rozmową z pokojówką, która tu wtedy pracowała, to w końcu się przekona. Przecież jest jedynym żyjącym potomkiem Christiana.

- Hej! - wrzasnął Rick i wymamrotał pod nosem przekleństwo, gdy Marshall nagle wypuścił swój koniec stołu.

- Nie sądzę, by uczucia rodzinne miały dla niego wielkie znaczenie - odrzekła

Suzanna. - Jedna rzecz w każdym razie zupełnie się nie zmieniła: Holt Bradford nadal jest samotnikiem.

Holt Bradford, powtórzył Marshall w myślach.

- Czy mamy zrobić coś jeszcze? - zawołał do kobiet.

Suzanna spojrzała na niego przez ramię.

- Nie, już nic. Bardzo dziękujemy.

- Nie ma o czym mówić - uśmiechnął się szeroko Marshall.

- Niezłe są, co? - wymamrotał Rick, gdy wyszli na korytarz.

- A, tak - odrzekł Marshall, choć jego myśli w tej chwili zaprzętały szmaragdy, nie kobiety.

- Mówię ci, stary, miałbym ochotę... - Rick naraz urwał i wyszczerzył zęby w

szerokim uśmiechu. Na górę po schodach wchodziły jeszcze dwie kobiety w towarzystwie kilkuletniego chłopca. Lilah spojrzała na robotników pobłażliwie.

- O kurczę - jęknął Rick, przykładając rękę do serca. - W tym domu wszędzie się człowiek potyka o ślicznotki.

- Nie zwracaj na to uwagi - powiedziała Lilah dobrotliwie. - Większość z nich jest nieszkodliwa.

Szczupła rudawa blondynka odpowiedziała jej słabym uśmiechem. Umizgi robotników w tej chwili stanowiły najmniejsze z jej zmartwień.

- Naprawdę nie chciałabym przeszkadzać - powiedziała z miękkim południowym akcentem. - Sądzę, że byłoby najlepiej, gdybyśmy obydwój z Kevinem spędzili noc w hotelu.

- O tej porze, w pełni sezonu, nie udałoby ci się znaleźć wolnego miejsca nawet w namiocie. Zresztą wszyscy chcemy, żebyś została u nas. Rodzina Sloana jest teraz naszą rodziną. - Lilah przeniosła wzrok na ciemnowłosego chłopca, który rozglądał się dokoła szeroko otwartymi oczami, i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, - Fascynujące miejsce, prawda? Twój wujek pilnuje, żeby dach nie zawalił się nam na głowy.

Wprowadziła ich do sali balowej. Suzanna stała właśnie na drabinie, polerując lustro.

C. C., również ze szmatą, siedziała na podłodze. Lilah pochyliła się do ucha chłopca.

- Ja miałam robić to samo - szepnęła. - Ale urwałam się na wagary.

Chłopiec roześmiał się głośno. Ten śmiech, tak podobny go śmiechu Aleksa, sprawił, że Suzanna odwróciła głowę.

Spodziewała się ich. Już od kilku tygodni wiadomo było, że przyjadą. Ale teraz na ich widok nie potrafiła opanować zdenerwowania. Ta kobieta nie była po prostu siostrą Sloana, a chłopiec nie był tylko jego siostrzeńcem. Megan O'Riley była kochanką jej męża, a chłopiec

jego synem. Jego matka miała zaledwie siedemnaście lat, gdy Baxter zwabił ją do swego łóżka, uwodząc obietnicami wiecznej miłości i małżeństwa. A przez cały ten czas planował już ślub z Suzanną.

Która z nas była tą drugą? - zastanawiała się Suzanna.

Ale teraz nie miało to już znaczenia. W oczach Megan O'Riley odbijało się podobne zdenerwowanie, jakie zapewne musiało być widoczne i na jej twarzy.

Lilah dokonała prezentacji tak gładko, że postronny obserwator nie zauważyłby w tej sytuacji niczego nietypowego. Suzanna zeszła z drabiny i wyciągnęła rękę. Wyglądała tak pięknie i swobodnie w starych dżinsach, że Megan, ubrana w kostium w kolorze mosiądzu, poczuła się za bardzo wystrojona.

A więc to była kobieta, której nienawidziła od lat, która skradła jej ukochanego mężczyznę, ojca jej dziecka. Choć Sloan wyjaśnił jej, że Suzanna w niczym tu nie zawiniła, Megan nie potrafiła się rozluźnić.

- Tak się cieszę, że mogę cię poznać - powiedziała Suzanna, ujmując w obie ręce sztywną dłoń gościa.

- Dziękuję - odparła Megan i czując się niezręcznie, szybko cofnęła dłoń. - Już nie możemy się doczekać ślubu.

- Podobnie jak my wszyscy - odrzekła Suzanna i dopiero teraz spojrzała na Kevina, przyrodniego brata jej dzieci. Poczowała, że serce jej mięknie. Był wyższy od jej syna i o cały rok starszy, obydwaj jednak byli podobni do ojca. Nieświadomie wyciągnęła rękę, by odgarnąć z czoła chłopca opadający kosmyk włosów, identyczny jak u Aleksa, ale Megan obronnym gestem objęła chłopca ramieniem i Suzanna opuściła rękę.

- Miło mi cię poznać, Kevinie. Alex i Jenny z przejęcia nie mogli wczoraj zasnąć.

Kevin uśmiechnął się do niej przelotnie i podniósł wzrok na matkę. Uprzedziła go, że

pozna przyrodnie rodzeństwo, i nie był do końca pewien, czy podoba mu się ten pomysł.

Wyczuwał, że mama też nie jest zachwycona.

- Może pójdziemy ich poszukać? - zaproponowała C. C. , kładąc dłoń na ramieniu

Suzanny. Megan zauważyła, że Lilah już wcześniej stanęła po drugiej stronie siostry. Nie mogła ich winić za to, że chroniły się wzajemnie przed obcymi.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli...

Nie zdążyła jednak skończyć, bo do sali balowej wpadli Alex i Jenny, zarumienieni i bez tchu.

- Czy on tu jest? - wołał Alex już z daleka. - Ciocia Coco mówiła, że jest, i chcemy zobaczyć, czy... - Urwał i zatrzymał się z poślizgiem na wypolerowanej posadzce.

Dwóch chłopców patrzyło na siebie z zainteresowaniem i czujnie, jak dwa teriery.

Alex był trochę niezadowolony, że nowy brat jest większy od niego, uznał jednak, że dobrze będzie mieć jeszcze coś oprócz siostry.

- Jestem Alex, a to jest Jenny - przedstawił. - Ona ma dopiero pięć lat.

- Pięć i pół - poprawiła Jenny, podchodząc do Kevina. - I mogę cię zbić.

- Jenny, to chyba nie jest konieczne - powiedziała Suzanna łagodnym tonem, ale uniesienie brwi towarzyszące tym słowom było bardzo wymowne.

- Dałabym radę - wymruczała dziewczynka, mierząc wzrokiem przyrodniego brata. -

Ale mama mówi, że musimy być dla ciebie mili, bo jesteśmy rodziną.

- Znasz jakichś Indian? - zapytał Alex.

- Aha - ożywił się Kevin i puścił rękę matki. - Całe mnóstwo!

- A chcesz zobaczyć nasz fort? - zapytał Alex.

- Chcę - ucieszył się Kevin i spojrzał na matkę pytająco. - Mogę?

- Nie wiem, czy...

- Lilah i ja pójdziemy z nimi - odezwała się C.C.. Obydwie z siostrą zgarnęły dzieci i wyszły z sali.

- Nic złego im się nie stanie - zapewniła Suzanna, obracając szmatę w rękach. - Sloan zaprojektował ten fort. Jest bardzo mocny. Czy Kevin wie?

Megan z kolei obracała w dłoniach torebkę.

- Wie. Nie chciałam, żeby poznał dzieci pani, nie rozumiejąc, kim są. - Wzięła głęboki oddech, przygotowując się do wygłoszenia wcześniej obmyślanej przemowy. - Pani Dumont...

- Suzanna. To dla ciebie na pewno bardzo trudna sytuacja.

- Sądzę, że nie jest łatwa dla nikogo z nas. Nie przyjechałabym tu, gdyby to nie było tak ważne dla Sloana. Kocham mojego brata i nie chcę psuć mu ślubu, ale sama chyba rozumiesz, że ta sytuacja jest nie do zniesienia.

- Wiem, że jest dla ciebie bolesna, i przykro mi z tego powodu. Żałuję, że nie wiedziałam wcześniej o tobie i o Kevinie. To raczej i tak nie zrobiłoby żadnej różnicy, jeśli chodzi o Baxtera, ale żałuję ze względu na siebie. - Opuściła wzrok na szmatę, którą mocno ścisnęła w dłoni, i odłożyła ją na bok. - Megan, wiem o tym, że gdy ty samotnie rodziłaś Kevina, ja spędzałam miesiąc miodowy w Europie z jego ojcem. Masz prawo nienawidzić mnie za to. Megan potrząsnęła głową.

- Jesteś zupełnie inna, niż myślałam. Spodziewałam się, że będziesz zimna, wyniosła i pełna niechęci do mnie.

- Jak można czuć niechęć do siedemnastoletniej dziewczyny, zdradzonej i zostawionej samotnie z dzieckiem?

- Myślałam, że czeka nas świetlana przyszłość. - Megan westchnęła. - Ale szybko musiałam dorosnąć. Wiele się nauczyłam. - Podniosła głowę i uważnie przyjrzała się twarzy

Suzanny. - Nienawidziłam cię, bo miałaś wszystko, czego ja wtedy pragnęłam. Nawet gdy już przestałam kochać Baksa, nienawiść do ciebie pomagała mi przetrwać. Bardzo się bałam spotkania z tobą.

- To nasz kolejny punkt wspólny.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jestem i tak z tobą rozmawiam. - Megan potrząsnęła głową i zaczęła wędrować po sali, by się uspokoić. - Kiedyś często próbowałam sobie wyobrazić to spotkanie. Chciałam stanąć przed tobą i domagać się swoich praw. - Zaśmiała się gorzko. - Nawet dzisiaj miałam przygotowaną przemowę, bardzo wyrefinowaną i dojrzałą, może tylko odrobinę złośliwą. Nie chciałam uwierzyć, że nic nie wiedziałaś o Kevinie i że ty też byłaś ofiarą. Łatwiej mi było uznać, że tylko ja zostałam zdradzona. Ale wtedy weszły dzieci. - Przymknęła oczy. - Suzanno, jak sobie radzisz z cierpieniem?

- Powiem ci, kiedy sama to zrozumiem. Megan uśmiechnęła się lekko i wyjrzała przez okno.

- Na szczęście na nich to wszystko nie ma wpływu. Spójrz.

Suzanna podeszła do okna. Trójka dzieci wchodziła zgodnie do fortu ze sklejki.

Długo się nad tym zastanawiał i jeszcze wyciągając garnitur z szafy nie był pewien, czy rzeczywiście tam pójdzie. Co on właściwie miałby robić na takim ślubie? Nie lubił towarzyskich zgromadzeń, gadania o niczym i tych nieznośnie małych kanapek. I tak nigdy nie było wiadomo, z czego są właściwie zrobione.

Więc dlaczego w końcu zdecydował, że pójdzie? Rozluźnił węzeł krawata i ze zmarszczonym czołem przejrzał się w zakurzone lustro nad biurkiem. Dlatego że jak ostatni idiota nie mógł się zdobyć na to, by odrzucić zaproszenie do zamku na urwisku, a po drugie, chciał znów zobaczyć Suzannę.

Minął już tydzień od dnia, gdy wspólnie posadzili krzew w jego ogrodzie i gdy ją



pocałował. Obiecał jej wtedy, że to jeszcze nie koniec. Teraz uznał, że skoro chce się do niej zbliżyć, to powinien zobaczyć ją wśród rodziny, która tak wiele dla niej znaczy. Chciał wiedzieć, kim ona naprawdę jest: niedosiężną księżniczką z jego młodzieńczych marzeń, namiętną kobietą, którą przed paroma dniami trzymał w ramionach, czy wrażliwą, skrzywdzoną istotą, której spojrzenie prześladowało go w snach.

Jazda do Towers nie trwała długo, ale Holt się nie spieszył. Na widok wież rezydencji odniósł wrażenie, że cofnął się w czasie o dwanaście lat. Było to przedziwne miejsce, labirynt kontrastów. Budynek z mocnego granitu, z obu stron zakończony romantycznymi wieżami, z niektórych miejsc wyglądał okropnie, z innych - czarująco. W tej chwili zachodnie skrzydło pokryte było rusztowaniami.

Trawnik schodzący w dół po zboczu miał piękny szmaragdowy kolor. Otaczały go stare drzewa i barwne kwiaty. Na podjeździe stało już sporo samochodów i Holt poczuł się głupio, oddając chłopakowi w liberii kluczyki do swego zardzewiałego chevroleta.

Ślub miał się odbyć na tarasie. Ponieważ ceremonia już się zaczynała, Holt stanął z tyłu. Organy zagrały podniosłe. Miał wielką ochotę rozluźnić krawat i zapalić papierosa.

Gdy drużny ruszyły po białym chodniku rozpostartym na trawniku, wśród gości rozległy się zachwycone szepty. Holt z trudem rozpoznał C. C. w olśniewającej bogini ubranej w długą różową suknię. O tak, kobiety z rodziny Calhounów zawsze wyróżniały się urodą, pomyślał, i przeniósł wzrok na sąsiednią postać. Tym razem suknia była w kolorze morskiej piany, ale Holt nawet tego nie zauważył, bowiem jego uwagę przyciągnęła twarz kobiety idącej w ślad za C. C. To była ta twarz, twarz z portretu dziadka! Holt głośno westchnął. Lilah Calhoun była dokładną kopią swej prababki. Już dłużej nie mógł zaprzeczać istnieniu więzi między dziadkiem a Biancą Calhoun.

Wcisnął ręce w kieszenie, żałując, że tu przyszedł, gdy jego wzrok padł na księżniczkę

z jego własnych młodzieńczych marzeń. Jasne włosy Suzanny opadały w miękkich lokach na ramiona. Ubrana w jasnoniebieską sukienkę, szła lekko przez trawnik z bukietem w ręku.

Takie same kwiaty miała we włosach. Gdy go mijała, poczuł tęsknotę tak przejmującą, że z trudem powstrzymał się, by nie zawołać jej po imieniu.

Z całej ceremonii ślubu zapamiętał tylko jej twarz ze spływającą po policzku łzą.

Sala balowa po wielu latach znów wypełniła się ludźmi, światłem, kwiatami i muzyką.

Coco przeszła samą siebie. Goście raczyli się krokietami z homara, musem łososiowym i wiadrami szampana. Wzdłuż ścian ustawiono rzędy krzeseł. Drzwi od tarasu były otwarte, by goście mogli zaczerpnąć świeżego powietrza.

Holt trzymał się z boku. Sączył schłodzone wino i obserwował przybyłych. Jak na pierwszą wizytę w Towers to całkiem nieźle, pomyślał. Lustra odbijały rzędy kobiet w pastelowych sukniach. Powietrze przesycone było zapachem gardenii.

Panna młoda wyglądała wspaniale. Wysoka, w białej koronkowej sukni, z promienną twarzą, tańczyła z potężnym, opalonym mężczyzną, który od kilku godzin był jej mężem.

Holt zauważył również Coco w towarzystwie wysokiego blondyna, który wyglądał tak, jakby urodził się we fraku.

Poszukał wzrokiem Suzanny. Stała nieopodal, mówiąc coś do ciemnowłosego chłopca. Czy to jej syn? - zaciekawiał się Holt. W każdym razie na twarzy chłopca wyraźnie było widać, że jest o krok od jawnego buntu. Nerwowo przestępował z nogi na nogę i szarpał muszkę pod szyją, czym natychmiast zyskał sobie pełne zrozumienie Holta. Nie było nic gorszego dla dziecka w letni wieczór, niż pozwolić się zapakować w malutki smoking i utknąć w towarzystwie dorosłych. Suzanna szepnęła coś chłopcu do ucha i potargała go po włosach. Wyraz buntu zniknął z małej twarzy, zastąpiony szerokim uśmiechem.

- Widzę, że wciąż lubisz mroczne kąty. Odwrócił się i zobaczył Lilah Calhoun wspartą

na ramieniu wysokiego, szczupłego mężczyzny. Znów uderzyło go jej podobieństwo do twarzy z portretu.

- Po prostu patrzę - powiedział.

- Ten spektakl wart jest ceny biletu - odrzekła Lilah i spojrzała na swego towarzysza. -

Max, to jest Holt Bradford, w którym byłam zakochana do szaleństwa przez jakieś dwadzieścia cztery godziny, mniej więcej piętnaście lat temu.

Brwi Holta powędrowały do góry.

- I nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Jasne, że nie. Pod koniec dnia doszłam do wniosku, że jednak nie mam ochoty podkochiwać się w mrocznych, niebezpiecznych typach. To jest Max Quartermain, mężczyzna, którego zamierzam kochać już do końca życia.

- Gratuluję - rzekł Holt, ujmując wyciągniętą dłoń Maksa. Mocny uścisk, pomyślał, spokojne spojrzenie i nieco nieśmiały uśmiech. - Jesteś nauczycielem, tak?

- Byłem. A ty jesteś wnukiem Christiana Bradforda.

- Zgadza się - odrzekł Holt już chłodniejszym tonem.

- Nie martw się, nie będziemy cię prześladować, dopóki jesteś naszym gościem -

zaśmiała się Lilah, przyglądając mu się uważnie. - Pamiętasz chyba C. C. - powiedziała, przywołując gestem siostrę.

- Pamiętam tyczkowatą dziewczynkę ze smarem na twarzy - uśmiechnął się Holt. -

Dobrze wyglądasz.

- Dziękuję. To jest mój mąż, Trent. A to Holt Bradford.

- A oto i państwo młodzi - obwieściła Lilah, unosząc w toaście kieliszek z szampanem.

- Cześć, Holt! - zawołała Amanda. Twarz nadal miała zaróżowioną z podniecenia, ale

spojrzenie spokojne i badawcze. - Cieszę się, że przyszedłeś.

Gdy przedstawiała mu Sloana, Holt zdał sobie sprawę, że znalazł się w okrążeniu.

Nikt na niego nie naciskał i nie padło ani jedno słowo o szmaragdach, ale rodzina zwarła szeregi. Wbrew sobie musiał podziwiać ich wspólną determinację.

- Co to za rodzinne zgromadzenie? - zapytała Suzanna, podchodząc bliżej. -

Powinniśmy zabawiać gości, zamiast zbierać się w grupkę w kącie. Och, Holt - zauważyła i jej uśmiech nieco przygasł. - Nie widziałam cię tu wcześniej.

- Twoja ciotka mnie zaprosiła.

- Tak, wiem, ale... - Szybko opanowała zmieszanie i na jej twarzy pojawił się przyjazny uśmiech gospodyni. - Cieszę się, że przyszedłeś.

Akurat, pomyślał.

- Na razie jest... interesująco - odrzekł. Nagle, na jakiś nieuchwytny sygnał,

Calhounowie rozproszyli się. Holt i Suzanna zostali sami w kącie obok wazonu gardenii.

- Mam nadzieję, że cię nie odstraszyli - powiedziała Suzanna.

- Potrafię sobie poradzić.

- To całkiem możliwe, ale nie chcę, żeby czepiali się ciebie na ślubie mojej siostry.

- Ale nie miałabyś nic przeciwko temu, gdyby robili to gdzie indziej.

Zanim Suzanna zdążyła odpowiedzieć, małe dłonie pociągnęły ją za spódnicę.

- Mamo, kiedy będziemy jeść tort?

- Gdy Amanda i Sloan zechcą go pokroić.

- Ale my jesteśmy głodni.

- To idźcie do bufetu i weźcie sobie, co chcecie.

- Ale tort... - nie ustępował Alex.

- Tort będzie później. Alex, to jest pan Bradford. Chłopiec wydał usta. Poznanie

kolejnej dorosłej osoby, która zapewne zechce pogłaskać go po głowie i powie mu, że jest już dużym chłopcem, szczególnie go interesowało. Ale gdy otrzymał męski uścisk dłoni, rozpogodził się nieco.

- To pan jest policjantem?

- Byłem kiedyś.

- A był pan postrzelony w głowę? Holt stłumił śmiech.

- Przykro mi, ale nie. Za to postrzelono mnie w nogę - dodał szybko, czując, że traci twarz.

- Tak? - rozjaśnił się Alex. - Czy to bardzo krwawiło?

Teraz już Holt musiał się uśmiechnąć.

- Straciłem parę wiader krwi.

- O rany! A czy zastrzelił pan dużo bandytów?

- Dziesiątki.

- Dobra, niech pan chwilę poczeka! - zawołał chłopiec i odbiegł.

- Przepraszam - powiedziała Suzanna. - Alex jest właśnie na etapie krwawych porachunków.

- Przykro mi, że nigdy nie zostałem postrzelony w głowę.

- Nic nie szkodzi - roześmiała się. - Wystarczy, że zastrzeliłeś mnóstwo bandytów. -

Zastanawiała się, czy to prawda, ale nie odważyła się o to zapytać.

- Hej - zawołał Alex, znów zatrzymując się przed nimi. Za sobą ciągnął jeszcze dwójkę dzieci. - Powiedziałem im, że był pan ranny w nogę!

- Czy to bardzo bolało? - dopytywała się Jenny.

- Trochę.

- Krwawiło i krwawiło - wtrącił Alex z zachwytem. - To Jenny, moja siostra. A to mój

brat Kevin.

Suzanna poczuła wielką ochotę, by podnieść go do góry i serdecznie ucałować. Tak łatwo zaakceptował coś, co dorośli uważali za bardzo skomplikowane. Przesunęła ręką po jego włosach.

Cała trójka zaczęła bombardować Holta pytaniami, aż w końcu Suzanna uznała, że należy położyć temu kres.

- Myślę, że na razie wystarczy - oznajmiła stanowczo.

- Ale, mammo...

- Ale, Alex - zaśmiała się, przedrzeźniając go. - Może weźmiecie sobie trochę ponczu?

Dzieci uznały, że to dobry pomysł, i wycofały się.

- Niezła ekipa - mruknął Holt, spoglądając na Suzannę. - Myślałem, że masz dwoje dzieci.

- Bo mam dwoje.

- Zdawało mi się, że było ich troje.

- Kevin to syn mojego byłego męża - wyjaśniła chłodno. - A teraz muszę cię przeprosić.

Położył dłoń na jej ramieniu. Jeszcze jedna tajemnica, pomyślał, ale tę również rozszyfruje, tylko nie teraz. Teraz chciał zrobić coś, o czym myślał od chwili, gdy ujrzał ją idącą po białym chodniku na tarasie.

- Zatańczysz? - zapytał.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Nie potrafiła rozluźnić się w jego ramionach. Powtarzała sobie, że to głupie, skoro chodzi tylko o niewinny taniec. Ale jego silne ciało było zbyt blisko, dłoń na jej plecach zbyt zaborcza.

- Imponujący dom - powiedział, ocierając policzek o jej włosy. - Zawsze byłem ciekaw, jak wygląda w środku.

- Będę musiała cię kiedyś oprowadzić. Holt przesunął rękę w górę jej pleców.

- Byłem zdziwiony, że nie wróciłaś więcej, żeby mnie jeszcze trochę pomęczyć.

Suzanna podniosła na niego zirytowane spojrzenie.

- Nie mam zamiaru cię męczyć.

- To dobrze. Ale przyjedziesz jeszcze.

- Tylko dlatego, że obiecałam to cioci Coco.

- Nie - rzekł stanowczo, przyciągając ją bliżej. - Nie tylko dlatego. Ty też się zastanawiasz, podobnie jak ja, jak by to było.

Suzanna poczuła przyływ paniki.

- To nie jest odpowiednie miejsce na takie rozmowy - szepnęła.

- Zazwyczaj sam wybieram miejsca, w których chcę rozmawiać - odrzekł, pochylając twarz nisko nad jej twarzą. Zauważył, że jej oczy pociemniały. - Pragnę cię, Suzanno.

Serce podskoczyło jej aż do gardła.

- Czy to ma być komplement?

- Nie. Powinnaś się bać. Nie będę ci ułatwiał życia.

- Ale ja nie jestem zainteresowana - rzekła już bardziej opanowanym tonem.

Holt wykrzywił usta w uśmiechu.

- Bez trudu mogę ci udowodnić, że to nieprawda. Wystarczyłoby, żebym cię teraz pocałował.

- Nie mam zamiaru robić z siebie widowiska na ślubie mojej siostry.

- Dobrze, to przyjedź do mnie jutro rano - zaproponował.

- Nie.

- Jak wolisz. - Wzruszył ramionami, skubiąc wargami jej ucho.

- Przestań. Moje dzieci...

- Nie powinny chyba być zdziwione widząc, że jakiś mężczyzna całuje ich matkę? -

Podniósł jednak głowę, bo kolana zaczęły pod nim mięknąć. - Jutro rano, Suzanno. Chcę ci coś pokazać. Coś, co należało do dziadka.

Podniosła głowę, czując, że serce zaczyna jej szybciej bić.

- Jeśli to jakaś gra, to nie zamierzam brać w niej udziału.

- To nie gra. Pragnę cię i tym razem będę cię miał. Ale naprawdę mam coś, co należało do dziadka, a co powinnaś zobaczyć. Chyba że boisz się zostać ze mną sama.

Plecy Suzanny zeszywniały.

- Przyjdę - odrzekła krótko.

Następnego ranka Suzanna i Megan stary na tarasie, patrząc na dzieci biegające po trawniku razem z Fredem.

- Szkoda, że nie możesz zostać dłużej - powiedziała Suzanna.

Megan ze śmiechem potrząsnęła głową.

- To dziwne, ale ja też żałuję. Muszę jutro być w pracy.

- Możesz tu przyjechać z Kevinem, kiedy tylko zechcesz.

- Wiem. - Megan napotkała wzrok Suzanny. W tych oczach krył się smutek, który rozumiała, choć sama rzadko pozwalała sobie go poczuć. - A gdybyś ty zechciała przyjechać z dziećmi do Oklahomy, mój dom na ciebie czeka. Chciałabym, żebyśmy pozostawały w kontakcie i żeby Kevin czuł, że jest częścią tej rodziny.

- Będziemy w kontakcie - zapewniła ją Suzanna, podnosząc z tarasu płatek róży. - To był piękny ślub. Sloan i Mandy będą ze sobą szczęśliwi. Będziemy miały wspólnych siostrzeńców i bratanków.



- Boże, jaki ten świat jest dziwny - westchnęła Megan. - Chciałabym, żebyśmy mogły się zaprzyjaźnić, nie tylko ze względu na dzieci czy na Sloana i Amandę.

- Myślę, że już się zaprzyjaźniłyśmy - rzekła Suzanna z uśmiechem.

Z kuchennych drzwi wyłoniła się Coco.

- Suzanno! Telefon do ciebie. To Baxter - dodała cicho, gdy siostrzenica przechodziła obok niej.

Cała radość Suzanny w jednej chwili zgasła.

- Och. Odbiorę w pokoju.

Idąc korytarzem, próbowała wziąć się w garść. Powtarzała sobie, że Bax już nie może jej zranić, ani fizycznie, ani emocjonalnie. Weszła do biblioteki, wzięła głęboki oddech i podniosła słuchawkę.

- Cześć, Bax.

- Przypuszczam, że poczułaś wielką satysfakcję, każąc mi czekać przy telefonie.

Znowu to samo, pomyślała. Ostry, krytyczny ton, który kiedyś przyprawiał ją o dreszcze. Teraz wywołał tylko westchnienie.

- Przepraszam, byłam na zewnątrz.

- Pewnie kopałaś w ogrodzie. Nadal udajesz, że zarabiasz na życie, przycinając róże?

- Nie dzwoniś chyba po to, żeby zapytać, co słychać w mojej firmie.

- Twoja firma, jak ją nazywasz, jest dla mnie wyłącznie źródłem zażenowania. Fakt, że moja była żona sprzedaje kwiatki na rogu ulicy...

- Jest plamą na twoim honorze. Wiem o tym - przerwała mu Suzanna. - Chyba nie będziemy zaczynać tej rozmowy od nowa?

- Widzę, że stałaś się jędzowata, - Baxter wymruczał coś na boku i w słuchawce rozległy się śmiechy. - Nie, nie po to dzwonię, żeby ci powiedzieć, że robisz z siebie idiotkę.

Chcę zabrać dzieci.

Krew w żyłach Suzanny zastygła.

- Co? - wychrypiała.

Ton jej głosu sprawił Basterowi wielką przyjemność.

- Wyrok sądowy stanowi jednoznacznie, że mam prawo spędzić z nimi dwa tygodnie wakacji. Zabieram je w piątek.

- Ale... ale przecież...

- Przestań się jękać, Suzanno. To jedna z twoich najbardziej irytujących cech - Jeśli czegoś nie rozumiesz, to powtórzę. Zamierzam skorzystać z moich praw rodzicielskich i zabieram dzieci w piątek, w południe.

- Nie widziałeś ich prawie rok. Nie możesz tak po prostu zabrać ich i...

- Oczywiście, że mogę. Jeśli nie będziesz respektować postanowień sądu, to złożę skargę. Nie byłoby mądrze z twojej strony, gdybyś próbowała nie dopuścić mnie do dzieci.

- Nigdy nie zabraniałam ci kontaktów z nimi. To ty nie zawracałeś sobie tym głowy.

- Nie zamierzam dostosowywać swoich planów do twoich zachcianek. Wybieram się z

Yvette na dwa tygodnie do Martha's Vineyard i postanowiliśmy zabrać ze sobą dzieci. Czas już, żeby zobaczyły trochę świata, nie tylko tę zabitą deskami dziurę, w której je wychowujesz.

Dłonie Suzanny drżały coraz mocniej.

- Nawet nie przysłałeś Aleksowi kartki na urodziny.

- W postanowieniach sądu nie ma ani słowa o kartkach na urodziny - stwierdził Bax krótko. - Natomiast prawa do odwiedzin określone są bardzo wyraźnie. Możesz to skonsultować ze swoim prawnikiem.

- A jeśli dzieci nie zechcą pojechać?

- Ani one, ani ty nie macie tu nic do powiedzenia. Na twoim miejscu nie próbowałbym ich nastawiać przeciwko mnie.

- Nie muszę tego robić - mruknęła.

- Dopilnuj, żeby były spakowane i gotowe. Aha, i jeszcze coś. Ostatnio sporo czytałem w prasie o twojej rodzinie. Czy to nie dziwne, że w naszej umowie rozwodowej nie było żadnej wzmianki o szmaragdach?

- Nic nie wiedziałam o ich istnieniu.

- Ciekaw jestem, czy sąd by w to uwierzył. Suzanna poczuła, że do oczu napływają jej łzy wściekłości.

- Na litość boską, czy jeszcze nie dosyć mi zabrałeś?

- Nie tak wiele, Suzanno, jeśli się weźmie pod uwagę, jak bardzo mnie rozczarowałaś.

Piątek w południe - powtórzył i odłożył słuchawkę.

Suzanna drżała na całym ciele. Miała wrażenie, że cofnęła się w czasie o pięć lat. Była zupełnie bezradna. Znała na pamięć umowę rozwodową i wiedziała, że Baxter w niczym nie przekracza swoich uprawnień. Mogłaby się wprawdzie domagać, by uprzedził ją wcześniej, ale to niczego by nie zmieniło, a tylko przeciągnęłoby sprawę. Bax już podjął decyzję i ona nie miała na nią żadnego wpływu. Gdyby próbowała z nim walczyć, stawiałby tym większy opór i tym bardziej ucierpiałyby dzieci.

Schowwała twarz w dłoniach, zastanawiając się, jak ma im powiedzieć, że musi je na dwa tygodnie wysłać z domu w towarzystwie praktycznie zupełnie obcego mężczyzny.

Najlepiej chyba będzie przedstawić im to jako przygodę. Może dadzą się nabrać, pomyślała ponuro.

Zacisnęła usta i wstała. W korytarzu rozległo się stukanie laski i ostry głos:

- Ten przeklęty dom przypomina Dworzec Centralny. Ciągłe ktoś wchodzi i wychodzi

albo dzwoni telefon. Można by pomyśleć, że to pierwszy ślub w historii ludzkości.

Cioteczna babcia Colleen, z gładko zaczesanymi siwymi włosami i brylantowymi kolczykami w uszach, stanęła w progu biblioteki.

- Chcę ci powiedzieć, że te małe potwory naniósł błota na schody.

- Przykro mi.

Colleen sapnęła z niezadowoleniem. Ponieważ dzieci bardzo przypadły jej do serca, lubiła na nie narzekać.

- Chuligani. Jedyny dzień w tygodniu, kiedy nikt nie wali młotkami i nie piłuje drewna za oknem sypialni, i nawet wtedy nie można zaznać chwili spokoju, bo tych dwoje drze się, jakby ich obdzierano ze skóry. Dlaczego właściwie nie są w szkole?

- Bo jest lipiec, ciociu Colleen.

- Nie rozumiem, co to za różnica - prychnęła, patrząc na Suzannę ze zmarszczonym czołem. - Co się z tobą dzieje, dziewczyno?

- Nic. Jestem po prostu trochę zmęczona.

- Akurat - mruknęła Colleen. Znała ten wyraz twarzy. Podobną desperację i bezradność widziała kiedyś w oczach własnej matki. - Z kim rozmawiałaś?

Suzanna uniosła wyżej głowę.

- To nie twoja sprawa, ciociu.

- Jesteś arogancka - stwierdziła Colleen, ale zachowanie Suzanny spodobało jej się.

Wolała, by jej siostrzenica pokazywała zęby, niżby miała nadstawiać drugi policzek. Poza tym i tak zamierzała wyciągnąć prawdę od Coco.

- Mam umówione spotkanie - powiedziała Suzanna, starając się nadać głosowi spokojny ton. - Czy mogłabyś powiedzieć cioci Coco, że wychodzę?

- A więc teraz zostałam chłopcem na posyłki - powiedziała Colleen zrzędliwie. -

Powiem jej, powiem. Czas już, żeby zaparzyła mi herbatę.

- Dziękuję. Wrócę niedługo.

- Idź na spacer, to rozjaśni ci się w głowie - dorzuciła niespodziewanie ciotka. -

Calhounowie ze wszystkim dadzą sobie radę.

Suzanna westchnęła i pocałowała pomarszczony policzek.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Wyszła z domu i wsiadła do samochodu, starając się nie myśleć o niczym. Powtarzała sobie, że najpierw musi się uspokoić, a dopiero potem zacznie się zastanawiać, jak wybrnąć z tej sytuacji. Dni spędzone w sądzie, ze świadomością, że gra idzie o przyszłość jej dzieci, nauczyły ją samokontroli. Potrafiła normalnie funkcjonować, nawet gdy w jej duszy szalała panika, wściekłość i rozpacz. A teraz musiała się stawić na umówione spotkanie. Miała nadzieję, że to, co Holt chciał jej pokazać, choć na chwilę odciągnie jej myśli od Baxtera i pozwoli nabrać dystansu do sytuacji.

Gdy zaparkowała samochód przed jego domem, zdawało jej się, że jest już spokojna.

Wsunęła kluczyki do kieszeni i zastukała do drzwi. Holt natychmiast otworzył, jedną ręką przytrzymując wyrywającą się Sadie.

- Jesteś jednak. Już myślałem, że będę musiał po ciebie pojechać.

- Przecież powiedziałam ci, że przyjadę - zdziwiła się, wchodząc do środka. - Co chcesz mi pokazać?

- Twoją ciotkę mój dom interesował znacznie bardziej - stwierdził Holt.

- Trochę mi się śpieszy - mruknęła Suzanna. Nieobecny gestem pogłaskała Sadie po łbie, wsunęła ręce do kieszeni bawełnianych spodni i rozejrzała się dokoła, niczego nie widząc. - Bardzo ładny dom. Na pewno jest ci tu wygodnie.

- Nie najgorzej - odrzekł powoli, uważnie wpatrując się w jej twarz. Policzki miała

bardzo blade, a oczy pociemniałe. Nie chciał, by spotkania z nim wzbudzały w niej lęk.

- Możesz się odprężyć, Suzanno. Nie zamierzam rzucać się na ciebie - oznajmił

krótko.

- Czy możemy przejść do rzeczy?

- Nie, dopóki stoisz tu z takim wyrazem twarzy, jakbyś się spodziewała, że lada moment zakuję cię w łańcuchy i wychłostam. Nie zrobiłem jeszcze nic, co mogłoby usprawiedliwić taką twoją reakcję na mnie.

- Przecież reaguję na ciebie normalnie.

- Akurat. Ręce ci się trzęsą. - Ujął je w swoje dłonie i nakazał surowo: - Uspokój się.

Nic ci nie zrobię.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - obruszyła się Suzanna i wyrwała ręce. - Dlaczego jesteś przekonany, że moje uczucia, moje zachowanie zależy wyłącznie od ciebie? Mam własne życie. Nie jestem słabą, przerażoną kobietą, która rozsypuje się na kawałki tylko dlatego, że jakiś mężczyzna podniesie na nią głos. Naprawdę myślisz, że się ciebie boję? Czy naprawdę myślisz, że mógłbyś mnie skrzywdzić po tym, jak...

Urwała, przerażona własnymi słowami. Nie uświadamiała sobie, że zaczęła krzyczeć i w jej oczach zebrały się łzy. Gardło miała tak mocno zaciśnięte, że z trudem oddychała.

Przestraszona Sadie uciekła do kąta. Holt odsunął się o krok i patrzył na nią przymrużonymi oczami.

- Pójdę już - wykrztusiła, ale on przytrzymał ją na miejscu. - Puść mnie! - zawołała łamiącym się głosem, szarpiąc za kłamkę. - Powiedziałam, puść mnie!

- Możesz mnie uderzyć, jeśli masz ochotę - odrzekł ze zdumiewającym spokojem - ale nigdzie nie pójdziesz taka zdenerwowana.

- To moja sprawa, czy jestem zdenerwowana, czy nie. Powiedziałam ci już, że to nie

ma nic wspólnego z tobą.

- To znaczy, że mnie nie uderzysz. W takim razie sprawdzimy, czy zadziała coś zupełnie innego.

Mocno objął dłońmi jej twarz i pocałował ją. Nie był to uspokajający pocałunek. Jego gwałtowność wiernie odzwierciedlała emocje Suzanny. Drżała na całym ciele, wciąż zaciskając dłonie w pięści, aż w końcu, nie zdając sobie sprawy, zaczęła oddawać mu pocałunek.

Holt jeszcze przez chwilę pochylał się nad jej twarzą. Wyczuwał w Suzannie wulkan gotowy do wybuchu, długo powstrzymywaną burzę. Zamierzał być przy wybuchu tego wulkanu i zdecydowany był poczekać, jeśli okaże się to konieczne.

Gdy w końcu ją puścił, oparła się plecami o drzwi i oddychając ciężko, przymknęła oczy. Holt jeszcze nigdy w życiu nie widział, by ktoś z taką desperacją próbował nad sobą zapanować.

- Usiądź - powiedział, ale ona tylko potrząsnęła głową. - No dobrze, to stój. -

Wzruszył ramionami i zapalił papierosa. - W każdym razie musisz mi powiedzieć, co cię tak zdenerwowało.

- Nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

Holt przysiadł na poręczu fotela i wypuścił z ust smugę dymu.

- Widziałem wiele osób, które nie chciały ze mną rozmawiać, ale zazwyczaj i tak się dowiadywałem tego, czego chciałem się dowiedzieć.

Otworzyła oczy. Holt z ulgą zauważył, że nie było już w nich łez.

- Czy to ma być przesłuchanie?

Znów wzruszył ramionami i zaciągnął się papierosem. Wiedział, że łagodne słowa pocieszenia nic jej w tej chwili nie dadzą.

- Możliwe - odrzekł krótko.

Suzanna miała chęć otworzyć drzwi i wyjść, ale wiedziała, że Holt potrafi ją zatrzymać. Przekonała się kiedyś boleśnie, że są bitwy, których kobieta nie jest w stanie wygrać.

- Nie warto się nad tym rozwodzić - powiedziała niechętnie. - Nie powinnam tu przyjeżdżać w takim stanie, ale myślałam, że potrafię się lepiej kontrolować.

- Co cię tak zdenerwowało?

- To nieważne.

- Skoro tak, to dlaczego nie chcesz powiedzieć?

- Dzwonił Bax. Mój były mąż.

Holt patrzył w rozżarzony czubek papierosa.

- Wygląda na to, że wciąż potrafi poruszyć twoje emocje.

- Jeden telefon. Tylko jeden telefon i znów jestem w jego władzy - rzekła z goryczą, jakiej Holt się po niej nie spodziewał. - I nic nie mogę zrobić. Nic. On chce zabrać dzieci na dwa tygodnie, a ja nie mogę temu zapobiec.

Holt westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Rany boskie, i o to ta cała histeria? Dzieci po prostu wyjadą z ojcem na wakacje. -

Wzruszył ramionami i z niechęcią zgasił papierosa. - Daj sobie spokój z tą mściwością byłej żony. On ma do tego prawo.

- Och, tak, ma prawo - rzekła Suzanna drżącym głosem. - Bo tak jest napisane na kawałku papieru. Był przy ich poczęciu i to go czyni ojcem. Ale to oczywiście nie znaczy, że ma je kochać, troszczyć się o nie czy choćby przysłać im kartkę na Boże Narodzenie czy na urodziny. Sam mi to powiedział przez telefon. W umowie rozwodowej nie ma ani słowa o kartkach. Ale jest tam napisane, że mam mu powierzyć dzieci, kiedy będzie miał taki kaprys.



Znów poczuła zbliżające się łzy, ale zdecydowana była je powstrzymać. Płacz w obecności mężczyzny mógł się skończyć jedynie upokorzeniem.

- Czy myślisz, że tu chodzi o mnie? On mnie już nie może zranić. Ale dzieci nie zasługują na to, żeby używał ich do zemsty na mnie. Zemsty za to, że nie spełniałam jego oczekiwań.

Holt poczuł zimno rozprzestrzeniające się w dole brzucha.

- Nieźle ci dołożył, co? - mruknął.

- Nie o to chodzi. Chodzi o Jenny i Aleksa. Muszę ich teraz przekonać, że ojciec, który nie kontaktował się z nimi od miesięcy i który z trudem ich tolerował, gdy mieszkaliśmy pod jednym dachem, naraz zapragnął zabrać ich na wspaniałe wakacje. - Suzanna poczuła się bardzo zmęczona. - Nie przyszedłam tu po to, żeby o tym opowiadać - westchnęła.

- Nie należę do rodziny, więc możesz czuć się bezpiecznie, opowiadając mi o tym.

Możesz się wyładować. Mnie z tego powodu nie grozi bezsenność.

- Może masz rację - uśmiechnęła się lekko. - Przepraszam.

- Nie chciałem, żebyś mnie przepraszała, A jaki jest stosunek dzieci do niego?

- Jest dla nich obcym człowiekiem.

- W takim razie zapewne nie oczekują niczego z góry i mogą potraktować ten wyjazd jako przygodę, a ty pozwalasz sobą manipulować. Jeśli on rzeczywiście używa dzieci, żeby zrobić ci na złość, to trafia w dziesiątkę.

- Ja też doszłam do tego wniosku. Tylko musiałam wyrzucić to z siebie. - Suzanna uśmiechnęła się blado. - Zwykle w takich sytuacjach zabieram się do pielienia.

- Mam wrażenie, że całowanie mnie okazało się lepszą metodą.

- W każdym razie to coś innego. Holt zgasił kolejnego papierosa i wstał.

- Nie potrafisz wymyślić lepszego określenia?

- Powiedziała to bezmyślnie. Holt...

Nie dokończyła, bo objął ją ramieniem i przysunął usta do jej twarzy.

- Tak? - zapytał niewinnie.

- Nie chcę, żebyś mnie obejmował.

- Szkoda - mruknął, przyciskając ją mocniej do siebie.

- Prosiłeś, żebym tutaj przyszła, bo chciałeś... chciałeś mi pokazać coś, co należało do twojego dziadka.

- Racja. A także po to, żebym wreszcie mógł być z tobą sam na sam. Wszystko w swoim czasie.

- Nie chcę się w nic angażować - szepnęła, jednocześnie unosząc twarz na spotkanie jego twarzy.

- Ja też nie.

- To tylko hormony.

- Na pewno - przytaknął, wsuwając ręce pod jej koszulę.

- To do niczego nas nie doprowadzi.

- Już doprowadziło.

- To dla mnie za duże tempo - powiedziała pośpiesznie, czując, że zaczyna tracić kontrolę nad własnymi reakcjami. - Przepraszam cię. Zdaję sobie sprawę, że wysyłam ci sprzeczne sygnały.

- Chyba potrafię je pooddzielać - odrzekł, uporczywie patrząc jej w oczy.

- Nie chcę zaczynać czegoś, czego nie będę w stanie dokończyć. Mam zbyt wiele zmartwień na głowie, by myśleć jeszcze o...

- O romansach? - dokończył, przegarniając dłonią jej włosy. - Będiesz musiała się nad tym zastanowić. Daj sobie kilka dni. Mogę się zdobyć na cierpliwość, pod warunkiem, że

dostanę, czego chcę. A chcę ciebie.

Suzanna poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Jesteś bardzo atrakcyjny fizycznie, ale to jeszcze nie znaczy, że mam od razu wskoczyć do twojego łóżka.

- Wszystko mi jedno, czy do niego wskoczysz, czy się wczłogasz, czy też sam będę cię musiał tam zaciągnąć. Możemy porozmawiać o tym później.

Zanim zdążyła zareagować, znów ją pocałował i odsunął się z szerokim uśmiechem.

- Skoro już wszystko uzgodniliśmy, to teraz mogę pokazać ci portret.

- Jeśli to uważasz za uzgodnienia... czyj portret?

- Sama mi to powiesz.

Poprowadził ją na strych. Suzanna szła za nim, rozdarta między złością a ciekawością.

Odkąd nawiązała kontakt z Holtem, jej życie emocjonalne zaczęło przypominać karuzelę, ona zaś wolała spokojne dryfowanie.

- To była jego pracownia.

To krótkie zdanie natychmiast rozbudziło zainteresowanie Suzanny.

- Dobrze go znałeś?

- Chyba nikt nie znał go dobrze. Przez całe życie chadzał własnymi ścieżkami.

Pojawiał się tutaj na kilka dni albo na kilka miesięcy. Czasami siadałem w kącie i obserwowałem go przy pracy. Gdy poczuł się zmęczony moim towarzystwem, wysyłał mnie na dwór z psem albo do wioski po lody.

- Na podłodze nadal są ślady po farbie - zauważyła Suzanna. Pochyliła się i powiodła palcem po barwnych plamach. Napotkała wzrok Holta i wszystko zrozumiała.

Kochał dziadka i te plamy były dla niego wspomnieniami. Wyciągnęła rękę i splótła palce z jego palcami. A potem zobaczyła portret.

Stał przy ścianie, oprawiony w starą, ozdobną ramę. W oczach kobiety na płótnie odbijał się smutek, tajemnica i miłość.

- Bianca - wykrztusiła Suzanna, znów z oczami pełnymi łez. - Byłam pewna, że ją namalował.

- A ja nie byłem pewien, dopóki wczoraj nie zobaczyłem Lilah.

- Nie sprzedał tego portretu - powiedziała cicho Suzanna. - Zatrzymał go, bo to było wszystko, co mu po niej pozostało.

- Może. - Holt nie chciał przyznać, że on również tak myślał. - Rzeczywiście musiało ich coś łączyć. Ale ten obraz nie doprowadzi was do szmaragdów.

- Za to ty nam pomożesz.

- Przecież powiedziałem, że pomogę.

- Dziękuję. - Spojrzała na niego i upewniła się, że mówił szczerze. - Chcę cię prosić, żebyś przywiózł ten portret do Towers. Moja rodzina musi go zobaczyć. Dla nich to będzie bardzo wiele znaczyło.

Suzanna nalegała, aby zabrali ze sobą Sadie. Pies pojechał na tylnym siedzeniu, szczerząc zęby do wiatru. Gdy zatrzymali się przed Towers, zobaczyli Lilah i Maksa siedzących na trawniku. Fred natychmiast rzucił się w ich stronę, ale zatrzymał się raptownie, gdy z samochodu wyskoczyła Sadie. Drżąc na całym ciele, zbliżył się do niej ostrożnie. Psy obwąchały się, po czym Sadie pobiegła przed siebie, radośnie machając ogonem, a Fred popędził za nią.

- Zdaje się, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia - skomentowała Lilah, podchodząc do Suzanny i Holta. - Zastanawialiśmy się, gdzie jesteś.

- A gdzie są dzieci? - zapytała Suzanna.

- Poszły do wioski z Megan i jej rodzicami. Chcieli kupić przed wyjazdem jakieś

pamiętki dla Kevina.

Suzanna skinęła głową i wzięła siostrę za rękę.

- Musisz coś zobaczyć.

Podążając za jej gestem, Lilah zjrzała do samochodu i dostrzegła obraz. Westchnęła głośno i zacisnęła palce na dłoni siostry.

- Och, Suze.

- Wiem.

- Max, widzisz to?

- Tak - odrzekł, patrząc na portret przedstawiający kobietę, której wierną kopią była jego ukochana.

- Była piękna. Tak, to Bradford - pokiwał głową i wzruszył ramionami na widok spojrzenia Holta.

- Ostatnich kilka tygodni spędziłem nad obrazami twojego dziadka.

- Miałeś to przez cały czas - powiedziała Lilah. Holt usłyszał w jej głosie ton wyrzutu.

- Nie wiedziałem, że to Bianca. Domyśliłem się, gdy wczoraj zobaczyłem ciebie.

Lilah zatrzymała na nim spojrzenie.

- Nie jesteś wcale taki zły, jak niektórzy uważają. Masz bardzo czystą aurę.

- Zostaw aurę Holta w spokoju, Lilah - zaśmiała się Suzanna. - Chciałabym, żeby ciocia Coco zobaczyła ten obraz. Szkoda, że Sloan i Mandy wyjechali już w podróż poślubną.

- Za dwa tygodnie wrócą - przypomniała jej Lilah.

Holt zaniósł portret do domu i ustawił na kanapie w salonie. Na jego widok po twarzy

Coco spłynęły łzy. Usiadła w fotelu i przyłożyła chusteczkę do oczu.

- Po tylu latach. Po tylu latach znów wróciła do domu.

Lilah dotknęła ramienia ciotki.

- Nigdy stąd naprawdę nie odeszła.

- Wiem, ale teraz mogę na nią patrzeć. - Ciotka pociągnęła nosem. - I widzę ciebie.

C. C. ze zwilgotniałymi oczami oparła głowę na ramieniu Trenta.

- Musiał ją bardzo kochać. Wygląda dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażałam tamtego wieczoru, gdy czułam jej obecność.

Holt wbił ręce w kieszenie.

- Dajmy na razie spokój sentymentom i duchom. Potrzebne wam są szmaragdy. Skoro chcecie, żebym wam pomógł, to muszę się wszystkiego dowiedzieć.

Coco otarła oczy.

- Musimy urządzić następny seans. Powiesimy portret w jadalni. Muszę tylko sprawdzić horoskopy.

Podniosła się i szybko wyszła z salonu. Trent pokiwał głową i powiedział:

- Nie zamierzam tu dyskredytować metod Coco, ale chyba będzie najlepiej, jeśli opowiem Holtowi o wszystkim w bardziej konwencjonalny sposób.

- Zrobię kawy. - Suzanna poderwała się i poszła do kuchni. Zaabsorbowana parzeniem kawy, drgnęła, gdy poczuła czyjeś ręce na swoich ramionach. Holt powoli obrócił ją twarzą do siebie.

- Jadę teraz do wioski porozmawiać z porucznikiem Koogarem. Kawy napiję się z tobą później.

- Mogę cię podwieźć.

- Nie trzeba. Jadę z Makssem i Trentem. Suzanna uniosła brwi.

- Widzę, że to męska sprawa.

- Czasami tak jest lepiej - rzucił Holt, z nieoczekiwaną czułością wygładzając

kciukiem pionową zmarszczkę na jej czole. - Za dużo się martwisz. Niedługo wrócę.

- Dziękuję ci za to, co dla nas robisz. Nie zapomnę tego.

- Wolałbym, żebyś pamiętała raczej o tym... - Pocałował ją i wyszedł, a Suzanna bezwładnie opadła na krzesło.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Nie zamierzał bawić się w dobrego samarytanina, po prostu robił to, co uważał za najlepsze. Ktoś musi na nią uważać, dopóki Livingston pozostaje na wolności, a żeby jej strzec, należy być blisko niej.

Zatrzymał samochód obok jej półciężarówki. Zauważył ją przed sklepem, zajęta rozmową z klientami, i postanowił najpierw rozejrzeć się dokoła. Przejeżdżał wcześniej obok tego sklepu, ale nigdy się tu nie zatrzymywał. Po co miałby wchodzić do sklepu ogrodniczego?

Na drewnianych stołach tłoczyło się mnóstwo ozdobnych doniczek z kwitnącymi roślinami. Holt nie znalazł ich nazw, ale musiał przyznać, że były ładne. Suzanna znalazła się na swojej robocie.

Przyglądał się doniczkom lwich paszczy, gdy naraz usłyszał za plecami szelest.

Wszystkie jego mięśnie napięły się odruchowo, a ręka powędrowała do miejsca, gdzie powinna się znajdować kabura pistoletu. Po chwili wypuścił wstrzymywany oddech i zaklął pod nosem. Nie potrafił przewyciężyć tej reakcji. Nie był już policjantem i wydawało się mało prawdopodobne, by ktokolwiek zamierzał się na niego nożem.

Odwrócił głowę i zauważył chłopca przykucniętego za krzakiem piwonii. Alex zerwał się na nogi z szerokim uśmiechem.

- Trafiłem pana! Jestem Pigmejem i trafiłem pana zatrutą strzałą!

- Całe szczęście, że jestem odporny na truciznę Pigmejów. Gdyby to była trucizna szczepu Ubangi, już by mnie nie było. Gdzie twoja siostra?

- W szklarni. Mama dała nam nasionka do posadzenia, ale znudziło mi się. Wolno mi tu przychodzić - dodał szybko, wiedząc, jak bardzo dorośli potrafią komplikować życie. - Tylko nie wolno mi wychodzić na ulicę ani niczego przewracać.

Holt jednak nie miał zamiaru prawić mu kazań.

- Ilu klientów zabiłeś dzisiaj? - zainteresował się.

- Dzisiaj jest mały ruch. Mama mówi, że tak jest zawsze w poniedziałki. Dlatego możemy z nią przychodzić, a Carolanne ma wtedy wolne.

- Lubisz tu przychodzić? - zapytał Holt.

- Lubię. Tu jest fajnie. Sadzimy rośliny. Widzi pan te? - Wskazał na grządkę barwnych kwiatów obok żwirowej ścieżki. - To cynie. Ja sam je sadziłem, a teraz podlewam. Czasami zanosimy klientom zakupy do samochodu i dostajemy ćwierć dolara.

- Zdaje się, że to dobry interes.

- Jak mama zamyka sklep w południe, to idziemy na pizzę i gramy w gry wideo, Przychodzimy z nią prawie w każdy poniedziałek. Tylko że... - urwał i ze złością kopnął żwir.

- Tylko że co?

- W następnym tygodniu musimy pojechać na wakacje i mama z nami nie pojedzie.

Holt spojrzał na pochylony kark chłopca, zastanawiając się, co w takiej sytuacji należy zrobić.

- Pewnie ma dużo pracy tutaj.

- Carolanne mogłaby ją zastąpić, albo ktoś inny. Ale ona nie pojedzie.

- A nie sądzisz, że gdyby mogła, toby z wami pojechała?

- Chyba tak - mruknął Alex i znów kopnął żwir. Gdy Holt nie zareagował, zrobił to po raz trzeci. - Musimy jechać do jakiejś Marthy z ojcem i jego nową żoną. Mama mówi, że będzie fajnie, że będziemy chodzić na plażę i jeść lody.



- Zapowiada się nieźle.

- Ale ja wcale nie chcę tam jechać. Nie rozumiem, dlaczego muszę. Ja chcę pojechać z mamą do parku Disneya.

Holt wziął głęboki oddech i przykucnął obok chłopca.

- Ciężko jest robić coś, na co wcale nie ma się ochoty. Pewnie będziesz musiał opiekować się Jenny.

Alex wzruszył ramionami i pociągnął nosem.

- Chyba tak. Ona się boi jechać. Ale ona ma dopiero pięć lat.

- Przy tobie będzie bezpieczna. Coś ci powiem. Kiedy ty wyjedziesz, ja mogę się zaopiekować twoją mamą.

- Dobrze - ucieszył się Alex. Wytarł nos wierzchem dłoni i zapytał: - Czy mogę zobaczyć tę nogę, w którą pana postrzelili?

- Jasne - rzeki Holt i podwinął nogawkę spodni. Nad lewym kolaniem miał niewielką bliznę, Alex z nabożeństwem przesunął po niej palcem.

- O kurczę. Był pan policjantem, więc pewnie dobrze się pan zaopiekuje mamą.

- Jasne, że tak - zapewnił go Holt.

Suzanna sama nie wiedziała, co poczuła, gdy zobaczyła mężczyznę i chłopca obok siebie na ścieżce. Ale gdy Holt pogładził Aleksa po włosach, poczuła dziwne ciepło.

- Co wy robicie? - zawołała.

Obydwaj podnieśli głowy i szybko wymienili spojrzenia.

- Męska rozmowa - powiedział Holt, podnosząc się powoli.

- Tak - skwapliwie przytaknął Alex, wypinając pierś. - Męska rozmowa.

- Rozumiem. Nie chciałabym wam przeszkadzać, ale jeśli macie ochotę na pizzę, to musicie umyć ręce.

- Czy on może iść z nami? - zapytał chłopiec.

- „On”, nazywa się pan Bradford.

- „On” nazywa się Holt - uśmiechnął się Holt.

- Ale może z nami iść?

- Zobaczymy.

- Ona często tak mówi - mruknął Alex do Holta i pobiegł poszukać siostry.

- Chyba rzeczywiście - uśmiechnęła się Suzanna. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Miała rozpuszczone włosy i niebieską czapkę. Wyglądała na szesnaście lat. Holt poczuł się jak chłopiec na pierwszej randce.

- Czy nadal potrzebujesz kogoś do pomocy?

- Tak, nikogo jeszcze nie udało mi się znaleźć. Wszyscy uczniowie i studenci mają już pracę na wakacje.

- Mogę ci poświęcić jakieś cztery godziny dziennie.

- Co?

- Może pięć. Mam parę silników do wyremontowania, ale sam ustalam sobie godziny pracy.

- Chcesz u mnie pracować?

- O ile zgodzisz się, żebym tylko sadił i nosił. Nie będę sprzedawał kwiatków.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Mówię poważnie. Naprawdę nie będę sprzedawał kwiatków.

- Nie, mam na myśli pracę u mnie. Przecież masz swoje zajęcie, a ja mogę ci zapłacić tylko minimalną stawkę.

Oczy Holta pociemniały.

- Nie chcę od ciebie pieniędzy. Suzanna odgarnęła włosy z twarzy.

- Teraz już nic nie rozumiem.

- Pomyślałem, że możemy zrobić zamianę. Ja wykonam za ciebie cięższe prace, a ty możesz posadzić mi coś koło domu.

Na jej twarz powoli wypełził uśmiech.

- Chcesz, żebym ci urządziła ogród?

- Nie chcę żadnych szaleństw. Może jeszcze parę krzaków. Zgadzasz się na taki układ czy nie?

Teraz Suzanna roześmiała się głośno.

- Sąsiad Andersonów podziwiał nasze wspólne wysiłki i zamówił mnie na jutro. Bądź tu jutro o szóstej.

- Rano? - zdziwił się Holt z bolesnym grymasem na twarzy.

- Rano. Więc jak, idziesz z nami na lunch?

- Idę. Ale ty stawiasz.

Ta kobieta ma siłę pięciu słoni, pomyślał Holt, czując, jak pot spływa mu po karku.

Nie miał nawet siły się odezwać. Na nadbrzeżnym urwisku powinno być trochę chłodniej, ale teren, na którym mieli założyć trawnik, na razie bardziej przypominał kamienistą pustynię.

Pracował z nią od trzech dni i przestał już przekonywać ją, by zostawiała mu cięższe prace. Nie zwracała najmniejszej uwagi na jego słowa i robiła, co chciała. Gdy po południu wracał do domu, bolały go wszystkie mięśnie.

Zastanawiał się, jak Suzanna to wytrzyma. On sam mógł wygospodarować najwyżej pięć godzin dziennie, by jej pomóc, wiedział jednak, że jej dniówka trwa osiem do dziesięciu godzin. Nietrudno było zauważyć, że Suzanna rzuca się w wir pracy, by nie myśleć o zbliżającym się wyjeździe dzieci.

Podniósł kilof i znów trafił w kamień. Słyszając jego przekleństwo, Suzanna podniosła

głowę.

- Może zrobisz sobie przerwę. Ja to skończę.

- Masz ze sobą dynamit? Uśmiechnęła się przelotnie.

- Mówię poważnie. Weź sobie coś do picia. Już zaraz będziemy mogli sadzić.

- Dobra - mruknął Holt. Nie chciał się przyznać nawet przed sobą, jak bardzo był zmęczony. Jego dłonie składały się z samych pęcherzy, ból mięśni był nieznośny. Otarł twarz z potu i podszedł do chłodziarki z napojami. Za plecami słyszał uporczywe stukanie kilofa o kamienie. Nie miało sensu powtarzać jej, że zwariowała, ale nie mógł się powstrzymać.

- Naprawdę wierzysz, że na tej skale cokolwiek wyrośnie?

Podniosła się i otarła pot z czoła.

- Zdziwisz się jeszcze. Widzisz tamte lilie?

- Wskazała na barwną plamę na sąsiedniej działce.

- Posadziłam je dwa lata temu.

Holt spojrział na kwiaty z niechętnym podziwem.

- To właśnie Snyderowie dali mi pierwsze prawdziwe zlecenie - opowiadała Suzanna, ładując wielki głaz na taczkę. - Zrobili to ze współczucia, bo byli przyjaciółmi rodziny, a biedna Suzanna potrzebowała jakiegoś zajęcia. - Zamrugła powiekami, by odpędzić sprzed nich czerwone plamki.

- Ale ku ich zdziwieniu okazało się, że wiem, co robię, i od tamtej pory regularnie dostaję tu nowe zlecenia.

- To świetnie. Czy mogłabyś odłożyć na chwilę to przeklęte narzędzie?

- Już prawie skończyłam.

- Nie skończysz, dopóki się nie przewrócisz. Kto tu przyjdzie oglądać te więdnące badyle?

Suzanna potrzęsnęła głową, by odzyskać ostrość widzenia.

- Snyderowie i ich goście. A także fotograf z „New England Gardens„. I nic tu nie ma prawa zwiędnąć. Sadzę goździki, lawendę i inne gatunki odporne na brak wody. We wrześniu posadzę jeszcze cebule. Karłowate irysy, ruberozy...

Potknęła się i poczuła mdłości. Kilof wypadł jej z ręki. Holt zerwał się i zdążył ją podtrzymać, zanim osunęła się na ziemię.

Leciała mu przez ręce. Klnąc pod nosem, zaniósł ją w cień i położył pod drzewem.

- No i świetnie - mruknął, ochlapując jej twarz zimną wodą z chłodziarki. - Na dzisiaj koniec, rozumiesz? Jeśli jeszcze raz zobaczę w twoich rękach kilof, to chyba cię zamorduję.

- Nic mi nie będzie - powiedziała słabym głosem.

- Trochę za dużo słońca, to wszystko.

Zimna woda przyjemnie chłodziła jej twarz. Wzięła od niego butelkę z napojem imbirowym i upiła kilka łyków.

- Za dużo słońca, za dużo pracy - zrzędził Holt.

- A sądząc z tego, jak wyglądasz, za mało jedzenia i snu. Mam już tego dość, Suzanno.

- Bardzo ci dziękuję - prychnęła, opierając się o drzewo.

Być może potrzebowała chwili odpoczynku, ale na pewno nie kazania.

- Zabieram cię do domu. Musisz się położyć - powiedział twardo Holt.

Suzanna wzięła się w garść i odstawiła butelkę.

- Chyba zapominasz, kto tu dla kogo pracuje.

- Skoro ty mdlejesz, to ja muszę przejąć stery.

- Wcale nie mdleję - odrzekła z irytacją - tylko zakręciło mi się w głowie. I nikomu nie pozwolę przejmować sterów. Już nigdy więcej. Przestań mnie polewać tą wodą, bo mnie utopisz.

Najwyraźniej szybko dochodziła do siebie, ale Holt nie miał zamiaru hamować złości.

- Jesteś uparta jak muł i zwyczajnie głupia!

- Doskonale. Jeśli już skończyłeś na mnie krzyczeć, to zrobię sobie teraz przerwę na lunch. - Wiedziała, że musi coś zjeść. Rzeczywiście była głupia, nie jedząc śniadania.

- A jeśli jeszcze nie skończyłem krzyczeć? Wzruszyła ramionami, rozwijając kanapkę.

- To krzycz, a ja będę jadła. Chociaż rozsądniej byłoby, gdybyś nie tracił czasu i też coś zjadł.

Zastanawiał się, czy nie byłoby najlepiej zaciągnąć ją siłą do samochodu. Podobał mu się ten pomysł, ale wiedział, że korzyści byłyby krótkotrwałe. Żeby ją powstrzymać przed zapracowywaniem się na śmierć, musiałby ją chyba związać i zamknąć na klucz. Postanowił przyjąć inną taktykę. Sięgnął po kanapkę.

- Myślałem o tych szmaragdach. Zmiana tematu zupełnie ją zaskoczyła.

- I co?

- Czytałem zapis rozmowy z tą pokojówką, panią Tobias, i słuchałem taśmy.

- I co o tym myślisz?

- Ta kobieta ma dobrą pamięć, a Bianca bardzo ją fascynowała. Z jej punktu widzenia wyglądało to tak, że Bianca była nieszczęśliwa w małżeństwie, zrobiłaby wszystko dla dzieci i była zakochana w moim dziadku. Awantura o psa była tylko ostatnią kroplą. Bianca postanowiła opuścić męża, ale nie odeszła od niego tej nocy. Dlaczego?

- Nawet jeśli w końcu zdecydowała się na to - powiedziała powoli Suzanna - to musiała najpierw wszystko zorganizować. Musiała pomyśleć o dzieciach. Gdzie je zabierze, jak zapewni im utrzymanie, jak im wytłumaczy, dlaczego zabrała je od ojca.

- Więc gdy Fergus po tej kłótni wyjechał do Bostonu, Bianca zaczęła myśleć - kontynuował Holt.

- Musiała wtedy odwiedzić mojego dziadka, bo pies w końcu znalazł się u niego.

- Kochała go - stwierdziła Suzanna. - Więc to naturalne, że najpierw poszła do niego.

On też ją kochał, dlatego chciał wyjechać razem z nią i z dziećmi.

- To nas prowadzi do następnego kroku - podjął Holt. - Bianca wróciła do Towers, żeby się spakować i zabrać dzieci. Ale zamiast wyjechać w siną dal w towarzystwie mojego dziadka, wyskoczyła z okna wieży. Dlaczego?

- Była bardzo wzburzona - powiedziała Suzanna, patrząc w słońce spod wpółprzymkniętych powiek.

- Zamierzała uczynić krok, który zakończyłby jej małżeństwo i oddzielił dzieci od ojca. Musiała złamać przysięgę. To jest bardzo trudne, przerażające. Może uważała, że do niczego się nie nadaje, i gdy jej mąż wrócił do domu i musiała stanąć z nim twarzą w twarz, nie znalazła na to dość sił.

- Czy tak właśnie było z tobą? - zapytał cicho Holt.

Suzanna zeszywniała.

- Mówimy teraz o Biance. I nie rozumiem, co jej powody do popełnienia samobójstwa miały wspólnego ze szmaragdami.

- Najpierw spróbujmy odgadnąć, dlaczego je schowała, a potem dopiero zastanawiajmy się, gdzie - - zaproponował Holt.

Suzanna znów się rozluźniła.

- Dostała te szmaragdy od Fergususa po urodzeniu pierwszego syna. Nie pierwszego dziecka, a pierwszego syna. Dziewczynka się nie liczyła. Myślę, że Biance napawało to wielką goryczą. Fergus nagroził ją jak rozpłodową klacz, za to, że urodziła mu dziedzica. Ale szmaragdy należały do niej, bo to były jej dzieci.

Przymknęła ciężkie powieki i mówiła dalej.

- Gdy Alex się urodził, Bax dał mi brylanty. Nie miałam najmniejszych skrupułów, sprzedając je, żeby założyć firmę. Ponieważ były moje. Ona mogła myśleć tak samo.

Szmaragdy miały kupić nowe życie jej i dzieciom.

- Ale dlaczego je schowała?

- Żeby się upewnić, że Fergus ich nie znajdzie, nawet gdyby udało mu się zatrzymać ją przy sobie. Chciała mieć coś, co należało tylko do niej.

- A czy ty schowałaś swoje brylanty?

- Włożyłam je do torby z pieluchami Jenny. To było ostatnie miejsce, w jakim Baxter mógłby ich szukać. - Zaśmiała się ze smutkiem. - To takie melodramatyczne.

Zauważyła jednak, że Holt słucha jej bardzo uważnie.

- Powiedziałaś coś bardzo mądrego - stwierdził. - Bianca spędzała dużo czasu w wieży, prawda?

- Tam już szukałyśmy.

- Poszukamy jeszcze raz. Sprawdzimy też jej sypialnię.

- Lilah będzie zachwycona - powiedziała Suzanna sennie, przymykając oczy. - To teraz jest jej sypialnia. Zresztą tam też szukałyśmy.

- Ale ja nie szukałem.

- Racja - wymamrotała Suzanna, wyciągając się wygodnie na cudownie chłodnej trawie. - Gdyby udało nam się znaleźć jej dziennik, to dowiedzielibyśmy się wszystkiego.

Mandy na wszelki wypadek przejrzała wszystkie książki w bibliotece, ale nic nie znalazła.

Holt pogładził ją po włosach.

- Poszukamy jeszcze raz.

- Mandy na pewno niczego nie przeoczyła. Jest doskonale zorganizowana.

- Wolę szukać własnymi metodami, niż polegać na seansie spirytystycznym.



Suzanna prychnęła z rozbawieniem.

- Ciocia Coco i tak cię namówi. Ale najpierw musimy posadzić goździki - dorzuciła głosem ciężkim ze zmęczenia.

- Dobrze - mruknął Holt, masując jej ramiona.

- Wzdłuż skał i na zboczu. Szybko się rozrosną. Są twarde - wymamrotała i zasnęła.

Holt zostawił ją leżącą w cieniu i poszedł do samochodu.

Gdy się obudziła, poczuła, że trawa łaskocze ją w policzek. Leżała na brzuchu.

Otworzyła oczy, nadal w półprzytomna, i zobaczyła Holta. Siedział pod drzewem ze skrzyżowanymi nogami i palił papierosa.

- Chyba zasnęłam na chwilę - wymamrotała.

- Można tak powiedzieć.

Uniosła się na łokciu.

- Przepraszam. Rozmawialiśmy o szmaragdach. Holt wyrzucił niedopałek.

- Na razie dość już gadania.

- Tak. Musimy skończyć robotę - powiedziała niewyraźnie.

- Już jest skończona.

Suzanna ze zdziwieniem podniosła głowę. Ziemia została przekopana, a sadzonki rosły na swoich miejscach. Tam, gdzie wcześniej widać było tylko kamienie, teraz znajdowała się warstwa czarnej ziemi upstrzona kolorowymi pąkami kwiatów i zielonymi listkami.

- Jak to...? - spytała z oszołomieniem.

- Spałaś trzy godziny. Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś?!

- Bo nie - odrzekł po prostu, - A teraz muszę jechać. Jestem spóźniony.

- Nie trzeba było...

- Ale już to zrobiłem - zniecierpliwił się. - Chyba że chcesz to wszystko powyrywać i własnoręcznie posadzić jeszcze raz.

Zauważyła, że wcale nie był zły, tylko zażenowany. Spędził trzy godziny, sadząc coś, co drwiąco nazywał badyłami. Wiedziała, że gdyby spróbowała mu podziękować, zareagowałby pogardliwym prychnięciem.

I patrząc na niego, gdy tak stał nad nią na tym kamienistym zboczu, uświadomiła sobie, że kocha tego mężczyznę, który potrafił pogłodzić po głowie jej syna, odpowiadać na niezliczone pytania córki, który zostawił na podłodze plamy farby, by uczcić pamięć dziadka. I który wykonał jej pracę, podczas gdy ona spała.

Holt poruszył się niespokojnie.

- Słuchaj, jeśli jeszcze raz zasłabniesz, to zostawię cię tam, gdzie upadniesz. Nie mam czasu bawić się w pielęgniarkę.

Na twarzy Suzanny powoli pojawił się uśmiech.

- Zrobiłeś dobrą robotę.

Zerknął przez ramię na kwiatki. Prędzej odgryzłby sobie język, niż przyznał głośno, że ta praca sprawiła mu nieoczekiwaną przyjemność.

- To się po prostu wtyka w dołek i przysypuje ziemią - mruknął. - Nic trudnego.

Zaniósł narzędzia do samochodu. Muszę już jechać.

- Odłożyłam zlecenie Bryce'ów do poniedziałku. Jutro... jutro muszę być w domu.

- W takim razie do zobaczenia - powiedział i poszedł do samochodu. Suzanna przyklękła na ziemi i delikatnie dotknęła młodych listków.

Mężczyzna o nazwisku Marshall gruntownie przeszukiwał domek nad brzegiem morza. Nie znalazł tu jednak nic interesującego. Były gliniarz lubił czytać, ale nie lubił

gotować. Ściany sypialni pokrywały półki pełne podniszczonych książek, w kuchni natomiast znalazł tylko kilka najniezbędniejszych naczyń. Na dnie szuflady znajdowało się pudełko z odznaczeniami za dobrą służbę, a na nocnej szafce nabity pistolet.

Marshall przejrzał zawartość biurka i odkrył, że wnuk Christiana poczynił kilka bardzo trafnych inwestycji finansowych. Rozbawiło go również to, że Bradford z zawodowego nawyku drobiazgowo zanotował wszystko, czego się dowiedział o szmaragdach Calhounów. Zazgrzytał zębami dopiero wtedy, gdy przeczytał zapis rozmowy z byłą pokojówką. Quartermain powinien pracować dla niego albo już nie żyć.

Pohamował jednak złość i starannie zatarł wszystkie ślady swej bytności w domku.

Było jeszcze zbyt wcześnie, by się ujawniać. W każdym razie wiedział teraz tyle samo, co Calhounowie.

Położył papiery z powrotem na miejsce i zamknął szuflady biurka. Na podwórzu rozszczękał się pies. Marshall nie cierpiał psów. Skrzywił się i potarł bliznę, którą na jego łydce pozostawił ten kundel Calhounów. Za to również mieli mu zapłacić.

Wyszedł z domku równie niepostrzeżenie, jak do niego wszedł.

*Nie będę opisywał zimy. Nie są to wspomnienia, które chciałbym tu przywoływać.*

*Pozostałem jednak na wyspie. Nie mogłem wyjechać. Ona była tu ze mną przez cały czas.*

*W końcu nadeszła wiosna, a potem lato.*

*Nie potrafię opisać, jak się poczułem, gdy zobaczyłem ją biegnącą w moim kierunku.*

*Wpadła w moje ramiona i nasze usta spotkały się, a jej oczy błyszczały radością. Wiedziałem, że jej cierpienie i miłość były równie głębokie jak moje uczucia.*

*Obydwoje wiedzieliśmy, że to, co robimy, to czyste szaleństwo. Może powinienem okazać więcej siły woli i przekonać ją, by o mnie zapomniała. Coś jednak zmieniło się w ciągu tej zimy. Puste małżeństwo już jej nie wystarczało. Nawet dzieci nie były w stanie stworzyć*

*więzi między nią a mężem. Nie mogłem jednak również pozwolić, by oddala mi się bez reszty, by uczyniła krok, którego potem być może żałowałyby do końca życia.*

*Spotykaliśmy się więc na skalach tak jak poprzedniego lata. Czasami przyprowadzała ze sobą dzieci i wówczas wydawało się, że wszyscy jesteśmy rodziną i że nic nie może nas rozdzielić. To były najszczęśliwsze dni mojego życia, Blanca nie była już żoną innego mężczyzny. Należała do mnie.*

*Któregoś dnia powiedziała:*

*- Dziś wieczorem wydajemy bal. Szkoda, że nie będę mogła zatańczyć z tobą walca.*

*Pociągnąłem ją za rękę i zatańczyliśmy pośród krzewów dzikich róż.*

*- Powiedz mi, w co będziesz ubrana, żebym mógł sobie to wyobrazić - poprosiłem.*

*- Będę miała jedwabną suknię w kolorze kości słoniowej, z odsłoniętymi ramionami i marszczoną spódnicą, ozdobioną koralikami, w których odbija się światło. I szmaragdy.*

*- Kobieta nie powinna mówić o szmaragdach z takim smutkiem.*

*- Nie. - Uśmiechnęła się. - To szczególne kamienie. Dostałam je po urodzeniu Ethana i noszę je, by pamiętać.*

*- O czym?*

*- Że cokolwiek się wydarzy, zostawię coś po sobie: moje dzieci. To są moje prawdziwe klejnoty. - Chmura przysłoniła słońce i Bianca oparła głowę na moim ramieniu. - Przytul mnie mocno, Christianie.*

*Żadne z nas nie wspominało o zbliżającym się końcu lata, chociaż oboje o tym myśleliśmy. Poczulem bezsilną wściekłość z powodu tego, co miałem wkrótce stracić.*

*- Chciałbym ci podarować szmaragdy, brylanty i szafiry - szepnąłem jej do ucha. - I jeszcze o wiele więcej. Gdybym tylko mógł.*

*- Nie - powiedziała, podnosząc rękę do mojej twarzy. W jej oczach błyszczały łzy. -*

*Tylko mnie kochaj.*

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Już po kilku minutach od wejścia do domu Holt zorientował się, że ktoś tu był. Na pozór wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej, ale wprawny policyjny wzrok szybko wychwytał drobne zmiany: popielniczka stała bliżej krawędzi stołu, fotel był przysunięty pod nieco innym kątem do kominka, róg dywanika podwinięty.

Zachowując czujność, poszedł do sypialni. Tu również zauważył zmiany. Poduszki i książki na półkach ułożone były nieco inaczej. Pistolet był na swoim miejscu. Holt po namyśle przypiął kaburę do paska spodni.

W pół godziny później, ze ściągniętą twarzą, usiadł i zastanowił się. Obrazy dziadka również były ruszane, a tego już nie mógł tolerować.

Ten, kto przeszukiwał dom, był bez wątpienia profesjonalistą. Niczego nie brakowało, ale Holt był przekonany, że cały dom został przeczesany bardzo dokładnie. A to oznaczało, że Livingston wciąż jest w pobliżu. Na tyle blisko, by natychmiast dowiedzieć się o powiązaniach Bradforda z Calhounami. Teraz ta sprawa nabrała dla Holta osobistego charakteru.

Poszedł do kuchni, wyjął z lodówki piwo i z butelką w ręku usiadł na werandzie.

Trzeba było poskładać wszystkie elementy tej układanki w jedną całość.

Kluczem do rozwiązania zagadki jest Bianca. Musi przeniknąć jej umysł, jej motywacje. Piękna kobieta, nieszczęśliwa w małżeństwie. Jeśli była podobna do swoich prawnuczek, to powinna mieć silną wolę, głęboko uczuciowy charakter i odznaczać się niezłomną lojalnością. Te cechy były widoczne w oczach kobiety na portrecie, podobnie jak w oczach Suzanny.

Należała do społecznej elity, do grupy uprzywilejowanych. Pochodziła z dobrej

irlandzkiej rodziny i bardzo bogato wyszła za mąż.

Znów zauważył podobieństwo do Suzanny. Zaciągnął się papierosem i machinalnie pogłaskał Sadie, która leżała obok z głową na jego kolanach. Holt zatrzymał wzrok na krzewie, który Suzanna posadziła w jego ogrodzie. Pokojówka mówiła, że Bianca również lubiła kwiaty.

Była dobrą matką dla swych dzieci, podczas gdy Fergus był surowym i obojętnym ojcem. A potem w życiu Bianki pojawił się Christian Bradford. Jeśli rzeczywiście zostali kochankami, to Bianca wiele ryzykowała. Od kobiety o jej pozycji społecznej oczekiwano, że pozostanie moralnie nieskazitelna. Nawet podejrzenie romansu, szczególnie z kimś z niższych warstw społeczeństwa, bezpowrotnie zrujnowałoby jej opinię.

A jednak zdecydowała się na to. Czy sytuacja ją przerosła? Może wyrzuty sumienia i panika na myśl o możliwym skandalu sprawiły, że schowała szmaragdy i niezdolna stawić czoła własnemu życiu, wybrała śmierć.

Ale to rozwiązanie nie przemawiało do niego. Potrząsnął głową. Coś tu się nie zgadzało. Może zaczynał już tracić obiektywizm, ale nie potrafił sobie wyobrazić Suzanny rzucającej się z wieży w dół na urwisko. A wszystko wskazywało na to, że Bianca była bardzo podobna do swej prawnuczki.

Co było najważniejsze dla Suzanny Calhoun Dumont? Dzieci, pomyślał natychmiast.

Dalej: siostry, firma. Gotowa była zaharować się na śmierć, by ją utrzymać. Ale Holt podejrzewał, że wynikało to również z konieczności utrzymania dzieci.

Dokoła domu zapadał już zmierzch. W trawie odezwały się nocne owady. Holt zawsze lubił samotność i spokój swojego ustronia, ale teraz poczuł tęsknotę za Suzanną. Pragnął trzymać ją w ramionach, ale również poznać jej myśli, przeniknąć uczucia. Gdyby mu się to udało, znalazłby się o krok bliżej do rozwiązania zagadki śmierci Bianki.

Oparł się o poręcz i pomyślał niechętnie, że idzie w ślady dziadka. On również zakochał się w kobiecie z rodziny Calhounów.

Suzanna tej nocy w ogóle nie spała. Leżała bezsennie w łóżku, próbując nie myśleć o dwóch spakowanych torbach z rzeczami dzieci. Ale gdy udało jej się odciągnąć myśli od tego tematu, nieodmiennie wędrowały one do Holta i wprawiały ją w jeszcze większy niepokój.

Wstała o świcie, dołożyła do toreb jeszcze kilka rzeczy, a potem powtórnie sprawdziła, czy nie zapomniała o żadnej z ulubionych zabawek Aleksa i Jenny. Przy śniadaniu udawała pogodny nastrój, w czym rodzina wydatnie ją wspomagała. Dzieci były marudne i smętne, ale do południa udało się je rozbawić.

O pierwszej zdenerwowanie wróciło i dzieci znów zaczęły kaprysić. O drugiej Suzanna zaczęła się obawiać, że Bax o wszystkim zapomniał. Rozdarta między wściekłością a nadzieją, czekała.

Czarny, lśniący lincoln podjechał pod dom o trzeciej. Po koszmarnych piętnastu minutach dzieci odjechały i Suzanna poczuła, że musi wyjść z domu. Coco odnosiła się do niej przyjaźnie i ze zrozumieniem i Suzanna była pewna, że jeśli zostanie w domu, to obydwie z ciotką rozpląną się w kałuży łez.

Trzeba było zająć czymś ręce.

Pojechała do sklepu, załadowała samochód sadzonkami i ruszyła w stronę domu Holta.

Patrzył na nią przez okno przez całe dziesięć minut, zanim wreszcie zdecydował się wyjść.

- Myślałem, że masz dzisiaj wolny dzień - powiedział na powitanie.

Suzanna oparła się na łopacie i podniosła na niego smutne oczy.

- Zmieniłam zdanie.

- Co to jest? - zapytał Holt, wskazując na taczkę pełną różnobarwnych sadzonek.

- Zapłata za twoją pracę. Przecież tak się umawialiśmy.

- Myślałem, że posadzisz mi po prostu kilka krzewów.

- A ja sadzę kwiatki - odpowiedziała spokojnie, rozrywając worek z ziemią ogrodniczą. - Będą tu doskonale wyglądały.

Holt zauważył jej wojowniczy nastrój i zakołysał się na piętach. Skoro miała ochotę na kłótnię, mógł jej to zapewnić.

- Mogłaś przynajmniej zapytać, zanim zaczęłaś przekopywać mi podwórze - mruknął.

- Po co? Żeby usłyszeć jakiś głupi komentarz?

- Ale to moje podwórze, kotku.

- A ja na nim sadzę kwiatki, piesku - warknęła, podnosząc wyżej głowę. Była bardziej wściekła, niż przypuszczał, i bardzo nieszczęśliwa. - Jeśli nie masz ochoty zawracać sobie głowy podlewaniami, to ja się tym zajmę. Może wrócisz do domu i zostawisz mnie w spokoju?

Nie czekając na odpowiedź, zabrała się do pracy. Holt usiadł na schodkach i przyglądał się, jak Suzanna sadi lawendę, dalie i fiołki.

- Jakoś dzisiaj sadzenie badyli nie poprawia ci humoru - zauważył.

- Humor mam doskonały. Dlaczego nie? Czy mam się denerwować tym, że Jenny wsiadała do tego cholernego samochodu zapłakana? Że musiałam stać i uśmiechać się do Aleksa, który błagał mnie wzrokiem, żebym nie kazała mu jechać?

Z wściekłością wbiła szpadel w ziemię.

- I musiałam wysłuchiwać, jak Baxter oskarża mnie, że jestem nadopiekuńcza kwoką, która wychowuje dzieci, jego dzieci, na rozmazane beksy. One nie są rozmazanymi beksami, tylko po prostu dziećmi. Jest naturalne, że boją się z nim jechać, skoro prawie go nie znają. A



jego żona stała tam w jedwabnym kostiumie i włoskich butach i patrzyła na wszystko bezradnie. Nie będzie miała zielonego pojęcia, co zrobić, jeśli Jenny przytrafi się zły sen albo Aleksa rozboli żołądek. A ja musiałam pozwolić im wyjechać z dwojgiem obcych ludzi. Więc czuję się świetnie. Po prostu znakomicie.

Poprowadziła taczkę do samochodu i wróciła z ładunkiem ściółki. Holt poszedł za dom i przyciągnął wąż do podlewania, a potem przyniósł dwa piwa.

- Ja podleję. Napij się - powiedział.

Suzanna otarła czoło wierzchem dłoni i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie piję piwa.

- Nie mam nic innego. W takim razie usiądź i odpocznij.

Zajął się podlewaniem, a Suzanna posłusznie usiadła na schodkach. Zauważyła, że Holt nauczył się już nawadniać rośliny w taki sposób, by nie wypłukiwać spod nich ziemi ani nie zatapiać ich w kałużach. Westchnęła i ponieważ chciało jej się pić, pociągnęła łyk z butelki.

Żadnych słów współczucia, pomyślała, żadnego pocieszającego poklepywania po ramieniu i innych oznak zrozumienia. Ale robił dokładnie to, co trzeba było zrobić, dawał jej to, czego potrzebowała. Był jak mocna ściana, na której mogła wyładować swoją wściekłość i frustrację. Czy zdawał sobie sprawę, jak bardzo jej to pomaga? Nie była pewna, ale wiedziała, że przyjechała tu nie tylko po to, by posadzić kwiatki. Przyjechała, bo potrzebowała jego obecności.

Holt zakręcił wodę. Barwne płatki kwiatów ożyły.

Niektóre potrafił już nazwać i to odkrycie sprawiło mu przyjemność.

- Dobrze to wygląda - mruknął.

- Większość z nich to byliny. Będą odrastać co roku.

- Ładnie pachną ~ zauważył.

- To lawenda.

- Suzanno - powiedział Holt cicho. - Nic im się złego nie stanie.

Skinęła głową w milczeniu, obawiając się zaufać własnemu głosowi. Przykucnęła i pogłaskała psa.

- Wiesz, gdyby posadzić lilie tam na zboczu, to miałbyś rozwiązany problem erozji.

Holt przykucnął obok niej i ujął ją za łokieć.

- Czy praca to jedyny sposób, żebyś mogła nie myśleć o tym, o czym nie chcesz myśleć?

- To działa.

- Mam lepszy pomysł. Suzanna drgnęła.

- Chyba nie...

- Chodźmy popływać.

- Popływać? - powtórzyła ze zdumieniem.

- Łodzią. Do wieczora zostało jeszcze parę godzin.

- To dobry pomysł - ożywiła się.

Holt pociągnął ją na pomost. Sadie pobiegła za nimi i również wskoczyła do łodzi.

Holt zapalił silnik i wypłynęli na środek zatoki.

- Od dawna nie byłam na wodzie - zawołała Suzanna, przekrzykując ryk silnika.

Musiała przytrzymywać rękami czapkę, żeby wiatr jej nie porwał.

- Jaki sens mieszkać na wyspie, jeśli nigdy nie wypływa się na wodę? - zdziwił się

Holt.

- Lubię na nią patrzeć.

Sadie ułożyła się przy burcie, wystawiając łeb na zewnątrz.

- Nie wyskoczy? - zapytała Suzanna z niepokojem.

- Nie. Ona tylko wygląda na głupią - odrzekł Holt spokojnie.

- Musisz ją znowu do nas przyprowadzić. Fred nie jest już taki sam, od kiedy ją poznał.

- Niektóre kobiety robią tak mężczyznom - mruknął Holt z uśmiechem.

Przepełnili obok hotelowego tarasu, pełnego gości popijających koktajle, i znaleźli się na pełnym morzu. W oddali widać było dumną sylwetkę Towers.

- Czasami, gdy wypływałem z ojcem na połów homarów, patrzyłem na ten dom i myślałem o tobie - odezwał się Holt. - Zamek Calhounów. Tak mój ojciec nazywał Towers.

Suzanna uśmiechnęła się, patrząc prosto w słońce.

- To po prostu dom. Zawsze tu był i to daje mi poczucie bezpieczeństwa. Na pewno to rozumiesz, inaczej nie wróciłbyś do domu dziadka.

- Lubię mieszkać nad wodą - mruknął szorstko. Suzanna patrzyła na wieżę Bianki.

- Wiesz, uczucia nie czynią cię słabym - powiedziała cicho.

Holt zmarszczył brwi.

- Nigdy nie byłem blisko z ojcem. Byliśmy zupełnie różni. Ale dziadkowi niczego nie musiałem wyjaśniać. On wszystko rozumiał i wszystko akceptował.

Myślę, że właśnie dlatego zostawił mi swój dom, choć byłem jeszcze dzieckiem, gdy umarł.

- I dlatego tu wróciłeś. Zawsze wracamy do tego, co kochamy - dodała Suzanna miękko i potarła ramiona dłońmi. - Ależ tu zimno!

Holt podniósł głowę i przyjrzał się jej uważnie.

- W kajucie jest kurtka.

- Nie, tak mi dobrze.

Przymknęła oczy i stała nieruchomo z włosami rozwianymi przez wiatr. Czuła się wspaniale, płynąc tak prosto przed siebie, bez żadnego celu, wśród zapachu soli i morza.

W końcu Holt zawrócił łódź. Dzień już się kończył. Wyminęli statek wycieczkowy i wpłynęli do przystani. Holt zacumował łódź przy pomoście.

- Zbliża się sztorm - powiedział krótko. Suzanna podniosła głowę i zauważyła nadciągające ciemne chmury.

- Rzeczywiście. Przyda się trochę deszczu. Dzięki za przejażdżkę - dodała, wyskakując na rozkołysany pomost. - Chyba już pójdę. Robi się późno. Ciocia Coco...

- Wie, że jesteś już duża - dokończył Holt, obejmując ją ramieniem. - Nigdzie nie pójdziesz, Suzanno.

- Holt, mówiłam ci przecież, że potrzebuję trochę czasu - odrzekła niepewnie.

- Twój czas się skończył.

- Nie chcę podejmować takiej decyzji pochopnie - pokręciła głową.

Usłyszeli pierwszy grzmot. W oczach Holta pojawił się dziwny błysk.

- W tej decyzji nie ma nic pochopnego. Obydwoje o tym wiemy - powiedział stanowczo.

Suzanna jednak nie potrafiła opanować lęku.

- Myślę, że...

- Za dużo myślisz - przerwał jej Holt, biorąc ją w ramiona. Suzanna odruchowo zaczęła się wyrywać, on jednak bezceremonialnie wziął ją na ręce i niósł w stronę domu.

- Holt, nie możesz mnie do niczego zmusić! - wykrzyknęła z oburzeniem.

- Gdybym ci pozwolił, żebyś to zrobiła po swojemu, zabrałoby ci to następnych piętnaście lat. - Kopniakiem otworzył drzwi sypialni i położył ją na łóżku. Suzanna natychmiast zerwała się na równe nogi.

- Jeśli sądzisz, że możesz to przeprowadzić w ten sposób...

- Właśnie to przeprowadziłem - powiedział twardo. - Suzanno, jestem już zmęczony czekaniem. Zrobimy to tak, jak ja chcę.

Znów to samo, pomyślała, czując, jak jej serce przygniata wielki kamień.

- To dla mnie nic nowego - parsknęła z wściekłością. - I zupełnie mnie to nie interesuje. Nie mam obowiązku iść z tobą do łóżka, Holt. Nie muszę pozwalać, żebyś brał, co zechcesz, i potem twierdził, że nie potrafisz cię zadowolić. Nie pozwolę się znowu wykorzystywać, już nikomu więcej.

Pochwycił ją za ramiona, zanim wybiegła z pokoju, i mocno przycisnął do siebie.

- Nikt tu nikogo nie będzie wykorzystywał - powiedział ochryple. - Wezmę tylko tyle, ile sama zechcesz mi dać. Popatrz na mnie, Suzanno. Jeśli na mnie popatrzysz i powiesz, że mnie nie chcesz, to pozwolę ci odejść.

Suzanna z trudem łapała oddech. Kochała go i nie była już młodą dziewczyną, dla której miłość ograniczała się do romantycznych fantazji. Podniosła rękę i delikatnie dotknęła jego twarzy. To był jej wolny wybór.

- Nie mogę ci powiedzieć, że cię nie chcę. Nie będziemy dłużej czekać.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

O świcie deszcz przestał padać. Miarowe kapanie kropel z rynny obudziło Suzannę.

Otworzyła oczy i nieprzytomnie rozejrzała się dokoła. Palce Holta wplecione były w jej włosy. Całe ciało miała obolałe, ale czuła się wspaniale.

- Już jest rano - powiedziała ze zdziwieniem.

- Tak zwykle bywa, gdy wszędzie słońce - wymruczał Holt, przyciągając ją do siebie.

- Chyba zasnęłam - stwierdziła z niedowierzaniem.

- Tak - uśmiechnął się, gładząc jej plecy. - Zasnęłaś, zanim zdążyłem cię

zainteresować jeszcze jedną rundą.

Zarumieniła się lekko i spróbowała wstać, ale Holt przytrzymał ją na miejscu.

- Dokąd się wybierasz?

- Muszę wracać do domu. Ciocia Coco na pewno szaleje ze zmartwienia.

- Wie, gdzie jesteś, i prawdopodobnie domyśla się również, co robisz - powiedział

Holt, skubiąc ustami jej ucho.

Suzanna bezskutecznie próbowała go odepchnąć.

- Nie powiedziałam jej, dokąd idę.

- Ale ja do niej zadzwoniłem wieczorem, gdy wyszedłem, żeby wpuścić Sadie do domu. Czy mogłabyś mnie podrapać po plecach? Niżej. Na dole, przy krzyżu.

Suzanna zareagowała na jego słowa z opóźnieniem.

- Powiedziałeś cioci, że ja...?

- Powiedziałem, że jesteś u mnie. Myślę, że sama bez trudu domyśliła się reszty. O tak, teraz dobrze. Dziękuję.

Suzanna głęboko westchnęła. No tak, ciocia Coco na pewno bez trudu dodała dwa do dwóch. I właściwie nie było żadnego powodu do zażenowania. Czuła się jednak zażenowana, nie tylko wobec ciotki, ale również wobec tego mężczyzny, którego nagie ciało przygniatało jej ciało.

W nocy to było zupełnie co innego, ale teraz...

Holt uniósł głowę i przyjrzał się jej uważnie.

- O co chodzi?

- O nic - mruknęła ze skrepowaniem. - Tylko że nie bardzo wiem, co teraz powinnam zrobić. Jeszcze nigdy nie byłam w takiej sytuacji.

Holt uśmiechnął się szeroko.

- W takim razie skąd wzięłaś dwoje dzieci?

- Nie chcę powiedzieć, że nigdy... tylko że nigdy...

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- No to zacznij się do tego przyzwyczajać, kotku. Chcesz, żebym ci pomógł nauczyć się porannej etykiety?

- Chcę, żebyś przestał się do mnie przyklejać.

- Kiedy to należy do rytuału. Muszę przyklejać się do ciebie rano, bo inaczej mogłabyś pomyśleć, że wyglądasz jak straszycie.

- Straszycie? - wykrztusiła Suzanna.

- A ty powinnaś mi powiedzieć, że byłem fantastyczny.

- Fantastyczny? - uniosła brwi.

- Albo coś w tym stylu. Może być każde pochlebstwo, jakie tylko przyjdzie ci na myśl.

A potem powinnaś mi przygotować śniadanie, żeby zaprezentować również inne swoje talenty.

- Nie potrafię wyrazić, jaka jestem ci wdzięczna, że zechciałeś mnie oświecić w tej kwestii.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A gdy już zjemy śniadanie, powinnaś jeszcze raz zaciągnąć mnie do łóżka.

Ze śmiechem przyłożyła policzek do jego policzka.

- To ostatnie będę musiała trochę poćwiczyć, ale jajecznicę powinna mi wyjść całkiem nieźle.

- Daj mi znać, jeśli znajdziesz jakieś jajko.

- Masz szlafrok?

- Po co? - zdziwił się Holt, nie odrywając się od niej.

- Mniejsza o to - mruknęła i odwracając się do niego plecami, sięgnęła po jego koszulę leżącą na podłodze. - A ty co będziesz robił, gdy ja będę się zajmować śniadaniem?

Pochwycił końce jej włosów i przesunął między palcami.

- Będę na ciebie patrzył.

I ten widok rzeczywiście sprawiał mu wielką radość. Suzanna krzątała się po kuchni w jego koszuli, która sięgała jej prawie do kolan. „Wkrótce dom wypełnił się zapachem kawy.

Suzanna odzyskała swobodę, zajmując się zwykłymi obowiązkami. Krzew, który razem posadzili, wyglądał jak kawałek słońca na trawniku. Powietrze wciąż pachniało deszczem.

- Wiesz - powiedziała, trąc znaleziony w lodówce kawałek sera - chyba przydałoby ci się coś jeszcze poza opiekaczem, patelnią i jednym garnkiem.

- A po co? - zdziwił się Holt szczerze, zapalając papierosa.

- Nie wiem, czy wiesz, ale niektórzy ludzie naprawdę przygotowują w kuchni całe obiady.

- To ci, którzy nigdy nie słyszeli o jedzeniu na wynos. - Wstał i nalał kawy do dwóch filiżanek. - Z czym pijesz?

- Czarną. Muszę się dobudzić.

- Moim zdaniem potrzebujesz jeszcze trochę snu.

- Za godzinę muszę być w pracy - powiedziała i wyjrzała przez okno. Holt znał już ten wyraz jej twarzy.

- Nie rób tego - poprosił, dotykając jej ramienia.

- Przepraszam. - Podeszła do kuchenki i wylała rozbite jajka na patelnię. - Nie mogę przestać o nich myśleć. Ciągle się zastanawiam, co robią i czy dobrze się czują. Jeszcze nigdy nie wyjeżdżały beze mnie.



- Czy on nigdy ich nie zabierał na weekendy?

- Nie, tylko parę razy na popołudnie, i to nie były udane wizyty. No cóż, zostało jeszcze tylko trzynaście dni.

- W niczym im nie pomożesz, jeśli będziesz się tak denerwować - odrzekł Holt, w duchu przeklinając własną bezradność.

Suzanna westchnęła.

- Dobrze, już nie będę. W każdym razie postaram się. Przez najbliższe dwa tygodnie i tak będę bardzo zajęta. A skoro dzieci nie ma, to mogę poświęcić więcej czasu na poszukiwanie szmaragdów.

- Zostaw to mnie. Spojrzała na niego przez ramię.

- Holt, wszyscy jesteśmy w to zaangażowani.

- Ja też, więc sam się tym zajmę. Pomieszała jajka i powiedziała, starannie dobierając słowa:

- Bardzo się cieszę, że chcesz nam pomóc, ale te szmaragdy nie bez powodu nazywane są szmaragdami Calhounów. Dwie moje siostry znalazły się z ich powodu w niebezpieczeństwie.

- Właśnie o to mi chodzi. Suzanno, nie jesteś w stanie grać w tej samej lidze co Livingston. On jest inteligentny i brutalny i nie będzie cię grzecznie prosił, żebyś zeszła mu z drogi.

Suzanna podała mu talerz.

- Przywykłam do inteligentnych i brutalnych mężczyzn i zbyt długo się ich bałam.

- Jak mam to rozumieć?

- Całkiem zwyczajnie. Nie pozwolę, żeby jakiś złodziej mnie zastraszył.

Holt jednak potrząsał głową. Nie o taką odpowiedź mu chodziło.

- Boisz się Dumonta? Czy on cię skrzywdził fizycznie?

Suzanna opuściła wzrok.

- Rozmawialiśmy o szmaragdach. Próbowала go wyminąć, ale Holt przytrzymał ją za rękę. Oczy mu pociemniały, ale gdy się odezwał, głos miał cichy i bardzo opanowany.

- Czy on cię kiedyś uderzył? Suzanna pobladła.

- Co? - powtórzyła, jakby nie dosłyszała.

- Pytałem, czy Dumont cię kiedyś uderzył. Gardło miała zaciśnięte ze zdenerwowania.

Holt był bardzo spokojny, ale dostrzegła w jego oczach gwałtowne błyski.

- Jajecznicę stygnie, a ja jestem głodna. Powstrzymał odruch, by rzucić talerzem o ścianę.

Usiadł i poczekał, aż ona zajmie miejsce naprzeciwko niego. W blasku słońca za oknem wyglądała bardzo krucho. Holt wiedział, kiedy czekać, a kiedy naciskać.

- Czekam na odpowiedź, Suzanno.

- Nie - powiedziała bezbarwnie. - Nigdy mnie nie uderzył.

- Ale popychał cię i szturchał? - wypytywał Holt pozornie obojętnym głosem, jedząc bez apetytu. Suzanna spojrzała na niego przelotnie i znów odwróciła wzrok.

- Jest wiele sposobów, by kogoś zastraszyć i upokorzyć - powiedziała, starannie smarując grzankę masłem. - Nie mamy więcej chleba.

- Co on ci zrobił?

- Daj spokój.

- Co on ci zrobił? - powtórzył Holt powoli i stanowczo.

- Zmusił mnie, żebym stanęła twarzą w twarz z faktami.

- Jakimi na przykład?

- Że nie sprawdzam się jako żona wspaniałego prawnika z wielkiej korporacji z

ambicjami towarzyskimi i politycznymi.

- Dlaczego?

Suzanna trzasnęła nożem o stół.

- Czy tak właśnie przesłuchiwałeś podejrzanych? Złość, pomyślał. To już lepiej.

- Zadałem ci proste pytanie.

- I czekasz na prostą odpowiedź? Dobrze, proszę bardzo. Baxter ożenił się ze mną ze względu na moje nazwisko. Sądził, że wiąże się z nim trochę więcej pieniędzy i prestiżu, ale samo nazwisko w zasadzie było wystarczającym powodem. Niestety, szybko się przekonał, że nie byłam taką ozdobą salonów, jakiej potrzebował. Nie najlepiej radziłam sobie w towarzyskich rozmowach o niczym. Odpowiednio ubrana mogłam odgrywać rolę żony prokuratora aspirującego do świata polityki, ale nigdy nie weszłam w tę rolę do końca. Bax często mi powtarzał, jak bardzo jest rozczarowany tym, że nie spełniam jego oczekiwań. Że jestem nudna w salonie, w jadalni i w sypialni.

Wstała i wrzuciła resztki swojego jedzenia do miski Sadie.

- Czy wystarczająco jasno odpowiedziałam na twoje pytanie?

- Nie. - Holt odsunął talerz i wyjął papierosa. - Chciałbym jeszcze wiedzieć, jak udało mu się przekonać cię, że do niczego się nie nadajesz.

Wyprostowała się, stojąc tyłem do niego.

- Bo go kochałam. A właściwie kochałam mężczyznę, za jakiego go uważałam, gdy braliśmy ślub, i bardzo chciałam stać się kobietą, z której mógłby być dumny. Ale im bardziej się starałam, tym gorzej to wychodziło. A potem urodził się Alex i wydawało mi się, że... że dokonałam czegoś niesamowitego, sprowadzając na świat takie piękne dziecko. Bycie matką przychodziło mi łatwo i naturalnie. Nigdy nie miałam żadnych wątpliwości, nie popełniłam żadnego poważnego błędu. Byłam tak szczęśliwa, skupiona na dziecku i na rodzinie, którą

razem tworzyliśmy, że nie zauważyłam, iż Bax dyskretnie znalazł sobie bardziej ekscytujące towarzystwo. Odkryłam *to* dopiero, będąc w ciąży z Jenny.

- Więc cię zdradzał i oszukiwał - rzekł Holt zwodniczo łagodnym głosem. - I co ty na to?

Suzanna odkręciła wodę i zaczęła zmywać naczynia.

- Nigdy nie zrozumiesz, jak to jest być zdradzonym w ten sposób. Byłam w ciąży z jego dzieckiem i przekonałam się, że już znalazł sobie inną kobietę, lepszą ode mnie.

- Pewnie nie rozumiem. Ale wydaje mi się, że chyba bym się wkurzył.

Suzanna omal nie roześmiała się na głos.

- Tak, byłam wściekła, ale również czułam się zraniona. Nie lubię myśleć o tym, jak łatwo było mu sprawić, że rozsypywałam się na kawałki. Alex miał dopiero kilka miesięcy, a Jenny nie była planowana, ale cieszyłam się z tej ciąży. On jej nie chciał. Nic, co zrobił wcześniej, nie zraniło mnie równie mocno jak ta jego reakcja. Był po prostu... rozdrażniony.

Miał już syna, który nosił jego nazwisko. Nie chciał mieć w domu gromadki dzieci i nie miał ochoty znów ciągnąć ze sobą po salonach grubej, nieatrakcyjnej i zmęczonej żony. Uznał, że najlepszym rozwiązaniem byłoby przerwanie ciąży. Były o to okropne awantury. Wtedy po raz pierwszy zdobyłam się na odwagę, by mu się przeciwstawić, co zresztą tylko pogorszyło sytuację. Bax przywykł do tego, że wszyscy tańczyli, jak im zagrał, zawsze tak było. A ponieważ nie mógł mnie zmusić, żebym zrobiła to, czego chciał, odpłacił mi za to bardzo fachowo.

Już spokojniejsza, odłożyła talerz na bok i zabrała się do mycia patelni.

- Nie afiszował się w świecie ze swoimi romansami, ale dopilnował, żebym o nich wiedziała. Dał mi do zrozumienia, że w porównaniu z kobietami, z którymi sypia, ja wypadam bardzo blado. Zablokował moje pełnomocnictwa do kont bankowych, tak że musiałam za każdym razem prosić go o pieniądze. A to było jedno z subtelniejszych

upokorzeń. Noc, gdy urodziła się Jenny, spędził z inną kobietą i powiedział mi o tym, gdy przyszedł do szpitala po to, żeby prasa mogła zamieścić zdjęcia dumnego ojca.

Holt siedział zupełnie nieruchomo.

- Dlaczego więc wciąż z nim byłaś?

- Najpierw dlatego, że wciąż miałam nadzieję, iż pewnego dnia obudzę się obok mężczyzny, w którym się zakochałam. Potem, gdy już przekonałam się, że moje małżeństwo jest nieporozumieniem, miałam małe dziecko i byłam w ciąży z drugim. A jeszcze później, przez bardzo długi czas, wierzyłam, że naprawdę jestem taka, za jaką on mnie uważał. Że nie jestem ani mądra, ani dowcipna, ani atrakcyjna. Więc byłam przynajmniej lojalna. Gdy okazało się, że i tego nie potrafię, zaczęłam się zastanawiać, jaki wpływ ta sytuacja będzie miała na dzieci. Nie mogłam pozwolić, by zostały zranione. Aż pewnego dnia dotarło do mnie, że nie tylko marnuję własne życie, ale również krzywdzę Aleksa i Jenny. Bax nie poświęcał Aleksowi wiele uwagi, a Jenny w ogóle nie zauważał. Więcej czasu spędzał ze swoją kochanką niż z rodziną.

Westchnęła i odłożyła ścierkę do naczyń.

- Schowałam więc brylanty w torbie z pieluchami Jenny i wystąpiłam o rozwód. Czy teraz odpowiedziałam na twoje pytania? - spytała ze znużeniem.

Holt podniósł się bardzo powoli, nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

- Czy kiedykolwiek, chociaż raz, przyszło ci do głowy, że to on się nie sprawdził, rozczarował cię? Że okazał się rozpieszczonym, egoistycznym draniem?

Suzanna skrzywiła usta w imitacji uśmiechu.

- To ostatnie na pewno, Ale to, co ci opowiedziałam, jest bardzo jednostronne.

Przypuszczam, że wersja Baksa różniłaby się od mojej i że on również miałby trochę racji.

- On nadal manipuluje twoimi uczuciami - rzekł Holt, z trudem hamując wściekłość. -

Nie jesteś inteligentna, tak? Jasne. Każdy by potrafił wychowywać dwójkę dzieci i jeszcze do tego prowadzić firmę. Nieinteresująca? Nie pamiętam już, kiedy czułem się tak znudzony w czyimś towarzystwie. Nic mnie nie nudzi tak jak kobieta, która w pocie czoła haruje przez cały dzień, by zapewnić utrzymanie dzieciom. I jeszcze nieatrakcyjna. Naprawdę nie miałem nic lepszego do roboty ostatniej nocy Jak kochać się z tobą aż do rana. Stał przed nią i pochwycił ją za nadgarstki tak mocno, że skrzywiła się z bólu. Opuścił wzrok i zauważył, że jego palce pozostawiły ślady na jej skórze. Zaklął pod nosem i odskoczył, jakby uderzyła go w twarz.

- Holt...

Ostrzegawczo podniósł rękę do góry. Wolał, żeby Suzanna nic nie mówiła, dopóki przed oczami latały mu czerwone plamy. Wbił ręce w kieszenie i podszedł do drzwi.

- Mam parę spraw do załatwienia.

- Ale...

- Trochę się zagalopowaliśmy. To moja wina. Wiem, że musisz iść do pracy. Ja też.

Tylko tyle, pomyślała. Otworzyła przed nim duszę, a on tak po prostu wychodzi.

- Dobrze, do zobaczenia w poniedziałek - odrzekła sucho.

Skinął głową i położył rękę na klamce, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Ta ostatnia noc coś dla mnie znaczyła, rozumiesz?

- Nie - powiedziała cicho.

Holt zacisnął dłonie na siatce pokrywającej drzwi.

- Jesteś dla mnie ważna. Zależy mi na tobie i... Potrzebuję cię. Czy to jest wystarczająco jasne?

Popatrzyła na jego dłoń zaciśniętą na drzwiach, niecierpliwość malującą się na jego twarzy, napięte ciało. To jej na razie wystarczało.

- Tak, to jest jasne - odrzekła. Spojrzał na nią przenikliwie.

- Nie chcę, żeby to się skończyło.

- To znaczy, że chciałbyś, żebym tu jeszcze wróciła? - zapytała z udawanym spokojem.

- Dobrze wiesz, że... - Urwał i przymknął oczy. - Tak, proszę cię o to, żebyś tu wróciła. I żebyś spędziła ze mną trochę czasu nie tylko w pracy albo w łóżku. Jeśli to jeszcze nie jest wystarczająco jasne, w takim razie...

- Czy miałbyś ochotę przyjść do nas na kolację? Holt spojrział na nią nieprzytomnie.

- Co?

- Czy chciałbyś przyjść do nas na kolację, dziś wieczorem? Możemy się potem gdzieś przejechać.

Przesunął dłonią po włosach. Wszystko okazywało się tak proste. Sam nie wiedział, czy poczuł ulgę, czy niepokój.

- Tak. To dobry pomysł.

- W takim razie do zobaczenia o siódmej - uśmiechnęła się Suzanna. - Jeśli chcesz, to możesz zabrać ze sobą Sadie.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Co prawda bez świateł i blasku księżyca, myślała Suzanna, ale jednak był to romans.

Nie szukała go ani nie sądziła, że coś takiego jeszcze jej się przydarzy. A jednak przez kilka ostatnich dni i nocy dane jej było odkrywać coraz to nowe zalety Holta Bradforda.

Parę razy wpadł do sklepu około południa. Mówił, że przyjechał do wioski po jakieś części i jest głodny, po czym zabierał ją na lunch. Czasami stawał za nią i masował jej ramiona. A najbardziej zaskoczył ją pewnego wieczoru po wyjątkowo ciężkim dniu, gdy przyniósł wiklinowy koszyk z pieczonymi kurczakami i zabrał ją na przejażdżkę łodzią.

Ucieszyła się, widząc przed Towers samochód Holta. Zaparkowała tuż za nim i

podeszła do drzwi. Tuż za progiem usłyszała głos Lilah:

- Czekałam na ciebie!

- Co się dzieje? - zapytała Suzanna, unosząc brwi ze zdziwieniem.

Lilah skończyła pracę już przed godziną, tymczasem wciąż miała na sobie mundur strażnika parku narodowego. Suzanna dobrze знаła swą siostrę i wiedziała, że o tej porze

Lilah, przebrana w wygodny, niekrępujący strój, zwykle drzemała, rozciągnięta na pierwszej napotkanej kanapie.

- Czy możesz coś zrobić z tym ponurym niedźwiedziem, z którym się ostatnio zadajesz?

- Jeśli chodzi ci o Holta, to obawiam się, że niestety nie. A o co chodzi?

- Właśnie jest w moim pokoju. Zdaje się, że rozbiera ściany cegła po cegle. Nawet nie mogłam się przebrać. Mówiłam mu, że już tam szukaliśmy i że gdyby te szmaragdy znajdowały się w moim pokoju, to od dawna bym o tym wiedziała, ale to się na nic nie zdało.

Mało, że nie słuchał, to jeszcze wyrzucił mnie z mojej własnej sypialni. A Max tylko się uśmiechnął i stwierdził, że to bardzo dobry pomysł. - Przysiadła na schodach. - Czy ty myślisz o nim poważnie?

- Wolę się nad tym na razie nie zastanawiać.

- Straciłam przez niego popołudniową drzemkę. Chciałabym powiedzieć, że go nie lubię, ale nie mogę. Pomimo fatalnych manier jest w nim coś bardzo bezpiecznego i stabilnego.

- Znow oglądałaś jego aurę? - uśmiechnęła się Suzanna.

- To dobry człowiek, choć w tej chwili mam ochotę zrobić mu coś złego. Cieszę się, Suze, że znow jesteś szczęśliwa.



- Przedtem też nie byłam nieszczęśliwa.
- Nie, ale nie byłaś szczęśliwa. To różnica.
- Może masz rację. A skoro już mowa o szczęściu, to jak idą przygotowania do ślubu?
- Właśnie w tej chwili ciocia Coco i nasza kuzynka z piekła rodem kłócą się w kuchni o weselne menu - zaśmiała się Lilah. - I obydwie świetnie się przy tym bawią. Ciocia Colleen udaje, że chodzi jej tylko o to, by uroczystość okazała się godna Calhounów, ale tak naprawdę sporządzanie listy gości i wybrzydzenie nad pomysłami Coco sprawia jej wielką radość.
- Skoro dobrze się bawi...
- Poczekaj, aż dojdzie do ciebie - ostrzegła ją Lilah. - Ma również kilka wspaniałych pomysłów na bukiety.
- Świetnie - mruknęła Suzanna, stając w drzwiach pokoju siostry. Holt nie tracił czasu. Lilah nigdy nie była pedantką, ale teraz sypialnia wyglądała jak po przejściu huraganu. Właśnie w tej chwili wtykał głowę do kominka, a Max czołgał się po podłodze.
- Dobrze się bawicie, chłopcy? - zapytała Lilah leniwie.
- Max podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.
- Znalazłem ten sandał, którego szukałaś. Był pod poduszką na fotelu.
- To dobra wiadomość - mruknęła Lilah. Zauważyła, że Holt usiadł przy kominku i patrzył na Suzannę, a ona na niego. - Max, chyba przydałaby ci się przerwa.
- Wcale nie jestem zmęczony.
- Naprawdę jest ci potrzebna przerwa - powtórzyła Lilah stanowczo, ciągnąc go za rękę. - Wrócisz tu później i pomożesz Holtowi naruszać moją prywatność.
- Mówiłam ci, że jej się to nie spodoba - powiedziała Suzanna, gdy zostali sami.
- Trudno.
- A znalazłeś coś przynajmniej?

- Dwa kolczyki nie do pary i coś takiego z koronki. Było za komodą. - Przechylił

głowę i popatrzył na nią. - Ty też używasz takich koronkowych rzeczy?

- Nie - westchnęła, spoglądając na swoją przepoconą koszulkę. - Jeszcze parę dni temu sądziłam, że nie są mi do niczego potrzebne.

- Bardzo ładnie wyglądasz w dzinsach, kotku. - Holt uśmiechnął się, podchodząc do niej. - Ogromnie mnie podnieca rozbieranie cię z nich. Ale gdybyś miała ochotę pożyczyć od Lilah te koronki...

Zaśmiała się i uścisnęła go serdecznie.

- Może sprawię ci niespodziankę. Długo już szukacie?

- Przyszedłem tu od razu, gdy rozstałem się z tobą. Posadziłaś resztę tych, jak im tam?

- Rosyjskich oliwek. Posadziłam. Dziękuję ci za pomoc przy budowie podpór.

- Moim zdaniem samodzielne zbudowanie czegoś takiego jest po prostu niewykonalne.

- Kiedy się na to godziłam, miałam pracownika. Holt potrząsnął głową z dezaprobatą i znów zajrzał do kominka.

- Suzanno, wiem, że jesteś twarda, ale nie nadajesz się do noszenia bali drewna i pracy z młotem pneumatycznym.

- Dałabym sobie radę.

- Wiem - mruknął Holt, obmacując następną cegłę.

- Przyniosę ci piwo - zaoferowała się.

- Wołałbym... - zawiesił głos.

- Wiem - zaśmiała się, - Ale na razie piwo musi ci wystarczyć.

Dobrze było tak z nim żartować, bez skrępowania i agresji. Przepelniona radością, zbiegła na dół do holu i niespodziewanie znalazła się w oku cyklonu. Najpierw usłyszała

zajadle szczekanie Freda i Sadie, potem tupot stóp po werandzie i dwa radosne okrzyki:

- Mama!

Jenny i Alex jednocześnie wpadli do domu. Suzanna pochyliła się, porwała ich w ramiona i obsypała pocałunkami.

- Tak bardzo za wami tęskniłam. Niech wam się przyjrzę - mówiła z radością, ale gdy spojrzała na dzieci uważniej, jej uśmiech przygasł. Obydwójgu zbierało się na płacz.

- Chcieliśmy już wrócić do domu - powiedziała Jenny drżącym głosem, chowając twarz na ramieniu matki. - Nienawidzimy wakacji.

Alex również pocierał oczy pięścią.

- Byliśmy niegrzeczni i nieznośni - wyznał cicho. - I wcale nas to nie obchodzi.

- Właśnie takiej postawy się po nich spodziewałem - odezwał się Bax, stając w otwartych drzwiach. Jenny mocniej zacisnęła ramiona na szyi Suzanny, lecz Alex spojrzał na ojca wojowniczo, wysuwając podbródek.

- Nie podobało nam się to głupie przyjęcie i ciebie też nie lubimy!

- Alex! - rzuciła Suzanna ostro, kładąc dłoń na jego ramieniu, - Wystarczy już. A teraz przeproś.

Usta mu zadrżały, ale upór nie zniknął z oczu.

- Przepraszam, że cię nie lubimy.

- Zaprowadź siostrę na górę - rzeki Baxter sucho.

- Chcę porozmawiać z twoją matką.

Suzanna pogładziła chłopca po policzku.

- Idź z Jenny do kuchni. Ciocia Coco tam jest. Bax lekceważąco kopnął Freda.

- I zabierzcie te cholerne kundle.

W drzwiach pojawiła się drobna brunetka.

- Cheri? - zapytała śpiewnie.

- Yvette? Przepraszam, nie zauważyłam cię wcześniej.

Francuzka tylko pomachała rękami.

- To ja bardzo przepraszam, rozumiesz, takie zamieszanie. Zastanawiałam się tylko...

Bax, bagaże dzieci?

- Niech szofer je przyniesie - rzucił niecierpliwie.

- Nie widzisz, że jestem zajęty?

Suzanna poczuła coś w rodzaju współczucia dla dziewczyny.

- Niech zostawi je w holu. Może wejdiesz do salonu... Dzieci, idźcie do cioci Coco.

Bardzo się ucieszy, że już wróciliście.

Chłopiec i dziewczynka poszli, trzymając się za ręce, a psy pobiegły za nimi.

- Czy możesz mi poświęcić kilka minut... - zaczął Baxter, rzucając okiem na jej strój

robotyczny. - Skoro już skończyłaś swoje fascynujące zajęcia - dokończył złośliwie.

- W salonie - powtórzyła, odwracając się do niego plecami. Wiedziała, że

najważniejsze to zachować spokój. Coś spowodowało, że Baxter zdecydował się zmienić

plany i przywiózł dzieci do domu o cały tydzień wcześniej, i była pewna, że za chwilę to coś

spadnie na jej głowę. Z tym jeszcze mogła sobie poradzić, ale bardziej martwił ją stan dzieci.

- Yvette, czy mogę ci przynieść coś do picia?

- zapytała uprzejmie.

- Och, skoro jesteś tak miła. Brandy?

- Oczywiście. Bax?

- Podwójna whisky.

Podeszła do barku z napojami i napełniła kieliszek oraz szklanekę. Zdawało jej się, że

dostrzegła w oczach Yvette przepaszający błysk zażenowania.

- Dobrze, Bax, w takim razie powiedz mi, co się stało.

- To stało się już parę lat temu, gdy nie wiadomo z jakiej przyczyny doszłaś do wniosku, że nadajesz się na matkę.

- Bax - odezwała się Yvette i natychmiast oberwała za swoje.

- Wyjdź na taras. To prywatna rozmowa.

A więc to się nie zmieniło, pomyślała Suzanna, zaciskając ręce. Yvette potulnie przeszła przez salon i zniknęła za szklanymi drzwiami.

- W każdym razie ten mały eksperyment powinien wybić jej z głowy myśl o posiadaniu dziecka - mruknął Bax.

- Eksperyment? - zdumiała się Suzanna. - Chcesz powiedzieć, że wakacje z dziećmi miały być eksperymentem? !

- Miałem swoje powody, aby zabrać je ze sobą. Ale ich barbarzyńskie maniery to twoja sprawka. One nie mają pojęcia, jak należy się zachowywać w miejscach publicznych. Zresztą w prywatnych też nie.

W ogóle nie potrafią kontrolować swojego zachowania. Kiepsko je wychowałaś, Suzanno, chyba że chodziło ci o to, by mieć w domu dwoje rozpuszczonych bachorów.

- Nie będę wysłuchiwać takich rzeczy we własnym domu - oburzyła się Suzanna, podchodząc bliżej. - Nic mnie nie obchodzi, czy dzieci odpowiadają twoim standardom, czy nie. Chcę wiedzieć, dlaczego je przywiozłeś wcześniej.

- W takim razie słuchaj - warknął Bax i popchnął ją na krzesło. - Twoje kochane dzieci nie mają pojęcia, jak powinni się zachowywać Dumontowie. W restauracjach wrzeszczały na cały głos, podczas jazdy ciągle marudziły, a gdy je upominałem, obrażały się albo odszczekiwały. Musiałem się wstydić przed znajomymi za ich zachowanie.

Suzanna z wściekłości zapomniała o lęku. Zerwała się z krzesła i wykrzyknęła:

- Inaczej mówiąc, po prostu zachowywały się jak dzieci! Przykro mi, Baxter, że pokrzyżowały ci plany, ale trudno oczekiwać od pięcio - czy sześciolatka, by w każdej sytuacji przestrzegał form towarzyskich. Tym bardziej że one same nie wybierały sobie tej sytuacji. Zmusiłeś je do wyjazdu. One cię prawie nie znają.

Bax zakołysał w dłoni szklanką z whisky.

- Doskonale zdają sobie sprawę z tego, że jestem ich ojcem, ale ty dopilnowałaś, by nie żywiły do mnie żadnego szacunku.

- Nie, to ty tego dopilnowałaś.

- Czy myślisz, że nie wiem, co im o mnie opowiadasz? Słodka, bezbronna Suzanna! - prychnął wściekle. Suzanna odruchowo cofnęła się o krok.

- Nic im o tobie nie opowiadam - rzekła, zirytowana na siebie.

- Naprawdę? W takim razie skąd wiedzą, że mają przyrodniego brata w Oklahomie?

Aha, więc o to chodzi, pomyślała Suzanna, usiłując zebrać myśli.

- Brat Megan O'Riley ożenił się z moją siostrą. W tej sytuacji nie udałoby się zachować tajemnicy, nawet gdybym chciała.

- A tobie przydarzyła się znakomita okazja, żeby wycierać sobie usta moim nazwiskiem! - warknął i znów ją popchnął.

- To ich przyrodni brat i dzieci go zaakceptowały. Są jeszcze za małe, by zrozumieć, jakie świństwo zrobiłeś jego matce.

- To moja sprawa - zazgrzytał zębami Baxter. Pochwycił ją za ramiona i tym razem pchnął na ścianę. - Nie daruję ci tych żalonych prób zemsty.

- Zabierz te ręce - wycodziła Suzanna, ale on jej nie puścił.

- Zabiorę, kiedy będę chciał.

Suzanna nie ugięła się pod jego spojrzeniem.

- Nie możesz mnie już zranić.

- Nie licz na to. Dopilnuj, żeby dzieci zachowały wiadomość o tym bękarcie dla siebie. Jeśli ta sprawa znów wypłynie, gorzko tego pożałujesz.

- Wynoś się z mojego domu razem ze swoimi groźbami.

- Z twojego domu? - syknął Baxter, zaciskając rękę na jej gardle. - Nie zapominaj, że ten dom należy jeszcze do ciebie tylko dlatego, że nie chciałem zawracać sobie głowy taką rozsypującą się ruiną.

Spróbuj mnie odepchnąć, a w mgnieniu oka znajdziesz się w sądzie. I tym razem nie daruję. Dzieciom przydałaby się dobra szkoła z internatem w Szwajcarii. I znajdą się tam, jeśli nie będziesz uważała na to, co mówisz.

Zobaczył błysk w jej oczach, ale nie był to lęk, którego oczekiwał, lecz furia. Suzanna podniosła dłoń do góry, ale zanim zdążyła wymierzyć cios, jakaś ręka szarpnęła za kołnierz Baksa i rzuciła go na podłogę. Suzanna w milczeniu patrzyła, jak Holt jeszcze raz podniósł jej byłego męża do góry i cisnął nim o stół, a potem dołożył cios w policzek.

- Holt, nie... - zawołała i rzuciła się przed siebie, by go powstrzymać, ale ktoś mocno pochwycił ją za rękę.

- Zostaw go - powiedziała ciotka Colleen, ponuro zaciskając usta.

Holt miał ochotę zabić tego faceta i byłby do tego zdolny, gdyby tamten próbował się bronić. Baxter jednak natychmiast oklapł. Z jego ust i nosa sączyła się krew. Holt pchnął go na ścianę.

- Posłuchaj, draniu, jeśli jeszcze raz jej dotkniesz, to nie wyjdiesz z tego żywy!

Wstrząśnięty i obolały Bax grzebał po kieszeniach, szukając chusteczki. Po raz pierwszy w życiu to jego ktoś upokorzył.

- Mogę cię oskarżyć o napaść - warknął. Z chusteczką przy twarzy rozejrzał się i

wskazał na swoją żonę stojącą na tarasie. - Mam świadka. Napadłeś na mnie i groziłeś mi. -

Zerknął z ukosa na Suzannę. - Jeszcze tego pożałujesz.

- Nie pożałuje - odezwała się Colleen. - To ty pożałujesz, żalosna galareto.

Podeszła do Baxtera, opierając się na lasce, i mówiła dalej:

- Jeśli jeszcze raz dotkniesz kogokolwiek z mojej rodziny, to pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś. Mogę zrobić z tobą wszystko, co ty chciałbyś zrobić z nami, i jeszcze więcej. Jeśli masz co do tego jakieś wątpliwości, to nazywam się Colleen Theresa Calhoun. Mogę cię dwa razy kupić i sprzedać.

W pomiętym garniturze, z jedwabną chusteczką przy nosie, Baxter wyglądał załóżnie.

Colleen przyjrzała mu się ze wstrętem i ciągnęła:

- Bardzo jestem ciekawa, co gubernator twojego stanu, który zresztą jest moim synem chrzestnym, powiedziałby, gdybym wspomniała mu o tym zajściu.

Zauważyła, że Baxter dobrze ją zrozumiał, i pokiwała głową z satysfakcją.

- A teraz wynoś się z mojego domu. Młody człowieku - skłoniła głowę w stronę Holta

- bądź tak dobry i odprowadź naszego gościa do drzwi.

- Z przyjemnością - odrzekł Holt i wypchnął Dumonta do holu. Suzanna zdążyła

jeszcze zobaczyć trzepoczące dłonie Yvette, po czym wybiegła z domu.

- Gdzie ona jest? - zapytał Holt, gdy po powrocie do salonu zastał tam tylko Colleen.

- Przypuszczam, że liże rany. Nalej mi brandy, chłopcze. Nie martw się, wytrzyma

kilka minut bez ciebie - rzuciła ze zniecierpliwieniem, widząc jego wahanie. - Wiedziałam, że

to małżeństwo nie układało się najlepiej, ale nie miałam pojęcia, że wyglądało aż tak źle. Po

rozwodzie kazałam sprawdzić tego Dumonta. Co za żalosna kreatura! Powinnam była

domyślić się wcześniej, że podnosił na nią rękę. To było widać w jej oczach. Moja matka

miała takie samo spojrzenie. - Opuściła powieki i odchyliła się na oparcie fotela. - No cóż,



jeśli nie chce, żeby jego ambicje polityczne rozwiały się we mgle, to będzie musiał ją zostawić w spokoju. - Powoli otworzyła oczy i przeszła Holta przenikliwym spojrzeniem. - Dobrze sobie poradziłeś. Zawsze podziwiałam mężczyzn, którzy potrafią używać pięści. Żałuję tylko, że nie przyłożyłam mu laską.

- Pani poradziła sobie lepiej ode mnie. Ja tylko złamałem mu nos, a pani wystraszyła go na dobre.

- Oczywiście, że tak. - Uśmiechnęła się i upiła spory łyk brandy. - I sprawiło mi to wiele zadowolenia.

Zauważyła, że Holt wciąż spogląda w stronę tarasu, zaciskając dłonie w pięści.

Suzanna mogła trafić gorzej, pomyślała.

- Moja matka często chodziła na urwisko. Pewnie tam znajdziesz Suzannę. Powiedz jej, że dzieci jedzą ciastka w kuchni i psują sobie apetyt przed kolacją.

Była na urwisku. Zawsze, gdy potrzebowała odosobnienia, przychodziła tutaj.

Siedziała na kamieniu z twarzą ukrytą w dłoniach, płacząc ze wstydu i z goryczy.

Holt znalazł ją i bezradnie stanął obok, nie wiedząc, jak się zachować. Jego własna matka była silną, trzeźwo myślącą kobietą, a jeśli kiedykolwiek płakała, to nikt tego nie widział.

Podszedł bliżej i z wahaniem położył rękę na jej głowie.

- Suzanna.

Natychmiast poderwała głowę do góry i otarła pośpiesznie łzy.

- Muszę wracać do domu. Dzieci,..

- Są w kuchni i opychają się ciastkami. Siedź.

- Nie, ja...

- Proszę cię. - Usiadł obok niej. - Od dawna tu nie byłem. Kiedyś przychodziłem z

dziadkiem. Siedział tu i patrzył na morze. Pewnego razu opowiedział mi historię o księżniczce, która mieszkała w zamku nad urwiskiem. Na pewno mówił o Biance, aleja zawsze, gdy sobie przypomiinałem tę opowieść, widziałem ciebie.

- Holt, tak mi przykro.

- Nie przepraszaj, jeśli nie chcesz mnie rozżłościć. Znów przełknęła łyzy.

- Nie mogę znieść myśli, że to widziałeś, że inni to widzieli.

Obrócił ją twarzą do siebie i powiedział:

- Widziałem, jak mu się przeciwstawiłaś. On już nigdy więcej cię nie skrzywdzi.

- Chodziło o jego reputację. Widocznie dzieci rozmawiały o Kevinie.

- Wyjaśnisz mi tę tajemnicę? Krótka opowiedziała mu o wszystkim.

- Gdy Sloan powiedział mi to - zakończyła - najważniejszą sprawą dla mnie było, by dzieci zrozumiały, że mają brata. Bax nie zdaje sobie sprawy, że ja w ogóle nie myślałam o nim. On mnie nie obchodził, tylko dzieci. Rodzina.

- On tego nie zrozumie - powiedział Holt. Podniósł jej dłoń do ust i pocałował, a potem długo wpatrywał się w morze.

- Ładny widok.

- Jest wspaniały. Zawsze przychodzę właśnie na to miejsce. Czasami...

- Mów dalej.

- Będziesz się ze mnie śmiał, ale czasem wydaje mi się, że ją widzę, Biance. Czuję jej obecność, wiem, że jest tutaj i czeka. - Oparła głowę na jego ramieniu i przymknęła oczy. - Tak jak teraz. W wieży atmosfera jest inna, więcej tam tęsknoty. Tutaj jest nadzieja. Nie myślisz chyba, że zwariowałam?

- Nie - pokręcił głową. - Bo ja też to czuję.

Człowiek o nazwisku Marshall patrzył na nich przez lornetkę z zachodniej wieży. Nie

obawiał się, że ktoś mu przeszkodzi. W zachodnim skrzydle rodzina pojawiała się tylko na niższych piętrach, a robotnicy już skończyli pracę. Marshall korzystał z nieobecności Sloana, który był w podróży poślubnej, i zwiedzał cały dom. Calhounowie przywykli już do widoku robotników i nie zwracali na niego uwagi.

Coraz bardziej interesował go Holt Bradford, a dodatkowej satysfakcji dostarczał mu fakt, że działał tuż pod nosem byłego gliny. Jego próżność karmiła się ironią tej sytuacji. Zamierzał poczekać, aż Bradford przeszuka cały dom, i pojawić się w chwili, gdy skarb zostanie odnaleziony. Ktokolwiek stanie mu wtedy na drodze, zostanie po prostu wyeliminowany.

*Nie wiedziałem, że to będzie nasz ostatni wspólnie spędzony dzień. Skąd mogłem wiedzieć? A gdybym wiedział, czy mógłbym ją kochać bardziej?*

*Znaleźliśmy na urwisku wygłodzonego, przestraszonego szczeniaka. Bianca natychmiast go pokochała. Może to głupie, ale obydwójce czuliśmy, że ten pies nas połączył, bo znaleźliśmy go razem.*

*Nazwaliśmy go Fred i muszę przyznać, że przykro mi było się z nim rozstawać, gdy*

*Blanca musiała już wracać do Towers. Oczywiście lepiej było, aby to ona zabrała go ze sobą i podarowała dzieciom. Ja zaś wróciłem samotnie do domu, by o niej myśleć.*

*A potem przyszła do mnie. Byłem zdumiony, że odważyła się na takie ryzyko.*

*Wcześniej tylko raz była w moim domu i nie śmieliśmy próbować tego więcej. Była bardzo blada i wzburzona. Pod płaszczem przyniosła szczeniaka. Posadziłem ją na krześle i nalałem jej brandy na uspokojenie.*

*Opowiedziała mi o wszystkim, co się wydarzyło tego wieczoru. Dzieci pokochały psa i bawiły się z nim, dopóki nie wrócił Fergus. On zaś nie chciał trzymać w domu kundla przybłądy. To jeszcze chyba mógłbym mu wybaczyć, uznając go po prostu za głupiego*

zwolennika konwenansów. Blanca powiedziała mi jednak, że kazał zabić Freda, nie zważając na łzy i błagania dzieci.

Najmocniej przeżyła to dziewczynka, Colleen. Blanca odesłała dzieci razem z psem na górę, obawiając się, by ich sprzeciwy nie doprowadziły do wymierzenia fizycznej kary. Gdy została sama z mężem, wybuchła awantura. Nie opowiedziała mi wszystkiego, ale jej drżenie i przelężniony wzrok mówiły same za siebie. Fergus groził jej i uderzył ją. Dopiero wtedy zobaczyłem w świetle lampy ślady, które jego palce pozostawiły na jej szyi.

Byłem gotów go zabić, ale powstrzymał mnie jej lęk. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie czułem tak potwornej wściekłości. Są chwile, gdy żałuję, że nie poszedłem go wtedy zabić. Może gdyby tak się stało, wszystko wyglądałoby inaczej. Tego jednak nie mogę wiedzieć na pewno.

Zostałem z nią. Szlochając, opowiedziała mi, że Fergus wyjechał do Bostonu i zamierza przywieźć ze sobą guwernantkę dla dzieci. Oskarżył ją, że jest kiepską matką, i zagroził, że sam zajmie się wychowaniem ich potomstwa.

Żadna groźba nie mogłaby jej bardziej przestraszyć. Blanca nie mogła znieść myśli, że jej dzieci miałyby wychowywać płatna służąca i zimny ojciec o nadmiernych ambicjach. Najbardziej obawiała się o swoją córeczkę. Wiedziała, że jeśli ona sama niczego nie przedsięwzię, Colleen zostanie kiedyś wydana za mąż w podobny sposób jak jej matka. Ten właśnie lęk popchnął ją do decyzji o opuszczeniu męża.

Wiedziała, że ryzykuje skandal i że utraci swoją pozycję, ale nic nie mogło jej powstrzymać. Chciała zabrać dzieci w miejsce, gdzie byłyby bezpieczne. Pragnęła, bym pojechał z nimi, ale nie błagała mnie o to ani nie domagała się niczego w imię miłości. Nie musiała tego robić.

Zamierzałem zorganizować wszystko następnego dnia. Ona miała przygotować dzieci.

*A potem poprosiła mnie, bym uczynił ją swoją żoną.*

*Pragnąłem jej przez tak długi czas, a jednak obiecałem sobie, że jej nie posiadę.*

*Tamtej nocy złamałem tę obietnicę, złożyłem jej za to inną: obietnicę wiecznej miłości.*

*W ciągu tej godziny, która była wiecznością, zaznałem wszystkiego, czego mężczyzna może pragnąć. Była samym pięknem, miłością i obietnicą. Jeszcze teraz z bolesną tęsknotą pamiętam smak jej ust, zapach jej skóry.*

*A potem odeszła. To, co miało być początkiem, okazało się końcem.*

*Zebrałem wszystkie swoje oszczędności, sprzedałem farby i płótna i kupiłem bilety na wieczorny pociąg. Nie przyszła. Nadeszła wielka burza. Powtarzałem sobie, że jest mi zimno z powodu wiatru, ale chyba już wtedy znałem prawdę. Czulem przeszywający ból, obezwładniający lęk.*

*Po raz pierwszy i ostatni w życiu poszedłem do Towers. Gdy stukąłem do drzwi, zaczął zacinać ulewny deszcz. Kobieta, która mi otworzyła, była w hysterii. Chciałem ją odepchnąć i szukać Bianki po całym domu, ale w tej samej chwili przyjechała policja.*

*Wyskoczyła z wieży, rzuciła się z okna na skały. Nadał jest to dla mnie równie niejasne jak wtedy. Pamiętam, że biegiem, wykrzykując jej imię pośród wycia wiatru. Światła domu oślepiły mnie. Na urwisko wspinali się już mężczyźni z latarniami. Stałem i patrzyłem w dół, w miejsce, gdzie leżała. Moja miłość. Odebrano mija. Nie zginęła z własnej ręki. Nigdy w to nie uwierzę. Ale odeszła na zawsze.*

*Niewiele brakowało, a sam też skoczyłbym w tę przepaść. Ona jednak mnie powstrzymała. Przysięgłbym, że słyszałem jej głos. Usiadłem na skałach w strugach deszczu.*

*Nie mogłem wtedy połączyć się z nią. Musiałem przeżyć życie bez niej. Dokonałem tego, i może nawet z lat tu spędzonych wynikł jakiś pożytek. Chłopiec, mój wnuk. Bianca kochałaby go. Czasami zabieram go na urwisko i zawsze wtedy czuję, że ona jest z nami.*

*W Towers nadal mieszkają Calhounowie. Bianca byłaby z tego zadowolona. Dzieci jej dzieci, i ich dzieci. Może któregoś dnia piękna kobieta znów wejdzie na te skały. Mam nadzieję, że czekają lepszy los.*

*W głębi serca wiem, że to jeszcze nie koniec. Ona na mnie czeka. Gdy mój czas wreszcie nadejdzie, znów z nią porozmawiam. Będę ją kochał wiecznie, tak jak jej to przyrzekłem.*

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Holt czekał na Trenta w pergoli przy murze otaczającym ogród od strony morza.

Zapalił papierosa i przez trawnik spojrzął na dom. Jeden z gargulców nad wejściem całkiem stracił głowę, drugi był jeszcze cały. Siedział przycupnięty na gzymsie i z uśmiechem spoglądał w dół, bardziej czarujący niż przerażający. Powojniki i pnące róże wznosiły się aż do wysokości tarasu na pierwszym piętrze. Dom obrośnięty pnączami naprawdę przypominał zamek Śpiącej Królowny.

Zachodnie skrzydło obstawione było rusztowaniami. Powietrze przecinał jęk piły tarczowej. Pod balkonem stała ciężarówka z zapalonym silnikiem. Trzech nagich do pasa mężczyzn zdejmowało z niej rozmaite urządzenia. Z radia dobiegał głośny rock.

W końcu Trent pojawił się w drzwiach i Holt wyrzucił papierosa. Tu, w pergoli, mogli spokojnie porozmawiać. Łoskot maszyn i szum oceanu dawały gwarancję, że nie usłyszą ich żadne niepowołane uszy, a postronny obserwator zobaczy tylko dwóch mężczyzn odpoczywających przy piwie.

Trent wszedł do altany i postawił na stole dwie butelki.

- Dzięki - mruknął Holt. - Masz tę listę?

- Mam - odrzekł Trent, siadając na kamiennej ławce w takiej pozycji, by widzieć dom.

- W ostatnich miesiącach zatrudniliśmy tylko kilka osób.

- Braliście od nich referencje?

- Oczywiście. Obydwaj ze Sloanem dobrze zdajemy sobie sprawę, jak ważne są względy bezpieczeństwa.

Holt tylko wzruszył ramionami.

- Ktoś taki jak Livingston może zdobyć dobre referencje bez żadnego problemu. To tylko kwestia pieniędzy.

- Znasz się na tym lepiej ode mnie - odrzekł Trent, patrząc uważnie na dwóch mężczyzn wymieniających dachówki. - Ale trudno mi uwierzyć, że on może być tutaj, tak blisko nas.

- Jest tutaj. - Holt pokiwał głową. - Ten ktoś, kto przeszukiwał moje mieszkanie, bardzo szybko dowiedział się o moim związku ze sprawą. Nie przypuszczam, żebyście opowiadali o wszystkim na towarzyskich spotkaniach, to musiał usłyszeć o mnie tu, w domu. Nie mógł tu pracować od początku, bo był wtedy zajęty czym innym. Musiał się zatrudnić w ostatnich tygodniach.

Holt zamilkł, patrząc na dzieci, które wybiegły z domu w towarzystwie psa.

- Nie mógł przecież siedzieć spokojnie w ukryciu i czekać, aż znajdziecie szmaragdy zamurwane w ścianie. A będąc na miejscu, ma wszystko pod kontrolą.

- Racja - przyznał Trent. - Ale wolałbym nie myśleć, że moja żona czy którakolwiek z jej sióstr może się znaleźć tak blisko niego. - Pomyślał o dziecku, które nosiła C. C, i oczy mu pociemniały. - Jeśli jest sposób na sprawdzenie twoich przypuszczeń, to pisze się na współpracę.

- Daj mi listę, a ja posprawdzam wszystkie nazwiska. Mam jeszcze jakieś kontakty w policji. W każdym razie nie pozwolę, żeby komukolwiek stało się coś złego.

Trent skinął głową. Zajmował się interesami i od czasu gdy uprawiał boks w college'u,

nigdy nie miał do czynienia z przemocą, ale gotów był na wszystko, by chronić swoją żonę i nie narodzone dziecko.

- Rozmawiałem już z Maksem. Sloan i Amanda postanowili przerwać podróż poślubną i wrócić do domu. Powinni być tutaj za parę godzin.

To dobrze, pomyślał Holt. Lepiej, żeby cała rodzina była na miejscu.

- Co Sloan jej powiedział?

- Że są jakieś problemy techniczne - uśmiechnął się Trent. - Ale jeśli Amanda odkryje, że ją okłamał, to Sloan dostanie za swoje.

- Im mniej kobiety będą wiedziały, tym lepiej. Tym razem to Trent się roześmiał.

- Gdyby któraś z nich usłyszała, co mówisz, wszystkie cztery obdarłyby cię ze skóry.

To twarda ekipa.

- Tak im się tylko wydaje - mruknął Holt, myśląc o Suzannie.

- Nie, naprawdę są twarde. Potrzebowałem trochę czasu, żeby się o tym przekonać.

Wszystkie są takie same: z wierzchu aksamit, w środku żelazo. Do tego uparte, impulsywne i wariacko lojalne. A gdy są razem... no cóż, wolałbym mieć do czynienia z bandą zapaśników sumo.

- Gdy już będzie po wszystkim, mogą się wściekać, ile tylko zechcą.

- Pod warunkiem, że będą już bezpieczne - dodał Trent i zauważył, że Holt patrzy na Aleksa i Jenny. - Świetne dzieciaki.

- Tak.

- I mają wspaniałą matkę. Tylko szkoda, że wychowują się bez ojca.

Holt poczuł, że krew wrze w jego żyłach na samą myśl o Baxterze Dumoncie.

- Dużo o nim wiesz?

- Więcej niż chciałbym. Wiem, że Suzanna przeszła przy nim piekło. Omal jej nie



wykończył procesem o prawo do opieki nad dziećmi.

Holt podniósł głowę, zdumiony.

- Procesem o prawo do opieki? Dumont chciał zatrzymać dzieci?

- Chciał zrobić na złość Suzannie - sprostował Trent. - To był najlepszy sposób. Ona o tym nie mówi. Wyciągnąłem tę historię od C. C. Dumont był zły, że Suzanna wystąpiła o rozwód, bo to psuło jego wizerunek, zwłaszcza że zamierzał kandydować do senatu.

Przeciągnął ją przez długi, paskudny proces. Próbował udowodnić, że jest rozchwiana emocjonalnie i nie nadaje się na matkę.

Holt zaklął paskudnie i wyrzucił niedopałek papierosa na skały.

- Wcale nie zależało mu na dzieciach. Chciał je wysłać do szkoły z internatem. Tak się w każdym razie odgrażał. Wycofał pozew, gdy Suzanna poszła na ugodę.

- Jaką ugodę? - zapytał Holt, zaciskając ręce na kamiennej balustradzie.

- Oddała mu prawie wszystko, co miała. Dom, ruchomości i większą część swojego spadku. Mogła walczyć w sądzie, ale i ona, i dzieci były już wtedy wykończone nerwowo.

Nie chciała dokładać im jeszcze więcej stresów.

Holt napił się piwa.

- On jej już więcej nie skrzywdzi - wycedził przez zaciśnięte gardło. - Dopilnuję tego.

- Tak myślałem - przyznał Trent. Wstał i położył na stole listę nazwisk. - Daj mi znać, kiedy czegoś się dowiesz. I nie zapomnij o wieczornym seansie. Będziesz zdziwiony.

- Na razie dziwi mnie tylko to, że Coco udało się namówić mnie do udziału.

- Jeśli zamierzasz bratać się z rodziną, to przygotuj się na to, że zostaniesz namówiony do wielu dziwnych rzeczy - uśmiechnął się Trent i odszedł.

Holt przyjrzał się nazwiskom na liście i wsunął ją do kieszeni. Zamierzał zadzwonić w kilka miejsc. Podniósł się z ławki i usłyszał wojowniczy okrzyk:

- Nie zapomnimy o Alamo!

Alex stał w rozkroku na dachu fortu i wymachując plastikowym mieczem, patrzył mu prosto w oczy.

- Nigdy nie dostaniesz nas żywych! Holt nie potrafił się oprzeć tej prowokacji.

- A dlaczego myślisz, że zależy mi na waszym życiu, nędzne robaki?

- Bo my jesteśmy patriotami, a ty barbarzyńskim najeźdźcą!

Jenny wytknęła głowę przez okno fortu i zanim Holt zdążył się cofnąć, oblała go strumieniem wody z plastikowego pistoletu. Na widok mokrej plamy na koszuli Holta Alex wydał głośny okrzyk triumfu.

- Rozumiecie chyba, że to oznacza wojnę - powiedział Holt powoli.

Chwycił Jenny za ramiona i wyciągnął przez okno z fortu, a potem obrócił głowę w dół, aż końce kucyków dziewczynki zamiotły ziemię.

- On ma zakładnika! - wykrzyknął Alex. - Do ostatniej kropli krwi! Obciąć mu głowę!

Po wyczerpujących zmaganiach Holt znalazł się na ziemi. Alex siedział na nim okrakiem, a Jenny łaskotała go pod pachami. Na dokładkę kolejny strumień wody z pistoletu ochlapał mu twarz. Żarty się skończyły. Holt zręcznie obrócił się na brzuch, wyrwał napastnikom pistolet i spryskał ich obficie, a potem przygwoździł do ziemi.

- Zmasakrowałem was obydwój - wydyszał.

- Poddajcie się.

Jenny wbiła mu palec pod żebro. W odpowiedzi podrapał ją po szyi dwudniowym zarostem.

- Poddaję się, poddaję się, poddaję się! - krzyknęła, krztusząc się ze śmiechu.

Tą samą bronią Holt obezwładnił Aleksa i wreszcie z satysfakcją zwycięzcy rozciągnął się wygodnie na brzuchu.

- Zabiłeś nas - przyznał Alex z pewną admiracją.

- Ale moralnie przegrałeś.

- Będziesz spać? - dopytywała się Jenny, siadając mu na plecach. - Lilah czasami śpi na trawie.

- Lilah śpi wszędzie - wymruczał Holt.

- Jak chcesz, to możesz się położyć w moim pokoju - zaoferowała dziewczynka i naraz dostrzegła bliznę na plecach Holta. - Byłeś ranny? - zapytała, dotykając jej palcem.

- Mhm.

Alex natychmiast zerwał się na nogi.

- Mogę zobaczyć?

Podciągnął mu koszulę do góry i jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. To nie był kilkucentymetrowy ślad, taki jak na nodze, tylko wielka, poszarpana narośl sięgająca od pasa aż do ramienia.

- O kurczę - jęknął chłopiec. - Biłeś się z kimś?

- Niezupełnie - skrzywił się Holt. Przypomniawszy sobie przeszywający ból i nagły rozbłysk białego światła pod powiekami. - Dopadł mnie taki jeden drań - powiedział z nadzieją, że to zaspokoi ciekawość dzieci.

Jenny przycisnęła usta do blizny.

- Teraz lepiej? - zapytała.

- Tak - powiedział Holt niewyraźnie. - Dziękuję. Usiadł i przeciągnął ręką po włosach. Dopiero teraz zauważył Suzannę, która stała o kilka kroków od nich i ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem obserwowała ostatnią scenę.

- Czy wojna już się skończyła? - zapytała z uśmiechem.

- On wygrał - oznajmił Alex.

- Ale chyba nie było to łatwe zwycięstwo?

- On ma łaskotki - zaśmiała się Jenny.

Oczy Suzanny rozbłysły.

- Ach, tak? Zapamiętam to sobie. A teraz biegnijcie szybko posprzątać tę grę, w którą graliście wcześniej.

- Mamo... - jęknął Alex, Suzanna jednak wiedziała, jak z nim postępować.

- Jeśli wy nie posprząacie, to ja to zrobię - rzekła ze złowieszczą łagodnością - ale wtedy nie dostaniecie ciasta truskawkowego.

Alex nie zastanawiał się długo.

- To ja posprzątam i zjem porcję Jenny!

- Nie! - zaprotestowała dziewczynka i obydwójce pobiegli do domu.

Holt przygarnął Suzannę do siebie.

- Masz fantastyczne dzieci.

- Chcesz pójść na spacer? - zapytała z uśmiechem. Pomyślał o liście nazwisk w kieszeni i uznał, że to może poczekać jeszcze godzinę.

Tak jak się spodziewał, poprowadziła go na urwisko.

- Holt - odezwała się, trzymając go za rękę. - Powiesz mi, dlaczego zrezygnowałeś ze służby?

Poczuła, że jego palce w jej dłoni zeszywniały.

- To stara historia - rzekł bezbarwnie, - Nie ma o czym mówić.

- Ta blizna na plecach...

- Powiedziałem, nie ma o czym mówić - uciął i sięgnął po papierosa.

- Rozumiem - rzekła Suzanna powoli. - Twoja przeszłość i twoje uczucia to nie moja sprawa.

- Tego nie powiedziałem - rzucił ze zniecierpliwieniem.

- Owszem, to właśnie powiedziałaś. Ty masz prawo wiedzieć wszystko o mnie ale ja nie mam prawa pytać o twoją przeszłość. Tak?

Spojrzał na nią z gniewem.

- Co to ma być, jakiś test?

- Możesz to nazywać, jak chcesz. Myślałam, że zacząłeś mi już ufać.

- Przecież ci ufam! Nie rozumiesz, że nie chcę tego wspominać? To dziesięć lat mojego życia. Dziesięć lat.

- Przepraszam - powiedziała cicho, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Wiem, jak potrafią boleć stare rany. Może wrócimy do domu? Znajdę ci jakąś suchą koszulę.

Holt zacisnął zęby.

- Nie - powiedział z napięciem. - Masz prawo wiedzieć. Zdenerwowałem się, bo sam nie umiem sobie z tym poradzić. Przez dziesięć lat powtarzałem sobie, że to zło, z którym ciągle się stykałem, nie może mnie dotknąć. Niektórzy koledzy zupełnie się wypalali, ale mnie to się nie mogło zdarzyć. Ale zło jest podstępne. Po jakimś czasie zaczynasz myśleć tak jak ludzie, z którymi walczysz. Zaczynasz ich rozumieć. Są rzeczy, o których nigdy ci nie opowiem. Po prostu nie chcę mieć więcej z nimi do czynienia. Chciałem znów żyć jak normalny człowiek. A ta blizna... To było rutynowe dochodzenie. Szukaliśmy drobnego dealera narkotyków, z którego chcieliśmy wydobyć parę informacji. Dowiedzieliśmy się, gdzie można go znaleźć, i dopadliśmy go. Nerwy mu puściły. Miał przy sobie towar wart dwadzieścia tysięcy, w czystej kokainie. Trzymał to pod ubraniem.

Sam też był nieźle nagrany. Spanikował. Zaszliśmy go z dwóch stron uliczki. Nie miał żadnej drogi ucieczki. Była z nim kobieta, tak samo naćpana jak on. Dźgnął ją nożem. Usłyszałem jej krzyk i pomyślałem wtedy, że widocznie ten drań nie ogranicza się tylko do

handlu. A potem skoczył na mnie z nożem w rękę.

Holt urwał i zaciągnął się papierosem.

- Strzeliłem do niego, zanim upadłem. Podobno go zabiłem. Tak mi mówili. Ja sam już tego nie pamiętam. Obudziłem się dopiero w szpitalu. Jakoś mnie pozszywali. I wtedy obiecałem sobie, że jeśli z tego wyjdę, to wrócę tutaj, Bo wiem, że gdybym jeszcze raz trafił do podobnej uliczki, to już bym tam został na zawsze. Stałbym się taki sam jak ci ludzie.

Suzanna objęła go mocno, przyciskając twarz do jego pleców.

- Czy uważasz, że to była twoja porażka?

- Sam nie wiem.

- Ja tak przez długi czas uważałam. Nikt mnie nie pchnął nożem, ale zrozumiałam, że jeśli zostanę z Baksem, to jakaś część mnie umrze na zawsze. Wybrałam przetrwanie. Czy sądzisz, że powinnam się tego wstydzic?

- Nie.

- Ja też tak myślę. Przykro mi słuchać o tym, co ci się zdarzyło, ale dzięki temu znalazłeś się tutaj.

Po chwili napięte ciało Holta zaczęło się rozluźniać. Objął ją mocno i przez dłuższy czas stali na urwisku przytuleni, nie poruszając się. W końcu na twarzy Suzanny pojawił się uśmiech.

- Nie jesteśmy tu sami - powiedziała cicho. - Oni musieli kiedyś stać w tyra samym miejscu. Holt, czy wierzysz, że przeznaczenie zatacza kręgi?

- Chyba zaczynam tak myśleć.

Powoli ruszyli w stronę domu. W pewnej chwili Holt zawahał się i zapytał niepewnie:

- Suzanno, czy po tym seansie...

- Nie martw się o seans. Mamy w Towers wyłącznie przyjazne duchy - zaśmiała się.

- Ja nie za bardzo wierzę w takie rzeczy, ale zastanawiałem się, czy... wiem, że nie lubisz zostawiać dzieci samych, ale czy mogłabyś zajrzeć do mnie na chwilę? Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

- O czym?

- O czymś - powtórzył bezradnie. - Przez godzinę, może dwie.

- Dobrze, skoro to coś ważnego. Czy chodzi o szmaragdy?

- Nie, to... Poczekał do wieczora, dobra? A teraz mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

- Nie zostaniesz na kolacji?

- Nie mogę. Niedługo wrócę - rzekł i pocałował ją szybko. Byli już przy murze ogrodu. - Zobaczymy się później.

Suzanna zmarszczyła brwi, ale w tej samej chwili ktoś zawołał ją po imieniu.

Podniosła głowę i na tarasie dostrzegła Amandę.

- Mandy! - odkrzyknęła i pobiegła przez trawnik. - Skąd się tu wzięłaś? Przecież mieliście wrócić dopiero za tydzień! Czy coś się stało?

Amanda ucałowała siostrę w oba policzki.

- Nic się nie stało. Chodź, to ci wszystko opowiem.

- Dokąd mam iść?

- Do wieży Bianki. Mamy rodzinną naradę. Lilah i C. C. czekały już na nie w wieży.

- A gdzie ciocia Coco? - zapytała Suzanna.

- Później jej wszystko powtórzemy. Na razie wyglądałoby podejrzanie, gdybyśmy ją tu przyciągnęły.

Suzanna skinęła głową i usiadła na podłodze obok Lilah.

- A więc to ma być narada kobiet?

- Zasłużyli sobie na to - parsknęła C. C. , składając ramiona na piersiach. - Oni sami już od paru dni knują coś za naszymi plecami.
- Max z całą pewnością chowa coś w rękawie - przytaknęła Lilah. - Stara się wyglądać jak wcielenie niewinności, ale ciągle siedzi na budowie.
- Może uczy się układać cegły? - zapytała Suzanna ironicznie.
- Gdyby chciał się tego nauczyć, miałby już dwadzieścia książek na ten temat - prychnęła Lilah.
- A dzisiaj po południu, gdy wracałam z pracy, widziałam Trenta i Holta. Siedzieli w altanie i pili piwo. Wyglądało to bardzo niewinnie, ale coś się między nimi działo.
- Wiedzą coś, o czym nie chcą nam powiedzieć.
- Suzanna zamyśliła się, postukując palcami w kolano. Ona też odnosiła wrażenie, że dzieje się coś ważnego, ale dotychczas Koltowi skutecznie udawało się odciągać jej uwagę w inną stronę.
- Dwa dni temu Sloan i Trent rozmawiali przez telefon chyba z pół godziny, przy czym Sloan tylko mamrotał w słuchawkę jakieś monosylaby. A potem powiedział mi, że są jakieś kłopoty z materiałami i musi się tym zająć osobiście - relacjonowała Amanda. - Myślał, że jestem taka głupia i kupię tę bajeczkę. Chcą nas trzymać z dala od wydarzeń.
- Jeszcze czego - mruknęła C. C. - Moim zdaniem powinniśmy teraz zejść na dół i zażądać, żeby nam powiedzieli wszystko, co wiedzą. Jeśli Trentowi się wydaje, że ja usiedzę spokojnie na miejscu, podczas gdy on będzie zajmował się rodzinnymi sprawami Calhounów, to w życiu się tak nie pomylił.
- Zastanówmy się, co z tego wszystkiego wynika - powiedziała Suzanna. - Ściągnęli Sloana, więc chyba sądzą, że sprawa zbliża się do rozwiązania. Gdyby wiedzieli, gdzie są szmaragdy, to na pewno nie trzymaliby tego w tajemnicy.



Amanda przeszła się po pokoju.

- Pamiętacie, co się działo, gdy chcieliśmy szukać jachtu, z którego Max wyskoczył?

Sloan zagroził, że... zaraz, co to takiego było? Aha, że przywiąże mnie do słupka przy płocie, jeśli przyjdzie mi do głowy szukać Livingstona na własną rękę.

- Trent w ogóle nie chce ze mną rozmawiać o Livingstonie - poskarżyła się C. C. , marszcząc nos.

- Uważa, że w moim stanie nie powinnam się denerwować.

- Holt mówi, że Livingston gra w innej lidze niż my. My - powtórzyła Suzanna, wskazując na siostry.

- Nie oni.

Amanda zatrzymała się i postukała butem o podłogę.

- Musimy się dowiedzieć, co oni wiedzą. Macie jakieś sugestie?

- Dziel i rządź - uśmiechnęła się Suzanna. - Każda z nas niech spróbuje wydobyć jakieś informacje od swojego mężczyzny, a potem znów się tutaj spotkamy i porównamy wersje. Może uda się jakoś poskładać je w całość.

- Biedni chłopcy nie mają żadnych szans - pokręciła głową Lilah.

- A gdy będzie już po wszystkim - dodała Suzanna - to może wreszcie uwierzą, że kobiety z rodziny Calhounów potrafią dać sobie radę same.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Holt jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie głupio. Miał wziąć udział w seansie wywoływania duchów.

- Rozluźnij się. To przecież nie pluton egzekucyjny - powiedziała Suzanna dobrotliwie, poklepując go po policzku.

- To zupełny idiotyzm - skrzywiła się Colleen, siedząca u szczytu stołu. - Gadanie z

duchami. Bzdury. - Wyciągnęła palec wskazujący w stronę Coco. - A ty, gdybyś miała choć odrobinę rozumu, to nie pakowałabyś dziewczynom do głów takich rzeczy.

Coco, siedząca naprzeciwko niej, jak zwykle skurczyła się pod groźnym wzrokiem ciotki, ale mężnie odrzekła:

- To nie są żadne bzdury. Sama zaraz zobaczysz.

- Na razie widzę tylko bandę pomyleńców - Prychnęła Colleen i zatrzymała wzrok na portrecie Bianki wiszącym nad kominkiem. - Dam ci za ten obraz dziesięć tysięcy - zwróciła się do Holta, ale on tylko wzruszył ramionami. Colleen molestowała go już od paru dni.

- Nie jest na sprzedaż.

- Zresztą ten portret i tak jest wart więcej - wtrąciła Lilah, spoglądając na Maksa. -

Prawda, profesorze?

Max odchrząknął.

- Prawdę mówiąc, tak. Wczesne prace Christiana Bradforda rosą w cenie. Dwa lata temu w Sotheby's sprzedano jeden z jego pejzaży za trzydzieści pięć tysięcy.

- Kim ty jesteś, jego agentem? - parsknęła Colleen, Max stłumił uśmiech.

- Nie, proszę pani.

- To siedź cicho. Piętnaście tysięcy i ani grosza więcej.

- Nie interesuje mnie to - odrzekł spokojnie Holt.

- Może przejdziemy wreszcie do rzeczy - odezwała się Coco nieśmiało. - Amando, skarbie, zapal świece. Teraz musimy oczyścić umysły z niepokoju i wątpliwości i skupić się na Biance. - Popatrzyła po wszystkich twarzach po kolei. - Weźmy się za ręce.

Holt mruknął coś niewyraźnie, ale ujął dłonie Suzanny i Lilah.

- Skupmy się na obrazie - szepnęła Coco, przymykając oczy. - Ona jest tu blisko. Chce nam pomóc.

Holt pozwolił myślom dryfować. Dzięki temu mógł na chwilę zapomnieć, gdzie się znajduje i co robi. Próbował sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy Suzanna przyjdzie do niego wieczorem. Kupił świece o jaśminowym zapachu, w lodówce chłodził się szampan, a na szafce stały dwa nowe, smukłe kieliszki. Pudełko od jubilera parzyło go przez kieszeń spodni. Miał zamiar wreszcie uczynić ten krok. Powie jej wszystko, co zamierzał. Będzie grała muzyka. Suzanna otworzy pudełeczko, zajrzy do środka...

Na jej dłoniach rozblęły szmaragdy. Holt zmarszczył czoło. Coś się nie zgadzało. Nie kupił jej przecież szmaragdów. Obraz jednak był niezmiernie wyraźny. Suzanna klęczała na podłodze ze szmaragdami w ręku. Trzy iskrzące się rzędy kamieni, otoczone lodowatymi brylantami, a pośrodku pojedynczy, zwisający klejnot w kształcie łzy.

Naszyjnik Calhounów. Holt poczuł na karku lodowaty dreszcz. Widział przecież zdjęcie, które Max znalazł w bibliotece. Wiedział, jak ten naszyjnik wyglądał. To przez tę atmosferę, pomyślał.

Ale gdy przymknął oczy i jeszcze raz spróbował pomyśleć o Suzannie, znów zobaczył ten sam obraz. Suzanna klęczała na podłodze, a naszyjnik zwieszał się z jej dłoni. Naraz Holt poczuł dotyk czyjejś ręki na ramieniu. Obejrzał się, ale nikogo za nim nie było. Włosy stanęły mu dęba. To jakieś bzdury, pomyślał. Czas już skończyć ten nedorzeczny seans.

- Słuchajcie - powiedział i w tej samej chwili portret Bianki z hukiem spadł ze ściany.

Coco z piskiem poderwała się z krzesła.

- Och, mój Boże!

Amanda już pochylała się nad obrazem.

- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało - powiedziała z troską.

- Myślę, że nie - rzekła uspokajająco Lilah. - A ty? - spojrzała na Holta.

Jej przenikliwy wzrok sprawił, że Holt poczuł się nieswojo. Spojrzał na Suzannę. Jej

ręka w jego dłoni wydawała się lodowata.

- Co się stało? - zapytał z niepokojem.

- Nic. - Wzdrygnęła się. - Sprawdźmy lepiej, w jakim stanie jest portret.

Sloan przesunął palcem po ramie.

- Jest pęknięta. Nie rozumiem, dlaczego ten obraz spadł. Haki przecież są mocne.

Holt również pochylił się nad obrazem i zauważył szczelinę między ramą a plecami obrazu.

- Tu coś jest - zdziwił się. - Pod płótnem. Podniósł obraz i położył go na stole.

- Dajcie mi jakiś nóż.

Sloan podał mu scyzoryk. Holt ostrożnie podważył pękniętą ramę i wyjął kilka arkuszy papieru. Coco przycisnęła ręce do ust.

- To pismo mojego dziadka - powiedział wstrząśnięty Holt, podnosząc wzrok na Suzannę. - Wygląda to na dziennik. Jest data: 1965.

Coco położyła rękę na jego ramieniu.

~ Trent, czy mógłbyś nalać wszystkim brandy? Ja zaparzę herbatę dla C. C.

Holt miał nadzieję, że alkohol pomoże mu się uspokoić. Na razie patrzył na papiery i widział przed oczami twarz swojego dziadka. Gdy Suzanna położyła rękę na jego dłoni, mocno pochwycił jej palce.

- To było tu przez cały czas, a ja nic o tym nie wiedziałem.

- Nie mogłeś wiedzieć - odrzekła cicho. - Tak musiało być. Aż do tego wieczoru. W niektóre rzeczy po prostu trzeba uwierzyć.

- Coś się tutaj stało - zauważył. - Jesteś zdenerwowana.

- Później ci powiem.

Coco przyniosła herbatę i znów usiadła na miejscu.

- Holt, zapiski dziadka są twoją własnością. Nikt nie będzie cię pytał o ich treść, jeśli sam nie zechcesz nam powiedzieć.

Znów spojrzął na papiery i podniósł pierwszą kartkę.

- Przeczytamy to razem - zdecydował i poczuł mocny uścisk dłoni Suzanny. - Od chwili gdy ją zobaczyłem, moje życie zmieniło się nieodwracalnie...

Nikt się nie odezwał, dopóki Holt nie doszedł do końca, ale wszyscy znów utworzyli łańcuch rąk. Po ostatnim zdaniu jeszcze przez dłuższą chwilę w jadalni panowała cisza.

Pierwsza odezwała się Lilah.

- Nigdy nie przestał jej kochać - powiedziała. - Próbuję sobie wyobrazić, jak musiał się czuć, gdy tu przyszedł i dowiedział się, że ona nie żyje...

- Ale miał rację - stwierdziła Suzanna ze łzami w oczach. - Ona nie odebrała sobie życia. Nie mogłaby tego zrobić. Przede wszystkim musiała chronić swoje dzieci.

- Nie, ona nie wyskoczyła z wieży - szepnęła Colleen. - Nigdy nikomu nie opowiadałam o tamtej nocy. Czasami przychodziło mi do głowy, że to wszystko tylko mi się przyśniło, że to był okropny, koszmarny sen.

Z determinacją otarła oczy i zaczęła mówić głośniej.

- Christian ją rozumiał. Znal ją dobrze. Gdyby jej nie znał, toby tak o niej nie pisał.

Była piękna, ale również dobra. Nigdy nikt mnie nie kochał tak jak matka, I nikogo nie nienawidziłam tak jak ojca.

Wyprostowała się, jakby z jej ramion zsunął się jakiś ciężar.

- Byłam za mała, żeby zrozumieć jej desperację i to, jak bardzo była nieszczęśliwa. W tamtych czasach mężczyzna był władcą domu i rodziny. Mógł robić, co chciał. Nikt nie ośmielał się przeciwstawić mojemu ojcu. Ale pamiętam dzień, gdy mama przyniosła do domu szczeniaka, a ojciec nie chciał się zgodzić, żebyśmy go zatrzymali. Mama wysłała nas na

górze, ale ja schowałam się na schodach i podsłuchiwałam. Wtedy po raz pierwszy słyszałam, jak podniosła na niego głos. Była bardzo dzielna, a on mówił okrutne rzeczy. Wtedy nie rozumiałam słów, jakimi ją nazywał.

Urwała na chwilę i wypła trochę brandy.

- Stała w mojej obronie, choć ojciec ledwie mnie tolerował, bo byłam dziewczynką.

Gdy po kłótni wyjechał z domu, modliłam się, żeby już nigdy nie wrócił. Następnego dnia matka powiedziała mi, że wyjedziemy w podróż. Braciom nic nie powiedziała, ale ja byłam najstarsza. Mówiła mi, że zawsze będzie się o nas troszczyć i nic złego nie może się nam stać.

A potem on wrócił. Widziałam, że mama była bardzo zdenerwowana i przerażona.

Kazała mi czekać w sypialni, dopóki po mnie nie przyjdzie. Ale nie przyszła. Zrobiło się późno i nadeszła burza. Chciałam być przy mamie. - Colleen zacisnęła usta. - Nie było jej w pokoju, więc poszłam do wieży, bo wiedziałam, że często tam przesiadywała. Usłyszałam ich na schodach. Okropnie się kłócili. Drzwi były otwarte. Ojciec szalał, a ona mówiła mu, że nie będzie dłużej z nim żyła i że nic od niego nie chce oprócz dzieci i wolności.

Colleen drżała na całym ciele. Coco ujęła ją za rękę.

- Uderzył ją. Usłyszałam kłaśnięcie i podbiegłam do drzwi, ale bałam się wejść do środka. Trzymała rękę przy policzku. Oczy jej płonęły, ale nie ze strachu, a z wściekłości. Zawsze będę pamiętać, że wtedy, na koniec, nie było w niej lęku. On straszył ją skandalem, krzyczał, że jeśli opuści jego dom, to już nigdy nie zobaczy żadnego z dzieci. Że nie pozwoli, by zrujnowała jego reputację. Ale ona nie błagała ani nie szlochała, tylko odpowiadała mu twardymi słowami. Była wspaniała. Krzyczała, że nie pozwoli odebrać sobie dzieci i nie dba o skandal. Nic ją nie obchodzi, co ludzie o niej pomyślą. Zabierze dzieci i zacznie nowe życie, w którym i ona, i jej dzieci będą kochane. Myślę, że to rozwścieczyło go najbardziej: myśl, że ona woli innego mężczyznę od niego, Fergus Calhouna. Że odrzuca jego pieniądze i

pozycję i nie chce ugiąć się przed jego żądaniami. Pochwycił ją w pól, podniósł do góry i potrząsnął z wściekłością. Twarz miał czerwoną, nabrzmiąłą. Chyba krzyknęłam, a ona usłyszała mnie i zaczęła walczyć. Uderzyła go, a on cisnął ją na bok i usłyszałam brzęk szkła. Zaryczał jak zwierzę i podbiegł do okna, ale było już za późno. Nie mam pojęcia, jak długo tam stał. Przez rozbite okno do środka wpadał deszcz i wiatr. Gdy się wreszcie odwrócił, twarz miał białą jak papier, a oczy szkliste. Przeszedł obok mnie, ale mnie nie zauważył. Podeszłam do rozbitego okna i patrzyłam w dół, dopóki niania mnie stamtąd nie zabrała. Coco ucałowała jej białe włosy.

- Chodź ze mną, moja droga. Zabiorę cię na górę. Lilah przyniesie ci herbatę.

- Tak, zaraz zaparzę - powiedziała Lilah, ocierając policzki. - Max?

- Idę z tobą.

Objął ją i wyszli z jadalni tuż za Coco i Colleen.

- Biedna mała Colleen - westchnęła Suzanna w samochodzie, opierając głowę na ramieniu Holta. - Przez całe życie musiała nieść to koszmarne wspomnienie. Gdy pomyślę o Jenny...

- Cicho. - Położył dłoń na jej dłoni, - Tobie się udało. Biance nie. Wiedziałaś o tym wcześniej, prawda? Zanim jeszcze Colleen opowiedziała nam tę historię.

- Wiedziałam, że nie popełniła samobójstwa. Nie wiem skąd, ale byłam tego pewna. A dzisiaj wieczorem czułam, że ona stoi tuż za mną.

Holt pomyślał o własnych odczuciach.

- Może rzeczywiście stała - odrzekł. - Po takim wieczorze trudno mi uwierzyć, że ten obraz spadł przypadkowo.

Byli już przed jego domem. Holt zatrzymał samochód i pochylił się w bok tuż przed twarzą Suzanny.

- Co ty robisz?

- Otwieram ci drzwi. Gdybym wysiadł, żeby to zrobić od zewnątrz, to na pewno byś nie poczekała.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się z rozbawieniem. Holt przekręcił klucz w drzwiach domu i te również przed nią otworzył.

- Dziękuję - powtórzyła znowu, ze wszystkich sił hamując śmiech. Weszła do środka i rozejrzała się z zaskoczeniem.

- Jakoś tu inaczej teraz wygląda.

- Posprzątałem - mruknął ze skrepowaniem.

- Och. Bardzo tu teraz ładnie. Posłuchaj, czy myślisz, że Livingston wciąż jest na wyspie?

~ Dlaczego pytasz? Czy coś się stało? - zapytał natychmiast.

- Nic, tylko po prostu zastanawiałam się, gdzie mógł się zatrzymać i jaki może być jego następny ruch. - Nieobecny gestem powiodła palcem po jednej ze świec, które tak starannie wybrał. - Masz jakieś pomysły?

- Skąd mam wiedzieć, co on zrobi?

- Jesteś ekspertem w kryminalistyce.

- Powiedziałem ci przecież, żebyś zostawiła Livingstona mnie.

- A ja ci mówiłam, że to niemożliwe. Może sama trochę się porozglądam.

- Spróbuj tylko, to zakuję cię w kajdanki i zamknę w szafie.

- Nie robiłabym tego, gdybyś podzielił się ze mną wszystkim, co wiesz i co myślisz.

- Co ci strzeliło do głowy? Wzruszyła ramionami.

- Skoro mamy wolną chwilę, to możemy o tym porozmawiać.

- Posłuchaj, może byś wreszcie usiadła? - zniecierpliwił się, wyciągając z kieszeni



zapalniczkę.

- Co ty robisz?

- A jak ci się wydaje? Zapalam świece! Suzanna usiadła i złożyła dłonie w trójkąt.

- Skoro tak się denerwujesz, to pewnie coś wiesz. Jak blisko jesteś?

Holt włączył instrumentalny utwór na saksofon i zdecydował się przekazać jej część prawdy.

- Nie jestem nigdzie. Ale myślę, że on jest gdzieś w pobliżu, bo przed paroma tygodniami włamał się tutaj i przeglądał moje rzeczy.

Suzanna poderwała się gwałtownie.

- Co takiego?! I nic mi o tym nie powiedziałaś?

- A co mogłabyś zrobić? - Wzruszył ramionami. - Szukać jego śladów ze szkłem powiększającym?

- Miałam prawo o tym wiedzieć!

- To teraz się dowiedziałaś. Usiądź wreszcie, dobrze? Ja zaraz wrócę.

Wyśliznął się z pokoju, a Suzanna zaczęła nerwowo chodzić od ściany do ściany. Holt nie powiedział jej wszystkiego, tego była pewna. Livingston jest gdzieś bardzo blisko, na tyle blisko, że dowiedział się o związku Holta ze szmaragdami. Była pewna, że czegoś jeszcze uda jej się dowiedzieć tego wieczoru.

Poczuła zapach jaśminu płynący od świec i uśmiechnęła się do siebie. Po chwili zauważyła również kalie, niezbyt zręcznie ułożone w wazonie. Zaczął lubić kwiaty, pomyślała, choć bardzo się starał udawać, że nic go nie obchodzi.

Gdy wrócił, zmarszczyła brwi ze zdziwieniem.

- Co to jest, szampan?

- Tak - mruknął Holt. Powinna być oczarowana, tymczasem na jej twarzy odbijało się

wyłącznie niedowierzanie. - Chcesz trochę czy nie?

- Jasne - rzekła bez urazy i nieobecny gestem stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek. -

Jeśli jesteś pewny, że tym włamywaczem był Livingston, to myślę, że...

- Jeszcze jedno słowo - rzekł Holt podejrzanie spokojnym tonem. - Jeszcze jedno słowo na temat Livingstona i wyleję ci tego szampana na głowę.

Zamilkła, bo wiedziała, że on jest w stanie spełnić tę groźbę.

- Chcę tylko uzyskać jasny obraz - dodała nieśmiało.

Holt jęknął z frustracją i obrócił się na pięcie.

- Chcesz uzyskać jasny obraz, a jesteś ślepa jak kret! Wyniosłem szuflę z tego domu dwumiesięczny kurz, kupiłem kwiaty i świece i jeszcze musiałem wysłuchać wykładu jakiegoś palanta w sklepie na temat win! Masz jasny obraz!

- Holt...

- Usiądź i zamknij się wreszcie. Powinienem wiedzieć, że to się nie uda. Bóg jeden wie, dlaczego zachciało mi się urządzać to właśnie w taki sposób.

Suzanna wreszcie doznała oświecenia. Holt przygotował scenę, a ona w ogóle tego nie zauważyła, zbyt zaabsorbowana własnymi myślami.

- Holt, wspaniale wszystko przygotowałeś. Przykro mi, że nie dostrzegłam tego od razu. Jeśli chciałeś przyprowadzić mnie tu dzisiaj po to, żebyśmy mogli pójść do łóżka...

- Nie chcę iść z tobą do łóżka - warknął. - To znaczy oczywiście chcę, ale nie o to mi chodziło. Próbuję cię zapytać, czy za mnie wyjdiesz, więc czy mogłabyś wreszcie usiąść, do cholery!

Osunęła się na krzesło, co przyszło jej tym łatwiej, że nogi i tak się pod nią ugięły.

- Doskonale. - Wypił szampana jednym haustem i teraz on zaczął chodzić po pokoju. -

Doskonale. Próbuję ci powiedzieć, że zupełnie zwariowałem na twoim punkcie i że nie mogę

bez ciebie żyć, a ty przez cały czas wypytujesz mnie o jakiegoś złodzieja maniaka.

- Przepraszam.

- Masz rację, że przepraszasz. Niewiele brakowało, a zrobiłbym z siebie idiotę, ale nie dałaś mi okazji. Byłem w tobie zakochany od zawsze. Nigdy nie udało mi się ciebie zapomnieć. Sprawiałaś, że wszystkie inne kobiety stały się mi całkiem obojętne. Za każdym razem, gdy próbowałem się do którejś zbliżyć, okazywało się, że nic z tego nie będzie, bo to nie byłaś ty.

- Kiedyś myślałam, że mnie nie lubisz - wyjąkała Suzanna.

- Nie mogłem cię znieść. Za każdym razem, gdy cię widziałem, miałem ochotę cię udusić, bo wydawałaś mi się zupełnie nieosiągalna.

Suzanna patrzyła w swój kieliszek.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego nigdy wcześniej?

Holt przysiadł na poręczu jej fotela i zajrzał jej w twarz.

- Nie da się cofnąć czasu. Obydwoje w ostatnich latach przeżyliśmy to, co przeżyliśmy. Ale kocham cię, nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie, i chcę stworzyć lepszą przyszłość nam obojgu i dzieciom.

Oczy Suzanny pociemniały.

- To może nie być takie łatwe. W świetle prawa Bax zawsze będzie ich ojcem.

- Ale to ja będę je kochał. Nie będę nimi manipulował, żeby zrobić tobie na złość.

Myślę, że poradzę sobie z rolą ojca, ale nie chcę, żebyś za mnie wychodziła ze względu na dzieci.

Suzanna wzięła głęboki oddech, zdziwiona własnym spokojem.

- Nigdy nie sądziłam, że jeszcze kogoś pokocham, ani nie planowałam wychodzić po raz drugi za mąż. Dopiero ty to zmieniłeś - uśmiechnęła się. - Może nie kocham cię dłużej niż

ty mnie, ale na pewno nie mniej.

Holt porwał ją w ramiona i wtulił usta w jej szyję.

- Tylko mi teraz nie mów, że potrzebujesz czasu do namysłu - wymruczał.

- Nie potrzebuję czasu do namysłu. Wyjdę za ciebie - odrzekła natychmiast.

Leżeli na podłodze wśród pomiętych ubrań. W końcu Suzanna uniosła nieco głowę.

- Może lepiej, że nie próbowaliśmy tego robić dwanaście lat temu.

Holt powoli rozchylił powieki i przyjrzał się jej twarzy w blasku świec.

- Suzanna.

Przyciągnął ją do siebie i spróbował przetoczyć się na bok, ale naraz skrzywił się boleśnie i zaklął pod nosem.

- To twoja wina - powiedział oskarżycielsko.

- Co takiego? - zdziwiła się.

- Bo miałaś siedzieć w fotelu i słuchać mojej romantycznej przemowy, a nie tarzać się ze mną po podłodze. - Wyciągnął spod siebie dzinsy i sięgnął do kieszeni. - A potem ja miałem uklęknąć przed tobą na jedno kolano.

Szeroko otwartymi oczami patrzyła na pudełeczko z emblematem jubilera.

- Chyba żartujesz.

- Wcale nie żartuję. Czułbym się jak idiota, ale zrobiłbym to. Twoja własna wina, że leżysz teraz nago na podłodze.

- Kupiłeś mi pierścionek - szepnęła, oszołomiona.

- Przecież jeszcze nie wiesz, co tam jest - zniecierpliwił się. - Może żaba?

Nie mogąc doczekać się jej reakcji, sam otworzył wieczko. Suzanna bez słowa wpatrywała się przez chwilę w zawartość pudełka. Zniechęcony Holt wzruszył w końcu ramionami.

- Nie chciałem kupować ci brylantów, bo brylanty już miałaś. Myślałem o szmaragdach, ale te i tak będziesz miała. A to przypomina kolorem twoje oczy.

Malutkie brylanciki ułożone w kształt serca otaczały piękny szafir o głębokim blasku.

Holt zauważył łzę spływającą po policzku Suzanny i poczuł się nieswojo.

- Jeśli ci się nie podoba, to możemy go oddać. Zabiorę cię do sklepu i wybierzesz sobie, co zechcesz.

Podniosła na niego wzrok.

- Jest piękny - szepnęła, ocierając łzę wierzchem dłoni. - Jest taki piękny, i kupiłeś mi go, bo mnie kochasz. Kiedy go nałożę, już na zawsze będę twoja.

Oparł czoło o jej czoło. To były słowa, które od dawna pragnął usłyszeć. Wyjął pierścionek z pudełka i wsunął jej na palec.

- Jesteś moja - rzeki, całując ją. - Na zawsze.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Suzanna zabrała dzieci ze sobą do sklepu. Nie mogła oznajmić nowiny rodzinie, dopóki nie wysondowała uczuć Aleksa i Jenny. Dzień był upalny i spodziewała się dużego ruchu, toteż przyjechali na całą godzinę przed otwarciem. Trzeba było zajrzeć do niedawno posianych ziół.

Cała trójka poszła do szklarni i zajęła się podlewaniem kielków. Dzieci jak zwykle kłóciły się o to, czyje rośliny urosną większe i silniejsze.

- Lubicie Holta? - zapytała w pewnej chwili Suzanna.

- Jest fajny - odrzekł krótko Alex.

- Czasem bawi się z nami - dodała Jenny, przestępując z nogi na nogę w oczekiwaniu na swoją kolejkę przy wężu do podlewania. - Lubię, kiedy mnie podrzuca do góry.

Suzanna rozluźniła się nieco.

- Ja też go lubię.

- A czy ciebie też podrzuca? - zaciekała się Jenny.

- Nie - roześmiała się jej matka. Alex niechętnie oddał siostrze wąż.

- Mógłby i ciebie podrzucać. Przecież ma takie wielkie mięśnie. Pozwolił mi dotknąć - pochwalił się i zaprezentował własne bicepsy. Suzanna dotknęła ich z szacunkiem.

- Ależ jesteś silny!

- On też tak powiedział - ożywił się chłopiec. Suzanna nerwowo wytarła dłonie o spodnie.

- Zastanawiałam się... Czy chcielibyście, żeby Holt zamieszkał z nami na zawsze?

- Ja bym chciała! - zawołała Jenny. - On się z nami bawi nawet wtedy, gdy go nie prosimy!

Suzanna spojrzała na syna.

- A ty, Alex?

Chłopiec zmarszczył brwi i przestąpił z nogi na nogę.

- Czy weźmiecie ślub tak jak C. C. i Amanda?

- Myślałam o tym. A ty jak uważasz?

- I znowu musiałbym włożyć ten głupi garnitur i muszkę?

Pogładziła go po policzku z uśmiechem ulgi.

- Chyba tak.

- A czy on byłby naszym wujkiem, tak jak Trent i Sloan, i Max? - zapytała Jenny.

- Nie, byłby waszym ojczymem. Rodzeństwo wymieniło spojrzenia.

- I nadal by nas lubił?

- Oczywiście, że tak, Jenny.

- A czy musielibyśmy przeprowadzić się do jakiegoś innego domu?

- Nie. On zamieszkałby z nami w Towers albo wszyscy moglibyśmy się przenieść do jego domku. Bylibyśmy rodziną.

Alex zastanawiał się jeszcze nad czymś.

- A czy on byłby również ojczymem Kevina? Suzanna miała ochotę go ucałować, odrzekła jednak:

- Nie. Megan jest mamą Kevina. Jeśli pewnego dnia zakocha się i wyjdzie za mąż, to Kevin będzie miał ojczyma.

- A czy ty się zakochałaś w Holcie? - pytała Jenny.

- Tak. - Zauważyła, że Alex poruszył się niespokojnie, i przesłała mu uśmiech. -

Chciałabym za niego wyjść za mąż, żebyśmy wszyscy mogli mieszkać razem, ale Holt i ja chcieliśmy najpierw was zapytać, co o tym myślicie.

- Ja go lubię, bo nosi mnie na barana - powiedziała Jenny jeszcze raz.

Alex zachował większą rezerwę.

- Chyba jest w porządku - mruknął. Suzanna podniosła się.

- Możemy porozmawiać o tym jeszcze później. A teraz chodźcie.

Wyszli ze szklarni i zobaczyli na parkingu samochód Holta. Co prawda umówił się z Suzanną dopiero na lunch, ale nie był w stanie dłużej czekać.

- Cześć - powiedział na ich widok, starając się przybrać swobodny wyraz twarzy.

- Cześć - uśmiechnęła się Suzanna, trzymając dzieci za ręce.

- Pomyślałem, że wstąpię i... jak wam leci? Jenny przytuliła się mocniej do matki.

- Mama mówi, że weźmiecie ślub i ty zostaniesz naszym ojczymem, i zamieszkas z nami.

- Taki jest plan - zgodził się Holt.

Alex mocniej zacisnął palce na dłoni matki.

- A będziesz na nas krzyczał?

Holt szybko zerknął na Suzannę, po czym przykucnął obok chłopca.

- Może, jeśli to będzie konieczne.

Ta odpowiedź wzbudziła w chłopcu większe zaufanie niż bezwarunkowe „nie”.

- A będziesz nas bić? - sondował, przypominając sobie klapsy, które dostawali podczas wakacji z ojcem. Raniły przede wszystkim jego dumę, i były bardzo niedobrym wspomnieniem.

Holt ujął chłopca pod brodę i zajrzał mu w oczy.

- Nie - rzekł stanowczo. - Ale może powieszę was za kciuki albo usmażę w oleju. A jeśli bardzo mi zajdziecie za skórę, to zwiążę was i wsadzę do mrowiska.

Usta Aleksa zadrgały w uśmiechu, ale przesłuchanie nie było jeszcze zakończone.

- A czy mama będzie przez ciebie płakać?

- Alex - odezwała się Suzanna ostro, ale Holt powstrzymał ją ruchem ręki.

- Może się tak zdarzyć, jeśli zachowam się głupio. Bardzo ją kocham i chciałbym, żeby była szczęśliwa, ale nie jestem pewien, czy zawsze mi się to uda.

Alex zmarszczył brwi z namysłem.

- A będziecie się tak ciągle całować? Odkąd Trent, Sloan i Max mieszkają z nami, ciągle ktoś się całuje.

Twarz Holta rozjaśniła się uśmiechem.

- Tak, będziemy się ciągle całować.

- Ale będziesz to robił tylko dlatego, że mama to lubi? - zapytał chłopiec z nadzieją.

- Przykro mi, ale ja też to lubię.

- Jezu! - zawołał Alex zrozpaczony.

- Zrób to teraz! - zachichotała Jenny. - Pocałuj mamę. Chcę to zobaczyć.



Holt przyciągnął Suzannę do siebie. Gdy odsunął twarz od jej twarzy, Alex był czerwony jak burak, a Jenny klaskała w dłonie.

- Może to okropne, co powiem, ale pewnego dnia ty też to polubisz - zauważył Holt.

- Wolałbym zjeść żabę.

Mężczyzna ze śmiechem porwał go na ręce i poczuł się szczęśliwy, gdy Alex objął go za szyję.

- Ciekaw jestem, czy powtórzysz to samo za dziesięć lat!

- A mnie się to podoba - stwierdziła Jenny, ciągnąc go za nogawkę spodni. - Mnie też pocałuj.

Podniósł ją drugą ręką i ucałował małe, stulone usteczka. Wielkie, niebieskie oczy dziewczynki rozjaśniły się.

- Ale mamę całowałeś inaczej - zaprotestowała.

- Bo ona jest mamą, a ty małą dziewczynką. Podobał jej się jego zapach. Przesunęła ręką po policzku Holta i rozczarowało ją odkrycie, że jest gładko wygolony.

- Czy mogę mówić do ciebie: tatusiu? Serce Holta zamarto w piersi.

- Och... jasne. Jeśli tego chcesz.

- „Tatus” to dobre dla małych dzieci - stwierdził Alex z niesmakiem. - Ale możesz być tatą.

Holt spojrzał na Suzannę.

- Dobrze - powiedział. - Dobrze.

Żałował, że nie może spędzić z nimi całego dnia, ale miał kilka rzeczy do zrobienia.

Teraz musiał chronić rodzinę, swoją rodzinę. Wcześniej dzwonił do Portland i teraz czekał na rezultaty sprawdzenia nazwisk z listy Trenta. Tymczasem połączył się z wydziałem komunikacji, biurem zajmującym się kartami kredytowymi oraz urzędem skarbowym. Bez

większych skrupułów podawał wszędzie swój stary numer służbowy i stopień.

Informacje, jakie uzyskał, oraz instynkt sprawiły, że wykreślił z listy dwa z czterech nazwisk. Czekał na kolejny telefon, zagłębił się jeszcze raz w zapiski dziadka. Dobrze rozumiał uczucia, jakie kryły się pod tymi słowami. Czy to był przypadek, czy kaprys przeznaczenia, że tak wiele łączyło Suzannę z prababką?

Brylanty Suzanny, szmaragdy Bianki, myślał, postukując palcami w kolano. Suzanna ukryła swoje klejnoty w torbie z pieluchami. Gdzie mogła je schować Bianca?

Gdy zadzwonił telefon, Holt natychmiast pochwycił słuchawkę i już po chwili był prawie pewien, że znalazł człowieka, którego szukał. Zabrał pistolet z sypialni i przypiął kaburę do paska. W piętnaście minut później był już w zachodnim skrzydle Towers. Znalazł Sloana w dopiero co wykończonym dwupokojowym apartamencie. Wszędzie dokoła unosił się zapach drewna i męskiego potu. Sloan, w samych dżinsach i z pasem na narzędzia, nadzorował budowę nowej klatki schodowej.

- Nie wiedziałem, że architekci też używają młotków - zdziwił się Holt.

- Ta praca interesuje mnie osobiście - uśmiechnął się Sloan.

Holt pokiwał głową, przyglądając się robotnikom.

- Który to jest Marshall?

Sloan natychmiast zrozumiał i zdjął pas.

- Pracuje na drugim piętrze.

- Chciałbym zamienić z nim parę słów.

- Pójdę z tobą - powiedział Sloan z dziwnym błyskiem w oku. Gdy oddalili się od robotników, zapytał:

- Myślisz, że to ten?

- Robert Marshall wystąpił o prawo jazdy w stanie Maine dopiero sześć tygodni temu.

Nigdy nie płacił podatków pod tym nazwiskiem i numerem ubezpieczeniowym, którego teraz używa. Pracodawcy raczej nie przeprowadzają dochodzenia w urzędzie skarbowym ani w urzędzie komunikacji, gdy kogoś zatrudniają.

Sloan zaklął. Wciąż miał przed oczami obraz Amandy uciekającej przed uzbrojonym w pistolet mężczyzną.

- Ja dobiore się do niego pierwszy - zastrzegł.

- Rozumiem twoje uczucia, ale będziesz musiał trochę się pohamować.

Akurat, pomyślał Sloan i przywołał do siebie brygadzystę.

- Marshall - rzekł krótko.

- Bob? - Mężczyzna ściągnął chustkę z szyi i otarł nią twarz. - Minąłeś się z nim.

Dopiero co kazałem mu zawieźć Ricka na pogotowie. Rick skaleczył się w kciuk i trzeba mu było założyć szwy.

- Jak dawno to było?

- Może dwadzieścia minut temu. Ale dałem im wolne do końca dnia, bo i tak nie zdążyliby wrócić przed czwartą. Jest jakiś problem?

- Nie - rzekł Sloan powoli. - Daj mi znać, jak tam palec Ricka.

Brygadzysta skinął głową i odszedł.

- Potrzebuję jego adresu - powiedział Holt.

- Trent ma wszystkie papiery. Chcesz się skontaktować z porucznikiem Koogarem?

- Nie - rzekł Holt krótko. Sloan ze zrozumieniem pokiwał głową.

Znaleźli Trenta w prowizorycznym biurze urządzonym na pierwszym piętrze.

Rozmawiał przez telefon, ale na widok ich twarzy szybko powiedział:

- Zadzwoń później - i odłożył słuchawkę.

- Kto to jest? - zapytał bez żadnych wstępów.

- Używa nazwiska Robert Marshall - odrzekł Holt. - Brygadzysta puścił go dziś

wcześniej do domu. Potrzebny mi jego adres.

Trent bez komentarza wyciągnął z szafki teczkę z papierami.

- Max też powinien o tym wiedzieć. Jest teraz na górze.

- To idźcie po niego - rzucił Holt, patrząc na arkusz z informacjami o Marshallu.

Dom, którego szukali, znajdował się na skraju wioski. Po dłuższym stukaniu drzwi

otworzyła im zgarbiona staruszka, która wyglądała, jakby była niespełna rozumu.

- Czego chcecie? - zapytała. - Nie kupię żadnych encyklopedii ani odkurzaczy.

- Szukamy Roberta Marshalla - powiedział Holt.

- Kogo?

- Roberta Marshalla - powtórzył.

- Nie znam żadnego Marshalla. Obok mieszka McNeilly, dalej Mitchell, ale nie ma tu

żadnych Marshallów. Ubezpieczenia też nie kupię.

- Niczego nie sprzedajemy - wyjaśnił cierpliwie Trent. - Szukamy człowieka o

nazwisku Marshall, który mieszka pod tym adresem.

- Przecież mówię, że tu nie ma żadnych Marshallów. Ja tu mieszkam, od piętnastu lat,

odkąd ten mój, pożał się Boże, mąż umarł i zostawił mnie z samymi rachunkami. Znam cię -

wypaliła nieoczekiwanie, celując wykrzywionym palcem w stronę Sloana. - Widziałam twoje

zdjęcie w gazecie. Okradłeś bank.

- Sięgnęła ręką do stolika przy drzwiach i pochwyciła metalową podpórkę pod książki.

Sloan pomyślał, że w innych okolicznościach zapewne byłby rozbawiony.

- Nie, proszę pani - odpowiedział uprzejmie. - Ożeniłem się z Amandą Calhoun.

Staruszka zastanawiała się przez chwilę, nie odkładając jeszcze oręża.

- Jedna z sióstr Calhoun. Tak, pamiętam. Najmłodsza... nie, druga z kolei. Więc czego

chcecie?

- Roberta Marshalla - powtórzył jeszcze raz Holt.

- Podał ten adres.

- Albo kłamie, albo jest głupi. Ja tu mieszkam od piętnastu lat, odkąd ten mój, pożałuj Boże, mąż złapał zapalenie płuc i zmarł. Był człowiek, nie ma człowieka. - Pstryknęła palcami. - No i krzyżyk na drogę.

Holt spojrzał na Sloana.

- Powiedz, jak on wyglądał.

- Około trzydziestki, wysoki, szczupły, czarne włosy do ramion i wielkie, opadające wąsy.

- Nie znam takiego. Chłopak Piersonów z dołu ma włosy do pasa. Wstyd, żeby chłopak nosił takie włosy. I farbuje je na blond, jak dziewczyna. Nie ma więcej jak szesnaście lat. Matka powinna mu kazać obciąć te włosy, ale nie. Gra muzykę tak głośno, że muszę walić w drzwi, żeby ściszył.

- Przepraszam - wtrącił Max i opisał mężczyznę, którego poznał jako Ellisa Caufielda.

- A to całkiem jak mój siostrzeniec. Mieszka w Rochester z drugą żoną. Sprzedaje używane samochody.

- Dziękujemy pani - mruknął Holt. Nie zdziwiło go, że złodziej podał fałszywy adres, był jednak zirytowany. Gdy wychodzili z budynku, wyciągnął z kieszeni ćwierćdolarówkę.

- Chyba musimy poczekać do rana - mówił Max. - On nie wie, że go przejrzelismy, więc pewnie pojawi się w pracy.

- Mam już dość czekania - stwierdził Holt, kierując się w stronę budki telefonicznej.

Wrzucił monetę i wystukał numer. - Mówi sierżant Bradford z Portland, numer służbowy 7375. Proszę coś dla mnie sprawdzić. - Podał numer telefonu, który znalazł w papierach

Marshalla, a potem cierpliwie czekał na rezultaty. - Dziękuję - powiedział w końcu i odwiesił słuchawkę, po czym spojrzał na towarzyszy. - Bar Island. Weźmiemy moją łódź.

Gdy mężczyźni przygotowywali się do przeprawy przez zatokę, kobiety znów spotkały się w wieży Bianki.

- No więc - zaczęła naradę Amanda, trzymając w pogotowiu ołówek - co już wiemy?

- Trent sprawdzał dokładnie dokumenty robotników - odezwała się C. C. - Mówił, że ma to coś wspólnego ze zwrotami podatku, ale to bzdury.

- Ciekawe - zastanowiła się Lilah. - Max nie pozwolił mi pójść dzisiaj do zachodniego skrzydła. Chciałam zobaczyć, jak im idzie, a on na wszelkie sposoby próbował odwrócić moją uwagę. W końcu zaczął gadać coś bez sensu o tyra, że nie powinnam przeszkadzać robotnikom w pracy.

- A Sloan schował kilka teczek z dokumentami do szuflady i zamknął ją na klucz, gdy wczoraj wieczorem weszłam do pokoju - dodała Amanda. - Dlaczego trzymają w tajemnicy to, że sprawdzają tożsamość robotników?

- Chyba wiem, dlaczego - powiedziała powoli Suzanna. - Wczoraj wieczorem dowiedziałam się, że ktoś włamał się do domu Holta i przeszukał go.

Trzy siostry natychmiast zarzuciły ją pytaniami. Suzanna podniosła rękę.

- Poczekajcie chwilę. Holt był na mnie zdenerwowany i tylko dlatego powiedział mi o włamaniu, a po tym zdenerwował się jeszcze bardziej. Jest pewien, że to był Livingston.

- To znaczy - stwierdziła Amanda - że on wie o związku Holta ze sprawą naszyjnika.

Kto jeszcze o tym wiedział oprócz nas?

- Tylko rodzina - wzruszyła ramionami Lilah. - Nikt z nas nie wspominał o tym poza domem.

- Może on dowiedział się w taki sam sposób jak Max - zasugerowała C. C. - Z

biblioteki.

Lilah jednak potrząsnęła głową.

- Max przejrzał wszystkie książki. Może w tych ukradzionych papierach były jakieś informacje.

- Możliwe - pokiwała głową Amanda. - Ale przecież miał te papiery już od dawna.

Kiedy było to włamanie?

- Parę tygodni temu, ale wydaje mi się, że musiał dowiedzieć się od nas. Wszystkie jesteśmy pewne, że nie rozmawialiśmy o tym z nikim poza domem. A mężczyźni nie chcą, żebyśmy się dowiedziały, że sprawdzają robotników. To znaczy, że...

- Ten drań jest tutaj, w domu - dokończyła Amanda, przymykając oczy. - Do tego stopnia przywykliśmy już do widoku mężczyzn noszących deski, że nikt nie zwraca na nich uwagi.

- Holt chyba też doszedł do tego wniosku - zauważyła Suzanna. - I co teraz mamy zrobić?

- Jutro rano wszystkie wybierzemy się na wycieczkę do zachodniego skrzydła -

oświadczyła Lilah, siadając na parapecie okna. - Nieważne, jak on teraz wygląda, jeśli znajdzie się blisko mnie, to go rozpoznam. A teraz, Suzanno, powiedz wreszcie, kiedy ten ciemny typ ci się oświadczył?

- Skąd wiesz? - uśmiechnęła się Suzanna. Lilah wskazała na jej dłoń ozdobioną pierścieniem.

- Jak na byłego gliniarza, ma doskonały gust.

- Wczoraj wieczorem - odparła Suzanna, gdy wszystkie siostry już ją wyściskały i gdy ucichły okrzyki radości. - Dziś rano powiedzieliśmy dzieciom.

- Ciocia Coco będzie ze szczęścia skakać do sufitu - roześmiała się C. C. - Wszystkie

cztery w ciągu paru miesięcy.

- Trzeba jeszcze tylko zamknąć tego bandytę za kratkami i znaleźć szmaragdy -

westchnęła Amanda. - Och, nie! - przeraziła się nagle. - Czy wy zdajecie sobie sprawę, co to oznacza?

- To oznacza, że musisz zorganizować następny ślub - pokiwała głową Suzanna.

- Tak, ale chodziło mi o coś innego. Ciocia Colleen na pewno nie wyjedzie, dopóki nie zobaczy cię jako szczęśliwej mężatki.

Holt wrócił do Towers w kiepskim nastroju. Dom, który znaleźli, był pusty. Nie mieli wątpliwości, że Livingston tam właśnie mieszkał. Holt nagiął nieco przepisy i przeszukał cały budynek równie gruntownie, jak Livingston jego własny dom. Znaleźli skradzione papiery, listy sporządzone przez złodzieja oraz kopie oryginalnych planów Towers.

Znaleźli również przepisany na maszynie tygodniowy rozkład zajęć wszystkich sióstr.

Ręcznie dopisane komentarze świadczyły o tym, że Livingston pilnie obserwował je wszystkie. Był również spis pokoi, które już przeszukał, oraz przedmiotów, które uznał za cenne i zamierzał ukraść.

Czekali przez godzinę, a potem, pełni niepokoju o los kobiet pozostawionych samym sobie, zadzwonili do porucznika Koogara i przekazali mu wszystkie informacje. Policja otoczyła dom w Bar Island, zaś Holt i jego trzech towarzysze wrócili do Towers.

Teraz pozostawało tylko czekać. Po latach służby w policji Holt potrafił czekać. Teraz jednak nie był w pracy i każda minuta działała mu na nerwy. Coco rzuciła się na niego, ledwie wszedł za próg.

- Och, mój drogi chłopcze - zaszlochała, obsypując go pocałunkami.

- Hej - wyjąkał z trudem, patrząc na jej włosy. Nie były już kruczoczarne, lecz płomiennie czerwone. - Coś ty zrobiła z włosami?



- Och, czas już był na zmianę - stwierdziła Coco, wycierając nos w chusteczkę. Holt bezradnie poklepał ją po ramieniu. Pozostali trzej mężczyźni patrzyli na nich, uśmiechając się szeroko.

- Bardzo dobrze wyglądasz - zapewnił ją, przekonany, że powodem jej płaczu jest nowy kolor włosów. - Naprawdę.

- Podoba ci się? - rozjaśniła się. - Czerwony to taki wesoły kolor. - Znowu schowała twarz w chusteczkę i Wyszłochała: - Taka jestem szczęśliwa! Widzisz, miałam nadzieję, że tak się stanie. Fusy z herbaty mówiły, że wszystko będzie dobrze, ale nie mogłam przestać się martwić! Ona przeszła przez taki koszmar, i dzieci też. Myślałam, że to może będzie Trent, ale on tak dobrze pasuje do C. C. Potem Sloan i Amanda, potem znowu nasz drogi Max i Lilah. Czy można się dziwić, że jestem oszołomiona?

- Chyba nie.

- Kto by pomyślał przed laty, gdy przychodziłeś do kuchennych drzwi z homarami...

Albo wtedy, gdy zmieniłeś mi koło w samochodzie i nawet nie zdążyłam ci podziękować. A teraz ożenisz się z moją córeczką!

- Gratuluję - uśmiechnął się Trent i poklepał Holta po plecach, Max zaś poszperał w kieszeni i wyjął czystą chusteczkę dla Coco.

- Witaj w rodzinie - dodał Sloan, wyciągając rękę. - Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz.

Holt popatrzył na zapłakaną Coco.

- Chyba zaczynam sobie to uświadamiać.

- Przestań wreszcie histeryzować - zawołała Colleen ze szczytu schodów. - Słysząc cię aż w moim pokoju. Na litość boską, zabierzcie ją do kuchni i wlejcie w nią trochę herbaty. A teraz wynoście się stąd wszyscy. Chcę porozmawiać z tym chłopakiem.

Jak szczury z tonącego okrętu, pomyślał Holt, patrząc na mężczyzn potulnie wmykających się do kuchni w towarzystwie Coco. Colleen dostojnie weszła do salonu i przywołała go gestem.

- A więc wydaje ci się, że się ożenisz z moją cioteczną wnuczką?

- Nie wydaje mi się, tylko się z nią ożenię. Colleen prychnęła. Ten chłopak zaczynał się jej podobać.

- Powiem ci jedno. Jeśli nie będziesz jej traktował lepiej niż ten dureń, za którego wyszła przedtem, to będziesz miał ze mną do czynienia. - Usadowiła się wygodnie w fotelu. - Jakie masz perspektywy?

- Co takiego?

- Perspektywy - powtórzyła ze zniecierpliwieniem. - Jeśli sądzisz, że przez nią dobierzesz się do moich pieniędzy, to możesz wybić to sobie z głowy.

Oczy Holta zwęziły się.

- Może pani zabrać swoje pieniądze i...

- Bardzo dobrze. - Colleen skinęła głową z aprobatą. - Jak zamierzasz ją utrzymać?

- Jej nie trzeba utrzymywać. I nie potrzebuje też, żeby pani czy ktokolwiek inny wtykał nos w jej sprawy. Doskonale dawała sobie radę sama. Przeszła przez piekło, a potem udało jej się poskładać swoje życie od początku, wychowywać dzieci i jednocześnie prowadzić firmę. Zmieni się tylko tyle, że nie będzie już musiała zaharowywać się na śmierć, a dzieci będą miały kogoś, kto chce być ich ojcem. Może nie stać mnie na to, żeby kupować jej brylanty i zabierać na wystawne kolacje, ale będzie ze mną szczęśliwa.

Colleen postukała palcami o główkę laski.

- Nadajesz się. Jeśli twój dziadek był choć trochę podobny do ciebie, to nie dziwię się, że moja matka go kochała. Więc... - zaczęła się podnosić z fotela i naraz zatrzymała wzrok na

portrecie nad kominkiem. Zamiast surowej twarzy ojca teraz spoglądały na nią łagodne oczy matki. - Skąd to się tutaj wzięło?

Holt wsunął ręce w kieszenie.

- Wydawało mi się, że tu jest odpowiednie miejsce. Dziadek na pewno życzyłby sobie, żeby ten portret tutaj wisiał.

Colleen znów opadła na fotel.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - A teraz już wyjdź. Chcę zostać sama.

Holt ze zdziwieniem poczuł, że zaczyna lubić tę staruszkę. Poszedł do kuchni, zamierzając zapytać Coco, gdzie może znaleźć Suzannę. Znalazł ją jednak sam, idąc za muzyką, która płynęła przez hol. Siedziała przy pianinie i grała jakąś powolną, piękną melodię. Muzyka była smutna, ale w oczach Suzanny czaił się uśmiech. Na widok Holta podniosła palce z klawiatury.

- Nie wiedziałem, że umiesz grać.

- Wszystkie się tego uczyłyśmy, ale tylko ja wytrzymałam dłużej - wyjaśniła i wzięła go za rękę. - Miałam nadzieję, że znajdziemy dzisiaj trochę czasu dla siebie. Chciałam ci powiedzieć, że wspaniale poradziłeś sobie rano podczas rozmowy z dziećmi.

Holt spojrzał na jej rękę z pierścionkiem.

- Byłem zdenerwowany - przyznał. - Nie wiedziałem, jak to przyjmą. Gdy Jenny zapytała, czy może do mnie mówić: tatusiu... Nie sądziłem, że można tak szybko kogoś pokochać. Chyba zaczynam rozumieć, jak czuje się rodzic i przez co gotów jest przejść, by zapewnić dzieciom bezpieczeństwo. Chciałbym mieć więcej dzieci... Wiem, że będziesz musiała się nad tym zastanowić, i nie chcę, żebyś myślała, że Alex i Jenny będą mnie obchodzić mniej niż moje własne dzieci.

Suzanna pocałowała go w policzek.

- Nie muszę się nad niczym zastanawiać. Zawsze chciałam mieć dużą rodzinę.

Przytulił ją, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

- Suzanno, czy wiesz, gdzie był pokój dziecienny za czasów Bianki?

- We wschodnim skrzydle, na drugim piętrze. Odkąd pamiętam, był używany jako magazyn niepotrzebnych rzeczy. Myślisz, że tam właśnie schowała naszyjnik? - zapytała z ożywieniem.

- Na pewno schowała go gdzieś, gdzie Fergus raczej by go nie szukał, a nie sądzę, żeby spędzał dużo czasu w pokoju dzieciennym.

- Ale gdyby tam był, chyba ktoś by go już znalazł.

- Suzanna zamyśliła się. - Zresztą nie wiem, dlaczego tak mówię. Ten pokój jest pełen pudel i starych mebli.

- Pokaż mi go - poprosił Holt.

Wyglądało to gorzej, niż przypuszczał. Wszystko pokrywały pajęczyny i kurz. Pudła, skrzynie, zwinięte dywany, połamane stoliki, lampy bez abażurów zajmowały każdy skrawek przestrzeni. Holt zaniemówił. Suzanna natomiast uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Przez osiemdziesiąt lat można zebrać wiele rzeczy. Nie ma tu już nic wartościowego, prawie wszystko zostało sprzedane, gdy... w trudnych czasach. Od dawna nikt nie wchodził na to piętro. Nie stać nas było na ogrzewanie go, musiałyśmy się ograniczyć do używanej części domu. Ale gdy to całe zamieszanie wreszcie się skończy, zamierzamy przejrzeć cały dom, pokój po pokoju.

- Przydałby się wam buldożer.

- Wystarczy trochę czasu. Przez ostatnie miesiące przejrzaliśmy już sporo pokoi, ale to idzie bardzo powoli.

- Skoro tak, to zacznijmy od razu - powiedział Holt.

Przeglądali zawartość pokoju przez dwie długie godziny. Znaleźli połamany parasol, zadziwiającą kolekcję dziewiętnastowiecznej erotyki, kufer pełen zmurszałych ubrań z lat dwudziestych oraz pudełko porysowanych płyt fonograficznych, a poza tym skrzynkę ze starymi zabawkami. Była tam miniaturowa lokomotywa, smutna, wypłowiała szmaciana lalka, kolekcja jojo rozmaitych wielkości i kilka ślicznych litografii przedstawiających sceny z bajek, które Suzanna odłożyła na bok.

- Do naszego pokoju dzieciennego - wyjaśniła. - Popatrz. - Wyjęła z pudełka poźółkle ubranko do chrztu. - Może to mojego dziadka?

- To wszystko powinno być popakowane staranniej.

- Po śmierci Bianki Fergus chyba nie dbał o porządek w domu. O rzeczy należące do dzieci zapewne dbała niania. Fergus nie zawracałby sobie tym głowy.

Holt wyjął pajęczynę z jej włosów.

- Może zrobimy sobie przerwę?

- Nie jestem zmęczona.

Nie było sensu przypominać jej, że ma za sobą cały dzień pracy, Holt użył więc innej taktyki.

- Chce mi się pić. Może Coco ma coś zimnego w lodówce i do tego jakąś kanapkę?

- Na pewno. Pójdę sprawdzić.

- Dwie kanapki - uśmiechnął się i pocałował ją. Suzanna przeciągnęła się.

- Przykro jest myśleć o tych dzieciach. Leżały tu w łóżkach, wiedząc, że matka nigdy więcej nie przyjdzie utulić ich do snu. A skoro o tym mówimy, to zanim tu wrócę, muszę jeszcze ułożyć do snu swoje dzieci.

- Nie śpiesz się - powiedział, zabierając się do następnej skrzyni.

Suzanna poszła na dół, myśląc o dzieciach Bianki. Mały Sean, który dopiero zaczynał

chodzić. Ethan, ojciec jej ojca, Colleen, która teraz zapewne znów prawiła Coco jakieś złośliwości. Jak to możliwe, że ta kobieta była kiedyś słodką dziewczynką...

Zatrzymała się na najwyższym stopniu schodów, tknięta nagłą myślą. W chwili śmierci matki Colleen miała pięć lub sześć lat. Suzanna zawróciła i zastukała do drzwi ciotecznej babki.

- Wejdz, bo ja nie mam zamiaru wstawać! Suzanna otworzyła drzwi i z rozbawieniem spostrzegła, że ciocia Colleen czyta romans.

- Przepraszam, że przeszkadzam...

- Dlaczego przepraszasz? Nikt inny tego nie robi. Suzanna ugryzła się w język.

- Zastanawiałam się nad czymś. Tamtego lata... ostatniego lata, czy nadal mieszkałaś w pokoju dzieciennym razem z chłopcami?

- Nie byłam już małym dzieckiem. Miałam swój pokój.

Suzanna z trudem hamowała podniecenie.

- Obok pokoju braci?

- Na drugim końcu zachodniego skrzydła. Kolejność była taka: pokój moich braci, pokój niani, łazienka dzieci i trzy pokoje dla dzieci gości. A mój pokój był w rogu, na górze. -

Zachmurzyła się i wbiła wzrok w książkę. - Następnego lata przeniosłam się do jednego z pokoi gościnnych. Nie chciałam spać w pokoju, który urządziła dla mnie matka, skoro jej już nie było.

- A czy Bianca przyszła do twojego pokoju, by ci powiedzieć, że wyjedziecie?

- Tak. Kazała mi wybrać kilka ulubionych sukienek i sama je spakowała.

- A potem... pewnie znowu je rozpakowano?

- Nigdy więcej nie nosiłam tych sukienek. Nie chciałam. Wsunęłam kufer pod łóżko.

Do tej pory na pewno mole wszystko zjadły.

A więc była jeszcze nadzieja.

- Dziękuję - powiedziała Suzanna i wyszła.

Colleen westchnęła, przypominając sobie ulubioną białą muślinową sukienkę z niebieską satynową szarfą. Odłożyła książkę i wyszła na taras.

Zmrok zapadał wcześnie. Zbierało się na burzę. Ciemne chmury zaczynały szczelnie pokrywać niebo.

Suzanna znów wbiegła na górę. Kanapki muszą poczekać, pomyślała, i otworzyła drzwi dawnego pokoju Colleen. Tu również urządzono skład starych rzeczy, ale pokój był mniejszy, więc również mniej zagracony. Tapeta, którą Bianca wybrała dla córki, była pożółkła i poplamiona, ale nadal widać było jej wzór: pąki róż i bukietiki fiołków.

Suzanna rozsuwała na boki skrzynki i pudła, szukając dzieciennego kuferka. To było najlepsze miejsce, pomyślała, przesuwając pudło z napisem: „Zimowe zasłony”. Fergusa nie obchodziła córka. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, by przeglądać jej sukienki.

Serce zabiło jej mocniej, gdy natrafiła na starą skórzaną walizkę. W środku znajdowały się kupony materiału poprzekładane bibułą, ale nie było tu dziecięcych ubrań ani szmaragdów.

Zaczynało się ściemniać. Suzanna podniosła się z kolan. Zamierzała pójść po Holta, ale w półmroku zahaczyła o coś łydką. Zaklęła, opuściła wzrok i zobaczyła niewielki kuferek, niegdyś błyszczący i biały, teraz poszarzały od kurzu i ze starości. Stał przy ścianie, ledwie widoczny spoza pudel. Suzanna znów przyklękła i otworzyła wieko.

Poczuła zapach lawendy i wyjęła pierwszą sukienkę. Biały muślin był pożółkły, podobnie jak niebieska satynowa szarfą. Odłożyła sukienkę na bok i sięgnęła po następną. W kuferku była bielizna, kokardy i wstążki, a także koronkowa koszulka nocna. Na samym dnie Suzanna znalazła pluszowego misia, a obok niego książkę i pudełko.

Przyłożyła drżące palce do ust, a potem powoli wzięła książkę do ręki. Dziennik Bianki, pomyślała, czując, że oczy zachodzą jej łzami. Wstrzymała oddech i przeczytała pierwsze zdanie.

*Bar Harbor, 12 czerwca 1912*

*Zobaczyłam go na urwisku nad Zatoka Francuza...*

Wypuściła oddech i położyła dziennik na kolanach. Nie chciała czytać go sama. Z dudniącym sercem wyjęła z kufra pudełeczko. Jeszcze zanim je otworzyła, wiedziała, co zobaczy w środku. Poczowała zmianę w pokoju, jakby powietrze zadrżało. Ze łzami w oczach otworzyła pudełko i wyjęła szmaragdy Bianki.

Pulsowały światłem jak zielone słońca, lśniło w nich życie i namiętności. Podniosła do góry naszyjnik i poczuła, że jej ręce ogarnia fala gorąca. Ukryty przed osiemdziesięciu laty klejnot odzyskał wreszcie wolność. Sięgnęła do kufierka i wyjęła kolczyki. Dziwne, pomyślała. Prawie o nich zapomniała. Były piękne, ale nie mogły się równać z naszyjnikiem.

- Och, Bianco - westchnęła Suzanna, wciąż klęcząc obok kufierka.

- Cóż za czarujący widok!

Suzanna gwałtownie podniosła głowę. Stał w progu pokoju. Wyglądał jak cień. Gdy postąpił o krok naprzód, zauważyła błysk pistoletu w jego dłoni.

- Cierpliwość popłaca - powiedział Livingston.

- Widziałem, jak wchodziłaś z tym policjantem do pokoju piętro niżej. Mało ostatnio spałem. Nocami zwiedzałem cały dom.

Zatrzymała wzrok na jego twarzy. Nie był podobny do człowieka, którego pamiętała.

Miał inne włosy, oczy, nawet kształt twarzy. Podniosła się bardzo powoli, przyciskając do siebie dziennik prababki Bianki i klejnoty.

- Nie pamiętasz mnie. Ale ja znam was wszystkie. Ty jesteś Suzanna. Calhounowie są



mi coś winni.

- Nie wiem, o czym mówisz - wyjąkała.

- Trzy miesiące mojego czasu i masa zachodu. Poza tym oczywiście strata Hawkinsa.

Był kiepskim współnikiem, ale należał do mnie. Podobnie jak to.

- Zatrzymał wzrok na naszyjniku i poczuł, że ślina napływa mu do ust. Był jeszcze wspanialszy niż w jego snach. Z drzeniem wyciągnął rękę w ich stronę, ale Suzanna odsunęła się szybko.

- Naprawdę myślisz, że uda ci się je zatrzymać?

- zapytał, unosząc brwi. - One są moje.

Podszedł bliżej i pochwycił ją za włosy.

- Niektóre klejnoty mają moc - rzekł cicho. - Tragedie, które wchłaniają w siebie, jeszcze tę moc powiększają. Karmią się śmiercią i rozpaczą. Hawkins tego nie rozumiał, ale to był prostak.

Suzanna nie wiedziała, czy oddać mu klejnoty bez oporu, czy próbować wciągnąć go w rozmowę. Naraz jednak w progu pokoju pojawiła się Jenny.

- Mamo, grzmi - powiedziała drżącym głosem.

- Masz być ze mną, kiedy jest burza!

Wszystko stało się bardzo szybko. Livingston obrócił się na pięcie, a Suzanna z całej siły rzuciła się na niego, blokując mu drogę do drzwi.

- Uciekaj! - wykrzyknęła do Jenny. - Biegnij do Holta!

Odepchnęła napastnika i sama również wypadła na korytarz. Jenny pobiegła w prawą stronę, a Suzanna skierowała się w lewo. Wiedziała, że Livingston pobiegnie za nią, bo to ona miała naszyjnik. Następną decyzję musiała podjąć na schodach: czy biec na dół, tam gdzie była rodzina, czy na górę. Wybrała to drugie.

W połowie schodów usłyszała za plecami jego kroki i kuła oderwała kawał tynku tuż obok jej ramienia. Suzanna przyśpieszyła kroku. Przed nią były metalowe schody prowadzące na wieżę Bianki.

Livingston wyciągnął rękę i końce jego palców musnęły kostkę Suzanny. Kopnęła go i już po chwili była na szczycie schodów. Całym ciężarem ciała uderzyła w masywne drzwi.

Otworzyły się powoli i ze skrzypieniem. Szybko wsunęła się do środka, przygotowana na to, że lada chwila dosięgnie ją kuła.

Livingston jednak zatrzymał się w progu. W oczach miał dziwny blask, a mięsień w kąciku jego ust drgał nerwowo.

- Daj mi to - powiedział, potrząsając pistoletem. - Oddaj mi to natychmiast.

On się boi, uświadomiła sobie Suzanna. Boi się tego pokoju.

- Byłeś tu już wcześniej - domyśliła się.

Był tylko raz i szybko uciekł, przerażony. W tej wieży było coś, co go nienawidziło.

Teraz też czuł na plecach lodowate dreszcze.

- Daj mi ten naszyjnik, bo cię zabiję.

- To był jej pokój - powiedziała Suzanna powoli, nie spuszczając wzroku z jego twarzy. - Pokój Bianki. Zginęła, gdy jej mąż wyrzucił ją przez to okno. Ona nadal tu przychodzi. Patrzy na urwisko i czeka.

- Usłyszała na schodach kroki Holta. Wiedziała, że on również je słyszy. - Bianca jest tu teraz. Weź te klejnoty - wyciągnęła rękę. - Ale ona nie pozwoli ci z nimi wyjść.

Twarz Livingstona była biała jak płótno i pokryta kropelkami potu. Wyciągnął rękę i pochwycił kamienie, ale w przeciwieństwie do Suzanny nie poczuł gorąca, lecz chłód i przeszywający lęk.

- Są moje - wymamrotał.

- Suzanno - powiedział cicho Holt, stając w drzwiach. - Odsuń się od niego. - W obydwu rękach trzymał pistolet wycelowany w bandytę. - Odsuń się - powtórzył. - Tylko powoli.

Ostrożnie cofnęła się o krok, potem o drugi, ale Livingston już nie zwracał na nią uwagi. Patrzył na klejnoty, ocierając wyschnięte usta wierzchem dłoni.

- Już po wszystkim - powiedział do niego Holt.

- Rzuć broń i kopnij ją na bok. - Ale Livingston chyba go nie słyszał. - Rzuć broń - po raz drugi rozkazał Holt. - Wyjdź stąd, Suzanno.

- Nie zostawię cię samego.

Nie miał czasu, żeby się z nią kłócić. Był przygotowany na to, że będzie musiał zabić Livingstona, ale widział, że w tej chwili bandyta nie myśli już o swoim pistolecie ani o ucieczce. Wpatrywał się w szmaragdy, drżąc na całym ciele.

Nie spuszczał z niego wzroku, Holt pochwycił go za rękę trzymającą pistolet.

- Już po wszystkim - powtórzył.

- Są moje!

Nieprzytomny z lęku i wściekłości Livingston obrócił się na pięcie i zdołał nacisnąć spust. Kula trafiła w sufit. W następnej chwili Holt wytrącił mu pistolet z ręki. Za oknem niebo przecięła błyskawica i jednocześnie do pokoju wpadło kilka osób. Zdezorientowany ciosem w szczękę, przerażony Livingston rzucił się do okna.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i przesywający krzyk. Holt podskoczył do okna, ale było już za późno.

- Mój Boże - wymamrotała Suzanna, opierając się plecami o ścianę.

Objęły ją czyjeś ramiona i dokoła rozległ się gwar głosów. Cała rodzina była już w wieży. Suzanna pochyliła się i ze łzami w oczach objęła dzieci.

- Już wszystko dobrze - uspokajała je. - Nie ma się czego bać.

Podniosła głowę. Tuż przed nią stał Holt, Za plecami miał rozbite okno, a na podłodze u jego stóp lśniły szmaragdy.

- Już wszystko dobrze - powtórzyła. - Zaprowadzę was na dół.

Późnym wieczorem rodzina zebrała się w salonie. Policja w końcu odjechała, zostawiając ich samych. Usiedli przed kominkiem, pod portretem Bianki.

Colleen trzymała szmaragdy na kolanach. Nie uroniła ani jednej łzy, gdy Suzanna opowiadała, jak je znalazła, ale myślała o matce.

Nikt nie wspominał o śmierci.

Burza już minęła i wzeszedł księżyc. Holt obejmował Suzannę, która głośno czytała dziennik Bianki.

Odwróciła ostatnią stronę i ciągnęła:

*Nie myślałam o ich wartości finansowej. Miały być spadkiem dla moich dzieci i ich dzieci, symbolem wolności i nadziei, a także miłości.*

*O świcie postanowiłam., że schowam je razem z tym dziennikiem w bezpiecznym miejscu i wyjmę dopiero wtedy, gdy połączę się z Christianem.*

Suzanna powoli zamknęła dziennik.

- Myślę, że wreszcie są razem - powiedziała cicho. - Bianca połączyła nas wszystkich w jedną rodzinę. Chcę wierzyć, że my również pomogliśmy jej połączyć się z Christianem.

Za oknem, w blasku księżyca, fale jak zawsze rozбивały się o podnóże urwiska.

## **SPIS TREŚCI**

Lilah5

Suzanna.....199